

DENIS VAIRASSE

Historia Sewarambian

Bibliotheca Utopiana II

TOM 2

REDAKTORZY SERII

Artur Blaim

Ludmiła Gruszevska-Blaim

Olga Kubińska

Justyna Galant

DENIS VAIRASSE

Historia Sewarambian

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE

Przemysław Kossakowski

Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego

Gdańsk 2024

Recenzent
dr hab. Monika Malinowska, prof. UW

Redaktor Wydawnictwa
Paweł Wielopolski

Koncepcja graficzna okładki i stron tytułowych
Karolina Johnson

Projekt okładki i stron tytułowych
Łukasz Gwizdała

Skład i łamanie
Mariusz Szewczyk

Publikacja dofinansowana ze środków budżetu państwa
w ramach programu realizowanego przez Ministra Edukacji i Nauki pod nazwą
„Narodowy Program Rozwoju Humanistyki nr projektu 22H 20 0049 88”,
kwota dofinansowania 33 783 zł, całkowita wartość projektu 1 307 335,00 zł.



© Copyright by Uniwersytet Gdański, 2024
Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego

ISBN 978-83-8206-643-2

Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego
ul. Armii Krajowej 119/121, 81-824 Sopot
tel. +48 58 523 11 37, tel. kom. +48 725 991 206
e-mail: wydawnictwo@ug.edu.pl
wydawnictwo.ug.edu.pl

Księgarnia internetowa: wydawnictwo.ug.edu.pl/sklep/

Druk i oprawa
Zakład Poligrafii Uniwersytetu Gdańskiego
ul. Armii Krajowej 119/121, 81-824 Sopot
tel. +48 58 523 14 49

SPIS TREŚCI

<i>Historia Sewarambian</i> – utopia hugenocka czy (przed)oświeceniowa? (Przemysław Kossakowski)	7
Denis Vairasse Historia Sewarambian albo ludów zamieszkujących część trzeciego kontynentu, pospolicie zwanego Lądem Południowym, zawierająca opisanie rządu, obyczajów, wierzeń oraz języka owego narodu, dotychczas nieznanego ludom Europy (tłum. Przemysław Kossakowski)	29
Bibliografia	239

PRZEMYSŁAW KOSSAKOWSKI

HISTORIA SEWARAMBIAN – UTOPIA HUGENOCKA CZY (PRZED)OŚWIECENIOWA?

Szczególny może się wydawać fakt, że „pierwsza francuska utopia”, jak określa *Histoire des Sévarambes* Jean-Michel Racault¹, a przynajmniej jedna z najznacniejszych francuskich utopii XVII stulecia, ukazała się w języku angielskim. Pierwsze wydanie *Histoire des Sévarambes*, czyli *Historii Sewarambian*, miało miejsce w 1675 roku w Londynie, gdzie jej autor, Denis Vairasse (lub Veiras w innym zapisie), korzystał z życzliwej protekcji diuka Buckingham². Twierdzenie, że dzieło to powstało na wygnaniu, byłoby nadużyciem, bowiem w tym okresie nikt jeszcze hugenotów, takich jak Vairasse z Francji, nie wypraszał. To zaczęło się dopiero dziesięć lat później, gdy Ludwik XIV, pragnący w sposób absolutny rządzić jednolitym w swym katolicyzmie narodem, wydał edykt z Fontainebleau, odwołując w ten sposób tolerancyjny edykt nantejski Henryka IV. Już od początku lat osiemdziesiątych miały miejsce tak zwane dragonady, podczas których wojsko Ludwika represjonowało ludność hugenocką, jednak odwołanie edyktu nantejskiego sprawiło, że protestanci zaczęli masowo emigrować do Niderlandów, Anglii, protestanckich państw Rzeszy, a w szczególności do

-
- 1 J.M. Racault, *L'Utopie narrative en France et en Angleterre 1675–1761*, Voltaire Foundation at the Taylor Institution, Oxford 1991, s. 325. Racault zauważa oczywiście, że pierwszą właściwie utopią w języku francuskim była *Histoire du grand et admirable royaume d'Antangil* z 1616 roku, autorstwa prawdopodobnie hugenota Joachima du Moulina, jednak podkreśla, że był to tekst efemeryczny, nieznan i pozbawiony kontynuatorów.
 - 2 R. Trousson, *Voyages aux pays de nulle part. Histoire littéraire de la pensée utopique*, Editions de l'Université de Bruxelles, Bruxelles 1999, s. 92.

Brandenburgii i Prus³. Dopiero wtedy też Denis Vairasse ostatecznie opuścił Francję i osiadł w Niderlandach⁴. *Historia Sewarambian* jest owocem szczególnej atmosfery, jaka panowała we Francji, w kwestiach religijnych, już od dłuższego czasu. Ludwik XIV nie był i nigdy nie chciał być drugim Henrykiem IV. Nie pragnął rządzić ludem zjednoczonym pomimo różnic wyznaniowych. Chciał być władcą Francji katolickiej bez wyjątków⁵. Nie była to Francja, w której hugenot Vairasse byłby mile widziany.

Badania autorów, takich jak Jean-Michel Racault, Geoffrey Atkinson, Raymond Trousson czy Frank i Fritzie Manuelowie, wykazują, że biografia Vairasse'a, o której mamy szczerkowane informacje, zdaje się kluczem do zrozumienia jego utopii. Denis Vairasse urodził się w Alais, w Langwedocji, około 1635 roku. Służył w armii, lecz protestanckie wyznanie zamknęło mu drogę do wyższych stopni oficerskich. Podjął też studia prawnicze, jednak bez większych sukcesów i bez entuzjazmu dla ówczesnego wymiaru sprawiedliwości. Od 1665 roku przebywał w Anglii, utrzymując się z pisarstwa i nauczania⁶. Wydał wówczas *Historię Sewarambian* po angielsku, pod tytułem *The History of the Sevarites or Sevarambi*, a w latach 1677–1679 po francusku, w Paryżu⁷. To właśnie wydanie, którego pierwsze dwa tomy wyszły spod pras drukarza Claude'a Barbina, trzy następne zaś opublikował sam autor we współpracy z drukarzem Etienne'm Michaletem, stanowi podstawę naszego tłumaczenia *Historii Sewarambian* na język polski. Wiemy także, że po edykcji z Fontainebleau wyjechał do Niderlandów, gdzie zmarł, prawdopodobnie około roku 1700.

Szczerkowość informacji biograficznych kładzie się cieniem także na samej historii wydania omawianego przez nas dzieła. Początkowo nawet kwestia jego autorstwa budziła liczne wątpliwości, przypisywano je bowiem Izaakowi Vossiusowi, Gottfriedowi Wilhelmowi Leibnizowi oraz kilku innym, mniej znanym autorom⁸. Dopiero porównanie biografii Vairasse'a z narracją pozwala bezsprzecznie stwierdzić, że to właśnie on jest twórcą tej utopii. Wątpliwości te mogą budzić zdumienie, szczególnie jeśli wziąć po uwagę, że *Historia Sewarambian* stała się zrazu powieścią wybitnie popularną. Pod koniec XVII i na początku XVIII wieku ukazało się, oprócz wydań londyńskiego i kilku paryskich, wydanie brukselskie i trzy edycje amsterdamskie,

3 F.E. Manuel, F.P. Manuel, *Utopian Thought in the Western World*, The Belknap Press of the Harvard University Press, Cambridge 1997, s. 367–368.

4 R. Trousson, *Voyages aux pays de nulle part*, s. 92.

5 W. Magdziarz, *Ludwik XIV*, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław–Warszawa–Kraków 1991, s. 171–172.

6 G. Atkinson, *The Extraordinary Voyage in French Literature Before 1700*, Columbia University Press, New York 1920, s. 90–91.

7 Ibidem, s. 87–88.

8 Ibidem, s. 89.

a mowa tylko o wydaniach francuskojęzycznych. Przedmiotowe dzieło zostało też wcześniej przetłumaczone na niderlandzki, włoski i niemiecki⁹. Można zatem śmiało uznać, że cała wykształcona Europa u progu oświecenia miała dostęp do utopii Vairasse'a, która to zasłużyła nawet na wzmiankę w „Le Journal des Sçavants”. Więcej, redaktorzy tego pisma uznali ją za autentyczną relację o odkryciu nowego lądu¹⁰. Warto także wspomnieć, że luminarze wczesnego oświecenia, tacy jak Pierre Bayle, Bernard Fontenelle czy Leibniz, żywo interesowali się tożsamością anonimowego autora. Chociaż popularność dzieła przygasła w późniejszych latach, wiemy przecież, że *Historię Sewarambian* czytali również Immanuel Kant i Jean-Jacques Rousseau, co samo w sobie stanowi nie byle jaką rekomendację¹¹.

Poza nielicznymi informacjami dotyczącymi życia i twórczości Denisa Vairasse'a, wiemy również, że był on erudytą. Łatwo to dostrzec w inspiracjach, widocznych w jego opus magnum. Oczywiście są odniesienia do Platona, zaś z nowożytnych autorów utopii, do Thomasa Morusa, *Słonecznego Miasta* Tommasa Campanelli i *Nowej Atlantydy* Francisca Bacona¹². Jednak nie jest *Historia Sewarambian* utopią czystą, statyczną, prostym opisem wyobrażonego państwa i społeczeństwa. Siła utworu polega właśnie na elementach, które utopijne ani filozoficzne nie są. Wraz z *La Terre Australe Connue* (1676) Gabriela de Foigny'ego *Historia Sewarambian* jest jedną z pierwszych powieści utopijnych, które kładą szczególny nacisk właśnie na aspekt powieściowy, a więc podróźniczy i przygodowy. Elementy te nie tylko stanowią interesujące z czytelniczego punktu widzenia tło dla wykładu idei, lecz także determinują oś narracji i pełnią funkcję uwiarygodniającą opisane wydarzenia¹³.

W rzeczy samej wiarygodność lub też ułuda prawdziwości są elementami narracji, na których Vairasse szczególnie koncentruje swe wysiłki. Opis podróży morskiej z Niderlandów do Batawii nie odbiega od ówczesnych relacji podróźniczych, z wyłączeniem, rzecz jasna, burzy, która rzuca okręt bohaterów w kierunku Południowego Lądu. Autor w swej dbałości o fakty posunął się nawet do wyszukania autentycznego zdarzenia z 1657 roku, kiedy to należący do Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej statek o nazwie Złoty Smok rozbił się u wybrzeży Australii. Znaczna część faktów wzmiankowanych w przedmowie „Do Czytelnika” rzeczywiście się wydarzyły, a niektóre wymienione tam osoby naprawdę żyły¹⁴. Zdaniem badacza Raymonda Troussona tak daleko posunięty zabieg uwiarygodnienia narracyjnej

9 Ibidem, s. 88.

10 F.E. Manuel, F.P. Manuel, *Utopian Thought in the Western World*, s. 367.

11 J.M. Racault, *L'Utopie narrative en France et en Angleterre 1675-1761*, s. 356.

12 R. Trousson, *Voyages aux pays de nulle part*, s. 93.

13 Ibidem, s. 22.

14 Ibidem, s. 93.

części tekstu miał przede wszystkim na celu dodanie wiarygodności części zasadniczej, to jest właściwej utopii¹⁵. Vairasse'owi wyraźnie zależy na tym, by czytelnik uwierzył, że Sewarambia naprawdę istnieje, a przynajmniej, co chyba ważniejsze, że mogłaby istnieć.

Autor wyklucza bądź chociaż ogranicza do minimum jakże popularne dotychczas *merveilleux*, ową cudowność, która rozpałała wyobraźnię odbiorców wczesnonowoczesnych utopii. Konsekwentnie stawia na realizm i racjonalizm, a nawet swoisty materializm narracji, pozwalając, by czytelnik uznawał wszystko, co opisuje, za jak najbardziej możliwe. Jeśli faktycznie doszło do katastrofy Złotego Smoka, to dlaczego nie miałyby istnieć Południowy Łąd, zasiedlony przez Sewarambian, tworzących społeczeństwo bliskie idealnemu, budujących wielkie i piękne miasta i oddających cześć Słońcu? Jeżeli Sewarambianie są ludem nieznanym i odizolowanym, ale przecież śledzącym wydarzenia w innych częściach świata, dlaczego nie mieliby posiadać wiedzy i wynalazków, do których znany świat nie ma dostępu? Rzecz nie w tym, by przedstawić czytelnikom historię prawdziwą bądź prawdopodobną, w rozumieniu francuskiego pojęcia *vraisemblance*, jakie podówczas wyznawano. Chodzi o to, by stworzyć narrację w pełni możliwą, w żaden sposób nieurągającą prawom rozumu poprzez cudowne dodatki i wytrychy.

Nie tylko podróże morskie i inne relacje o domniemanych odkryciach nowego ładu stanowią inspirację Vairasse'a. Jego dbałość o wiarygodność przejawia się także w źródłach, z których czerpie garściami w zasadniczej części narracji, czyli w samej utopii. Wyraźnie widoczne są odniesienia do historii i relacji o państwie Inków Garcilaso de la Vega, o podboju Meksyku przez Hernána Cortésa, opisu Tatarii Pierre'a Bergerona i relacji z podróży do Persji Jeana-Baptiste'a Taverniera¹⁶. W rezultacie tych inspiracji powstaje dość unikatowa jak na swoje czasy powieść, łącząca wątki robinsonady *avant la lettre*¹⁷, relacji z podróży, jakie spisywali odkrywcy, kupcy i dyplomaci owych czasów, a także traktatu filozoficzno-politycznego o nieznanym dotychczas kontynencie i zamieszkujących go ludziach, którzy, jak się okazuje, nie mają w sobie nic z dzikusów.

Historia Sewarambian jest relacją z podróży pewnego Francuza z południa, kapitana Sidena, w którym łatwo doszukać się alter ego samego autora, nie tylko ze względu na oczywisty anagram imienia Denis, lecz także na jego młodość, służbę wojskową i równie krótkotrwałą, co u Vairasse'a, karierę prawniczą. Sztorm rzuca

15 Ibidem.

16 G. Atkinson, *The Extraordinary Voyage in French Literature Before 1700*, s. 118–119.

17 Roland Barthes wyróżnił pięć kodów, które pozwalają zdefiniować robinsonadę. *Historia Sewarambian* spełnia wszystkie z tych warunków, zob. R. Trousson, *Voyages aux pays de nulle part*, s. 22.

ponad czterystuosobową załogę statku płynącego do Batawii na nieznaną wybrzeże Południowego Łądu, *Terra Australis Incognita*, gdzie rozbitkowie budują obóz, oczekując na pomoc, która nigdy jednak nie przybędzie. Gdy już osiedlają się w dogodnym miejscu, ustanawiają hierarchię i załóżek praw, organizują porządek pracy, wówczas spotykają miejscowych, którzy okazują się należeć do wysoko rozwiniętej cywilizacji i potrafią porozumiewać się z nimi w różnych językach europejskich. Dopiero w toku opowieści ich poliglotyzm zostaje wyjaśniony.

Następuje opis dalszej podróży rozbitków do stolicy Sewarambii, podczas której odkrywają oni kolejne stopnie wtajemniczenia w niesamowitość państwa, które powstało z woli jednego człowieka i utrzymuje się dzięki jego mądrym prawodawstwu. Kapitan Siden i jego ludzie widzą krainę mlekiem i miodem płynącą, szczęśliwy naród, zarządzany przez uczciwych i mądrych urzędników, który bez pieniędzy i własności prywatnej buduje wielkie miasta, ogromne świątynie i pałace, tunele przez góry, sztuczne zbiorniki, kanały i ogrody godne Semiramidy. Będą mieli zaszczyt osiedlić się w tym raj, lecz zabroni się im opuszczania go, ponieważ musi on pozostać ukryty przed resztą ludzkości, której niemoralne obyczaje mogłyby zdeprawować cnotliwych Sewarambian. Taki izolacjonizm nie jest niczym nowym, znamy go bowiem z wcześniejszych dzieł Francisa Bacona i Gabriela de Foigny'ego¹⁸. Sidenowi udaje się wszakże przekonać rządców, by pozwolili mu oddalić się na pewien czas do Europy i wrócić z żoną i dzieckiem, które tam zostawił. Właśnie podczas tej podróży, u samego kresu, zginie w bitwie na kanale La Manche¹⁹.

Druga część dzieła poświęcona jest historii prawodawcy Sewariasa, który w XV wieku miałby dokonać podboju Południowego Łądu i ustanowić pośród tubylców swe prawa. Także i jego imię jest anagramem, tym razem nazwiska Vairasse'a. Mamy zatem do czynienia z podwójną identyfikacją autora z dwiema najważniejszymi postaciami na kartach powieści. I tu znów podobieństwa się nie kończą. Atkinson zauważa, że Sewariasi kształci się, czyta i podróżuje, by później, bogaty w zdobytą wiedzę, zbudować idealne państwo. Vairasse zaś kształci się, czyta i podróżuje, aby taką właśnie utopię sobie wyobrazić²⁰. Tacy badacze jak Atkinson i Trousson podkreślają, że w tej części narracji najsilniejsze są wpływy relacji historycznych. Przybycie i podbój terenów późniejszej Sewarambii przez Sewariasa i jego Parsów, ułatwiony przez niski stopień rozwoju i wewnętrzne konflikty ludności tubylczej, a także przez zastosowanie broni palnej i konnicy, w sposób oczywisty przypomina relacje z podboju Meksyku przez Hiszpanów Hernána Cortésa czy Imperium Inków

18 G. Atkinson, *The Extraordinary Voyage in French Literature Before 1700*, s. 101.

19 D. Vairasse, *Historia Sewarambian*, „Do Czytelnika”, s. 34.

20 G. Atkinson, *The Extraordinary Voyage in French Literature Before 1700*, s. 112.

przez Francisca Pizarro²¹. Następujący dalej zwięzły opis panowania następców Sewariasa był zapewne wzorowany na historii władców inkaskich Garcilaso de la Vega oraz królów perskich Taverniera²².

Po diachronicznych historiach przybycia Siden do Sewarambii oraz przejścia władzy przez Sewariasa następuje synchroniczny opis praw i obyczajów Sewarambian, przeplatany licznymi anegdotami i opowieściami, ilustrującymi w praktyce działanie utopii. Jest to zasadnicza część dzieła, utopia właściwa, teoretyczna, której praktykę przedstawił Vairasse w części pierwszej. Z punktu widzenia czytelnika jest to zabieg nader interesujący — autor pozwala mu najpierw wraz z bohaterami obserwować funkcjonowanie utopii w praktyce, aby później wyjawić, na jakich prawach i zasadach się ona opiera. Z właściwą sobie troską Vairasse uzasadnił taką kolejność koniecznością poznania przez Siden języka Sewarambian na tyle dobrze, by mógł on czytać ich księgi. Ciekawy jest także sam fakt, że o prawach i obyczajach Sewarambian kapitan Siden dowiaduje się głównie z owych ksiąg. Rzecz jasna ma on nauczyciela Sermodasa, który zostaje opiekunem rozbitków, a także ma wiele okazji obserwować działanie systemu Sewarambii w praktyce, jednak gros wiedzy o ustroju utopijnego państwa czytelnik czerpie z wykładu opartego na lekturach²³. Ta teoretyczna część powieści podzielona jest na dwa fragmenty, z których pierwszy omawia ustrój polityczny i społeczny Sewarambian, a zatem najważniejsze dla bytu państwowego zasady i mechanizmy, drugi zaś opisuje poszczególne obyczaje ludów Południowego Łądu. O ile pierwsza z tych części nosi charakter traktatu filozoficzno-politycznego, o tyle druga jest wyraźnie antropologiczna. Wielki nacisk kładzie bowiem Vairasse na opisanie życia codziennego, zwyczajów, wierzeń i kultury Sewarambian.

Ostatnia część poświęcona jest religii Sewarambian, w szczególności zaś historii Strukarasa, wielkiego herezjarchy, który opanował te ziemie na długo przed przybyciem Sewariasa, omamił lud fałszywymi cudami, by wreszcie ogłosić się synem bóstwa solarnego. Szalbierstwa jego i jego następców zostają ostatecznie odsłonięte przez Sewariasa. Fragment ten jest tak ostrą krytyką religii objawionych i duchowieństwa, że został usunięty z wielu późniejszych wydań powieści²⁴. Zdumiewać może fakt, że dopuszczono go do druku w pierwszym wydaniu francuskim. Librairie, czyli urząd cenzury ancien régime'u starał się nie dopuszczać do publikowania książek, które krytykowały Kościół katolicki lub monarchię i nie otrzymały przywileju królewskiego. A przecież paryskie wydanie *Historii Sewarambian* taki

21 Ibidem, s. 115; R. Trousson, *Voyages aux pays de nulle part*, s. 93.

22 Ibidem.

23 D. Vairasse, *Historia Sewarambian*, s. 98.

24 G. Atkinson, *The Extraordinary Voyage in French Literature Before 1700*, s. 135.

przywilej otrzymało w 1676 roku²⁵. W treści przywileju autor skrywa się wprawdzie pod inicjałami D.V.D.E.L., ale czy cenzura mogła nie wiedzieć, że chodzi o protestanckiego pisarza, który w dodatku przez dłuższy czas przebywał w Anglii? I czy w opowieści o heretyckim oszuście, który uzurpował sobie władzę religijną i polityczną dzięki fałszywym cudom i manipulacji, oraz o zepsutych do szpiku kości kapłanach wyzyskujących łatwowierny lud można było nie dostrzec ataku na katolicyzm i Kościół? Takie zaślepienie to jedyne, co może wyjaśnić fakt, że cenzorzy pozwolili na publikację tego fragmentu z królewskim błogosławieństwem. Być może dali zwieść się autorowi, który każe kapitanowi Sidenowi wielokrotnie zapewniać o swej niezachwianej wierze w świętość rzymskiego Kościoła oraz pozornej krytyce deistycznej religii Sewarambian? Zapewnienia te wszakże nie mogą przekonać żadnego współczesnego czytelnika...

Można także, rzecz jasna, wysunąć hipotezę fałszerstwa. Kolejny, XVIII wiek, szczególnie zaś rozwój myśli i literatury oświeceniowej, często głęboko sprzecznej z racją stanu monarchii, stworzyły dogodne warunki dla rozkwitu drugiego obiegu wydawniczego. Dzieła, które nie miały szans przejść cenzury Librairie, były drukowane za granicą, głównie w szwajcarskim mieście Neuchâtel, będącym podówczas terytorium dziedzicznym pruskich Hohenzollernów. Oczywiście każde z takich dzieł „otrzymywało” sfalszowany przywilej królewski, po czym wędrowało *sous le manteau*, czyli „pod płaszczem”, do Francji, gdzie było w najlepsze kolportowane²⁶. Nie można wykluczyć, że w przypadku pierwszego wydania *Historii Sewarambian* mamy do czynienia z podobnym procederem. Wydaje się to jednak niezbyt prawdopodobne, ponieważ w owym czasie nie był on jeszcze tak rozpowszechniony, zaś dwa pierwsze tomy wyszły spod pras wydawcy Claude’a Barbina, znanego paryskiego drukarza, który wydawał takie sławy jak Moliere, Madame de La Fayette, La Rochefoucauld czy La Fontaine’a²⁷. Badacz Racault zauważa wprawdzie, że ostatni tom, zawierający właśnie inkryminowaną historię „Szalbierza”, należy do tych, które wydał sam autor wraz z Etienne’em Michaletem i nie zawiera przedruku przywileju królewskiego. Jednak podkreśla także, że skoro autor polecił umieścić na wydruku swój adres, to chyba nie obawiał się z tego tytułu nijakich prześladowań²⁸. Hipoteza o nielegalnym

25 D. Vairasse, *Histoire des Sévarambes: peuples qui habitent une partie du troisième continent, communément appelé la Terre australe...*, vol. 1, Chez Claude Barbin, Extrait du Privilège, Paris 1677, brak numeracji stron.

26 R. Darnton, *Bohème littéraire et la Révolution. Le monde des livres aux XVIIIe siècle*, Gallimard, Paris 2010, s. 23–24.

27 N. Grande, *Claude Barbin, un libraire pour dames?*, „Revue de la BNF” 2011, vol. 3, no. 39, s. 23–24.

28 J.M. Racault, *L’Utopie narrative en France et en Angleterre 1675–1761*, s. 352.

pochodzeniu pierwszego francuskiego wydania *Historii Sewarambian* jest więc niewykluczona, jednak mało prawdopodobna.

Część powieści poświęcona Strukarasowi i dalszym dziejom stworzonej przezeń religii porusza w istocie najważniejszy chyba dla autora aspekt jego dzieła. Kwestia religijna jest, jak się wydaje, najbardziej istotnym elementem utopii Vairasse'a. Historia przejścia władzy przez uzurpatora, prześladowania jego przeciwników, rosnące zepsucie duchowieństwa stanowią niezwykle ostrą krytykę nie tylko Kościoła katolickiego, ale i w ogóle religii objawionych. Trousson zauważa, że niektóre cechy przypisywane przez autora Strukarasowi można odnaleźć także w postaciach Mojżesza czy Chrystusa. Pomimo wyznawanego kalwinizmu wszelka religia w wydaniu teistycznym musiała się Vairasse'owi wydawać daleko idącym nadużyciem²⁹. Warto także zadać sobie pytanie, do jakiego stopnia prześladowanie tych, którzy nie chcieli uwierzyć w boskość Strukarasa, odzwierciedla w narracji autora represje stosowane wobec hugenotów we Francji Ludwika XIV.

Panuje przekonanie, że Ludwik XIV zanadto kierował się w swej polityce zdaniem katolickich duchownych, dewotów oraz swoich głęboko religijnych kochanek, w szczególności Madame de Maintenon. Tak było w istocie, jednak proces ten zaczął się dopiero pod koniec rządów Króla Słońce³⁰. W momencie powstawania utopii Vairasse'a, a nawet jeszcze w okresie wprowadzania w życie edyktu z Fontainebleau, monarcha nie popadał w religijne obsesje. Religia była dlań instrumentem rządów, wiara zaś wynikała z rozumowych, logicznych przesłanek³¹. Idealnym sposobem postępowania wobec religii reformowanej byłoby, zdaniem Ludwika, powolne nakłanianie do wyrzeczenia się „błędów”, stopniowe ograniczanie swobody wyznania, w taki jednak sposób, by nie doprowadzić do wojny domowej, rzezi i stosów³². Co do zasady tak właśnie przebiegła sprawa po odwołaniu edyktu nantejskiego, nie ulega jednak kwestii, że dochodziło do prześladowań hugenotów, co doprowadzało do wymuszonych nawróceń, masowej emigracji oraz długotrwałej i krwawej insurekcji kamizardów w Sewennach. Faktem jest jednak, że najbardziej gwałtowne z represji, w szczególności zaś niesławne dragonady, były dziełem wpływowego klanu Tellierów, do którego należeli między innymi kanclerz Michel le Tellier oraz jego równie pełen dewocji syn, markiz François Michel le Tellier de Louvois, minister wojny³³. Bez względu na bardziej lub mniej osobistą odpowiedzialność Ludwika XIV za prześladowania hugenotów panująca od czasów kardynała Richelieu i Ludwika XIII atmosfera

29 R. Trousson, *Voyages aux pays de nulle part*, s. 97.

30 W. Magdziarz, *Ludwik XIV*, s. 177.

31 Ibidem, s. 178.

32 Ibidem, s. 179.

33 Ibidem, s. 171.

niechęci oraz rosnące wpływy i bogacenie się duchowieństwa mogły stać się inspiracją do wyjątkowo krytycznego opisu herezji Strukarasowej w dziele Vairasse'a.

Warto jednak zauważyć, że krytyka ta miała także swe źródła w warstwie ideowej. W okresie kryzysu świadomości europejskiej, jak określa ostatnią ćwierć XVII wieku Paul Hazard, radykalizujące się religie teistyczne i tradycyjne siły hierarchii kościelnych napotkały zdecydowany opór coraz silniejszego wroga, pod postacią racjonalistycznych i deistycznych elit intelektualnych, które wkrótce miały dokonać skoku w oświecenie. W tym kontekście natrafiamy w narracji Vairasse'a na szczególnie interesujące przemówienie pewnego filozofa, Skromenasa, który to przedstawia dość materialistyczne, ściśle nowoczesne podejście do spraw religii, które może być bliskie samemu autorowi³⁴.

Jak w większości nowożytnych utopii akcent w dziele Vairasse'a położony jest na trzy aspekty: ustrój polityczny, funkcjonowanie społeczeństwa i system religijny. Ten ostatni, jak powiedzieliśmy, wydaje się w powieści kluczowy, bowiem dwa pierwsze nie noszą szczególnych znamion nowatorstwa. Brak własności prywatnej i pieniądza były powszechnym motywem utopii wczesnej nowożytności, dość wspomnieć systemy Morusa czy Campanelli, w których to społeczeństwach żądza złota budzi najwyżej śmiech i politowanie³⁵. Vairasse bardzo jednak podkreśla ów aspekt, opisując społeczeństwo, które potrafi dokonać rzeczy wielkich — tworzyć gigantyczne konstrukcje, przebijając tunele przez góry, kopać kanały — bez udziału monety. Jest to możliwe dzięki temu właśnie, że nie istnieje własność prywatna, a wszelkie dobra należą do państwa, rozporządza zaś nimi de facto władca. Dzięki niemal despotycznej, choć ograniczonej władzy monarchy, który dysponuje całym dobrem narodu, ciało społeczne może działać w istocie jak jeden organizm, w którym decyzje zapadają na najwyższych szczeblach, a szczeble niższe, jak kończyny, wykonują wspólnie polecenia, realizując w ten sposób najśmielsze projekty. Jeśli bowiem inwestor, to jest państwo, dysponuje wszelkimi dostępnymi środkami oraz darmową siłą roboczą w postaci niewolników i obywateli, to można dokonać wszystkiego. Rozpoznajemy w tym oczywiście nawiązania do znanych już Platonowi i Arystotelesowi koncepcji organicystycznych, które w połowie XVII stulecia przypomniał Thomas Hobbes³⁶. Jest to także, być może, wyraz głęboko ambiwalentnych uczuć Denisa Vairasse'a wobec osoby Ludwika XIV, do czego przyjdzie nam jeszcze powrócić. Sewarambianie mieli obowiązek pracować po osiem godzin dziennie, zaś wyżywienie i wszystko, czego potrzebowali, otrzymywali niezależnie od tego z państwowych

34 Ibidem, s. 99.

35 Ibidem, s. 16.

36 J.M. Racault, *L'Utopie narrative en France et en Angleterre 1675-1761*, s. 335.

magazynów. Dlatego można ich określić jako darmową siłę roboczą, choć najbardziej niewdzięczne zajęcia przypadały niewolnikom³⁷. Ci ostatni wywodzili się spośród ludów podbitych przez Sewarambian.

Model władzy także nie bardzo odbiega od znanych wzorców. Absolutnym monarchą Sewarambii jest Słońce, w którego imieniu rządy sprawuje wybieralny wicekról. Władza wicekróla, jak twierdzi autor, jest despoticzna, choć sam ustrój łączy w sobie elementy arystokracji i demokracji:

Ustrój Sewarambii jest monarchiczny, despoticzny, a w szczególności heliokratyczny, co oznacza, iż najwyższa władza przypada jednemu monarsze, który to jest panem i właścicielem wszystkich dóbr narodu. Za owego absolutnego władcę i pana uznaje się Słońce. Rozważając jednak ludzką stronę administracji państwa, należy uznać je za monarchię sukcesywną³⁸ i despoticzną, z elementami arystokracji i demokracji³⁹.

Atkinson zauważa, że wzorce takiego ustroju zostały najprawdopodobniej zaczerpnięte z opisu władzy Inków Vegi oraz Tatarów Bergerona. W obydwu tych przypadkach wszystkie dobra należą w praktyce do suwerena, który dysponuje nimi według swej woli⁴⁰. Kluczowym momentem aspektu politycznego w *Historii Sewarambian* jest jednak zasada odpowiedzialności władcy za dobrobyt narodu. Przejawia się to na poziomie ekonomicznym — całość dostępnych dóbr spoczywa w gestii władcy, ten zaś dba o to, by żadnemu z obywateli nie zabrakło niczego, co potrzebne do zdrowego i wygodnego, lecz umiarkowanego życia. Na poziomie politycznym odpowiedzialność ta przejawia się w fakcie, że wicekról jest wybierany pośrednio przez lud, ciała pośredniczące w postaci rad mają możliwość kontrolowania poczynań władcy. Atkinson określa odpowiedzialność władcy za dobrobyt poddanych jako zasadę rewolucyjną i niebezpieczną dla ówczesnie przyjętego w Europie ładu politycznego⁴¹. Z tego względu, choć można zauważyć pewne podobieństwa między absolutyzmem sewarambiańskim a francuskim, Trousson wzbrania się przed

37 D. Vairasse, *Historia Sewarambian*, s. 136.

38 Monarchia sukcesywna w rozumieniu zwyczajowego prawa francuskiego jest po prostu ustrojem, w którym śmierć lub abdykacja jednego władcy sprawia, że władzę przejmuje następny. U Sewarambian wakat każdego urzędu prowadzi bezpośrednio do elekcji następcy. We Francji śmierć króla sprawiała, że monarchą zostawał automatycznie najbliższy męski krewny. W takim wypadku różnica między monarchią sukcesywną a *de iure* dziedziczną jest oczywiście czysto teoretyczna; zob. R.E. Giesey, *The Juristic Basis of Dynastic Right to the French Throne*, „Transactions of the American Philosophical Society” 1961, New Series, vol. 51, no. 5, s. 12–13.

39 D. Vairasse, *Historia Sewarambian*, s. 133.

40 G. Atkinson, *The Extraordinary Voyage in French Literature Before 1700*, s. 121.

41 *Ibidem*, s. 122.

utożsamieniem obu tych systemów. Zdaniem badacza ustrój Sewarambii przypomina bardziej znaną ze Starego Testamentu teokrację lub jej nowożytny odpowiednik, czyli władzę Jana Kalwina jako namiestnika Bożego w Republice Genewskiej, czy nawet Olivera Cromwella⁴². Trousson podkreśla fakt, że władza wicekróla nie jest nieograniczona. Władca może bowiem zostać odsunięty, jeżeli będzie regularnie występował przeciwko fundamentalnym prawom Sewariasia, które prawodawca pozostawił swym następcom i zabronił zmieniać. Świadczyłoby to o pewnym konstytucjonalizmie monarchii sewarambiańskiej⁴³. O ile we Francji ancien régime'u istniało pojęcie dawnej konstytucji królestwa, które oznaczało niepisany zbiór praw fundamentalnych, o tyle Ludwik XIV nie przejmował się zbytnio stosowaniem tych zasad. Spór między monarchią a stanami społeczeństwa francuskiego wybuchnie jednak dopiero wraz z postępami oświecenia i osłabieniem autorytetu królewskiego w następnym stuleciu⁴⁴.

Atkinson i Manuelowie zwracają wszakże uwagę na podobieństwa między obrazem władzy u Sewarambian a modelem Francji Ludwikańskiej. W istocie przez całą narrację ideową Vairasse'a przebija pewna obsesja na punkcie Ludwika XIV, jako absolutnego władcy, który dysponuje całą dostępną mocą państwa i jego wielomilionowego narodu. Nietrudno dostrzec entuzjazm dla wielkich dzieł architektury i inżynierii, dla których inspiracją stała się budowa Kanału Południowego w latach 1667–1681⁴⁵. Przedmowa pierwszego wydania francuskojęzycznego *Historii Sewarambian* dedykowana jest Pierre'owi-Paulowi Riquetowi, pomysłodawcy i głównemu inżynierowi Kanału Południowego. Autor stwierdza, że geniusz, jakim obdarzony jest Riquet, czyli uzdolnienia organizacyjne, inżynieryjne i architektoniczne, stanowi prawdziwego ducha Sewarambii:

Geniusz ów włada tam pośród pokoju, sprawiedliwości i dobrobytu, który tworzy. Jego celem zaś jest wygnać jego nieprzyjaciół, czyli wojnę, niedostatek oraz nieróbstwo. Geniusz ten sprawia, że cały niemal naród zajmuje się kopaniem kanałów, osuszaniem bagien, użyźnianiem piaszczystych i jałowych terenów, przebijaniem tuneli przez góry oraz wznoszeniem, w wielu miejscach, publicznych i wieczystych świadectw przemysłowości i wspaniałości owego ludu.

Wielkość i siła kraju nie spoczywa ich zdaniem w rozległości jego prowincji ani w chciwym pragnieniu odkrycia bogatych złóż i skarbów, lecz w mnogości dobrze

42 J.M. Racault, *L'Utopie narrative en France et en Angleterre 1675–1761*, s. 351.

43 R. Trousson, *Voyages aux pays de nulle part*, s. 95–96.

44 Zob. M. Mosakowski, P. Kossakowski, *Francuskie głosy o szlachcie, feudalizmie i monarchii w przededniu Rewolucji*, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2018.

45 E.E. Manuel, F.P. Manuel, *Utopian Thought in the Western World*, s. 370–371.

zarządzanych poddanych, obfitości dóbr, które sprawiają, że żyje się wygodnie, nie popadając wszakże w zepsucie, które bierze się z nieróbstwa, ani też nie wycieńczając się nadmiernie ciężką pracą⁴⁶.

Frank i Fritzie Manuelowie podkreślają pełną podziwu postawę wobec dzieł i możliwości Ludwika XIV, jaka przebija przez narrację Vairasse'a. Godna uwagi jest owa zdolność zgromadzenia w jednej osobie woli i siły całego narodu w taki sposób, by ukierunkować starania masy ludzi na jeden cel. Według badaczy postawa taka była typowa dla wielu umiarkowanych hugenotów, którzy najchętniej w pełni podporządkowaliby się Ludwikowi XIV, gdyby tylko ten „faktycznie stał się Królem Słońce, a nie narzędziem w rękach jezuitów”⁴⁷, czyli gdyby zechciał być gwarantem tolerancji, pokoju religijnego i wolności sumienia. Domaganie się wolności religijnej w żadnym stopniu nie stoi w sprzeczności z pragnieniem silnego, scentralizowanego państwa, takiego choćby jak Francja Ludwika XIV⁴⁸.

Warto zauważyć, że europejskie wzorce spotykają się jednak z dość ostrą krytyką autora, choćby w momencie, gdy przybysze są badani przez medyków pod kątem chorób wenerycznych, „nad wyraz rozpowszechnionych na innych kontynentach, a które na Południowym Łądzie znano jedynie ze słyszenia”⁴⁹. Poza ośmieszaniem zachodniej obyczajności autor dopuszcza się także nader konstruktywnej krytyki zachodnioeuropejskiego systemu społeczno-politycznego, w szczególności atakując nierówności stanowe i majątkowe, przywileje, nieróbstwo bogatych i wyniszczającą pracę ponad siły wśród warstw ubogich. Znamienne wydaje się, że ustrój oparty na europejskim feudalizmie był brany pod uwagę podczas ustanawiania rządu Sewarambii. Zaproponował go Giovanni, wenecki preceptor wielkiego prawodawcy Sewarias⁵⁰. Ten ostatni jednak, wyposażony w mądrość ksiąg i doświadczeń, postanowił odrzucić ów wzorzec i stworzyć państwo oparte na względnej równości.

Manuelowie podkreślają, że Vairasse szczególnie mocno akcentuje pogląd, że natura uczyniła ludzi równymi, co w XVII stuleciu nie było jeszcze prawdą powszechnie przyjętą. Dlatego właśnie Sewarias odrzuca system feudalny, sądząc, że wszystkie konflikty są wynikiem pychy, chciwości i nieróbstwa. Jeżeli przyjąć, że Sewarias, anagramowe alter ego Vairasse'a, stanowi w istocie odzwierciedlenie jego poglądów, jak twierdzi Atkinson⁵¹, to nie należy się dziwić, iż prawodawca Sewarambian żywi

46 D. Vairasse, *Historia Sewarambian*, s. 30.

47 F.E. Manuel, F.P. Manuel, *Utopian Thought in the Western World*, s. 369.

48 J.M. Racault, *L'Utopie narrative en France et en Angleterre 1675-1761*, s. 353.

49 D. Vairasse, *Historia Sewarambian*, s. 65.

50 Ibidem, s. 119-120.

51 G. Atkinson, *The Extraordinary Voyage in French Literature Before 1700*, s. 91, 99.

tak silnie zaakcentowaną niechęć do dziedzicznej szlachty i przywilejów. Pomijając nawet hugenockie wychowanie autora, które co do zasady ma wpaść szacunek do pracy i majątku gromadzonego, a nie dziedzicznego, to przecież Vairasse był nade wszystko mieszczaninem. Chociaż często jego nazwisko zapisywano Denis Vairasse d'Alais, to przecież z pozoru nobilitująca partykuła „de” nie świadczyła tu bynajmniej o szlacheckim pochodzeniu pisarza, lecz wskazywała jedynie miejsce jego urodzenia.

Wczesnonowozłoty etos mieszczański, oparty na pracy, poszanowaniu własnych osiągnięć, oszczędności i merytokracji, jest w utopii wyraźnie dostrzegalny. Warto zwrócić uwagę, że syn wicekróla Sewarambian nie jest szlachetniejszy niż syn prostego rolnika, zaś każdy męski obywatel Sewarambii może, w drodze kolejnych awansów, dojść do najwyższych, w tym wicekrólewskich godności. Oczywiście, biorąc pod uwagę brak własności prywatnej i pieniądza, a także podział dóbr zgodny z zasadą „każdemu według jego potrzeb”, nie znajdziemy w Sewarambii odzwierciedlenia mieszczańskiego imperatywu pomnażania kapitału. Znajdziemy natomiast pomnażanie zasług, znaczenia i prestiżu, dzięki czemu Sewarambianie realizują się w karierze urzędniczej, czyli deklaratywnie, w służbie państwu.

W społeczeństwie sewarambiańskim krytyce podlega właściwie wszystko to, co określa się w Europie mianem etosu szlacheckiego, to jest znaczenie i prestiż wynikające z urodzenia, a nie z zasług, pogarda dla pracy i bogacenia się, zasada dziedziczności i posiadania ziemi na własność, nade wszystko zaś przywileje stanowe, ekskluzywność i szlachecka duma. Zapoznając się z głoszonymi w powieści zapatrywaniami Sewarambian na temat szlachty i nierówności stanowych, biorąc pod uwagę otwartość i siłę krytyki, czytelnik może odnieść wrażenie, że czyta tekst głęboko oświeceniowy, przedrewolucyjny nawet, datujący się na drugą połowę XVIII wieku. A przecież dzieło Vairasse'a wyprzedza ten okres o wiele dziesięcioleci. W samej rzeczy okres powstawania *Historii Sewarambian* pokrywa się z rozpoczęciem przemian społecznych, a tym samym przemian świadomości we Francji. Odchodząc od wielowiekowej tradycji, Ludwik XIV w rządzeniu państwem postanowił się oprzeć na stanie trzecim i szlachcie togi (*noblesse de robe*), stopniowo spychając starą szlachtę miecza (*noblesse d'épée*) do rangi czysto prestiżowego, lecz pozbawionego praktycznego znaczenia towarzystwa⁵². Nie sprawiło to jednak, że szlachta utraciła przywileje. Chociaż nie piastowała już najbardziej istotnych dla funkcjonowania monarchii urzędów, to przecież zajmowała te najbardziej lukratywne i reprezentacyjne⁵³. Wciąż

52 W. Magdziarz, *Ludwik XIV*, s. 65.

53 W. Magdziarz, *Uwodziciele władzy. Geneza i organizacja dworu Ludwika XIV*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2013, s. 45–47.

także zwolniona była z wielu podatków i danin, które nie omijały bynajmniej służących państwu członków stanu trzeciego. O ile stan trzeci stopniowo zyskiwał realny wpływ na życie monarchii francuskiej, o tyle szlachta i arystokracja zachowywały niekwestionowaną hegemonię kulturową⁵⁴. Francja pozostawała feudalna i przeciwko temu powstaje Vairasse w swej utopii. Dlaczego bowiem próżniacza i coraz bardziej zbędna i zwyrodniała kasta ma cieszyć się o niebo większym poważaniem niż mieszczaństwo, realnie pracujące na rzecz rozwoju Francji?

Dlatego właśnie w Sewarambii nierówności zachodzą tylko między urzędnikami oraz zwykłymi obywatelami, co ma być świadectwem pewnej merytokracji w kraju Sewarambian⁵⁵. Kolejne filary tamtejszego społeczeństwa to wspomniany już brak własności prywatnej i pieniądza oraz swoboda wyboru drogi życiowej⁵⁶. Sewarambianie mają bowiem prawo (w pewnym zakresie) wybrać taki zawód, w jakim się realizują, choć w wielu innych dziedzinach interwencja porządku prawnego w życie obywateli jest dość znaczna. Atkinson konkluduje nawet nie bez racji, że podzielone na oddziały społeczeństwo sewarambiańskie przypomina wojsko w koszarach⁵⁷. W istocie wszyscy młodzi obywatele Sewarambii są żołnierzami, którzy okresowo wypełniają służbę w armii lub flocie.

Wydaje się, że w kwestiach społecznych najważniejszymi dla Sewarambian zasadami są porządek, cnota i umiarkowanie. Doba podzielona jest na trzy równe części, z których jedna przeznaczona jest na pracę, druga na rozrywkę, trzecia wreszcie na sen. Mieszkańcy utopii zachowują umiar zarówno w pracy, jak i w rozrywkach, które powinny sprzyjać ich rozwojowi cielesnemu i umysłowemu. Próżne sposoby spędzania czasu, jeśli nie są zabronione, to na pewno piętnowane jako bezużyteczne. Chociaż seksualność nie stanowi tabu, a poligamia (w ograniczonym zakresie, jak się przekonamy) jest prawnie usankcjonowana, to jednak i ta sfera podlega zakazom oraz niekiedy drakońskim karom⁵⁸. Niewierność i zdrada małżeńska są surowo zabronione. Z drugiej strony dopuszcza się rozwody, są one jednak niezwykle rzadkie.

Osobny temat stanowi miejsce kobiet w społeczeństwie Sewarambii. Chociaż deklaratorywnie są one równe mężczyznom, to przecież nie mogą sprawować urzędów,

54 Ibidem, s. 47–50.

55 F.E. Manuel, F.P. Manuel, *Utopian Thought in the Western World*, s. 372.

56 D. Vairasse, *Historia Sewarambian*, s. 137.

57 G. Atkinson, *The Extraordinary Voyage in French Literature Before 1700*, s. 124.

58 System prawny Sewarambii, choć dość surowy co do zasady i sankcjonujący nawet niewolnictwo, jest przecież w pewnej mierze humanistyczny. Na prawie sto lat przed traktatem *O przestępstwach i karach* Cesarego Beccarii Vairasse wskazuje na nieetyczność kary śmierci oraz dodaje, że skazywanie na karę główną człowieka, który może jeszcze odpracować swe winy, jest szaleństwem; zob. R. Trousson, *Voyages aux pays de nulle part*, s. 97.

a do klasy urzędników wstępują jedynie przez małżeństwo. Zawody tradycyjnie uznane za „męskie”, czy to wymagające większej tężyzny fizycznej, czy też specjalistycznej wiedzy naukowej, są dla nich niedostępne. Stanowi to pewną nieścisłość systemu Vairasse’a, młode Sewarambianki mają bowiem prawo do jednakowej, państwowej edukacji, co ich mężczyźni. Dzieci obojga płci osiągające siódmy rok życia zostają automatycznie adoptowane przez państwo, które zajmuje się dalszym ich wychowaniem. Co szczególnie interesujące, kobiety, tak samo jak mężczyźni, mają obowiązek służby wojskowej i nauki posługiwania się bronią. Cieszą się także powszechnym szacunkiem, o ile „dobrze się prowadzą”, a nawet czcią, jeśli rodzą wiele dzieci. Podejście Vairasse’a do kobiet naznaczone jest głęboką ambiwalencją, jednak biorąc po uwagę fakt, że w przeciwieństwie do mężczyzn nie mają one prawa do poligamii, zaś największą ich zasługą jest rodzenie dzieci, należy stwierdzić, że przypisuje on im rolę de facto czysto instrumentalną i bierną.

W każdej dziedzinie życia Sewarambianie kierują się wspomnianymi już trzema zasadami porządku, cnoty i umiarkowania, które to są im wpajane od najmłodszych lat poprzez odpowiednie wychowanie. Uporządkowane, egalitarne, lecz zarządzane patriarchalnie społeczeństwo, edukacja nastawiona na czystość obyczajów i umiłowanie ojczyzny, a przede wszystkim cnoty, wyraźnie zarysowany system nagród i kar, wzajemna kontrola obywateli nad sobą to najbardziej kalwińskie momenty w utopii. Manuelowie zauważają wszakże, że Sewarambianie lubią wesołość, humor, poezję i muzykę, cenią i szanują kobiety, chętnie oddają się „uprawnionym” przyjemnościom. Nie jest to zatem społeczeństwo purytańskie, nastawione na czystość i cnotę. Vairasse poszukuje raczej złotego środka między cnotą a rozkoszą życia i znajduje go w umiarkowaniu⁵⁹. Socjologiczny aspekt dzieła Vairasse’a stanowi zatem główny wyraz jego kalwinizmu oraz najbardziej widomy efekt wychowania i dorastania w hugenockiej społeczności miasta Alais. Jak zobaczymy, w sprawach religii kalwinizm autora nie będzie miał wiele do rzeczy.

Aspekt religijny jest bowiem kluczem do zrozumienia utopijnego zamysłu Vairasse’a. Chociaż kapitan Siden przy każdej możliwej okazji podkreśla, że jest gorliwym katolikiem, to przecież tylko maska, jaką autor osłania swe faktyczne poglądy, które otwarcie zdaje się krytykować. Posuwa się nawet do bezpośredniego ataku na religię reformowaną, której wyznawcy, jak twierdzi kapitan Siden, mają we krwi niestałość w sprawach wiary, dlatego gotowi są jakże łatwo zmienić religię. Oczywiście krytyka ta nie może nikogo omamić. Nie ulega kwestii, że Vairasse nie atakuje szczerze własnych współwyznawców. Wbrew temu, czego można się spodziewać, *Historia Sewarambian* nie jest wszakże jednoznaczną pochwałą chrześcijaństwa w wydaniu kalwińskim.

59 E.E. Manuel, F.P. Manuel, *Utopian Thought in the Western World*, s. 377.

W kwestiach religii z Vairasse'a wychodzi, jak zauważają Manuelowie i Atkinson, „libertyn” w wydaniu drugiej połowy XVII wieku. Określenie to zyskało swój wydzźwięk obyczajowy i seksualny dopiero w następnym stuleciu. W okresie tworenia utopii Vairasse'a libertyn to w istocie wolnomyśliciel, w sprawach wiary dość sceptyczny, choć niekoniecznie ateista⁶⁰. W samej rzeczy ateistyczno-materialistyczny pogląd na rzeczywistość był raczej rzadko spotykany w tej końcówce XVII stulecia, kiedy to w umysłach elit intelektualnych przewagę zdobywał deizm w ujęciu Malebranche'a czy Kartezjusza. Trousson twierdzi, że dość powszechne stało się podówczas poruszanie w utopiach kwestii religijnych i proponowanie umiarkowanego, rozsądnego deizmu, opartego bardziej na rozumowaniu niż objawieniu⁶¹. Odniesienie do tej intelektualnej atmosfery znajdziemy w historii Sewariasa, który ostatecznie zaczyna wierzyć w transcendentne bóstwo podobne chrześcijańskiemu, jednak nie dzięki podsuwanej przez Giovanniego Biblii, lecz na podstawie racjonalnych argumentów za istnieniem Boga. Zdaniem Atkinsona jest to otwarta satyra, której ostrze wymierzył autor w teistyczną wiarę i tradycję Kościoła⁶².

Faktycznie, nietrudno zauważyć, że religia Sewarambian, oparta na kulcie widomego bóstwa słonecznego oraz niewidzialnego i wszechogarniającego Wielkiego Boga, zbliża się do poglądów deistycznych, a nawet w pewnym stopniu do Spinozjańskiego panteizmu. Ich ustrój religijny, ściśle spleciony z politycznym, opiera się na triadzie bóstwa transcendentnego, jego materialnego „ministra”, czyli Słońca, oraz personifikowanej Ojczyzny, opiekuńczego państwa Sewarambian⁶³. Wielki Bóg jest, jako się rzekło, niewidzialny i niepoznawalny, jego kult ma charakter misteryjny. Uznaje się go za stwórcę wszechświata, który ustanowił nienaruszalne prawa natury i nie ingeruje osobiście w jego funkcjonowanie. Nie ma tu mowy o żadnych cudach ani Augustiańskiej *creatio continua*. Za bezpośrednie ingerowanie w stworzenie odpowiada Słońce, będące jednocześnie nominalnym królem Sewarambian, którzy mieliby być jego narodem wybranym. Rzecz jasna, jedynie pospólstwo wierzy, że Słońce faktycznie zarządza państwem poprzez mianowanie wicekróla. Elity zbliżają się do czystego deizmu, zgodnie z którym Słońce jest tylko doczesną manifestacją boskiej potęgi, siłą natury, lecz nie bogiem⁶⁴. W tym kontekście interesująco wypada porównanie między dwiema modlitwami, jakie pojawiają się w narracji. Modlitwa Sewariasa do Słońca jest wyrazem kultu słonecznego, którego główną rolą jest de facto podtrzymywanie ustroju państwa i autorytetu wicekróla. To w samej rzeczy

60 Ibidem, s. 378.

61 R. Trousson, *Voyages aux pays de nulle part*, s. 98.

62 G. Atkinson, *The Extraordinary Voyage in French Literature Before 1700*, s. 127.

63 R. Trousson, *Voyages aux pays de nulle part*, s. 98.

64 Ibidem.

najważniejsza funkcja religii u Sewarambian⁶⁵. Rzecz jasna Słońce jest tam ukazane jako dawca życia i dobroczyńca całego stworzenia, najwyższy z możliwych bytów. Zaczyna się ona w ten sposób:

O źródło światła i życia! Gwiazdo niezrównanego blasku, którego boskiego wzroku słabe nasze oczy nie mogą strzymać! Chwała twa ponad wszystko i nie ma nic więcej podziwu godnego, gdy człek na wsze strony patrzy, widząc wspaniałości, których próżno by szukał bez ciebie. Piękno twe doskonałe i nic cię nie upięk szy. To promienie twoje wszelaki splendor niosą podległym ci planetom, sklepienie niebios barwią i obłoki tysiącem kolorów. One to szczyty gór złocą i równin bezkresy. One przeganiają czarne cienie nocy, są przewodnikami wszelkiego zwierza i oświetlają wszystko, co może ujrzeć oko⁶⁶.

Widzimy, że Słońce jest tu pojmowane jako „korona stworzenia”, byt par excellence. W dalszej części pojawia się krótka, niemal niezauważalna wzmianka, że być może Słońce jest jedynie „kanałem, przez który spływają wszelkie dobrodziejstwa Wielkiego Bytu”. Jednakże intuicja ta, w tej przeznaczonej przeciwieństwu dla ludu modlitwie, nie jest dalej rozwinięta. Modlitwa do Wielkiego Boga nosi za to charakter ściśle deistyczny i misteryjny⁶⁷. Kładzie się tam nacisk na tajemniczość i nieprzenikalność transcendentnego Bytu, od którego wszystko się bierze:

Królu umysłów, który wszystko w sobie zawierasz, wszystko możesz, który jesteś nieskończony, wieczny i nieśmiertelny, niewidzialny, niezrozumiały, jedyny władco, bycie bytów.

My, ślepi śmiertelnicy, którzy dostrzegamy cię czasem, nie widząc dokładnie, którzy cię znamy, nie znając dobrze i którzy niemniej wierzymy, iż winniśmy ci cześć, przybývámy tu pośród ciemności, które nas otaczają, aby złożyć przed tobą hołd i modlitwę. Wszystko na tym padole mówi nam bez ustanku o tobie i każe nam podziwiać twą wielkość i mądrość. Niezliczone gwiazdy, które nocą świecą nad naszymi głowami, przez swój ruch słuszny i regularny, świadczą, że twoja to ręka wszechmocna je prowadzi i podtrzymuje. Lecz to świetlista gwiazda dzienna, która nas ogrzewa i oświetla, boskie Słońce, przez które zsyłasz nam wszystkie twe dobrodziejstwa, jest najjaśniejszym zwierciadłem, w którym podziwiać możemy twą chwałę i wiekiustą swą Opatrzność⁶⁸.

65 Ibidem.

66 D. Vairasse, *Historia Sewarambian*, s. 115.

67 G. Atkinson, *The Extraordinary Voyage in French Literature Before 1700*, s. 130.

68 D. Vairasse, *Historia Sewarambian*, s. 210.

Oracja ta, jak nietrudno zauważyć, jest w istocie najbardziej klarownym deistycznym wyznaniem wiary, z jakim spotykamy się w powieści Vairasse'a. Niepoznawalny, transcendentny Byt włada stworzeniem w sposób niewidoczny dla ludzkiego oka, które ma dostęp tylko do jego pośrednika, jakim jest de facto natura. Poznawanie jej jest zatem jedynym sposobem na zbliżenie się do Boga, przez co nauka mogłaby nawet zostać uznana za działalność uświęconą. W rzeczy samej, choć nie przypisuje się jej wartości religijnych, cieszy się ona u Sewarambian wielkim poważaniem.

O ile tacy badacze jak Trousson czy Manuelowie kładą nacisk na ten deistyczny moment w konstrukcji religijnej utopii Vairasse'a, o tyle Atkinson skupia się na poszukiwaniu źródeł i inspiracji do jej opracowania w kulturach i religiach, które mogły być autorowi znane. Badacz ten zauważa dwa źródła, z których wywodzić się mogą takie, a nie inne wierzenia przypisywane Sewarambianom przez Vairasse'a. Idea dualizmu transcendentnego, najwyższego bóstwa oraz jego widomego posłańca występuje w religii Inków. Według relacji Vegi czcili oni niepoznawalnego boga imieniem Pachacamac, który to w swych działaniach doczesnych posługiwał się posłańcem lub ministrem, będącym bóstwem solarnym. Zdaniem Atkinsona to tu należy szukać pochodzenia religii Sewarambian, nie zaś w kulcie słonecznym Parsów, od których przecież Sewarambianie mieliby się wywodzić poprzez osobę prawodawcy Sewariasa, arcykapłana Słońca. Wpływy azjatyckie dostrzega wszakże Atkinson w postaci bóstwa-ojczyzny, przedstawianej w powieści jako kobieta o wielu piersiach, karmiąca swe liczne dzieci. W relacji Bergerona z podróży do Tatarii znajduje się opis analogicznej figury, która miałaby wyobrażać ojczyznę wśród ludów Azji Centralnej, odwiedzonych przez tego podróżnika⁶⁹.

Zdaniem Manuelów ten religijny synkretyzm czy też eklektyzm inspiracji wyróżnia dzieło Vairasse'a na tle dotychczasowych tekstów utopijnych. Począwszy od Morusa, Campanelli i Bacona, mieszkańcy utopijnych krain wyznawali zwykle religię naturalną lub też byli w cudowny sposób chrystianizowani. Jak widzimy, religia Sewarambian zbliża się częściowo do religii naturalnej, która ma przecież w sobie wiele z panteizmu. Jednak to stanowi samo jądro ich wierzeń, podczas gdy ich otoczka jest znacznie bardziej rozbudowana i wyrafinowana, łącząc w sobie rozmaite wpływy i idee⁷⁰. Co szczególnie interesujące i nowatorskie, wśród Sewarambian można spotkać chrześcijan. Nazywają się oni giovannitami i pochodzą od preceptora Sewariasa. Przez stulecia izolacji od chrześcijańskiego świata wytworzyli oni rodzaj wybitnie eklektycznej religii, która czerpie z różnych idei, odłamów i sekt, o których Vairasse słyszał. Ich wiara stanowi przede wszystkim silnie satyryczne

69 G. Atkinson, *The Extraordinary Voyage in French Literature Before 1700*, s. 108–109.

70 F.E. Manuel, F.P. Manuel, *Utopian Thought in the Western World*, s. 380–381.

pomieszenie ideałów katolickich i protestanckich, co samo w sobie jest ostrą krytyką obecnego w Europie konfliktu religijnego, napędzanego wzajemnymi animozjami i nieporozumieniami⁷¹.

Chociaż z pozoru narrator krytykuje „nieszczęśnych bałwochwalców”, pozbawionych ewangelicznego światła, to przecież twierdzi wyraźnie, że religia Sewarambian jest najbliższa zasadom racjonalizmu ze wszystkich i gdyby nie był katolikiem, mógłby z powodzeniem zostać wyznawcą Słońca. Trousson stawia jednak hipotezę, że właściwą wykładnią religijnych zapatrywań autora jest racjonalistyczna i wprost materialistyczna z ducha przemowa filozofa Skromenasza z ostatniej części powieści. Podaje się tam w wątpliwość koncepcję istnienia duszy i transcendentnego bóstwa, zaś człowiek jest przedstawiony jako zwierzę, które stworzyło religię⁷². O ile przemowa ta jest niewątpliwie krytyką religii objawionych, o tyle nie jest atakiem na samą instytucję religii. Racjonalizm tego podejścia przejawia się w tym, że o prawdziwości danej religii nie decyduje objawienie, święta księga czy cuda, lecz rozumowe dochodzenie do wierzeń w formie czystej, pierwotnej, jak najmniej obciążonej przesądami i późniejszymi dodatkami. Warto przytoczyć samą konkluzję wywodu Skromenasza:

Skromenas mówił także, iż dzięki rozumowi można przewyciężyć przesady wychowania i przejść od niektórych zabobonnych religii do wyższych, bardziej czystych, jednak nie da się szczerze nawrócić na wyznanie sprzeczne z rozumem i świadectwem zmysłów. Z religią jest bowiem tak jak z drzewem, któremu można przyciąć zbędne gałęzie, lecz nie da się dodać mu nowych. Zgodnie z tą niepodważalną prawdą można uczciwie i w zgodzie z rozumem porzucić każdą religię, by przyjąć wyznanie Sewarambian, jako najbardziej rozumne i najmniej obciążone zabobonem. I chociaż wszyscy wierzący mówią to samo o swoich religiach, to jednak nie każdy może poprzeć swą rację równie oczywistymi dowodami⁷³.

Widać wyraźnie, że to „dowody”, a więc racjonalny umysł decyduje o wartości religii, a ten, kto jest najbliższy ideału, czyli czystej formy religii, ma statystycznie największą szansę na zbawienie. Wydaje się jednak, że kluczowy fragment wykładu filozofa i zarazem najważniejsze przesłanie dzieła Vairasse’a spoczywa w innym miejscu, w którym mówca naciska na konieczność uznania fundamentalnej, „przyrodzonej” wolności sumienia, „ponieważ niesprawiedliwością jest ją ograniczać, a przemoc taka mogłaby przynieść jedynie opłakane skutki. Nie jest w mocy człowieka wierzyć

71 R. Trousson, *Voyages aux pays de nulle part*, s. 98–99.

72 Ibidem, s. 99.

73 D. Vairasse, *Historia Sewarambian*, s. 215.

we wszystko, w co chce uwierzyć, wiara jest bowiem zawsze oparta na jakowychś uprzednich racjach, które wierzącego przekonują”⁷⁴.

I to o tym chyba właśnie jest cała *Historia Sewarambian*. To powieść o pielgrzymce do miejsca, gdzie każdy może wyznawać swą wiarę bez niepokoju, szykan, wojen religijnych i groźby wygnania⁷⁵. To zaś możliwe jest, zdaniem Vairasse’a, tylko wtedy, gdy religia pełni przede wszystkim funkcję polityczną, ma za zadanie konsolidować władzę i utrzymywać ład społeczny⁷⁶. Do tego jednak potrzebna jest przedustawna wolność sumienia, co zamyka koło. Takiego ustroju religijnego zażądałoby zapewne hugenoci od Ludwika XIV, gdyby ten był bardziej skłonny do negocjacji w sprawach wiary i zapragnął zostać gwarantem pokoju religijnego na zasadzie współlistnienia wyznań, nie zaś unicestwiania innych niż dominujące⁷⁷.

Niektórzy badacze podkreślają, że wartość literacka *Historii Sewarambian* jest dość wątpliwa⁷⁸. Nie jest to też bez wątpienia dzieło rewolucyjne, jednak należy zauważyć kilka aspektów, które w czasach powstania dzieła decydowały o jego nowatorstwie. Sam synkretyzm gatunkowy, łączący utopię i powieść podróżniczą, dodatkowo wzmocniony próbami uwiarygodnienia narracji jest jedną z nowości. Dawniejsze utopie raczej rzadko korzystały z takiego sposobu narracji, która jednak zdobędzie wielką popularność w XVIII wieku, wraz z rozwojem mieszczaństwa i jego ulubionego gatunku literackiego, jakim jest powieść. Rozpowszechni się także wówczas motyw lądowania na nieznannej ziemi i zakładania tam ufortyfikowanego obozu, odkrywania terytorium i pozyskiwania niezbędnych zapasów. To przecież także czysto mieszczańska fantazja na temat Robinsonowskiego *homo oeconomicus*, a na to, w momencie publikacji *Historii Sewarambian*, Europa miała poczekać jeszcze czterdzieści lat⁷⁹.

Dzieło Vairasse’a nie jest oczywiście jednym, w którym położono tak wielki nacisk na opowieść. Foigny w *La Terre Australe Connue* (1676) także przecież stosuje taki zabieg. Jednak *Historia Sewarambian* ma ten dodatkowy walor, że relatywnie mocno trzyma się rzeczywistości. Autor unika wszelkiej cudowności i niewiele rzeczy i motywów w powieści nie daje się racjonalny sposób wytłumaczyć. Z tego względu być może nietrudno było współczesnym uwierzyć w prawdziwość „relacji” kapitana Sidena⁸⁰. Wiarygodność i realizm utopii, jeśli nie warunkują jej realizowalności,

74 Ibidem, s. 215.

75 R. Trousson, *Voyages aux pays de nulle part*, s. 84.

76 Ibidem, s. 98.

77 F.E. Manuel, F.P. Manuel, *Utopian Thought in the Western World*, s. 379.

78 R. Trousson, *Voyages aux pays de nulle part*, s. 84.

79 G. Atkinson, *The Extraordinary Voyage in French Literature Before 1700*, s. 94.

80 Ibidem, s. 92.

to przynajmniej sugerują, że nie jest ona całkowitą mrzonką. Być może ten fakt wraz z nowoczesną formą narracji sprawiły, że powieść ta stała się dość popularna w ostatnim ćwierćwieczu XVII stulecia. W taki sposób przygotowywano już grunt pod francuskie oświecenie, które – jak twierdzi badaczka Elena Chertkova – dokonało przemieszczenia platońskiego dualizmu empirii i idei, kierując uwagę na rozdźwięk między teraźniejszością a przyszłością, sprawiając tym samym, że utopia mogła zostać uznana za możliwą⁸¹. Racault określa dzieło Vairasse'a jako „tekst-paradygmat” nowoczesnej powieści utopijnej, fundujący samą definicję utopii jako gatunku literackiego⁸².

Nowatorstwo dzieła Vairasse'a przejawia się także w fakcie, że nieczęsto spotykało się podówczas tak znaczny stopień eklektyzmu źródeł inspiracji, zarówno na poziomie ideowym, jak i antropologicznym. Vairasse czerpie nie tylko od rozmaitych myślicieli, lecz także od różnych ludów i kultur. Pozwala to stworzyć wewnątrznie polifoniczną narrację, gdzie rozmaite wpływy idei i kultur mają wiele do powiedzenia. O ile nawoływanie o poszanowanie wolności sumienia i propozycja rozsądnego deizmu stawały się czymś powszechnym w utopiach owego czasu, stanowiąc niejako *signum temporis*, o tyle materialistyczne podejście do świata i człowieka oraz krytyka religii objawionych prefiguruje już cały szereg racjonalistycznych i antychrześcijańskich utopii XVIII wieku, któremu kres położy dopiero rewolucja francuska⁸³. Rewolucja, która ucieleśniając (przynajmniej w jakże optymistycznej teorii) ideały wolności sumienia i przyrodzonej równości wszystkich ludzi, przekroczy utopizm wczesnej nowoczesności i oświecenia. Hazard określa francuskie utopie końca XVII wieku jako brulion, literacko wątpliwy, lecz w którym kiełkują już idee i wartości oświecenia. Rodzą się one w klimacie epoki, którą badacz ten określa jako moment kryzysu świadomości europejskiej⁸⁴.

Szczytem subwersji jak na owe czasy krytyki, lecz nie rewolty, jak podkreśla Trousson, jest ukazanie społeczeństwa z gruntu niechrześcijańskiego, które w cności, czystości i umiarkowaniu przebija wszelkie chrześcijańskie ludy⁸⁵. Oczywiście Sewarambianie nie są chodzącymi ideałami. Praktyka utopii polega właśnie na tym, by ukazać niedoskonałe jednostki tworzące społeczeństwo bliskie doskonałości⁸⁶. Kalwińskie wychowanie nie pozwala Vairasse'owi wyobrazić sobie człowieka

81 E.L. Chertkova, *The Metamorphoses of Utopian Consciousness. From Utopia to Utopianism*, „Russian Studies in Philosophy” 2007, vol. 46, no. 2, s. 17.

82 J.M. Racault, *L'Utopie narrative en France et en Angleterre 1675-1761*, s. 326.

83 R. Trousson, *Voyages aux pays de nulle part*, s. 84.

84 Ibidem, s. 83.

85 F.E. Manuel, F.P. Manuel, *Utopian Thought in the Western World*, s. 379.

86 R. Trousson, *Voyages aux pays de nulle part*, s. 97.

doskonałego, ponieważ nie może on uwolnić się od koncepcji natury ludzkiej, która jest z góry skażona. System Vairasse'a polega na takim operowaniu pojęciami, ideami, lecz także namiętnościami i prawami, by ukazać społeczeństwo znajdujące się w złotym środku. Rozmaite siły działające na umysły i ciała — zasady, prawa, namiętności, zwyczaje, uczucia, wierzenia, idee — bilansują się wzajemnie, pozwalając Sewarambianom rozkwitać i stanowić przykład dla innych, choć przecież nie są platońskimi bytami idealnymi, lecz ludźmi z krwi i kości, którzy z natury nie różnią się niczym od mieszkańców znanego świata. Jest to przykład społeczeństwa możliwego, utopii realizowalnej, w której równość, wolność sumienia i pokój zastępują powszechne w Europie, a zwłaszcza we Francji Ludwika XIV, fanatyzmy, nietolerancję i konflikty religijne.

DENIS VAIRASSE

HISTORIA SEWARAMBIAN
ALBO LUDÓW ZAMIESZKUJĄCYCH CZĘŚĆ
TRZECIEGO KONTYNETU, POSPOLICIE ZWANEGO
ŁĄDEM POŁUDNIOWYM, ZAWIERAJĄCA OPISANIE
RZĄDU, OBYCZAJÓW, WIERZEŃ ORAZ JĘZYKA
OWEGO NARODU, DOTYCHCZAS NIEZNAWIANEGO
LUDOM EUROPY

Do pana Riqueta, barona Bonrepos

Wielmożny Panie,

nie ma dzisiaj nic bardziej pospolitego nad owe listy dedykacyjne i widziano już przypadki tak oczywistego pochlebstwa, iż darzy się je obecnie znacznie mniejszą estymą niżli przed kilku laty, gdy były one rzadsze i więcej zawierały szczerości.

Owa przyczyna, jak również smutny los wielu dedykacji zmusiły mnie, na wzór licznych autorów, do opublikowania kilku dzieł nikomu nie dedykowanych, a nawet bez mego nazwiska. Dostrzegłszy bowiem w owych utworach jedynie uczciwe zajęcie, nie miałem zamiaru wykorzystać ich do zdobycia owych pustych i bezużytecznych pochwał, którymi niektórzy karmią swą próżność.

Ponieważ jednak nadużycie rzeczy nie powinno stać na przeszkodzie tym, którzy używają jej z umiarem, jako że istotne powody skłaniają mnie do zwrócenia się właśnie do Ciebie, Panie, uznałem za słuszne zmienić me postanowienie i złożyć Wielmożnemu Panu wyrazy mego szacunku. Żywię nadzieję, że przyjmiesz, Panie, w darze historię niedawno odkrytego kraju, gdzie w wielu miejscach dostrzec można szczęśliwe efekty działania geniuszu, którym i Ty, Panie, zostałeś obdarzony. Geniusz

ów włada tam pośród pokoju, sprawiedliwości i dobrobytu, który tworzy. Jego celem zaś jest wygnać nieprzyjaciół swoich, czyli wojnę, niedostatek oraz nieróbstwo. Geniusz ten sprawia, że cały niemal naród zajmuje się kopaniem kanałów, osuszeniem bagien, użyźnianiem piaszczystych i jałowych terenów, przebijaniem tuneli przez góry oraz wznoszeniem publicznych i wieczystych świadectw przemysłowości i wspaniałości owego ludu.

Wielkość i siła kraju nie spoczywa ich zdaniem w rozległości jego prowincji ani w chciwym pragnieniu odkrycia bogatych złóż i skarbów, lecz w mnogości dobrze zarządzanych poddanych, obfitości dóbr, które sprawiają, że żyje się wygodnie, nie popadając wszakże w zepsucie, które to bierze się z nieróbstwa, ani też nie wycieńczając się nadmiernie ciężką pracą.

W istocie to nie największe i najobficiej wyposażone we wszelakie złoża państwa są najbogatsze i najpotężniejsze, lecz te, które są najgęściej zaludnione. Hojna natura i geniusz ludzki dają tam obfitość rzeczy prawdziwie użytecznych i niezbędnych do życia, handlu i funkcjonowania społeczeństwa. Dowodem na to piękna maksyma najmądrszego i najbogatszego z władców, który to rzekł, iż „wielość ludów czyni królestwo szczęśliwym”. Dowodzi tego także porównanie obecnego stanu Francji i Hiszpanii.

Ta ostatnia ogląda jednocześnie wschód i zachód słońca nad swoim ogromnym imperium, a także posiada najbogatsze złoża srebra i złota, jakie kiedykolwiek odkryto. A przecież z braku wystarczającej liczby obrotnych poddanych jest to niemal niezmierna pustynia, na którą od kilku lat można spoglądać jak na ciało słabe i chore, w którego żyłach nie płynie dość krwi i które nie przetrwałoby dłużej bez ościennej potęgi, która je podtrzymuje.

Francja z kolei, w porównaniu z Hiszpanią, jest jedynie niewielkim, zbitym ciałem, a przecież pełnym siły i zdrowia. Obfituje w pracowitych i czynnych poddanych, którzy dzięki uprawie ziemi otrzymują od owej wspólnej Matki nie tylko to, co niezbędne do życia, lecz także wszystko niemal, co czyni je wygodnym i przyjemnym. Ponadto dzięki płodom ziemi i manufakturom przyciąga do siebie skarby Hiszpanii i innych państw ościennych, co pozwala dostrzec, iż kraj gęsto zaludniony i dobrze eksploatowany jest niewyczerpanym źródłem złota i srebra, tysiąc razy bogatszym niżli wszystkie kopalnie Meksyku i Peru.

Chociaż Francja osiąga wszystkie te cele zwykłymi metodami, może ona osiągnąć jeszcze większe korzyści metodami szczególnymi, którymi Ty, Panie, posługujesz się, by ozdobić i wzbogacić kraj. Wielkie i sławne dzieła, którymi zawiadujesz i o których tak wiele mówi się za granicą, już teraz przysporzyły Francji dóbr, jakich dotychczas nie posiadała. Z wszelkim prawdopodobieństwem przyniosą jej jeszcze więcej ogromnych korzyści, z czego cieszyć się będzie potomność. W szczególności Langwedocja

zaczyna odczuwać rezultaty Pańskiego geniuszu, choć długo o tym wątpiła. Efekty Pańskiego szczęśliwego powodzenia, zatriumfowawszy nad zawiścią, ukazują jej, że przedsięwzięcia, takie jak Pańskie, gdy dobrze je przeprowadzić, okazują się zawsze korzystne i chwalebne dla narodu, jakkolwiek wiele by kosztowały⁸⁷.

Poza tym, Panie, gdy wziąć pod uwagę zwyczajne przy takich przedsięwzięciach wydatki, a nawet koszta rozmaitych budowli i publicznych ozdób, odkryje się, iż przynoszą one zawsze korzyść państwu. Choć może się wydawać, iż kosztują drogo, w samej istocie nie kosztują ani grosza, o ile państwo jest geograficznie związane jak Królestwo Francji. Jeśli bowiem jedną ręką rozdaje pieniądze poddanym, to przecież drugą zbiera ich jeszcze więcej. Dzięki temu wszyscy znajdują zajęcie i żyją szczęśliwie ze swej pracy.

Z ciałem politycznym jest bowiem podobnie jak z ciałem naturalnym, w którym krew krąży bez ustanku, odżywiając wszystkie jego części, nie wychodząc przecież nigdy z żył, chyba że otworzy się je specjalnie, by przelać ów drogocenny płyn, który zawiera w sobie samą zasadę życia.

Kiedy naród osiąga pewien stopień bogactwa, chwali się tym zwykle poprzez wielkie projekty, przepych i zewnętrzną wspaniałość. Widać to było szczególnie w Imperium Rzymskim, które osiągnąwszy najwyższy szczyt sławy, pozostawiło niemal wszędzie wybitne i wiekuiste oznaki swej potęgi i szczęśliwości.

Także samo monarchia francuska, która idzie w jego ślady i zdaje się wkrótce zostać jego spadkobierczynią, dając zdumiewające świadectwa swej siły i szczęścia, pozostawia również szczególne oznaki splendoru i wspaniałości w rozmaitych częściach królestwa, zwłaszcza zaś w stolicy, którą przykład wspaniałego monarchy, troski ministrów i godne pochwały starania wielu poddanych zdobią i upiększają każdego dnia.

Prawdziwie rzec można, Panie, bez najmniejszego pochlebstwa, iż pośród tych ostatnich zajmuje Pan pierwsze miejsce. Nie dość, że połączyłeś Morze Śródziemne z oceanem, to przecież powziąłeś projekt doprowadzenia do Paryża takiej ilości wody, jakiej nigdy nie doprowadzili nigdzie owi wielcy Rzymianie, chociaż hojnie dysponowali swymi skarbami, by pozyskać sobie miłość i szacunek obywateli dzięki korzyściom i wygodom, których im przysparzali.

Uczynisz, Panie, dla Paryża to, co oni niegdyś uczynili dla Rzymu, gdy ukończysz już prace nad kanałem, który ma tam doprowadzić wielką obfitość wody. Gdy

87 W tym miejscu autor odwołuje się oczywiście do słynnego Canal du Midi, czyli Kanału Południowego, zaprojektowanego i skonstruowanego przez Pierre'a-Paula Riqueta w latach 1666–1681, który przepływając przez rodzinną Langwedocję jego konstruktora, łączy Morze Śródziemne z Oceanem Atlantyckim (przyp. tłum.).

rozprowadzi się ją we wszystkich częściach tego wielkiego miasta, znacznie ulży to jego mieszkańcom. Poza tymi korzyściami liczne fontanny i źródła, które wszędzie powstaną, będą niewątpliwie najpiękniejszą ozdobą. Przyznaję, iż zamysł ten jest wielki i niezwykle śmiały. Trzeba także przyznać, Panie, iż słusznie postanowiłeś wziąć do pomocy pana Demanse'a, aby zrealizować tak ogromne przedsięwzięcie. Zajmuje się on jego wykonaniem z wyraźnym znanstwem, podczas gdy Ty, Panie, szczęśliwie prowadzisz do końca wielkie dzieło połączenia dwóch mórz. Niemały to zaszczyt dla Langwedocji, która zrodziła Cię dla Francji, szczególnie zaś honor dla czasów panowania najwspanialszego i najchwalebniejszego króla, jakiego kiedykolwiek posiadała. Ceni On Pańskie przedsięwzięcia, z radością wyraził na nie zgodę i raczy obdarzać Cię, Panie, swą estymą i łaską, ponieważ uważa Cię za godnego poddanego, który niemało przyczynia chwały jego panowaniu i królestwu.

Jeżeli uważnie przyjrzymy się naturze dobra, zauważymy, iż jego istota spoczywa w użyteczności, rozciągłości i trwałości. Dobra, których przysparzasz swej ojczyźnie, Panie, posiadają te trzy cechy, są bowiem użyteczne miastom i prowincjom, a także całemu narodowi. Korzyści z nich trwać będą także w przyszłych wiekach, którym – jak należy się spodziewać – dajesz, Panie, również piękny przykład do naśladowania.

Rzekłszy to, pozostawiam innym osądzenie, jak wielce zasłużyłeś się, Panie, dla ogółu i czy nie byłoby niewdzięcznością zdusić lub uciszyć pochwały, które tak słusznie Ci się należą, podczas gdy gdzie indziej nie szczędzi się ich dla ludzi pozbawionych wartości. Różnią się oni często od najbardziej godnych pogardy jedynie zewnętrznym blaskiem, którym obdarzyła ich ślepa i zuchwała Fortuna.

Nie chcąc wszakże odbierać piórom więcej od mojego elokwentnym okazji do spisania pochwały wielmożnego Pana, a także lękając się urazić Pańską skromność, kończę, zapewniając Pana, iż z największym szacunkiem pozostaję,

Wielmożny Panie,

Twym skromnym i posłusznym sługą,

D. V. D. E. L.

Do Czytelnika.

Jeżeliś czytał *Państwo* Platona, *Utopię* kawalera Morusa lub też *Nową Atlantydę* kanclerza Bacona, które to są li tylko zmyślnymi wyobrażeniami tych autorów, uznasz zapewne, Czytelniku, iż relacje z nowo odkrytych krain, o ile znajdziesz w nich coś niecoś cudownego, należą do tego samego rodzaju. Nie śmiem potępiać mądrej przezorności tych, którzy niełatwo dają wiarę opowieściom, pod warunkiem wszakże, iż zachowują w niej umiar. Niemniej jednak odrzucanie bez zbadania tego, co zdaje się

nadzwyczajne, świadczyłyby o równym zaślepieniu, co bezkrytyczne przyjmowanie za prawdziwe wszelkich opowieści, które się słyszy na temat dalekich krajów.

Tysiące słynnych przykładów potwierdzają to, co tu rzekłem. Wiele rzeczy, które niegdyś uchodziły za prawdy stałe i niezmiennie, wieki przyszłe zdemaskowały jako wierutne kłamstwa. Inne, przez wieki uznawane za zmyślenia, a nawet odrzucane jako bezbożne i religii przeciwne, z czasem okazały się faktami, a ludzie, którzy podają je w wątpliwość, okrywają się śmiesznością i piętnem głupoty.

Czyż bowiem to nie skrajna ignorancja sprawiła, że Wirgiliusz, biskup Kolonii, niemalże poniósł śmierć za swoje twierdzenie, iż Antypody istnieją? Dopiero uroczyste wyparcie się przezeń tych tez ocaliło go od mąk, jakie gotował mu lekkomyślny zapał bigotów.

Z równie niedorzecznych przyczyn Krzysztof Kolumb został uznany za dziwaka w Anglii, a później w Portugalii, gdy donosił o istnieniu ziem na zachód od Europy. Ci, którzy od tego czasu opłynęli świat dookoła, przekonali się naocznie, że Wirgiliusz miał rację, zaś odkrycie Ameryki udowodniło twierdzenie Kolumba. Z tego powodu nie wątpi się już dziś w historii o Peru, Meksyku czy Chinach, które brano pierwiej za wymysły.

Owe dalekie kraje, jak również wiele innych, które do tej pory odkryto, były przez wiele wieków nieznane ludom Europy, zaś większość z nich wciąż pozostaje niezbadana. Nasi podróżnicy zadowalają się odwiedzeniem ich wybrzeży, gdzie mogą handlować, i nie troszczą się o miejsca, gdzie ich statki nie mogą dopłynąć. Jako że mowa w większości o ludziach morza, podróżujących wyłącznie w interesach, często się zdarza, że mijają wyspy, a nawet całe kontynenty, nie zauważając ich, o ile nie muszą unikać zderzenia z nimi. Stąd wynika, że właściwie wszelkie wiadomości, jakie posiadamy na temat tych krain, są owocem przypadku. Brak nam bowiem osób, które miałyby dość ciekawości i środków koniecznych do odbycia tak długich podróży bez celu innego niż odkrycie nieznanych ziem i spisanie dobrych i wiernych relacji.

Należałoby życzyć sobie, by szczęśliwy pokój dał książętom swobodę poczynienia starań na rzecz tak pożytecznych i godnych pochwały odkryć. Dzięki nim mogliby, bez wielkich wydatków, uczynić niezmierzone dobro dla świata, przysporzyć zaszczytu własnej ojczyźnie oraz okryć się nieśmiertelną chwałą. Gdyby bowiem zechcieli poświęcić odrobinę swego bogactwa na utrzymanie kilku zręcznych, młodych ludzi i wysłali ich w te nieodkryte miejsca, by tam obejrzeni wszystko, co godne uwagi i spisali relacje, pozyskaliby w ten sposób trwałą sławę. Byłby to dobry przykład dla innych możnych i pozwoliliby zachować ich pamięć dla potomnych. Ponadto mogłoby to stać się źródłem innych korzyści, z naddatkiem rekompensujących kosztów poniesione na rzecz tak chwalebego przedsięwzięcia. Nie ulega wątpliwości, że relacje ludzi przygotowanych do podobnych zadań i obytych z naukami i matematyką

byłyby znacznie dokładniejsze niż opowieści kupców i żeglarzy, po większości ludzi nieuczonych przecież i niedysponujących czasem i swobodą poczynienia tego rodzaju obserwacji. Przebywają oni bowiem nierzadko przez długi czas w obcych krajach, nie dostrzegając niczego, co nie wiąże się ściśle z ich interesami.

Widać to wyraźnie w postępowaniu Holendrów. Posiadają oni liczne ziemie w Indiach Wschodnich i podróżują w wiele innych miejsc, gdzie wzywa ich handel, a jednak mamy tylko kilka krótkich i niedoskonałych relacji z krain, w których osiedli lub które mijają co dzień na swych okrętach. Archipelag Sundajski, a w szczególności Borneo, opisywaną na mapach jako jedną z największych wysp na świecie, leżący na szlaku z Jawy do Japonii, jest niemalże nieznanym i nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek widział jakąś relację o nim. Wielu żeglarzy płynęło wzdłuż brzegów Trzeciego Kontynentu, pospolicie zwanego Nieznanym Łądem Południowym, lecz nikt nie zadał sobie trudu, by go zwiedzić i opisać. Prawda, że widzimy jego linię brzegową wyrysowaną na mapach, jednakże w sposób tak niedoskonały, że można stąd wziąć jedynie dość nikłe pojęcie o tym kraju. Nikt nie wątpi w istnienie tego kontynentu, gdyż wielu go widziało, a nawet się tam zatrzymywało. Jednak ludzie ci zostali do tego zmuszeni przez okoliczności, nie śmieli więc zapuszczać się w głąb łądu i pozostawili tylko nader pobieżne opisy.

Historia, którą niniejszym przedstawiamy Czytelnikowi, w znacznym stopniu uzupełni te braki. Została spisana w sposób tak prosty, że nikt, tuszę, nie będzie wątpił w prawdziwość tego, co zawiera. Czytelnik z łatwością zauważy bowiem, że nosi ona wszelkie znamiona prawdy. Uznałem jednakowoż za stosowne podkreślić kilka kwestii, które przydadzą jej wiarygodności i autorytetu.

Autor tej historii, kapitan Siden, spędziwszy w opisanym przez siebie kraju piętnaście czy szesnaście lat, wy dostał się zeń w sposób, który sam przytacza w swej relacji. Dostał się on następnie do Smyrny, miasta w Anatolii, gdzie wszedł na pokład okrętu floty niderlandzkiej, która właśnie wyruszała do Europy. Była to ta sama flota, którą Anglicy zaatakowali na kanale La Manche, co stało się początkiem wojny. Wszyscy wiedzą, że Holendrzy bronili się bardzo dobrze i że było wielu zabitych i rannych po obu stronach.

Między innymi kapitan Siden odniósł w tej walce śmiertelną ranę, która pozostawiła mu jedynie kilka godzin życia. Na tym samym statku był lekarz, który zaokrętował się wraz z nim, a którego poznał był w Smyrnie. Jako ludzie obcy i uczeni, prowadzili oni długie rozmowy przez całą podróż, które zrodziły między nimi wzajemny szacunek i przyjaźń. Kapitan Siden zachowywał w tajemnicy przed wszystkimi swoje przygody, gdyż nie chciał, by ktokolwiek ukradł mu zaszczyt opublikowania ich w Europie, gdy już do niej dotrze. Jednakże opowiedział owemu lekarzowi właśnie niemal wszystko, co mu się przydarzyło od chwili wyjazdu z Niderlandów aż do

przybycia do Smyrny. Ponieważ Bóg nie pozwolił mu dożyć powrotu do Europy, gdy tylko ujrzał się bliskim śmierci, powierzył przyjacielowi wszystkie swe rzeczy i papiery, mówiąc:

„Przyjacielu, ponieważ Bóg nie życzy sobie, bym żył tak długo, jak mógłbym, zgodnie z naturalnym biegiem rzeczy, poddaję się Jego boskiej woli bez szemrania i gotów jestem oddać duszę w Jego ręce. Jest On moim Stwórcą i Bogiem, ma prawo żądać jej ode mnie i rozporządzać nią wedle własnego uznania. Wierzę, że w Swym nieskończonym miłosierdziu przebaczy mi grzechy i pozwoli uczestniczyć w Jego wiecznej chwale.

Oto odchodzę i już cię więcej nie ujrzę, lecz skoro zostało mi jeszcze kilka chwil życia, pragnę wykorzystać je, by ci powiedzieć, iż umieram twoim przyjacielem i w dowód przyjaźni pozostawiam ci wszystko, co posiadam na tym statku. Znajdziesz tu wielką skrzynię, w której zamknięte są wszystkie moje doczesne rzeczy, w tym trochę pieniędzy i klejnotów. Nie przedstawiają one może wielkiej wartości, jednak ofiaruję ci je ze szczerego serca.

Oprócz rzeczy, pieniędzy i klejnotów znajdziesz tam wielki skarb. To historia wszystkiego, co przydarzyło mi się od chwili, gdy opuściłem Niderlandy, by udać się do Indii, jak ci o tym już opowiadałem. Historia ta znajduje się w wielkim nieporządku, została w znacznej części spisana na luźnych stronach i w różnych językach. Będzie trzeba to uporządkować i przetłumaczyć. Miałem zamiar uczynić to sam, lecz skoro Bóg nie pozwala mi doprowadzić tego projektu do końca, tobie pozostawiam to zadanie. Zapewniam cię z całą szczerością człowieka na łożu śmierci, iż wszystko, co napisałem, jest prawdą. Być może czas i doświadczenie pozwolą pewnego dnia tego dowieść”.

Takie były ostatnie słowa Autora, który kilka godzin później oddał Bogu duszę z przykładną odwagą i rezygnacją. Wedle świadectwa lekarza był to człowiek dobrze zbudowany, obdarzony byстрыm umysłem oraz mądrym, uczciwym i szczerym charakterem. Po śmierci kapitana lekarz przestudiował jego papiery i odkrył, że zostały one spisane po łacinie, francusku, włosku i prowansalsku. Wprawiło go to w wielkie zakłopotanie, gdyż nie znał wszystkich z tych języków, a nie chciał powierzać tych wspomnień osobom postronnym. Trudności te, jak również wiele spraw, którymi musiał się zająć od tego czasu, sprawiły, że zaniedbał ową historię aż do tej chwili. Jednakże przybywszy z Niderlandów do Anglii po zawarciu pokoju między tymi dwoma narodami, uczynił mi on niedawno zaszczyt powierzenia swoich papierów, abym je uporządkował i przełożył na jeden język. Zbadałem je z uwagą i znałem historię, którą zawierają, za tak nadzwyczajną i cudowną, że nie zaznałem spokoju, zanim nie doprowadziłem jej do porządku i jasności, jakich wymagała. Posłużyłem się w tym celu pomocą i radą mego zleceniodawcy.

Poza tym jest wiele innych dowodów na prawdziwość tej relacji. Różne osoby z Niderlandów, niedługo po śmierci kapitana Sidena, zapewniały lekarza, którego uczynił on swym spadkobiercą, że w czasie oznaczonym na początku historii rzeczywiście odpłynął z Texel nowy okręt o nazwie Złoty Smok. Jego celem była Bawia, zaś ładunek stanowiły pieniądze, pasażerowie i inne rzeczy. Uważano, że uległ on katastrofie, gdyż od tego czasu o nim nie słyszano.

Miałem już papiery w swoich rękach, lecz zanim cokolwiek napisałem, udałem się z wizytą do pana van Dama, adwokata Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, który pełnił rolę jednego z komisarzy, wysłanych przez Stany Prowincjonalne i Zachodniej Fryzji w celu zawarcia traktatu handlowego z Anglią. Zapytałem go o nowiny na temat tego statku i potwierdził on wszystko, co powiedziano o nim w Niderlandach memu przyjacielowi. Jednak najmocniejsze świadectwo, które stanowi dowód prawdziwości tej historii, bierze się z pewnego listu, napisanego przez pewnego Flamanda do francuskiego szlachcica, a tyającego się właśnie statku o nazwie Złoty Smok. List ten otrzymałem od jego adresata. Uważam, że słuszną rzeczą będzie go tu zamieścić, powiedziawszy, w jakiej sprawie został on napisany.

Szlachcic ów rzekł mi, iż przechadzając się kiedyś z autorem listu i rozmawiając z nim o Indiach, gdzie spędził niemało czasu, tamten powiedział mu, że kiedyś niepogoda na morzu zepchnęła go na brzeg Południowego Łądu. Śmierć mu groziła, lecz z Bożą pomocą szczęśliwie jej był umknął. Rok czy dwa lata później szlachcic nasz, znalazłszy się w towarzystwie, w którym rozprawiano o tych nieznanach ładach, opowiedział historię, którą to usłyszał był od owego Flamanda. Ledwie skończył swą opowieść, gdy pewien sabaudzki szlachcic zasypał go pytaniami na ten temat. Ponieważ zaś nie potrafił odpowiedzieć na nie dokładniej niż na podstawie tego, co był usłyszał, Sabaudczyk poprosił go, by napisał do Flamanda, aby tamten rzucił na tę sprawę jak najwięcej światła. Dodał, iż ciekawość jego wynikała z zainteresowania owym statkiem. Płynął nim bowiem jeden z jego krewnych i pomimo szerokich poszukiwań nie otrzymano na jego temat żadnych nowin. Sprzedawszy większość swych dóbr, pozostawił on w rodzinnym kraju ziemię, o którą to, po latach oczekiwania na jego powrót, procesuje się obecnie rodzina. To na prośbę owego Sabaudczyka Francuz ten napisał do Flamanda i otrzymał następującą odpowiedź po francusku. Zamieszczam ją tutaj słowo w słowo, bez nijakich zmian.

Mój Panie,

czyniąc zadość pragnieniu Pańskiemu i Pańskiego przyjaciela, powiem Panu, iż kiedy przebywałem w Batawii w roku 1659, pewien flamandzki marynarz nazwiskiem Prince, usłyszawszy, że byłem u wybrzeży Łądu Południowego, opowiedział mi

swoją historię. Otóż kilka lat wcześniej rozbił się on w tej okolicy na nowym statku niderlandzkim o nazwie Złoty Smok lub Zielony Smok. Okręt ów wiozł pewną ilość srebra przeznaczonego dla Batawii oraz jakieś czterysta osób. Wszyscy ci ludzie lub ich większość uratowała się i wylądowała na wyżej wymienionej ziemi. Zachowali oni taką samą dyscyplinę, jakiej podlegali na okręcie, zbudowali umocniony obóz i ocalili większość zapasów. Z resztek statku uczynili oni szalupę i w drodze losowania wybrali ośmiu ludzi, w tym owego marynarza, którzy mieli popłynąć do Batawii i powiadomić generała Kompanii o katastrofie okrętu, by ten zorganizował misję ratunkową. Szalupa ta z wielkim trudem dotarła w końcu do Batawii, a generał wysłał natychmiast fregatę. Po dotarciu na wybrzeże kilku ludzi zeszło na ląd w miejscu, które zostało im opisane, jednak nie znaleźli tam nikogo ani żadnych znaków, że ktokolwiek był tam wcześniej. Zbadali wybrzeże w różnych miejscach, aż w końcu stracili szalupę oraz kilku ludzi wskutek niepogody, która właściwa jest dla tych okolic. Powrócili wreszcie do Batawii bez rezultatu. Generał wysłał zaś kolejną fregatę, która także wróciła z niczym.

Różnie się mówi o tych krainach. Niektórzy twierdzą, że mieszkają tam ludzie wysokiego wzrostu, którzy nie mają w sobie nic z barbarzyńców i którzy prowadzą tych, których uda im się złapać do wnętrza swego kraju. Byłem gotów udać się na szerokość dwudziestu siedmiu stopni, jednakże, tak jak niespodziewana cisza, która nastąpiła w nocy, ocaliła nas od rozbicia się, podobnie nagły sztorm sprawił, że zmieniłem zdanie i cieszyłem się, że udało mi się znowu znaleźć na morzu.

Oto wszystko, co mogę Panu powiedzieć. Pański przyjaciel może dowiedzieć się więcej szczegółów na temat wzmiankowanego statku od ludzi z Kompanii Wschodnioindyjskiej. Generałem w Batawii był wówczas Maët Suyoker i pozostaje nim do dziś. Jednak opowieść tę usłyszałem tylko od owego marynarza. Ponoć ziemia tej krainy jest czerwona, żyzna, wybrzeże jakby zaczarowane przez burze, kiedy tylko chce się zejść na ląd. Dlatego właśnie fregaty straciły szalupę i nie mogły przybić do brzegu. Twierdzi on, że nie znalazły właściwego miejsca. Wydaje mi się, że było to na dwudziestu trzech stopniach w roku 1656 lub 1657.

Pozostaję, Panie, twoim uniżonym sługą,

Thomas Skinner

Brugia, dnia 28 października 1672

Czytelnik może, jeśli wola, porównać ten list z relacją Autora i ocenić, czy w sprawach równie mało znanych można otrzymać mocniejsze świadectwo, które dowodziłoby prawdziwości tej historii.

Co do stylu i układu dzieła, także pozostawiam je jego osądowi. Zadowolę się jedynie stwierdzeniem, iż zmieniono w nim najmniej, jak się dało, nie oddalając

się od stylu Autora, który jest nader prosty i naturalny. W dziełach tego rodzaju, gdzie treść przyciąga całą uwagę Czytelnika, wystarczy, by styl jej nie odciągał.

Autor wykazał się nieco większą dokładnością w drugiej części, gdzie mówi o prawach i obyczajach Sewarambian, których ustrój jest, moim zdaniem, jednym z najdoskonalszych modeli, jakie kiedykolwiek widziano.

Należy jednak pozostawić każdemu swobodę sądenia w zgodzie z jego własnymi poglądami. Życzyłbym sobie jedynie, by Czytelnik znalazł pewną przyjemność w lekturze tej podziwu godnej historii, której niniejsza pierwsza część jest w istocie swego rodzaju dziennikiem historycznym, jak o tym pod koniec wspomina sam Autor.

Historia Sewarambian

Od najmłodszych lat największą mą namiętnością były podróże. Ta naturalna skłonność umacniała się z czasem i każdego dnia odczuwałem coraz silniejsze pragnienie ujżenia obcych krain. Znajdowałem niewiarygodną rozkosz w lekturze książek podróżniczych, relacji z dalekich krajów oraz w słuchaniu wszystkiego, co mówiono na temat nowych odkryć. Niestety, życzenie moich rodziców, którzy przeznaczili mnie do kariery urzędniczej, a także brak środków na przedsięwzięcie dalekich podróży stały się największymi przeszkodami dla mych pragnień.

Czułem jednak, iż nic nie może skutecznie przeciwstawić się naszemu przeznaczeniu. Ledwie dobiegłem piętnastego roku życia, a już byłem w armii, w Italii, gdzie zajęcia zatrzymały mnie prawie dwa lata. Gdy tylko wróciłem w rodzinne strony, otrzymałem dowództwo w Katalonii z rozkazem natychmiastowego wymarszu. Walczyłem tam przez trzy lata i nie porzuciłbym służby, gdyby nieprzewidziana śmierć mego ojca nie wezwała mnie do domu. Musiałem bowiem objąć w posiadanie dobra, które mi był pozostawił oraz usłuchać rozkazu matki, która pod moją nieobecność nie mogła znaleźć pociechy po wielkiej tej stracie.

Te powody zmusiły mnie do powrotu do kraju rodzinnego, zaś z polecenia matki musiałem porzucić miecz dla togi i przyłożyć się do studiów prawniczych. W ciągu pięciu lat uzyskałem tytuł doktora, a także przyjęto mnie jako adwokata przy Sądzie Suwerennym mojej prowincji. Jest to stopień, który trzeba przejść na drodze do większych godności. Po przyjęciu do adwokatury ćwiczyłem się w przemowach, których tematy zmyślałem, następnie wybierałem prawdziwe sprawy, których broniłem z sukcesami. Jako że się nie zaniebrywałem, udawało mi się na tyle dobrze wywiązać z tych zadań, by zdobyć pewną estymę. Z upodobaniem oddawałem się owym ćwiczeniom, w których to młodzieńcy lubią błyszczeć dowcipem i elokwencją, nie bacząc na swe fortuny. Jednakże praktyka w wymiarze sprawiedliwości okazała się tak ciernista i wymagała takiej służalczości, że bardzo szybko stała się dla mnie utrapieniem.

Z natury cenilem słodycz i rozkosze życia, jak również szczerść i uczciwość. Nie nadawałem się zatem do takiej pracy i pragnąłem ją jak najszybciej porzucić.

W tym okresie umarła moja matka, co pozwoliło mi dysponować sobą i swoim majątkiem według własnego uznania. Jej śmierć sprawiła mi jednak taką przykrość, że nie zastanawiałem się zbyt długo przed podjęciem decyzji o wyjeździe z kraju. W tym celu uporządkowałem swoje sprawy. Pozbyłem się wszystkiego poza jedną posiadłością, którą zachowałem na wszelki wypadek. Pozostawiłem ją pod opieką wiernego przyjaciela, który zawsze zdawał mi sprawę ze swojego zarządu, dopóki mogł się ze mną skontaktować.

Następnie zwiedziłem niemal wszystkie prowincje Królestwa Francji, aż zatrzymałem się w sławnym mieście Paryżu. Pobyt tam był dla mnie tak przyjemny, że niepostrzeżenie spędziłem w stolicy prawie dwa lata. Jednak, gdy trafiła mi się okazja jechać do Niemiec, powrócił mój pierwotny zapał do podróży. Zwiedziłem więc całe Niemcy, dwory cesarza i książąt Rzeszy. Stamtąd przedostałem się do Szwecji i Danii, następnie zaś do Niderlandów, gdzie moja podróż po Europie dobiegła końca. Odpoczywałem tam do 1655 roku, kiedy to wyruszyłem do Indii Wschodnich.

Przedsięwziąłem tę trudną wyprawę, by zadośćuczynić wrodzonej ciekawości i zobaczyć krainę, o której słyszałem tyle cudownych historii. Uległem także naciskom mego przyjaciela, który posiadał dobra w Batawii i musiał popłynąć do tego miasta. Muszę również przyznać w dobrej wierze, iż nadzieja zysku przekonała mnie ostatecznie do tego pomysłu. Przygotowawszy się zatem do podróży, wraz z moim przyjacielem wszedłem na pokład statku zwanego Złotym Smokiem, niedawno zbudowanego i wypływającego właśnie do Batawii. Okręt ten miał wyporność około sześciuset ton, wyposażony był w trzydzieści dwa działa i wioził niemal czterysta osób, załogi i pasażerów, jak również wielkie sumy pieniędzy, z których niemała część należała do mego przyjaciela o nazwisku van de Nuits.

Podnieśliśmy kotwicę na Texel 12 kwietnia 1655 roku i z pomocą chłodnego, wschodniego wiatru pomknęliśmy przez kanał pomiędzy Francją a Anglią. Powodzenie to trwało, aż wypłynęliśmy na pełne morze. Dotarliśmy do Wysp Kanaryjskich, czasami odczuwając zmienność wiatru, lecz unikając burzy. Tam uzupełniliśmy zapasy i ruszyliśmy ku Wyspom Zielonego Przylądka, które ujrzeliśmy z daleka i opłynęliśmy je bez przygód. Prawda, widzieliśmy wiele morskich potworów, latających ryb, nowych konstelacji i innych rzeczy tego rodzaju. Jednak, ponieważ są one powszechne, zostały już opisane i dawno utraciły walor nowości, nie ma potrzeby tu o nich opowiadać. Nie pragnę bowiem wydłużać tej książki o zbędne historie, które wyczerpałyby tylko cierpliwość czytelnika i moją. Wystarczy zatem rzec, iż kontynuowaliśmy szczęśliwie naszą wyprawę aż do trzeciego stopnia szerokości południowej, gdzie dotarliśmy drugiego sierpnia tegoż samego roku.

Morze, które dotychczas było dla nas nader przychylne, dało nam teraz odczuć swą przyrodzoną niestałość. Około godziny trzeciej po południu niebo porzuciło dotychczasowy spokój i pogodę na rzecz ciężkich chmur, błyskawic i gromów. Były to zwiastuny wichury, deszczu z gradem i burzy, które nastąpiły niedługo potem. Na widok tego, co się zbliża, nasi marynarze pobledli i podupadli na duchu. Chociaż mieli czas zwinąć żagle i solidnie przywiązać działa i wszystko uporządkować według uznania, to przewidywany huragan mógł budzić słuszne obawy. Morze stało się niespokojne, a wiatr w ciągu dwóch godzin zrobił pełen obrót wokół busoli. Miotano naszym okrętem coraz to w inną stronę, raz w górę, raz w dół. Jeden wicher pchał nas do przodu, drugi znów do tyłu. Maszty, reje i liny były połamane bądź w strzępach. Sztorm był tak silny, że większość naszych marynarzy chorowała, ledwo mogli słuchać rozkazów, a tym mniej wykonywać je. Wszyscy nasi pasażerowie byli zamknięci pod pokładem, zaś mój przyjaciel i ja leżeliśmy przy głównym maszcie i wyrzucaliśmy sami sobie, on żądę zysku, ja zaś szaloną ciekawość. Tysiąc razy marzyliśmy, by obudzić się w Niderlandach i tysiąc razy porzuciliśmy nadzieję na ponowne ujrzanie tego kraju, jak również każdego innego.

W tym stanie bowiem każdy łąd byłby dla nas wybawieniem. Jednakże w tym samym czasie żeglarze nie spali i nie zaniedbywali niczego, co mogłoby przyczynić się do naszego ocalenia. Wkładali całą swą zręczność i siłę, jedni u steru, drudzy u pomp i wszędzie, gdzie wzywała ich konieczność. Z Bożym błogosławieństwem udało im się wyratować okręt z huraganu, który ostatecznie zmienił się w wiatr o stałym kierunku i popchnął nas ku południowi z taką siłą, że nie potrafiliśmy mu się przeciwstawić. Byliśmy zmuszeni ustąpić przed potęgą wiatru i wbrew woli płynąć wszędzie, gdzie nas gonił.

Po dwóch dniach wicher zmienił się nieco i skierował nas na południowy wschód, gdzie przez trzy kolejne dni przedzieraliśmy się przez mgłę tak gęstą, że nie widać było dalej niż na pięć, sześć kroków. Szóstego dnia wiatr osłabł, lecz do północy wiał wciąż w kierunku południowowschodnim. Na koniec niespodziewanie poczuliśmy wszyscy ogromną ciszę, zupełnie jakby nasz statek znalazł się na stawie lub martwym morzu. Dwie lub trzy godziny później niebo się rozpogodziło i ujrzeliśmy gwiazdy, jednak nie mogliśmy poczynić żadnej obserwacji z ich pomocą. Sądziłyśmy, że znajdowaliśmy się niedaleko Batawii i że byliśmy co najmniej sto mil od brzegu Południowego Łądu. Później okazało się, jak bardzo omyliliśmy się w tych rachunkach.

Siódmego dnia cisza wciąż trwała. Mieliśmy zatem czas odpocząć i obejrzeć nasz statek. Przekonaliśmy się, że był niemalże nienaruszony dzięki solidnej konstrukcji, która oparła się wściekłości żywiołu. Ósmego dnia podniósł się umiarkowany wiatr, który ku naszej radości skierował nas na wschód. Nie dość, że płynęliśmy w stronę celu, to nie musieliśmy się już obawiać długotrwałej flauty. Gdy zapadł zmierzch,

niebo stało się ponure, mgliste, zaś wiatr przybrał na sile, przez co zdjął nas lęk przed kolejną burzą. Mgła utrzymała się przez cały dziewiąty dzień, zaś wiatr wiał jedynie w porywach, co było dla nas bardzo niebezpieczne. Około północy zmienił kierunek, przybrał na sile i znów gwałtownie pchnął nas na południowy wschód, zaś mgła gęstniała z chwili na chwilę.

Wówczas to z pełną prędkością nasz statek osiadł na mieliźnie, kiedy akurat najmniej się tego spodziewaliśmy. Utkwił on tam bez ruchu, jakby gwoździem przybity, a my poczuliśmy, że oto jesteśmy zgubieni. Oczekiwaliśmy, że okręt w każdej chwili może zostać rozbity na tysiąc kawałków przez wiatr i fale. Ponieważ zdolności i przemyśl ludzki na nic by się tu nie zdały, zwróciliśmy się ku Bogu, by w swym nieskończonym miłosierdziu wysłuchał naszych prośb o wybawienie.

Gdy nastał ranek, a słońce rozproszyło mgły, zobaczyliśmy, że nasz statek osiadł na łasze piasku u wybrzeży jakiejś wyspy lub nieznanego nam lądu. Odkrycie to zmieniło naszą rozpacz w nadzieję, bo choć nie znaleźliśmy tej ziemi i nie wiedzieliśmy, czy znajdziemy tu ukojenie w cierpieniu, to przecież wszelki stały ląd miły jest człowiekowi, który przez tyle dni rzucał się wśród odmętów między życiem a śmiercią. Około południa pogoda stała się piękna i ciepła, słońce przegoniło mgły, wiatr stracił na sile, a morze ucichło. Blisko trzy godziny później wody cofnęły się od brzegów, pozostawiając nasz okręt na mulistym piasku, w miejscu, gdzie, jak się zdawało, nie było więcej jak pięć stóp głębokości. Było to w odległości strzału z muszkietu od brzegu, dość wysokiego, lecz dostępnego na tyle, że postanowiliśmy się nań wspiąć i przenieść tam ładunek ze statku. W tym celu spuściliśmy szalupę, do której weszło dwunastu z naszych najdzielniejszych, uzbrojonych po zęby ludzi. Mieli oni zbadać wybrzeże i wybrać miejsce na obóz, niedaleko wszakże od okrętu.

Gdy tylko znaleźli się na brzegu, wspięli się na pobliskie wzniesienie, skąd obejrzeliby dokładnie teren. Nie zauważyli jednak ni domów, ni wiosek, ani też nic, co pozwoliłoby uznać kraj ten za zamieszkały. Ziemia zdawała się piaszczysta, jałowa i pokryta jedynie zaroślami i dzikimi krzakami. Nie dostrzegli też w okolicy żadnego strumienia ni rzeki. Ponieważ nie było już tego dnia więcej czasu na odkrywanie, powrócili na statek trzy godziny po opuszczeniu go, nie uznając za właściwe zapuszczać się dalej w głąb nieznanego lądu.

Następnego dnia powrócili na brzeg z poleceniem odesłania szalupy, byśmy mogli pomału zacząć przewozić naszych ludzi na ląd. Postanowiliśmy także przetransportować najcenniejsze towary, a zwłaszcza resztki amunicji, które, Bogu dzięki, nie zamokły. Rozkazy te zostały wykonane tak starannie i szybko, że w jeden dzień po katastrofie okrętu większość ludzi i najważniejszego ładunku znajdowała się już na brzegu. Ci, którzy pierwsi zeszli na ląd, założyli obóz w miejscu

wyniesionym, niedaleko morza i naprzeciw naszego statku, to jest około czterdziestego stopnia szerokości południowej, zgodnie z naszymi najdokładniejszymi obserwacjami.

Ukształtowanie terenu osłaniało nas od strony lądu i skrywało przed oczami tych, którzy mogliby podплыnąć od morza. Nasi strażnicy widzieli ze szczytów wzniesienia całą okolicę, dzięki czemu miejsce to było dla nas bezpieczne i wygodne. Przewieźliśmy tam stopniowo większość ludzi, zapasów i towarów, pozostawiając dziesięć osób na statku, by sprawdzić, czy uda się go z powrotem zepchnąć na wodę podczas następnego przypływu.

Zwoaliśmy jak najszybciej radę, by ustalić sposoby przeżycia. Postanowiliśmy, że zachowamy na lądzie identyczną jak na morzu dyscyplinę aż do chwili, w której uznamy za stosowne, by ją zmienić. Następnie rozkazano wszystkim zmówić powszechną modlitwę dziękczynną za ocalenie naszych dóbr i poprosić Boga o wsparcie w tym nieznanym miejscu, gdzie mogliśmy przecież wpaść w ręce jakowychś barbarzyńców lub pomrzeć z głodu, jeśli w swym miłosierdziu nie zadba On o nasze przetrwanie, jak to dotychczas czynił.

Po wydaniu tych rozkazów i zaniesieniu modłów oficerowie podzielili ludzi na trzy równe oddziały. Dwa z nich miały bez ustanku pracować w obozie, umacniać go i okopywać, by zabezpieczyć nas przed nagłym napadem. Zadaniem trzeciego oddziału miało być odkrywanie okolic, dostarczanie drewna i wszystkiego, co można tu było znaleźć. Ci, którzy pozostali na statku, mieli zbadać jego stan i uczynić go na powrót zdatnym do użytku. Po dokładnych oględzinach przekonali się, że gwałtowane uderzenie w piasek zламаło kil, który tak głęboko zakopał się w mule, że nie dałoby się go wyciągnąć, nawet gdyby nie był uszkodzony. Dodali, że ich zdaniem najlepiej byłoby rozebrać okręt na części i zbudować z nich jedną lub dwie szalupy, by wysłać je do Batawii. Rada ta została przyjęta i wybrano zaraz ludzi najbardziej zdatnych do wprowadzenia jej w życie.

Oddział zwiadowczy nie śmiał zapuszczać się zbyt daleko, więc wcześniej wycofał się do obozu, w nadziei że kiedy ten będzie lepiej umocniony i wyposażony w działa, będzie można pójść dalej w głąb równiny. Przynieśli jednak trochę drewna i coś w rodzaju dzikich jeżyn znalezionych na krzakach. Niektórzy, idąc wzdłuż brzegu, natknęli się na obfitość ostryg i innych skorupiaków, dzięki czemu oszczędziliśmy zapasy ze statku. Te bowiem, przy zwykłych racjach, mogły nam starczyć na jakieś dwa miesiące. Za najlepszy sposób oszczędzania ich uznaliśmy pozyskanie świeżej żywności, sporządziliśmy zatem sieci i haczyki, by łowić ryby w miejscach, gdzie morze w nie obfitowało. Poszczęściło się nam do tego stopnia, że pożywialiśmy się wyłącznie rybami, skorupiakami i owymi jeżynami, zaś racje z okrętu ograniczyliśmy do ośmiu uncji dziennie. Nie znaleźliśmy jednak wciąż słodkiej wody, a tego

właśnie najbardziej potrzebowaliśmy. Chociaż wykopaliśmy studnię przy okopach, woda, która się tam zbierała, była słona przez bliskość morza i nie bardzo nadawała się do picia.

Nasi zwiadowcy, co dzień dokonując jakichś nowych odkryć, oddalili się już o dziesięć mil od obozu i wciąż nie natrafili na ślady ludzi ni zwierząt. Chociaż zapuszczali się coraz to dalej i dalej, nie natknęli się na nic żywego na tej piaszczystej równinie oprócz kilku węży, szczura wielkości królika i ptaków przypominających dzikie gołębie, które żywiły się jeżynami. Zastrzelili kilka z tych zwierząt i po przyniesieniu do obozu okazało się, że były bardzo dobre, szczególnie ptaki.

Te nowe okrycia sprawiły, że zbyt silne umocnienia wydały się nam zbędne, ograniczyliśmy się więc do wykopania okopu wokół obozu, co, jak uznaliśmy, powinno wystarczyć w kraju pozbawionym mieszkańców. Umieściliśmy armaty w najdogodniejszych miejscach i kiedy przestaliśmy się obawiać ludzi i zwierząt, jedynymi naszymi zmartwieniami pozostały głód i pogoda. Nie znaleźliśmy bowiem jeszcze klimatu tych okolic, choć od kiedy przebywaliśmy na wybrzeżu, wydawał się nader zdrowy.

Po piętnastu dniach dobiegła końca budowa naszej szalupy, zaś kilka dni później była ona gotowa do wypłynięcia w morze. Miało nią popłynąć ośmiu ludzi, a zapasy na sześć tygodni to było wszystko, co mogliśmy im dać. Przy wyborze załogi doszło do sporów wśród marynarzy, gdyż niewielu życzyło sobie podjąć ryzyko podobnej podróży. Ktoś jednak popłynąć musiał. Postanowiono, że wybierze się pewną liczbę najlepszych żeglarzy, którzy będą następnie ciągnąć losy. Ostatecznie padło na samego kapitana, marynarza nazwiskiem Prince i sześciu innych, których imion nie pamiętam. Gdy ujrzeli, że los każe im udać się w tę podróż, poddali mu się bez protestów. Ustaliliśmy sygnał, jaki im damy, jeśli kiedykolwiek powrócą z pomocą, po czym pożegnali się i odpłynęli swoją szalupą. Wiatr od lądu zabrał ich szybko z zasięgu wzroku, a nam pozostało błagać Boga o ich rychły powrót.

Tego samego dnia zebraliśmy się na radzie w celu ustalenia, jaki rząd powinniśmy sobie nadać, biorąc pod uwagę, że kilku oficerów odpłynęło w szalupie. Dyscyplina morska uległa przez to zmianie i uznaliśmy, że była ona niewłaściwa na lądzie. Zaproponowano kilka rozwiązań, które spotkały się z pewnym sprzeciwem. Ostatecznie jednak, po długich dysputach, postanowiliśmy poddać się dyscyplinie wojskowej pod dowództwem generała i kilku niższych oficerów, którzy razem mieli tworzyć Naczelną Radę Wojenną. Miałyby ona pełnię władzy w każdej sprawie. Gdy przyszło nam wybrać wodza spośród kompanii, oczy wszystkich zwróciły się na van de Nuitsa, mego druha. Był on najznacniejszą pośród nas osobą i posiadał największe udziały na statku, dlatego wszyscy chcieli obdarzyć go tym zaszczytem. Wymówił się skromnie, twierdząc, iż jest za młody i zbyt nieobyty w sprawach wojskowych, by

wywiązać się z tego zadania. Dodał, że w takim położeniu należy wybrać człowieka bardziej doświadczonego od niego, który nie był nigdy na wojnie ani nie sprawował żadnego urzędu publicznego. Ujrzawszy wówczas zmieszanie i zagubienie na twarzach ludzi, rzekł, że stokrotnie im dziękuje za szacunek i uczucia, jakie doń żywią, że pragnąłby być godnym dowództwa, jednak, czując się niezdolnym pełnienia funkcji generała, rekomenduje im człowieka, który podoła tej odpowiedzialności. Człowiek ten służył bowiem w Europie w dwóch różnych armiach i podróżował przez wiele lat, co niewątpliwie dało mu znaczną wiedzę w dziedzinie polityki. Dodał, że wszyscy go znają i szanują, choć nie jest im tak dobrze znany jak jemu, który od lat podziwia go za szlachetność i uczciwość.

– Osoba, o której mówię – rzekł, wskazując na mnie ręką – to kapitan Siden, pod dowództwo którego oddają się chętnie, jeśli spodoba wam się wybrać go na naszego generała.

Niespodziewana ta przemowa i spojrzenia zebranych wprawiły mnie w niejakie zakłopotanie, lecz prędko odrzekłem, iż rekomendacja pana Nuitsa bierze się raczej z przyjaźni, jaką do mnie żywi, niż z przeświadczenia o mojej wiedzy czy zasługach. Dodałem, że jestem obcokrajowcem urodzonym daleko od Niderlandów i że jest w oddziale wiele osób znacznie bardziej zdatnych do dowodzenia niż ja. Poprosiłem wreszcie, by zwolniono mnie z tej odpowiedzialności, ponieważ wolałem wykonywać rozkazy, niż je wydawać.

Gdy tylko przerwałem, przemówił niejaki Swart, człowiek bardzo śmiały i energiczny, który zawsze towarzyszył mi we wszystkich odkryciach, jakich dokonywaliśmy na tym lądzie. Rzekł on:

– Panie, na nic ci się nie zdadzą wszystkie te wymówki i jeśli tylko rada pana Nuitsa i moja zostaną przyjęte, będziesz naszym generałem, czy ci się to podoba, czy nie. Oprócz tego, co zostało już powiedziane na temat pańskich zasług, cała kompania ze mną na czele wie doskonale, że od kiedy jesteśmy na tym wybrzeżu, okazałeś pan najwięcej rozwagi i dbałości o dobro i ocalenie całego towarzystwa. Już z tego jednego powodu zasługujesz na przywództwo. Poza tym jesteśmy tu wszyscy kupcami bądź żeglarzami, którzy nie znają się wcale na wojnie czy dyscyplinie. Tylko pan możesz nas tego nauczyć, ponieważ jako jedyny posiadasz konieczne po temu zdolności. Oświadczam więc, że nie podporządkuję się żadnemu dowódcy poza panem.

Przemowa jego, wygłoszona w sposób dumny i gwałtowny, wywarła takie wrażenie na słuchaczach, którzy już wcześniej skłaniali się ku wybraniu mnie na wodza, że jednym głosem cała kompania zakrzyknęła:

– Niech kapitan Siden zostanie naszym generałem!

Pojąłem, że nie uda mi się od tego wymówić, wobec czego uciszyłem ich i odezwałem się w tych słowach:

– Panowie, ponieważ zmuszacie mnie do przyjęcia dowództwa, przyjmuję je z wdzięcznością i życzę sobie z całego serca, by obróciło się to na waszą korzyść. Jednak, aby zachować porządek i sprawność działania, proszę was o nadanie mi kilku przywilejów. Jeśli tak się stanie, dołożę wszelkich starań, by was zachować przy życiu i w dobrej dyscyplinie. Po pierwsze, proszę, by wszyscy z was i każdy z osobna zobowiązał się pod przysięgą do posłuszeństwa mnie i radzie pod groźbą wszelkich kar, jakie uznamy za słuszne zastosować, jeśli złamię tę przysięgę. Po drugie, będę miał prawo zorganizować milicję w taki sposób, jaki wyda mi się najlepszy i wyznaczyć głównych oficerów, którzy będą pełnić tylko takie funkcje, jakie im przydzielę. Po trzecie, na radzie mój głos będzie się liczył potrójnie i wreszcie ja lub mój namiestnik będziemy dysponowali prawem weta we wszystkich deliberacjach publicznych.

Wszystkie te przywileje zostały mi przyznane i ludzie rzucili się gratulować mi rangi generała. Jako pierwszą oznakę mojej władzy, wzniesli na środku obozu namiot większy od innych, gdzie już tej samej nocy położyłem się spać. Wcześniej zaś naradzałem się z Nuitssem w rozmaitych sprawach.

Następnego dnia zwołałem ogólne zgromadzenie i w obecności wszystkich uczyniłem Nuitsa zarządcą wszystkich towarów i zapasów, które już posiadaliśmy lub mieliśmy zdobyć w przyszłości. Swart został zarządcą artylerii, broni i amunicji. Doświadczonego marynarza Maurycego uczyniłem admirałem floty, na którą miała się składać szalupa, czółno i inna łódź, którą budowaliśmy z resztek naszego statku. Mieliśmy pośród nas jednego Anglika, Mortona, który był sierżantem w Niderlandach. Uczyniłem go kapitanem pierwszej kompanii, zaś de Haes, człowiek rozważny i czujny, otrzymał drugą. Trzecia kompania przypadła niejakiemu Vanslutowi, a czwarta de Boshowi. Le Brun został generałem majorem i wszyscy otrzymali swobodę wyboru niższych oficerów, których kandydatury zatwierdzałem.

Miałem dwóch lokajów, z czego jeden, nazwiskiem Devèze, był moim sierżantem w Katalonii. Był to człowiek serdeczny i rozumny, rozważny i wierny, który służył mi także, gdy już opuściłem armię. Uczyniłem go moim namiestnikiem, zaś drugiego z nich, Turfięgo, sekretarzem.

Gdy wybrano oficerów, dokonaliśmy podziału naszych ludzi i okazało się, że mieliśmy trzystu siedmiu mężczyzn, trzech chłopców i siedemdziesiąt cztery kobiety. Wszyscy byli w dobrym zdrowiu, bo chociaż wielu chorowało w momencie opuszczenia okrętu, to po ośmiu dniach odzyskali siły, co było oznaką, że powietrze jest tu nader zdrowe. Podzieliłem ich na cztery grupy i dałem Maurycemu dwudziestu sześciu marynarzy i trzech chłopców jako załogi floty. Swart otrzymał trzydziestu mężczyzn do artylerii. Rozdzieliłem dwustu mężczyzn między cztery równe kompanie, zaś reszta mężczyzn i kobiet miała słuchać rozkazów Nuitsa. Mieliśmy dwóch

trębaczy, którzy oprócz swego głównego zajęcia prowadzili na statku modlitwę, jak to jest w zwyczaju we flocie niderlandzkiej. Nuits otrzymał jednego, a ja drugiego, potwierdzając wszystkie ich uprawnienia.

Uregulowawszy w ten sposób sprawę, zwołałem wieczorem zebranie wyższych oficerów i powiedziałem im, że zanim zjemy wszystkie zapasy, trzeba wyruszyć drogą morską i lądową w celu pozyskania nowych. Należało także znaleźć jakieś dogodniejsze miejsce na obóz, bo inaczej prędko zacznie nam brakować wszystkiego, w szczególności zdatnej do spożycia wody. Moim zdaniem należało posłać kilka zbrojnych ekspedycji, by przeszukać dalsze zakątki tego kraju. Wszyscy chętnie zgodzili się z moją propozycją i powiedzieli, że podporządkują się moim rozkazom. Nakazałem więc Maurycemu wyekwipować szalupę i czółno, udać się samemu wzdłuż wybrzeża na prawo od obozu, zaś czółno posłać na lewo. Morton miał wziąć dwudziestu ludzi ze swojej kompanii i ruszyć także w lewo, nie tracąc z oczu czółna. Haesowi poleciłem zebrać trzydziestu ludzi i skierować się w głąb łądu. Ja sam zebrałem czterdziestu ludzi z dwóch pozostałych kompanii i pozostawiłem namiestnika w obozie. Wzięliśmy amunicję i zapasy na trzy dni, uzbroiliśmy się w szpady, piki, pałki i muszkiety, po czym rozkazałem przygotować się do wymarszu nazajutrz wczesnym rankiem. Był to dwudziesty dzień od naszego zejścia na łąd.

O świtaniu wszyscy przyszedli odebrać moje rozkazy, które nie zmieniły się od dnia poprzedniego. Dodałem tylko, że jeśli znajdą coś szczególnego, niech natychmiast pošlą kogoś z nowinami do obozu. Przykazałem Mortonowi nie oddalać się od czółna i schodzić się z jego załogą co wieczór, przed zmrokiem. Podobnie umówiłem się z Maurycym.

Gdy rozkazy zostały wydane, wszystkie kompanie ruszyły w drogę, pełne nadziei i radości. Szedłem z moimi ludźmi w szyku wojskowym, podzieliwszy ich na trzy grupy. Straż przednia składała się z dziesięciu muszkieterów i kaprała, siły główne z dwunastu żołnierzy i sierżanta, a ja sam prowadziłem ariergardę. Grupy dzieliła odległość strzału z muszkietu, tak blisko brzegu, jak się dało, by nie stracić z oczu szalupy. Morze było bardzo spokojne, pogoda piękna, choć dość ciepła.

Około południa Maurycy zbliżył się do brzegu i stanęliśmy wspólnie na dwugodzinny odpoczynek. Teren, przez który szliśmy przez ostatnie dziesięć czy dwanaście mil, był podobny do okolic naszego obozu, bez źródeł ni strumieni, sam piasek i kamienie, na których rosły jedynie krzaki. Po kolejnych pięciu milach teren stał się nierówny, wznosił się niewielkimi pagórkami. Jeszcze dwie mile dalej znaleźliśmy strumyk słodkiej wody, który wpadał do morza. Sprawilo nam to niemałą radość, szczególnie gdy odkryliśmy, że nieco wyżej jest on ocieniony rozłożystymi, grubymi i bardzo zielonymi drzewami. Zatrzymaliśmy się w tym miejscu, dając znak szalupie, by do nas dołączyła, co udało jej się dzięki przyptywowi. Spotkaliśmy się miłą od

ujścia strumienia, gdzie rosły drzewa, i tam właśnie rozłożyliśmy obóz na noc. Maurycy przywiózł nam wiele ryb, ostryg i innych małż, więc mieliśmy przyzwoitą wieczerzę. Postawiliśmy strażę w miejscach, które wydały nam się najbardziej istotne i osłoniliśmy ognisko zielonymi gałęziami, wbijając je w ziemię tak, by płomień nie był widoczny z daleka w ciemności nocy.

Nazajutrz posłałem trzech ludzi do obozu, by powiadomili innych o miejscu, które znaleźliśmy i o tym, że mamy zamiar iść jeszcze dalej. Wysłałem też pięciu ludzi z zadaniem zbadania brzegów strumienia i rozkazałem im wrócić w ciągu dwóch godzin. Donieśli oni, że teren u góry strumienia staje się nieco bardziej górzysty, lecz jest równie jałowy i suchy. Nakazałem załódze z szalupy powrócić na morze, gdy tylko wszyscy znaleźli się na drugim brzegu strumienia. Bród znajdował się bowiem dwie lub trzy mile dalej. Szliśmy więc dalej wzdłuż wybrzeża, nie oddalając się od łodzi. W końcu zauważyliśmy, że teren coraz bardziej się wznosi. Pięć lub sześć mil dalej znaleźliśmy się na szczycie dość sporej góry, skąd ujrzelśmy w odległości jakichś trzech mil wysoki las, który schodził ku morzu. Uradował nas ten widok, wobec czego udaliśmy się w tamtym kierunku po krótkim postoju, pokonując piaszczystą równinę oddzielającą górę od lasu. Dwie godziny później dotarliśmy na miejsce.

Drzewa rosły tam niezwykle wysoko, lecz dość rzadko, niewiele też było runa leśnego, co wielce ułatwiało przejście. Ustawiłem oddział w gęstym szyku i podwoiłem straż tylną, by łatwiej mogła się obronić przed atakiem ludzi lub dzikich bestii. Idąc przez las, ścinaliśmy gałęzie i konary i rozkładaliśmy je po drodze, by móc ją rozpoznać w czasie powrotu. W ciągu trzech godzin dotarliśmy na drugi skraj lasu, skąd ujrzelśmy morze i kolejne drzewa po drugiej stronie zatoki, którą tworzyły dwa wcinające się w morze wzniesienia czy też przylądki. Było to przyjemne miejsce i miało piękny widok z góry i na drugą stronę zatoki. Żałowaliśmy, że morze nie wyrzuciło nas na brzeg bliżej tego miejsca niż tam, gdzie znajdował się nasz obóz.

Nasza szalupa została po drugiej stronie lasu i byliśmy zmuszeni ją tam zostawić, bo musiałyby bardzo nadłóżyć drogi, by do nas dotrzeć. Wysłałem dziesięciu ludzi na brzeg morza, gdzie ku naszej radości znaleźli wielkie ilości ostryg i małż. Posłałem kolejną dziesiątkę na skraj przylądka i jeszcze jedną na skraj lasu w poszukiwaniu wody pitnej. Ci, którzy poszli na przylądek, przeszli dwie mile, nic nie znajdując, jednak później nachylenie terenu skierowało ich do doliny pokrytej gęstymi, zielonymi drzewami, przez którą przepływał strumień wpadający do zatoki. Zatrzymali się w tym pięknym miejscu, po czym wysłali trzech ludzi, by powiadomili mnie o swoim znalezisku. Ci, którzy udali się w przeciwną stronę, powrócili, twierdząc, że weszli głęboko w las, który, jak uważali, poszerzał się w głąb lądu. Znaleźli tam stado jeleni w pobliżu niewielkiego strumyka i dwa z nich zabili. Podzielili tusze na cztery części i przynieśli je ze sobą.

Posłałem pięciu ludzi do Maurycygo, by zawiadomić go o tym szczęściu i polecić mu, by wyruszył w kierunku przylądka, gdzie ktoś będzie nań czekał z dalszymi rozkazami. Nakazałem tym ludziom także, by udali się później do obozu z nowinami i powiedzieli, że niedługo przybędę z powrotem. Dałem im także kawałek dziczyzny. Następnie udałem się z całym oddziałem do doliny, gdzie nas oczekiwano. Uznałem to miejsce za tak przyjemne i wygodne, że postanowiłem nie tylko spędzić tu noc, ale i jak najszybciej przenieść doń cały nasz stary obóz. Moi ludzie rozpalili ognisko i upiekli dziczyznę. Posłałem pięciu na skraj przylądka, by spotkali się z Maurycym. Poszli oni dwie mile dalej, na szczyt wzniesienia, skąd po kwadransie ujrzeli szalupę. Tuż przed zachodem słońca wciągnęli ją na brzeg i ruszyli wszyscy do nowego obozu, gdzie dotarli około północy. Znaleźli nas w radosnych nastrojach. Jedni zajmowali się pieczeniem dziczyzny przy ognisku, inni wylegiwali się na łożach z liści i mchu, które zebrali pod drzewami.

Spędziliśmy bardzo spokojną noc, nazajutrz zaś wstałem wczesnym rankiem i nakazałem Maurycemu i jego kompanii przygotować się do wyruszenia do starego obozu. Planowałem bowiem udać się tam drogą morską, biorąc tylko dwóch ludzi z mojego oddziału oprócz załogi szalupy. Pozostawiłem dowództwo w rękach jednego z moich oficerów, z rozkazem nieopuszczania doliny, zanim nie otrzyma ode mnie takiego polecenia. Obiecałem mu, że powrócę w ciągu trzech, czterech dni, zaś przez ten czas mieli się oni utrzymywać z polowania i połowów. Gdy rozkazy zostały wydane, odszukaliśmy szalupę i jeszcze tego samego dnia, przy dobrym wietrze, byliśmy w starym obozie. Zeszlśmy na ląd o zachodzie słońca i zostaliśmy powitani z ogromną radością. Ci, których posłałem wcześniej z wieściami, opowiedzieli wszystkim o naszych odkryciach i nowym obozie, więc cała kompania była zgodna, że należy się tam przenieść. Odparłem, że mam zamiar udać się tam najszybciej jak to będzie możliwe, gdyż miejsce to jest najdogodniejszym ze wszystkich, które dotąd widzieliśmy.

Morton i Haes powrócili dwie, trzy godziny przede mną i zdali mi sprawę ze swoich podróży. Pierwszy z nich powiedział, że udał się na odległość piętnastu mil na lewo od obozu, do krainy suchej i piaszczystej – nie znalazł tam żadnego źródła ani strumienia. Z nadejściem nocy wszyscy zebrali się na brzegu i spali razem, zgodnie z wydanymi przeze mnie rozkazami. Następnego dnia kontynuowali wyprawę na zachód, przez kamieniste tereny, nie znajdując kropli wody aż do południa, gdy natknęli się na dość dużą rzekę. Zatrzymali się tam w oczekiwaniu na czółno. Zauważyli jednak, że podczas przypływu morze wdzierало się w rzekę z wielkim impetem i hałasem, zaś woda w tym miejscu była słona. Musieli więc udać się dalej w górę rzeki, by znaleźć wodę pitną w strumieniu, który do tej rzeki wpadał. Idąc dalej w głąb łądu, zostali oni zaatakowani przez dwa wielkie krokodyle,

które wyszły z rzeki, by ich pożreć. Jednak zauważyli je w porę i posłali im kilka kul z muszkietu. Huk tak bardzo przeraził monstra, że wróciły ku rzece. Dostrzegłszy jednak niebezpieczeństwo poruszania się dalej wzdłuż rzeki ze względu na krokodyle i inne dzikie bestie, które mogły na nich czyhać, nie mając też wystarczających zapasów, by zapuszczać się w głąb łądu, uznali oni, że nie powinni iść dalej w tym kierunku. Zawrócili więc i dotarli do obozu tą samą drogą w ciągu wyznaczonych przeze mnie trzech dni.

Haes rzekł z kolei, że pierwszego dnia przeszedł dwadzieścia mil piaszczystej równiny, zaś wieczorem dotarli do niewielkiego wzgórza, pokrytego zaroślami, gdzie spędzili noc. Następnego dnia o świcie ujrzeli wielki pas mgły, która rozpraszając się w miarę, jak się do niej zbliżali, odkryła przed nimi duży staw z nieruchomą wodą, który musiał mieć nie mniej niż dziesięć mil średnicy. Gdy dotarli na brzeg, zobaczyli, że jest obrośnięty trzcinami i szuwarami, które stanowiły schronienie dla nieskończonej ilości kaczek i innych ptaków wodnych, które czynią tam niewyobrażalny harmider. Krążyli długo wokół jeziora, nie mogąc jednak zbliżyć się do wody przez otaczające ją bagniska i moczary, w których można było się zapaść. Dotarli wreszcie na teren piaszczysty u stóp góry nieco wyższej niż ta, na której spędzili noc. Wspięli się na sam szczyt, skąd ujrzeli ogromne, piaszczyste równiny, zaś dalej na południe pasmo wysokich gór, stromych jak mur i rozciągających się, jak okiem sięgnąć, od wschodu do zachodu. W obawie, że skończą im się zapasy, powrócili do obozu trzeciego dnia. Na podstawie tych relacji stwierdziliśmy, że mieliśmy znacznie więcej szczęścia niż ci dwaj kapitanowie. Wzmogło to jedynie powszechne pragnienie udania się do nowego obozu, gdzie były wygody, niespotykane gdzie indziej.

Następnego dnia zebrałem radę i zaproponowałem, by przenieść obóz do zielonej doliny, w której zostawiłem swoich ludzi. Propozycja ta została przyjęta gromkim aplauzem. Postanowiliśmy przeprowadzać się stopniowo, poczynawszy od przeniesienia najbardziej niezbędnych i najłatwiejszych w transporcie rzeczy. Nowa łódź miała być gotowa w ciągu kilku dni i mogła posłużyć do przewozu armat, beczek i innych ciężarów. Przetransportowaliśmy zapasy za pomocą szalupy i czółna, a także wysłaliśmy wielu ludzi łądem, z siekierami, gwoździami, łopatami i innymi narzędziami, które udało nam się ocalić z katastrofy okrętu. Major wyruszył z pierwszą grupą, zaś mój namiestnik z ostatnią. Wreszcie, gdy łódź była gotowa i załadowana, odprawiłem ją i sam wyruszyłem drogą łądową.

Zapomniałem dodać, że podczas drugiej podróży Maurycy opłynął przylądek bez niebezpieczeństw, ponieważ morze pozostawało spokojne – przez sześć tygodni od naszego lądowania nie było żadnej burzy. Klimat był tu tak umiarkowany, że nie cierpieliśmy ani z powodu zimna, ani gorąca. Tylko w południe słońce było dość ostre i stawało się cieplejsze w miarę przybliżania się do nas. Przynosiło wiosnę, która w tym

kraju zaczyna się w sierpniu, gdy w Europie opuszcza nas lato. Maurycy powiedział mi więc, że opływając przylądek, natrafił na wiele małych wysepek, których łańcuch rozciągał się aż do wielkiej wyspy osłaniającej zatokę przed falami. Uważał on, że zatoka tworzyła doskonały port, lecz obawiał się, że mógł on być niedostępny dla dużych statków z powodu wielkiej liczby wysepek i skał, rozsianych między przylądkiem a tamtą wyspą, która oddzielała zatokę od oceanu. Odrzekłem, iż kiedy tylko przewieziemy wszystkich ludzi i bagaże do nowego obozu i osiadziemy tam na dobre, będzie dość czasu, by zająć się odkrywaniem tych wysp i że będzie to jego zadanie. W ciągu dwunastu dni od znalezienia doliny cała kompania została przewieziona do nowego obozu, który Nuits i kilku innych oficerów nazwali Sidenbergiem. Stało się to podczas mojej trzydniowej nieobecności i nazwa ta była tak często powtarzana, że jej zmiana okazała się niemożliwa.

Nasi ludzie, na mój rozkaz i z własnej inicjatywy, postawili wiele solidnych chat wzdłuż strumienia, na obszarze długości mili, który dochodził do zatoki od wschodu. Na miejscu było pod dostatkiem drewna, zaś nasi rybacy złowili tyle ryb w zatoce, że z braku soli nie wiedzieliśmy, co z nimi czynić. Maurycy dostarczył nam jednak soli, ponieważ znalazł jej znaczne ilości na okolicznych wysepkach. Wystarczyłoby jej nawet, gdybyśmy mieli spędzić tu dwadzieścia lat. Sól ta powstaje naturalnie z wody morskiej, która podczas sztormów wypełnia zagłębienia w wysepkach, po czym odparowuje w słońcu. Codziennie wysyłaliśmy oddziały do lasu, by odkrywały tereny i polowały na jelenie, którym urządziliśmy srogą jatkę. Widzieliśmy także ptaki wodne latające na zatoką, co kazało nam sądzić, iż muszą mieć schronienie w jakimś nieznanym nam miejscu. Nie myliliśmy się. Maurycy, zapuszczając się każdego dnia coraz dalej w stronę wysp, odkrył miejsce zarośnięte trzciniami, gdzie przesiadywała większość ptaków. Znalazł także wysepkę lub piaszczystą łachę, gdzie zielone żółwie przybywały składać jaja, które stały się istotną częścią naszego pożywienia. Wreszcie znaleźliśmy tyle rzeczy, że zaspokoiiliśmy wszystkie nasze potrzeby i nie musieliśmy się obawiać, że zabraknie nam zapasów, nawet gdybyśmy pozostali w tym kraju na tysiąc lat. Największej troski przysparzał nam brak prochu, bo choć mieliśmy go jeszcze dość sporo, to widzieliśmy, że nie wystarczy on na długo. Przewidywaliśmy również, że nasze ubrania, bielizna, broń i narzędzia nie okażą się wystarczająco trwałe i że jeśli szalupa wysłana do Batawii nie dotrze na miejsce, nikt nie przybędzie nam z pomocą. Otrzymaliśmy jednak tyle dowodów Bożego miłosierdzia, że mieliśmy nadzieję, że nie opuści nas ono w przyszłości.

Wiosna jednak upływała, zbieraliśmy więc codziennie żywność, która pozwalała nam oszczędzać zapasy ze statku, szczególnie zaś kilka beczek grochu i innych warzyw, które przywieźliśmy z Europy. Po rozmowie z kilkoma oficerami postanowiłem zasiać

niec grochu. W tym celu ścięliśmy kilka drzew poniżej naszego obozu i spaliliśmy całe drewno, by pozbyć się traw i korzeni, które mogłyby zaszkodzić nasionom. Porobiliśmy następnie bruzdy i posadziliśmy tam groch, przysypując nasiona ziemią, podlewając czasem wodą ze strumienia i polecając uprawę temu, który odpowiada za wzrastanie wszystkich rzeczy.

Kilku myśliwych, dotarłszy daleko w głąb lasu, zabiło wiele jeleni. Nie mogąc zanieść wszystkich do obozu, powiesili dwa z nich na majestatycznym drzewie, z zamiarem zabrania ich następnego dnia. Siedmiu z nich powróciło nazajutrz w to miejsce i ujrzeli na drzewie tygrysa pożywającego się jednym z jeleni. Zaskoczył ich jego widok, ukryli się więc za jakimś drzewem. W końcu dwóch z nich załadowało muszkiety, wycelowało i strzeliwszy jednocześnie, śmiertelnie ranili tygrysa. Bestia wydała okropny, przerażający ryk, spadła z drzewa i kilka chwil później, raniona w dwóch miejscach, skołała. Myśliwi obdarli tygrysa z jego pięknej, nakrapianej skóry, zdjęli jelenie z drzewa i ponieśli wszystko triumfalnie do obozu. Chociaż ich sukces mnie uradował, stał się jednak przyczyną nowych obaw. Uznałem bowiem, że skoro znaleźliśmy w lesie jedną taką bestię, to mogło być ich tam znacznie więcej. Mogły one z czasem zapuścić się w pobliże naszego obozu i rzucić się na ludzi. Poddałem tę kwestię pod rozprawę radzie i postanowiono, że uczyni się wokół obozu rodzaj palisady. Zabraliśmy się do pracy nazajutrz i w ciągu dziesięciu dni byliśmy bezpieczni przed atakami dzikich bestii, które mogłyby nas napaść w nocy. Nasi myśliwi stali się ostrożniejsi i nie śmieli oddalać się zbyt daleko od obozowiska, z obawy przed podobnymi zdarzeniami.

Przebywaliśmy na tym wybrzeżu już od siedmiu tygodni i jak dotąd udało nam się uniknąć tumultu i sporów, ponieważ wciąż żyliśmy w strachu i niebezpieczeństwie. Jednak gdy tylko poczuliśmy się bezpieczni, nie lękając się głodu ani pragnienia, kiedy wszystkiego mieliśmy pod dostatkiem, codziennie jedząc mięso i świeże ryby, kiedy pracowaliśmy mniej niż poprzednio, miłość i kłótnie zaczęły nękać naszych ludzi.

Mieliśmy wśród nas wiele kobiet, o których z braku okazji niemal nie wspominałem. Wydaje mi się jednak, iż przyszedł czas powiedzieć na ich temat kilka słów. Kilka z nich było ubogimi niewiastami, które bieda i nadzieja na lepszy los skierowały do Indii. Inne miały tam mężów lub krewnych, jednak większość została wyciągnięta z domów rozpusty, gdzie zostały zamknięte przez mężczyzn, którzy kupili je za marne pieniądze. Kobiety te miały upodobanie do mężczyzn, którzy ze swej strony także zaczęli mówić z nimi o miłości. Wkrótce nawiązały się stosunki, ale ponieważ byliśmy w niewielkim, lecz dobrze strzeżonym obozie, trudno im było się spotykać potajemnie. Powodowało to nierzadko zazdrość i spory, które jednak kończyły się tylko na bijatykach. Prawda, że obawiając się surowości naszych praw, ukrywali się najlepiej, jak mogli. Moje zwykłe zajęcia i niedbałość innych oficerów sprawiały

zaś, że dość rzadko byłem zawiadamiany o tego rodzaju przypadkach. Oto jeden z nich, który przyniósł więcej hałasu.

Dwóch młodzieńców potajemnie spotykało się z jedną kobietą i każdy sądził, iż tylko jego obdarzała ona swymi łaskami. Zdarzyło się, iż niewiasta ta obiecała jednemu spotkać się z nim w nocy, co też uczyniła. Jednakże potem przyszedł drugi, prosząc o jej fawory. Odesłała go jednak pod dość lekkim pretekstem. Ta odmowa go zasmuciła, a że był z natury zazdrośnikiem, domyślając się po części prawdy, postanowił on uważnie obserwować swą kochankę i wkrótce odkrył przyczynę odmowy. Nakrył ją z jej zalotnikiem, co doprowadziło go do takiego gniewu, że dobył szpady, przebił nią ich oboje i zniknął, niezauważony przez nikogo. Kochankowie nie mogli jednak powstrzymać krzyków bólu, zostali więc odnalezieni przez strażnika, a wkrótce przez cały ront. Wyciągnięto z nich szpadę, która przybiła ich ciała do ziemi i zagłębiła się w niej na stopę. Zawołano chirurga, by ich opatrzył, co uczyniwszy, udał się do mnie, by zdać raport z tego, w jakim stanie ich zostawił.

Następnego dnia zwołałem radę, jednak nie potrafiliśmy wykryć sprawcy zamachu. Zapytaliśmy rannego, czy nie miał jakich wrogów, których mógłby podejrzewać. Odrzekł jednak, że nie uraził nikogo z oddziału i nie miał kogo oskarżyć. Przesłuchaliśmy następnie kobietę, lecz pomimo iż podejrzewała drugiego swego kochanka, okazała tyle uczciwości, że nie oskarżyła go, wiedząc, iż przebił ich szpadą w przystępie zdradzonej miłości. Nie mogąc znaleźć winnego, postawiliśmy wszystkich pod broń, każdego z osobna wywołując po imieniu i wreszcie znaleźliśmy takiego, który nie miał swojej szpady. Zapytaliśmy, dlaczego stawia się w szeregu bez broni. Odrzekł beczelnie, że jej nie ma.

– Czy nie miałeś jej, od kiedy jesteś wśród nas? – zapytałem.

– Wybacz panie – odparł – lecz pożyczyłem ją jednemu z towarzyszy, którego nazwiska nie znam. Powiedział mi, że otrzymał rozkaz udania się na szalupę.

Pokazaliśmy mu szpadę znaną w ciałach kochanków i zapytaliśmy, czy to jego broń. Odrzekł, że owszem, to ta sama, którą pożyczył swemu towarzyszowi.

– To skąd się wzięła owa szpada w ciałach tych dwojga nieszczęśników? – zapytałem ostro.

– Nie osądźaj mnie, panie, tak szybko – odparł. – Pozwól mi zauważyć, że jest bardziej prawdopodobne, że ten, który ją pożyczył, zadał cios. Odszedł przecież dziś rano, a pożyczył ode mnie szpadę tylko po to, by zrzucić na mnie winę.

Indagowałem go dalej, wreszcie zapytałem, dlaczego nie zna nazwiska tego, któremu pożyczył własną broń. Bez zdziwienia odrzekł, że przecież nic to nadzwyczajnego, bo nikt nie zna imion wszystkich, z którymi służy i których codziennie widuje.

– Ten, któremu pożyczyłem szpadę, nie jest mi bliższym towarzyszem niż inni, a nawet nie spotykam go zbyt często, gdyż zwykle przebywa na morzu. Dlatego

choć znam go z widzenia i nawet nierzadko z nim mówiłem, to nigdy nie przyszło mi do głowy zapytać o nazwisko.

Wszystkie te prędkie i subtelne odpowiedzi były raczej świadectwem bystrości jego umysłu niż niewinności. Nie mieliśmy jednak przekonujących przeciw niemu dowodów, zatem odłożyliśmy sąd na moment powrotu szalupy, która faktycznie wypłynęła tego ranka i powróciła dopiero kilka dni później. Do tego czasu zadowoliliśmy się osadzeniem go w areszcie.

Przez przypadek stało się tak, że kilku członków załogi, będąc na wysepkach, gdzie polowali na żółwie, zapragnęło zażyć kąpieli w morzu. Najlepsi pływacy oddalili się od brzegu tak bardzo, że zaatakował ich rekin i pożarł tego, który najbardziej się wysforował. Reszta przeraziła się tak bardzo, że zostawili nieszczęśnika na pastwę potwora i uciekli na brzeg. Więzień dowiedział się o tym zdarzeniu, zanim zdążyliśmy go wezwać na drugie przesłuchanie. Posłużył się zrećznie tym wydarzeniem, stwierdziwszy, iż ten, któremu pożyczył szpadę, był tym pożartym przez rekina. Opisał on jego wygląd tak dokładnie, że nikt nie znalazł nic do zarzucenia temu portretowi. Ponieważ nie mogliśmy znaleźć przeciw niemu wystarczających dowodów, zaś rannym nie groziła już śmierć, potrzymaliśmy go jeszcze przez czas jakiś w okowach, po czym puściliśmy wolno. Ostatecznie poznaliśmy prawdę o tych wydarzeniach dużo później.

Wypadek ten sprawił, że ustanowiliśmy nowe prawa. Uznaliśmy, że dopóki mamy wśród nas kobiety, będą one przyczyną kłopotów, o ile nie wprowadzimy porządku i nie pozwolimy mężczyznom korzystać z nich w sposób uregulowany. Problem polegał na tym, że było tylko siedemdziesiąt cztery kobiety na ponad trzystu mężczyzn, nie dało się więc przydzielić jednej kobiety jednemu mężczyźnie. Długo naradzaliśmy się, by znaleźć rozsądny środek zaradczy. Ostatecznie postanowiono, że każdy z wyższych oficerów będzie miał kobietę na wyłączność i wybierze ją sobie zgodnie ze swoją rangą. Podzieliliśmy resztę na klasy zgodnie z ich pozycją społeczną. Niżsi oficerowie mogli mieszkać z jedną kobietą przez dwie noce każdego tygodnia, ludzie pospolitego stanu jedną noc, a niektórzy raz na dziesięć dni, biorąc pod uwagę wiek i godność każdego z nich.

Oddzieliliśmy od reszty mężczyzn, którzy przekroczyli pięćdziesiąty rok życia, oraz cztery kobiety, które miały mężów w Batawii i obstawały przy swojej wierności. Przystawały cały czas we własnym towarzystwie i unikały innych. Jednak, gdy zauważyły, że te, których towarzystwa unikały, mają przyjaciół, a ich zachowanie spotyka się z uznaniem, zaś pomoc z Batawii nie nadciągała, stały się melancholijne i żałowały dokonanego wyboru. Okazywały swój smutek tak często, że byliśmy w końcu zmuszeni przydzielić im mężów. Przy tej okazji dało się zauważyć, iż poligamia nie sprzyja prokreacji, gdyż niewiele z tych kobiet, które miały wielu

mężczyzn, stało się brzeziennymi. Z kolei wszystkie te, które miały tylko jednego, zaszły w ciążę. Stąd wynika, że poligamia kobiet była często praktykowana i jest nadal pośród niektórych narodów, nigdy jednak nie czytałem, by poligamia mężczyzn była gdziekolwiek w zwyczaju.

Zbliżał się tymczasem moment, w którym zgodnie z umową mieliśmy dać sygnał ośmiu ludziom, którzy udali się w drogę do Batawii. Kazałem zatem ściąć wysokie, proste drzewo, osadzić je na szczycie przylądka i przymocować doń biały żagiel, największy, jakim dysponowaliśmy. Rozkazałem też rozpalać tam wielkie ognisko każdej nocy, by okręty wysłane na pomoc mogły nas odnaleźć w ciemnościach.

Mieliśmy nadzieję, że szalupa nasza dotarła do Batawii, a generał nie omieszkiał wysłać misji ratunkowej. Wydaje się jednak, iż Bóg zrzędził inaczej, gdyż pogoda, która od czasu ich wypłynięcia, była nader piękna, zmieniła się w taką słotę, że nie było niemal dnia bez burzy. Nasza zatoka była jednak osłonięta od fal dzięki wyspom i przylądkom, które chroniły ją od wiatrów. Padało niemal codziennie przez trzy tygodnie, lecz każdego dnia wychodziło też słońce, co dawało wieczne pomieszanie dobrej i złej pogody. Słusznie uczyniliśmy, soląc i susząc mięso i ryby w pustych beczkach, które wynieśliśmy ze statku.

Pogoda w końcu nieco się poprawiła, nie na tyle jednak, by raz czy dwa razy w tygodniu nie było deszczu, wiatru, burzy czy nagłej flauty. Odebrało nam to nadzieję, że kiedykolwiek dotrze do nas pomoc z Batawii, nawet jeśli nasi ludzie tam dopłynęli. Myśl ta kazała nam zadbać o siebie, nie licząc w żadnym stopniu na naszych przyjaciół, lecz tylko na Bożą Opatrzność i naszą własną przemyślność.

Nastał okres upałów i po deszczach wszystko rosło w mgnieniu oka. Groch także wyrastał i wszystko wskazywało na to, że czekały nas wielkie zbiory. Postanowiliśmy zatem oczyścić kolejny kawałek ziemi pod nowe uprawy. Zatoka obfitowała w ryby i ptactwo wodne, więc kiedy morze było spokojne, łapaliśmy ich, ile dusza zapagnie. Jednak sieci zaczęły się zużywać, musieliśmy więc rozerwać kilka lin, by zrobić nowe, które choć prostackie i źle wykonane, spełniały przecież swą rolę.

Myśliwi narobili w lesie takiego tumultu, że wystraszyli wszystkie jelenie, które nie podchodziły już bliżej niż na dziewięć, dziesięć mil od nas. Dlatego też łowcy postanowili obrać inną drogę i udać się morzem na drugą stronę zatoki, gdzie wszędzie widać było jeno lasy. Maurycy otrzymał wprawdzie rozkaz zbadania terenu i poinformował nas, że znajdowały się tam wielkie knieje, złożone z różnorodnych gatunków drzew i małej, dość głębokiej rzeki, która wpadała do zatoki. Powiedział, że zapuścił się na jakieś pięć mil w górę tej rzeki i znalazł tam tylko las i czasami mokradła. Sądził jednak, że uda się tam znaleźć zwierzynę. Należało posłać tam ludzi. Pięćdziesięciu wzięło zapasy na tydzień, wsiadło do łodzi i zostało przewiezionych

na drugą stronę zatoki. Zeszli tam na ląd, znaleźli dogodne miejsce na obóz, po czym odesłali nam jedną łódź, zachowawszy szalupę.

Następnego dnia kilku z nich upolowało w tych lasach wiele jeleni. Napotkali tam również zwierzęta przypominające świnie, jednak większe i cięższe, poruszające się dużymi stadami w poszukiwaniu owoców i korzeni. Zabili kilka z nich, a ich mięso wydało im się dużo smaczniejsze niż europejska wieprzowina.

Maurycy pragnął zbadać wielką wyspę czy też cypel, który osłaniał zatokę od strony morza. Udał się tam więc z dwudziestką ludzi. Pierwszy ląd od strony zatoki miał do zaoferowania jedynie kamienie i skały, jednak gdy opłynął wyspę od strony morza, odkrył, że znajdują się tam moczary, które, wyschnięte o tej porze roku, świetnie nadają się na pastwiska. Napotkali dużą liczbę jeleni i innej zwierzyny, która pozwalała podejść do siebie bardzo blisko. Następnie skierowali się ku wschodniej stronie wyspy i zauważyli, że oddziela ją od kontynentu wąski kanał, który jelenie pokonywały wplaw, by paść się na mokradłach. Wyspa mogła mieć wszystkiego dwanaście mil średnicy i była prawie okrągła. Nowe te odkrycia przyniosły nam wiele radości oraz pewność, że nigdy nie zabraknie nam zapasów, nawet gdyby było nas dziesięć razy więcej niż obecnie.

Sukcesy i pochwały sprawiły, że Maurycy nabierał coraz więcej śmiałości. Nie istniały dlań trudności i marzył tylko o nowych odkryciach. Ponieważ był człowiekiem dobrym, a przy tym rozważnym i przedsiębiorczym oraz wszystkie jego projekty wieńczyło powodzenie, byłem zawsze przychylny jego inicjatywom. Pewnego dnia powiedział mi, że zatoka rozciągała się daleko na południowy wschód, i sądził, że z tej strony mogła płynąć wielka rzeka, którą warto by było odkryć. Jako że to, co mówił, było prawdopodobne i chciałem mu sprawić przyjemność, pozwoliłem mu wziąć łódź i tylu ludzi, ilu zechce, a także zapasy na tydzień.

Otrzymałszy zgodę, rozpoczął przygotowania i postanowił popłynąć najdalej, jak to możliwe. Życzyliśmy mu powodzenia i szczęśliwego powrotu, po czym wróciliśmy do swoich spraw w nadziei, że niedługo znów go zobaczymy. W tym czasie groch był już niemal dojrzwały i dziewięć czy dziesięć dni po wyjeździe Maurycego mieliśmy wspaniałe zbiory – każda zasiana miarka dała ponad sto miar, rzecz niemal niewiarygodna. Oczekiwaliśmy na kolejne zbiory, które miały być nie mniejsze niż te pierwsze. Ususzyliśmy groch starannie i umieściliśmy go w beczkach, jak wszystko, co mogło doczekać do zimy, zadowolając się zjadaniem tego, co nie mogło zostać zachowane na później.

Już od ponad trzech miesięcy przebywaliśmy w Sidenbergu, bez żadnych wieści z Batawii. Kazało to nam sądzić, że nasza szalupa była stracona i postanowiliśmy więcej o niej nie myśleć. Jednak największym naszym zmartwieniem było to, że Maurycy nie wracał już od ponad dziesięciu dni. Nie wiedzieliśmy, co się z nim

działo, a czas wyznaczony na jego powrót już minął. Nie mieliśmy pojęcia, co począć. Baliśmy się, że jeśli wyślemy szalupę na poszukiwania, to również ją stracimy, a bez niej byłoby nam trudno przetrwać. Nasi myśliwi założyli drugi obóz po tamtej stronie zatoki i potrzebowaliśmy statku, by zachować z nimi kontakt.

Wszystkie te rozważania wywołały smutek i powszechną zgryzotę w całym obozie. Już od piętnastu dni nie mieliśmy wieści od Maurycygo. Nie wiedzieliśmy, co o tym sądzić, ponieważ od jego wyjazdu nie było sztormu, który mógłby mu zagrozić. Nie wierzyliśmy, by mógł wpaść w ręce piratów bądź innych nieprzyjaciół, bo z doświadczenia naszego wynikało, że na tym lądzie nie było ludzi, zaś bestie nie mogły dosięgnąć go na morzu.

Gdy tak wahaliśmy się między nadzieją a obawą, pewnego spokojnego dnia ujrzeliśmy łódź Maurycygo w towarzystwie dwóch innych statków płynących w stronę Sidenbergu. Patrzyliśmy na nie ze zdumieniem, nie rozumiejąc, skąd Maurycy mógł wziąć dwie obce łodzie ani cóż to mogli być za ludzie. W oddali zauważyliśmy kolejnych dziesięć żagli. Owa flota wprawiła cały nasz obóz w konsternację. Chwyciliśmy za broń, narychtowaliśmy działa do obrony i posłaliśmy ludzi na brzeg, by obserwowali manewry floty i nie pozwolili na lądowanie. Tymczasem statki wciąż zbliżały się do nas, choć, z braku wiatru, powoli. Gdy dotarły na odległość strzału z muszkietu od brzegu, wszystkie rzuciły kotwicę w doskonałym porządku, zaś łódź Maurycygo podpłynęła na tyle blisko nas, że mogliśmy rozpoznać jego i naszych ludzi i z nimi porozmawiać. Rzekł, byśmy się nie obawiali i wysłali czólną z trzema ludźmi, by mogli zejść na ląd. Po konsultacjach uczyniliśmy, o co prosił. Wskoczył doń z jednym ze swoich ludzi, następnie zaś pomógł wejść doń wysokiemu człowiekowi w czarnych szatach i kapeluszu, który niósł białą flagę na znak pokoju. Zszedł ów człek na ląd wraz z Maurycym, a kilku naszych oficerów i ja wyszliśmy na ich spotkanie. W kilku słowach Maurycy powiadomił nas, iż mąż ten był wysłannikiem gubernatora pewnego miasta, gdzie on i jego ludzie zostali przyjęci w sposób nader godny. Miasto to miało być położone około sześćdziesięciu mil powyżej zatoki. Poprosił nas, byśmy go traktowali uczciwie i z szacunkiem. Przywitaliśmy zatem gościa, on zaś powitał nas z łagodnością i powagą, po czym, wznosząc prawicę ku niebu, rzekł całkiem zrozumiale po niderlandzku:

– Bóg wiekuisty niech wam błogosławi, a Słońce, jego wielki minister i nasz chwalebny władca, niech świeci nad wami, a nasza ojczysta ziemia niechaj da wam szczęście i pomyślność.

Po tym pozdrowieniu, które wydało się nam wielce niezwykłe, Maurycy wskazał mnie jako generała jego kompanii. Tamten wyciągnął ku mnie rękę, którą ucałowałem skromnie. Następnie on objął mnie i ucałował w czoło, po czym wyraził pragnienie udania się do naszego obozu, gdzie przyjeśliśmy go najlepiej, jak

potrafilismy. Obejrawszy z podziwem nasze chaty i palisadę, zwrócił się do mnie w tych słowach:

– Poznałem historię waszego nieszczęścia i zdając sobie sprawę z pańskich zalet i cnót, bez lęku powierzyłem swą osobę w pańskie ręce. Wierzę, iż moje życie jest w nich bezpieczne, a pan zgodzisz się niedługo powierzyć mi swoje, gdy już dowiesz się, kim jestem. Jednak by nie trzymać was długo w niepewności, dam wam w spokoju wysłuchać opowieści o przygodach Maurycego. Tymczasem odpocznę nieco, a wy zaspokajajcie swą ciekawość.

Odpowiedzieliśmy głębokim ukłonem i pozostawiliśmy go samego w mojej chacie, następnie zaś udaliśmy się do domu Nuitsa, gdzie czekał już Maurycy. Gdy tylko weszliśmy, zażądaliśmy odeń sprawozdania z podróży, on zaś podjął opowieść:

– Około trzy tygodnie temu wypłynąłem z Sidenbergu z zamiarem dokonania nowych odkryć w zatoce. Pierwszego dnia przeplłynęliśmy jakieś dwadzieścia mil na południowy wschód, gdzie widzieliśmy po obu stronach jedynie ogromne lasy, oddalone od siebie o jakieś pięć, sześć mil. Wieczorem rzuciliśmy kotwicę o milę od prawego brzegu rzeki i tam spędziliśmy całą noc. Nazajutrz wyruszyliśmy z wiatrem i przyrywem, wciąż posuwając się na południowy wschód. Jakieś pięć mil dalej odkryliśmy, że rzeka zwęża się i ma w tym miejscu już tylko dwie mile szerokości. Z pewną trudnością płynęliśmy dalej, aż dotarliśmy do miejsca, gdzie rzeka rozlewała się w wielkie jezioro, ze środka którego ledwo można było dostrzec brzegi. Ujrzelismy tam dziesięć czy dwanaście niewielkich wysepek rozsianych w różnych punktach, w większości zacienionych wysokimi, zielonymi drzewami. Wiatr się zmienił, a jezioro stało się tak spokojne, że z trudem można było dostrzec na nim jakikolwiek ruch. Jednak, ponieważ było ono ogromne, pozwalaliśmy się przenosić wiatrowi z jednej strony na drugą, choć kiedy się dało, staraliśmy się kierować na południowy wschód.

Wieczorem zerwał się lekki, chłodny zefir, który popchnął nas właśnie w tamtą stronę. Gdy zapadła noc, rzuciliśmy kotwicę między dwiema czy trzema z owych wysepek, oddalonych od siebie o jakieś trzy mile. Mieliśmy zamiar zwiedzić je następnego dnia. Spędziliśmy tam całą noc bez obaw, nie spodziewając się, że wysepki te mogą być zamieszkałe. Myliliśmy się jednak grubo, bo gdy tylko nadszedł dzień, znaleźliśmy się otoczeni przez tuzin statków, pełnych uzbrojonych ludzi, w taki sposób, że nijak nie mogliśmy im umknąć. Byliśmy przerażeni, sądziliśmy bowiem, że wszyscy zostaniemy zabici lub wzięci do niewoli.

Dwie były możliwości: walczyć bądź poddać się nieznanym ludziom, którzy mieli prawo potraktować nas tak, jak im się podobało. Postanowiliśmy bić się do ostatniego, chwyciliśmy więc za broń, albowiem nie mieliśmy możliwości ucieczki. Pogoda była bowiem nad wyraz spokojna, zaś ci, którzy nas otaczali, mieli wiele

szalup obsadzonych wiosłarzami. Gdy dotarli na odległość strzału z muszkietu, zatrzymali się wszyscy z wyjątkiem jednego małego statku, na którym ujrzelśmy człowieka trzymającego flagę na znak pokoju i przyjaźni. Pozostaliśmy pod bronią, ale pozwoliliśmy mu się zbliżyć, widząc, że nie jest w stanie zaatakować nas samodzielnie.

Gdy znaleźli się na odległość strzału z pistoletu, człowiek ze sztandarem złożył głęboki ukłon i zwrócił się do nas po hiszpańsku. Powiedział, byśmy się nie lękali, ponieważ nikt nie chce naszej krzywdy. Jeden z moich ludzi, który znał ten język, wyjaśnił nam, w czym rzecz, i zapytał, dlaczego zostaliśmy w ten sposób otoczeni. Tamten odrzekł, iż taki jest zwyczaj w jego kraju, ale że nie zrobią nam nic złego. Chciał wiedzieć, skąd przybywamy, a gdy dowiedział się, że jesteśmy z Niderlandów, ucieszył się i chciał wejść z jednym towarzyszem na naszą łódź. Zaoferował, że będzie naszym zakładnikiem do czasu, gdy sprawy między nami zostaną lepiej załatwione. Ponieważ propozycja ta była sprawiedliwa, zgodziliśmy się na wszystko, on zaś wszedł na nasz pokład z jednym tylko człowiekiem. Był on dobrze zbudowany, ubrany w czerwoną szatę, sięgającą kolan. Jego towarzysz nosił się podobnie, obaj mieli około czterdziestu lat. Gdy tylko weszli na pokład, pierwszy z nich zapytał po niderlandzku, kto z nas jest dowódcą. Gdy dowiedział się, że to ja, podszedł do mnie, uścisnął i rzekł, że cieszy się z naszego przybycia do jego kraju. Dziwił się tylko, jak udało nam się tu dotrzeć na tak małym statku. Odparłem, że przybyliśmy na większym okręcie, lecz rozbił się on na tym wybrzeżu, a łódź tę zbudowaliśmy z jego szczątków. Zapytał wówczas, czy wszyscy nasi ludzie są bezpieczni, a ja odrzekłem, że jesteśmy jedynymi, którzy przeżyli. Uznałem bowiem, że lepiej będzie nie wspominać o was ani o reszcie naszego oddziału, dopóki nie zobaczymy, jak nas potraktują. Powiedział, że jest głęboko poruszony naszą stratą i współczuje nam w tym nieszczęściu.

Zadał mi potem wiele pytań na temat naszej podróży, katastrofy statku i obecnego stanu Europy. Odpowiedziałem mu tak, jak uznałem za stosowne. Moje odpowiedzi zadowolily go i oświadczył, że trafiliśmy do kraju, gdzie otrzymamy więcej pomocy i życzliwości niż w naszym własnym i nie zabraknie nam niczego, co potrzebne jest do szczęścia ludziom znajdującym umiar.

Podziękowaliśmy mu i zapytaliśmy o nazwę tego kraju. Odrzekł, iż w ich języku ziemia ta nazywa się Sporumbią, jej mieszkańcy Sporumbianami, byli zaś oni poddanymi większego i szczęśliwszego państwa, położonego za górami, a zwanego Sewarambią i zamieszkiwanego przez Sewarambian. Ich władcy przebywali zaś w wielkim mieście o nazwie Sewarinda, my natomiast znajdowaliśmy się jakieś trzynaście czy czternaście mil od mniejszej miejscowości zwanej Sporundią, do której mieli nas zaprowadzić. Zaskoczyło nas to, jednak na widok obawy malującej

się na naszych twarzach człowiek ten postarał się, jak najszybciej ją rozproszyć: „Powiedziałem wam już – rzekł – że niczego nie musicie się obawiać i powtarzam raz jeszcze, że nie zaznacie od nas nijakiej krzywdy, jeśli nie ściągniecie jej na siebie przez waszą nieufność i upór. Jest was tak niewielu na tym małym stateczku, że w żaden sposób nie jesteście w stanie się obronić przed naszymi okrętami obsadzonymi dobrymi żołnierzami, którzy nie gorzej od was potrafią się bić. Przekonacie się, że nie jesteśmy tak barbarzyńscy, jak możecie sobie wyobrażać. Być może przyznacie nawet, że nie brak nam honoru, miłosierdzia ani dobrej wiary”. Następnie udali się na drugą stronę łodzi, jakby dając nam swobodę zdecydowania co dalej. Postanowiliśmy wysłuchać otrzymanej rady i zaufać Bożej Opatrzności.

Ten, który z nami rozmawiał, podszedł do nas i zapytał, co uczynimy. „Postanowiliśmy – powiedziałem – być wam posłusznymi we wszystkich sprawach i cieszymy się, że znaleźliśmy się pod waszą opieką. Jesteśmy bowiem biednymi nieszczęśliwymi, godnymi litości raczej niż gniewu i mamy nadzieję, że znajdziemy wśród was wsparcie i pociechę, które ofiarowałeś nam z dobrego serca, wzruszony naszą nędzą”.

Odrzekł: „Znajdziecie tu wszystko, o co prosicie, a jeszcze zobaczycie cuda, których nie ma nigdzie indziej”. Dał znak załodze swojej szalupy, by się zbliżyli. Przynieśli nam chleb, wino, daktyle, winogrona, figi oraz rozmaite orzechy, którymi się pożywiłszy. Posłaniec wyjawiał nam, że nazywa się Carchida, zaś jego towarzysz nosi miano Benoscar. Ja także im się przedstawiłem i zapytałem, skąd tak dobrze zna niderlandzki, skoro mieszka w kraju tak bardzo oddalonym od Niderlandów. Odrzekł, że powie mi to później, na razie trzeba było bowiem zająć się podróżą do Sporundii, by dotrzeć tam przed nocą. Rozkazał, by szalupa wzięła naszą łódź na hol, zaś drugi statek płynął za nami.

Opuściliśmy wyspy i oddaliliśmy się od ich floty, która pozostała na miejscu, dopóki nie straciła nas z oczu. Aż do godziny drugiej po południu płynęliśmy przez słone jezioro, które bardziej przypominało morze. Wkrótce potem dostaliśmy pomyślny wiatr, który w ciągu dwóch godzin pchnął nas na wielką, słodkowodną rzekę. Wydawało się nam, iż oba jej brzegi były zamieszkane. Dwie mile dalej dotarliśmy do wąskiego przejścia otoczonego z obu stron murem, który mieszkańcy wzniesli, by obronić się przed wylewami rzeki. Zauważyliśmy, że wzdłuż tych murów stoją budynki z kamienia i cegły, zbudowane jak zamki na planie kwadratu. Popłynęliśmy jeszcze dwie mile dalej, wciąż wzdłuż murów, i cały czas widzieliśmy te kwadratowe budowle, aż do samej Sporundii.

Miasto to jest położone przy przecięciu dwóch wielkich rzek, na ogromnej równinie, gdzie rozciągają się przepiękne pola obsiane pszenicą, łąki, winnice, ogrody i gaje. Mała szalupa, która z początku płynęła za nami, teraz wyprzedziła nas, by powiadomić mieszkańców o naszym przybyciu. Dlatego też, kiedy już przybiliśmy do wielkiego,

wspaniałego nabrzeża, czekało na nas mnóstwo ludzi. Carchida, który zszedł na ląd jako pierwszy, został przyjęty przez mężów poważnych i majestatycznych, odzianych w czerw. Mówił z nimi czas jakiś, po czym dał znak Benoscarowi, by sprowadził nas na nabrzeże. Ten powiedział nam w kilku słowach, co mamy czynić i kazał nam iść za sobą. Zbliżając się do czekających na nas panów, skloniliśmy się trzykrotnie aż do ziemi. Oni także uklonili się lekko, zaś najokazalszy z nich ucisnął mnie z dobrocią i ucałował w czoło. Następnie rzekł: „Witajcie w Sporundii”.

Poprowadzono nas do miasta przez wielką, wspaniałą bramę, do której dochodziła piękna aleja, poprzecinana gęsto podobnymi ulicami. Wreszcie powiedziano nas do przepięknego domu, którego wrota także były przepiękne, a komnaty rozmieszczone jak w klasztorze, otoczone ze wszech stron szerokimi krużgankami. Na środku zielenił się trawnik. Z owego podwórca przeprowadzono nas do dużej sali, gdzie zaczekaliśmy czas jakiś, wraz z panami, którzy przyjęli nas w porcie. Zadali nam oni te same pytania, co wcześniej Carchida. Chwilę później przeszliśmy do innej sali, gdzie czekały na nas stoły zastawione mięsivem i nakryte mniej więcej na modłę europejską. Wówczas Sermodas, czyli człowiek, który przybył tu dziś z nami, zapytał mnie, czy mam apetyt. Odparłem, iż od tak dawna nie widzieliśmy podobnej wieczerzy, że chyba żadnemu z nas apetytu nie zbraknie. Uśmiechnął się i ująwszy mnie za rękę, posadził obok siebie, u szczytu stołu. Inni także zajęli miejsca, zaś Carchida i Benoscar poprowadzili moich ludzi do drugiego stołu.

Uraczono nas ze wszech miar godną wieczerzą, po czym zaprowadzono do wielkiej komnaty, gdzie znaleźliśmy wiele łóżek na żelaznych stelażach, na których kazano moim ludziom położyć się po dwóch. Ja otrzymałem osobną komnatę, dokąd zaprowadzili mnie Sermodas i inni. Życzyli mi dobrej nocy i wyszli. Chwilę później przyszedł Carchida i powiedział, że musimy przygotować się do jutrzejszej wizyty u Albicormasa, gubernatora Sporundii. Dodał, że przekaże konieczne instrukcje, po czym życzył mi dobrej nocy.

Następnego dnia, około szóstej rano, usłyszeliśmy bicie wielkiego dzwonu, zaś jakąś godzinę później Carchida i Benoscar weszli do mej komnaty z pytaniem, czy dobrze wypocząłem i czy czego nie potrzebowałem. Chciałem w pierwszej chwili wstać z łoża, jednak powiedzieli mi, bym leżał, dopóki nie przyniosą mi stroju, co miało nastąpić niebawem. Benoscar oddalił się na moment i wrócił ze służącymi, którzy nieśli bieliznę i strój utkany z wełny i bawełny, na modłę tego kraju. Następnie przyszło więcej służby z misą letniej wody, w której miałem umyć całe ciało, przed założeniem na nie nowego stroju. Wszedł wraz z innymi, zostawiając mi tylko jednego lokaja do pomocy. Umyłem się więc i wziąłem rzeczy, które mi przynieśli. Na wierzch założyłem różnokolorową szatę, którą przewiązałem pasem i pozwoliłem ją ułożyć lokajowi.

Chwilę później przybył Carchida i rzekł, że mam się udać do Albicormasa ze swoimi ludźmi, którzy czekają już tylko na mnie. Pouczył mnie, jak mam się zachowywać podczas tej ceremonialnej wizyty i wyszliśmy na podwórze, gdzie znalazłem moich ludzi odzianych w podobne stroje. Benoscar tłumaczył im właśnie, jak powinni się zachowywać. Przez jakiś czas staliśmy na tym podwórku, patrząc jedni na drugich, aż przyszedł Sermodas ze swiątą. Zapytał, czy jesteśmy gotowi iść z nim na radę. Odrzekłem, że tak, po czym wziął mnie za rękę i poprowadził po swojej lewicy. Carchida stanął na czele mych ludzi, których ustawiono dwójkami, jak żołnierzy, zaś Benoscar stanowił ariergardę. W tym szyku przeszliśmy przez kilka ulic aż do wielkiego placu pośrodku miasta.

W centralnym punkcie stał wspaniały pałac na planie kwadratu, zbudowany z białego kamienia i jakoby czarnego marmuru, tak czystego i gładkiego, że zdawało się nam, iż murarz dopiero co skończył nad nim pracować, choć budynek stał tu przecież od dawna. Wrota pałacu otaczały różne posągi z brązu, a po każdej stronie stały dwa szeregi muszkietierów, odzianych w błękitne szaty. Na pierwszym dziedzińcu ujrzeliśmy szeregi halabardników ubranych na czerwono i gdy tylko weszliśmy, dało się słyszeć trąbki i inne instrumenty wojskowe, wygrywające całkiem ładną melodię. Stamtąd przeszliśmy na dziedzińiec z czarnego marmuru, ozdobiony posągami z białego marmuru. Stało tam ponad stu mężczyzn w czarnych szatach, nieco starszych od tych, którzy powitali nas na nabrzeżu. Pozostaliśmy tam czas jakiś, patrząc na nich, aż w końcu dwóch ludzi ze złotymi szarfami na ramionach powiedziało Sermodasowi, by poprowadził nas dalej. Wciąż w tym samym szyku, co wcześniej, weszliśmy do wielkiej sali, pomalowanej i złoconej, gdzie zatrzymaliśmy się na chwilę. Poprowadzono nas potem do drugiego, jeszcze piękniejszego pomieszczenia, a następnie do trzeciego, które przyćmiewało tamte pięknością i bogactwem.

Na końcu tej sali ujrzeliśmy niewysoki tron, a po każdej ze stron nieco niższe odeń siedziska. Zobaczyliśmy na owym tronie odzianego w purpurę człowieka o majestatycznym wyglądzie. Na innych krzesłach zasiadali czcigodni mężowie, ubrani podobnie do tych, którzy przyszli po nas rano. Powiedziano nam, że człowiek w purpurze to Albicormas, a reszta to główni urzędnicy miejscy, którzy wraz z nim rządzą całą Sporundią. Złożyliśmy ukłon na środku sali, następnie trochę dalej złożyliśmy kolejny, jeszcze głębszy. Gdy dotarliśmy do balustrady u stóp tronu, skłoniliśmy się jeszcze niżej. Wówczas wszyscy radcy powstali i powitali nas lekkim ukłonem, po czym usiedli z powrotem. Albicormas jednak pozdrowił nas jedynie skinieniem głowy. Następnie Sermodas wziął mnie za ramię, poprowadził do balustrady i skłoniwszy się nisko przed gubernatorem, opowiedział mu w swoim języku wszystko, czego dowiedział się o naszych przygodach. Wydało mi się, iż język ten miał w swej wymowie coś podobnego do greki i łaciny oraz że był łagodny i majestatyczny.

Gdy Sermodas skończył mówić, sprowadzono Carchidę, który opowiedział radzie dokładniej, w jaki sposób dotarliśmy do owego jeziora, które nazywają Sporaskompo, jak zostaliśmy wykryci i przechwyceni. Kilka dni później ja także dowiedziałem się, jak do tego doszło. Dzień, w którym dopłynęliśmy do jeziora, był dniem uroczystego święta w całym kraju. Wyspiarze zajęci więc byli świętowaniem, dlatego nie było nikogo na wodzie, choć zwykle wiele statków wypływa tam na połów. Choć jednak my nie zauważyliśmy nikogo, to zostaliśmy dostrzeżeni przez wyspiarzy, którzy nie chcieli zrazu się pokazywać, by nas nie wystraszyć. W nocy wysłali jednakże statki, by nas otoczyły, uniemożliwiając ucieczkę. Lud ten strzeże zwykle dokładnie swych granic z obawy, że obcy, przez swój zły przykład, mogliby zepsuć ich niewinność i zaburzyć spokój, wprowadzając między nich swoje przyzwary.

Gdy Carchida zakończył relację, Albicormas powstał i odezwał się do nas w swoim języku, zaś Sermodas przetłumaczył, że zostaniemy dobrze przyjęci w ich kraju, gdzie znajdziemy wszelkie wygody i będziemy przebywać w Sporundii, dopóki nie otrzymają oni wiadomości od Sewarminasa, wicekróla Słońca, który rządził w Sewarindzie. Albicormas miał wysłać doń gońca jeszcze tego samego dnia, by powiadomił go o naszym przybyciu i przekazał rozkazy władcy. Do tego czasu miało niczego nam nie zabraknąć i mieliśmy otrzymać wszystko, czego potrzebowaliśmy, pod warunkiem że będziemy słuchać rad Sermodasa i urzędników.

– Nakłaniam was do umiarkowania i uczciwości – rzekł, po czym pożegnał nas.

Zauważyłem, iż Albicormas był trochę garbaty, podobnie jak wielu radców. Poza tym był dobrze zbudowany i wyglądał zdrowo. Dowiedzieliśmy się później, że w mieście tym, oprócz znacznej liczby ludzi dobrze zbudowanych, wiele było osób z wadami wrodzonymi, ponieważ mieszkańcy Sewarindy wysyłali tu wszystkich, którzy narodzili się z jakimiś niedoskonałościami, nie życząc sobie ich obecności w swoim mieście. Dowiedzieliśmy się także, że słowo „esperu” oznaczało w ich języku osobę z wadą cielesną bądź umysłową, zaś nazwa „Sporundia” była oznaczeniem miejsca, gdzie takie osoby przebywają.

Po spotkaniu z Albicormasem powróciliśmy do naszej kwatery, gdzie czekał już na nas obiad. Pozostaliśmy w domu całe popołudnie, a wieczorem Sermodas i Carchida przyszli pokazać nam miasto, gdzie zewsząd schodzili się ludzie, by nas zobaczyć. Było to najbardziej regularne miasto, jakie w życiu widziałem. Posiada ono wielkie, kwadratowe budowle, wszystkie jednakowe, a w każdej z nich mieszka ponad tysiąc osób. Jest tych budynków siedemdziesiąt sześć w całym mieście, którego obwód wynosi więcej niż cztery mile. Powiedziałem już, iż jest ono położone między dwiema wielkimi rzekami, które w sposób naturalny tworzą rodzaj półwyspu. Jednak sztuka tego ludu uczyniła zeń doskonałą wyspę, łączywszy rzeki kanałem, jakieś dwie mile powyżej miasta. Kanał ten otoczony jest dwoma wielkimi murami, między

którymi zawieszono tuzin drewnianych mostów. Tylko most środkowy jest bardzo szeroki i mocno zbudowany z kamienia. Pokazano nam ów kanał i jego okolice dwa czy trzy dni po naszej pierwszej audycji.

W nocy, dwie godziny po wieczerzy, poprowadzono nas do wielkiej sali, gdzie czekało na nas piętnaście młodych kobiet. Większość z nich była wysoka, pulchna, wszystkie zaś były odziane w bawełniane, farbowane suknie. Ich czarne włosy opadały pięknymi warkoczami na ramiona. Widok tych kobiet ustawionych w szeregu zdziwił nas, nie wiedzieliśmy bowiem, w jakim celu je tu zebrano. Sermodas oświecił mnie w tych słowach:

– Zdumiewa cię, Maurycy, widok tylu młodych kobiet naraz i nie wiesz, dlaczego tu są. Jestem nawet przekonany, że dziwi cię ich ustawienie i ubiór nieco inny od noszonego przez resztę kobiet, które noszą zwykle chustę na głowie. Dowiedz się zatem, iż są to niewolnice, których zadaniem jest wam służyć. Wszystkie narody świata mają swoje obyczaje. Niektóre z nich są z natury złe, ponieważ sprzeciwiają się rozumowi. Inne są obojętne i wydają się dobre lub złe tylko poprzez opinie i przeświadczenia tych, którzy je praktykują. Jednak istnieją także zwyczaje oparte na rozumie i te właśnie są prawdziwie dobre same przez się, jeśli tylko rozważy się je dokładnie. Niemal wszystkie nasze obyczaje należą do tego ostatniego rodzaju i niewiele mamy takich, które nie zostałyby ustanowione w zgodzie z rozumem.

Zdajesz sobie niewątpliwie sprawę, że korzystanie z umiarem z rzeczy, które natura przeznaczyła, by służyły żywym istotom, jest samo z siebie dobre. Jedynie ich nadużywanie jest rzeczą złą. Wśród tych rzeczy trzy są główne. Pierwsza dotyczy zachowania życia każdej jednostki. Druga, zachowania stanu szczęśliwości. Trzecia zaś ma na celu wzrost lub pomnażanie każdego gatunku. Co się tyczy zachowania jednostki, na przykład człowieka, zależy ono od pewnych dóbr, bez których nie mógłby on przetrwać, ponieważ są mu niezbędne. Jadło, napój i sen należą niewątpliwie do tych rzeczy. Ponieważ jednak człowiek nie potrafiłby znaleźć szczęścia tylko w tych trzech źródłach, to chociaż wystarczą mu do przetrwania, nie są przecież zdolne uczynić jego życia dobrym i przyjemnym. Stwórca natury dał więc człowiekowi inne dobra, które, w połączeniu z pierwszymi, czynią go zadowolonym, jeśli tylko zachowuje rozwagę i umiar, a nie rzuca się szaleńczo w pogoń za mylnymi pozorami wyobrażonego szczęścia i nie podąża ślepo za swymi rozwiązanymi namiętnościami. Rzeczy te, które czynią człowieka szczęśliwym, to, naszym zdaniem, zdrowie ciała, spokój umysłu, wolność, dobre wykształcenie, praktykowanie cnoty, towarzystwo ludzi szlachetnych, dobre mięsiwa, odzienie, wygodne siedziby. Czynią one żywot szczęśliwym, jeśli tylko korzysta się z nich z umiarem i nie przywiązuje do nich zbyt wiele.

Jednak ponieważ natura zechciała ograniczyć nasze życie do pewnej liczby lat, po upływie których nie możemy już cieszyć się wszystkimi tymi dobrami,

ciała nasze przestają wreszcie żyć i rozkładają się, a każda ich część wraca do swej pierwotnej formy lub przyjmuje nowy kształt. Natura zapragnęła także zachować każdy gatunek, a nawet powiększać go dzięki rozmnażaniu, które to, by tak rzec, ożywia każde stworzenie i zachowuje dla świata wszystkie zwierzęta i rośliny, będące jednymi z najpiękniejszych jego ozdób. By osiągnąć ów cel, natura wyposażyła każdy gatunek w samców i samice, by połączenie tych dwóch płci stało się przyczyną powstawania nowych zwierząt, które są najszlachetniejszym dziełem natury i którymi zajmuje się ona najwięcej. Jednak by uczynić kondycję każdego zwierzęcia szczęśliwszą i łatwiej osiągnąć swoje zamierzenie, natura zapragnęła powiązać owo zjednoczenie z rozkoszą, którą my nazywamy miłością. Miłość wiąże i zachowuje wszystkie rzeczy, a kiedy jest uregulowana przez rozum, przynosi jedynie dobre skutki, bo stawia sobie wyłącznie dobre cele. Są to uczciwe przyjemności, wzrost i pomnażanie gatunku, do czego wszystkie zwierzęta dążą w naturalny sposób.

Nasz wielki i oświecony prawodawca Sewarias, biorąc wszystkie te sprawy pod rozwagę, słusznie nakazał karać nieumiarkowanie i rozwiązłość, jednak nakazuje on także podążać za wolą Boga i natury dla zachowania gatunku ludzkiego. Dlatego też nakazał on, by ludzie, osiągnąwszy pewien wiek wskazany przez prawo, brali ślub, podróżnicy zaś mogli mieszkać z niewolnicami, których mamy dość sporo. Wielki ów człowiek zabronił nam postrzegać jako zbrodnię to, co przyczynia się do zachowania gatunku. Jednakowoż nie życzył sobie, by przesada triumfowała nad umiarkowaniem, które musi towarzyszyć wszelkim przyjemnościom. Dlatego właśnie każdy mężczyzna musi u nas mieć kobietę.

Zauważyliście także, że przyprowadzono wam ich tyle, ilu jest was samych. Będą was one odwiedzać co dwa dni, przez cały czas waszego pobytu wśród nas. Zdaję sobie sprawę, iż obyczaj ten zostałby potępiony w Europie, gdzie nie zrozumiano jeszcze, że cnota tkwi w rozsądnym korzystaniu z miłości, a nie w rezygnowaniu z niej. Jednakże dzięki temu nie ma u nas żadnego z tych ohydnych występków, które hańbią wasze narody.

Dodał jeszcze wiele rzeczy, które nie były konieczne, by przekonać nas do przyjęcia jego oferty. Podziękowaliśmy mu stokrotnie, jego zaś ucieszyła nasza radość oraz to, że pochwalaliśmy rozważę jego prawodawcy.

Ledwie Sermodas opuścił salę, weszło dwóch mężczyzn, którzy powitali nas po francusku. Jeden z nich był lekarzem, drugi zaś chirurgiem. Kazali sobie powiedzieć, czy nie ma wśród nas nikogo dotkniętego chorobą neapolitańską.

– Przykazano nam was zbadać – rzekli. – Jeśli któryś z was ukryje prawdę, będzie się wstydził. Jeśli zaś przyzna się uczciwie, nie straci szacunku, a nawet zostanie prędko wyleczony.

Odparliśmy, że żaden z nas nie ma tego rodzaju chorób, jednak pomimo to wszyscy zostaliśmy zbadani w osobnej komnacie. Cieszył ich fakt, iż jesteśmy wolni od chorób nad wyraz rozpowszechnionych na innych kontynentach, a które na Łądzie Południowym znano jedynie ze słyszenia. Dodali także, że przebywali we Francji przez sześć lat, a dwanaście lat spędzili na podróżach po większości Europy i Azji. Od czasu do czasu wysyłano ze Sporundii statki, dzięki czemu byli wśród nich ludzie znający wszystkie te narody i ich języki. Przestało nas zatem dziwić, że Carchida rozmawiał z nami po hiszpańsku i niderlandzku, i że widzieliśmy maniere i zwyczaje tak podobne do naszych w kraju tak przecież odległym, w którym spodziewaliśmy się znaleźć najwyżej barbarzyńców. Zadalibyśmy tym panom wiele pytań, lecz odeszli.

My tymczasem zastanowiliśmy się nad wyborem kobiet. Uznano za słuszne, bym wybrał pierwszy, następnie moi dwaj oficerowie, inni zaś mieli ciągnąć losy, co odbyło się bez kłótni i sporów. W końcu każdy otrzymał towarzyszkę. Następnie zaprowadzono mnie do komnaty, w której spałem poprzedniego dnia, a moich ludzi powiedziano do długiego korytarza, skąd przechodziło się do małych pokojów. Każdy z nich otrzymał osobny pokój, w którym spędził tę noc. Następnego dnia rano usłyszeliśmy dzwon o zwykłej porze, a do mnie przyszedł Carchida, by zapytać, czy dobrze wypocząłem, i powiedzieć, że już czas wstawać. Moja towarzyszka wyskoczyła z łóżka i ubrała się, gdy tylko posłyszała dzwon. Wychodziła właśnie, gdy przybył Carchida. Powiedział, że Benoscar udał się oswobodzić moich ludzi, co miało znaczyć: wyciągnąć ich z ramion kochanek i z pokojów, w których zamknięto ich na całą noc, by uniknąć nieporządku i wymian, do których mogło między nimi dojść. Nie chciano do tego dopuścić, bo gdyby kobiety te zaszły w ciążę, ojcowie dzieci byłiby nieznanymi.

Gdy już się ubrałem, zszedłem do wielkiej sali, gdzie dołączyli do mnie moi ludzie oraz przewodnicy mający nam pokazać różne dzielnice miasta, w których zajmowano się rozmaitymi rzemiosłami. W jednej dzielnicy bowiem zajmują się wyrobem płócien i tkanin, w innej szyciem, w jeszcze innej kowalstwem i tak dalej. Carchida rzekł mi jednak, iż to budownictwo i uprawa roli były głównymi zajęciami jego ludu.

Pozostaliśmy w Sporundii, spędzając czas w podobny sposób, aż do szóstego dnia, gdy powrócił kurier wysłany do Sewarindy przez Albicormasa. Przywiózł on rozkaz Sewarminasa, by wysłano nas do stolicy, ponieważ bardzo pragnął nas ujrzeć. Gdy dowiedziałem się, że mamy iść do Sewarindy, zmartwiłem się, że nie powiedziałem im wcześniej o waszej obecności tutaj, szczególnie że tak dobrze nas traktowano. Nie wiedziałem, jak wybrnąć z tej sytuacji, jednak powód, dla którego ukryłem prawdę, był na tyle solidny, że wierzyłem, iż Albicormas wybaczy nam to pominięcie. Zrozumiem przecież, że nie będąc pewnymi naszego własnego bezpieczeństwa, nie

chcieliśmy narażać waszego. Wyznałem rzecz całą Sermodasowi, który powtórzył wszystko gubernatorowi.

Nakazano nam zaczekać w Sporundii na powrót drugiego gońca, którego posłano zaraz do Sewarminasa, by powiadomić go o przyczynie zwłoki. Sześć dni później przybył ów kurier z rozkazami dla gubernatora. W duchu tych rozkazów zebrano tę tutaj flotę, by zabrała nas wszystkich do Sewarindy. Mamy się stawić przed najwyższym urzędnikiem, który ma tam swą siedzibę. Sermodas zapewnia mnie, iż zostaniemy przezeń jeszcze lepiej traktowani niż w Sporundii.

Historia Sewarambian Część druga

Maurycy zakończył swą opowieść, która przepelniła nas radością i podziwem, ani trochę nie nudząc, choć w istocie była długa. Jednak rzeczy, które mówił były tak nadzwyczajne, że słuchalibyśmy go z uwagą, choćby na opowieści spędził cały dzień. Naradzaliśmy się przez chwilę nad sposobem dalszego postępowania i postanowiliśmy udać się z Sermodasem wszędzie tam, gdzie spodoba mu się nas poprowadzić. Poddałiśmy się wyrokowi Opatrzności i zaufaliśmy przyrodzonej dobroci tutejszych ludów.

Podczas gdy Maurycy zdawał nam relację ze swych przygód, kilku z jego ludzi, pragnąc podzielić się opowieścią z przyjaciółmi, zeszło na ląd. Prawie cały obóz słuchał ich relacji ze zdumieniem. Z tego powodu wszyscy niemal znali owe nowiny prawie tak szybko jak my i nie było potrzeby im tego powtarzać. Byli już nastawieni, by wyruszyć do owej pięknej krainy, którą znali jeno z opowieści. Jednak, ponieważ szalupa, którą wysłaliśmy do Batawii, mogła tam przecież dotrzeć i nie wątpiliśmy, że generał wyśle nam pomoc, gdy tylko dowie się o naszym położeniu, żywiliśmy jeszcze pewne nadzieje z tym związane. Smuciło nas to, ponieważ gdyby te statki dotarły na wybrzeże i nie znalazły nikogo, uznano by nas za straconych i nie stracilibyśmy szansy na ponowne ujrzenie naszych bliskich i naszych rodzimych stron. Na to Maurycy rzekł, że szalupa ta na pewno już przepadła, gdyż inaczej mielibyśmy jakieś wieści po tak długim czasie.

Tym samym nie było sensu spodziewać się jakiegokolwiek pomocy z Batawii, natomiast nasz powrót do Niderlandów nie był ani niemożliwy, ani być może nawet zbyt trudny, ponieważ znaleźliśmy się wśród ludów cywilizowanych i uczciwych, które od czasu do czasu wysyłały okręty za morza. Prawdopodobnie pozwoliliby nam wrócić do siebie i ułatwiłyby nam to, nie chcąc zatrzymywać nas siłą w swoim kraju, gdyby przyszła nam ochota go opuścić. Nasze położenie byłoby jednak znacznie gorsze, gdybyśmy postanowili pozostać w tym obozie, wystawieni na rozmaite niebezpieczeństwa i cierpienia.

Argumenty te, przedstawione przez Maurycego, człowieka zdrowego rozsądku przecież, który ponadto zyskał wśród nas autorytet dzięki swym zasługom, rozproszyły nasze smutki. Powróciliśmy do mojej chaty, gdzie zostawiliśmy Sermodasa. Uśmiechnął się do nas i zapytał, co sądzimy o relacji Maurycego i jego opisie miasta i ludu Sporundii. Odrzekłem:

– Możemy mieć o nich wyłącznie jak najlepsze mniemanie i pragnęlibyśmy znaleźć się tam jak najszybciej. Jesteśmy gotowi wyruszyć zaraz, jeśli tylko zechcesz nas poprowadzić.

– Po to właśnie przybyłem – odparł. – Cieszę się, że tak chętnie pójdziecie za mną i ze swej strony mogę was zapewnić, że pobyt w naszych miastach będzie o wiele przyjemniejszy niż w tym obozie, choć dzięki waszej przemyślności stał się on naprawdę wygodną siedzibą.

Zamieniliśmy jeszcze kilka słów na ten temat, po czym zapytaliśmy Sermodasa, czy nie zechciałby spróbować naszej dziczyny. Zgodził się, pod warunkiem wszakże, iż my skosztujemy tego, co sam przywiózł. Poprosił Maurycego, by ten kazał przynieść ze statku wino i strawę. Po obiedzie Sermodas oświadczył, że skoro chcemy iść z nim, powinniśmy przygotować się do odjazdu i przetransportować ludzi w sposób, jaki uznamy za najlepszy. Poradził nam jednak, by najważniejsi spośród nas oraz kobiety zostali przewiezieni jednego dnia. Obiecał zostawić na miejscu trochę swoich ludzi, by pomogli reszcie wejść na pokład. Powiedziałem mu, że część naszych ludzi znajduje się po drugiej stronie zatoki i że jeśli pozwoli, wyślemy do nich Maurycego z jednym lub dwoma statkami, by ich stamtąd zabrać.

– Możecie tak zrobić – rzekł. – Wydam rozkaz, by jeden z naszych statków towarzyszył Maurycemu i zawiózł tych ludzi do miasta, nie wracając już do obozu. Co do pana – zwrócił się do mnie – niech pan weźmie tych spośród oficerów, których życzy pan sobie mieć przy sobie i niech pan płynie na moim statku, gdzie powinno być panu wygodnie.

Wziąłem ze sobą Nuitsa i mego sekretarza Turcy'ego, zaś Devèze'owi i innym kapitanom pozostawiłem dowodzenie na czas mojej nieobecności, polecając przecież jak najszybciej nasze bagaże. Sermodas pozostawił Benoscara z Devèze'em, by pomógł mu zorganizować transport i poprowadził jego ludzi do Sporundii. Następnie podnieśliśmy żagiel i dotarliśmy na miejsce w trzy dni po opuszczeniu Sidenbergu. Zostaliśmy przyjęci niemal tak samo jak Maurycy, z tą jednak różnicą, iż okazywano znacznie większy szacunek Nuitsowi i mnie niż innym.

Albicormas rozplýwał się w uprzejmościach, szczególnie wobec mnie. Odbiliśmy wiele rozmów na temat stanu Świętego Cesarstwa, o czym mogłem mu powiedzieć więcej niż ktokolwiek z naszej kompanii. Przekonałem się, że jest to człowiek znający się świetnie na wielu rzeczach i obdarzony godną podziwu

solidnością umysłu. Oświecił mnie w sprawie wielu ich zwyczajów i sposobu zarządzania narodem. Opowiem o tym później, gdy będę opisywał miasta, prawa i obyczaje Sewarambian.

Następnego dnia po naszym przybyciu do Sporundii dotarły nasze bagaże, zaś w obozie nie zostało nic wartego zabrania. Nasi ludzie zostali potraktowani tak samo jak załoga Maurycego i każdy otrzymał nowe odzienie.

Miał miejsce pewien problem związany z naszymi kobietami. Powiedziałem już, że w obozie postanowiliśmy, iż jedna kobieta będzie przysługiwać pięciu mężczyznom, zaś główni oficerowie będą mieli po jednej na wyłączność. Sermodas i jego towarzysze nie pochwalili tego postępowania. Zwyczaj szczerości kazał im powiedzieć nam o tym w sposób nieco brutalny. Wyznali, iż rozwiązanie takie hańbi ich kraj i prawa, wobec czego nie mogą go ścierpieć. Wymówiłem się koniecznością, która kazała nam przyjąć takie urządzenie, by ludzie się wzajemnie nie pomordowali. Sermodas zapytał, czy pragniemy poddać się ich prawom. Oświadczyłem, że niczego innego nie pragniemy i oto, jakie kroki podjął:

– Policzcie – rzekł nam – dokładnie wszystkich waszych ludzi, tak mężczyzn, jak i kobiety, i dajcie mi ich listę, w szczególności zaś listę tych, które są brzemiennie. Tymczasem możecie zachować te kobiety, które już macie, lub też damy wam inne.

Naradziliśmy się i ci z oficerów, którzy pragnęli się związać ze swoimi kobietami, postanowili zachować je przy sobie. Inni ciągnęli losy, tak jak towarzysze Maurycego, którym skądinąd nie pozwolono dokonać nowego wyboru. Kobiety, które były w ciąży z pewnymi oficerami, musiały zostać z tymi, którzy uczynili je brzemiennymi. Niewiasty z gminu, które także były przy nadziei, miały związać się z tymi, co do których sądziły, że są ojcami ich dzieci. W ten właśnie sposób kwestia ta została rozwiązana.

Pięć dni po naszym przybyciu do Sporundii Sermodas zaprowadził mnie do świątyni, gdzie miano celebrować Osparenibon, czyli święto małżeństwa. Powiedział mi, że pozostaliśmy tak długo w mieście nie tylko, by wypocząć, ale też, aby zobaczyć tę uroczystość. Obchodzono ją cztery razy do roku i stanowiła jedno z ich największych świąt, choć niższe rangą od tego, które obchodzono w Sewarindzie.

Wstałem z łoża i wdziałem nowe szaty, które przyniesiono mi na tę okazję. Otrzymali je także moi główni oficerowie, którzy dołączyli do mnie, by wspólnie udać się do świątyni. Poszliśmy wprawdzie do pałacu, gdzie Albicormas udzielił nam audiencji, po czym przez rozmaite dziedzińce dotarliśmy do ogromnej, wspaniałej świątyni. Ujrzelśmy tam wielu młodzieńców i dziewczęta w nowych ubraniach. Młodzieńcy nosili na głowach wieńce z zielonych liści, zaś dziewczyny girlandy kwiatów. Nigdy nie widziałem nic ładniejszego niż ta grupa młodych ludzi, którzy w większości wyglądali na zadowolonych i radosnych.

Wielka kotara, rozwieszona pośrodku świątyni, zasłaniała nam ponad połowę sali. Przez prawie godzinę staliśmy tam, podziwiając bogate zdobienia budowli, aż w końcu nastąpiła jakaś zmiana. Posłyszeliśmy wreszcie dźwięki rozmaitych trąbek, obojów i innych instrumentów, następnie zaś ujrzeliśmy tłum ludzi, wchodzących do świątyni z płonącymi pochodniami, które umieścili na lichtarzach w różnych punktach sali. Zamknięto wszystkie okna i odsunięto kotarę, która zasłaniała nam widok połowy świątyni. Był tam ołtarz bogaty i okazały, ozdobiony girlandami i festonami kwiatów. Na prawo od niego ujrzeliśmy glob z kryształu lub szkła, który z trudem mogłoby objąć czterech ludzi. Jaśniał on tak bardzo, że oświetlał cały tył świątyni i rzucał nieco światła na jej środek. Po drugiej stronie ołtarza stał posąg podobnej wielkości, przedstawiający Karmiącą z wieloma sutkami, których czepiało się wiele dzieci, pięknie oddanych w kamieniu. Między tymi dwoma figurami i ponad ołtarzem była tylko wielka, czarna, jednolita zasłona bez żadnych ornamentów.

Tymczasem muzyka zbliżała się i wreszcie dotarła do wrót świątyni. Ujrzeliśmy wchodzących Albicormasa i senatorów, którzy podeszli do ołtarza z wielką pompą i wspaniałością. Kapłani ruszyli w ich kierunku z kadzidłami w rękach, śpiewając pieśń. Złożyli trzykrotny ukłon Albicormasowi, po czym poprowadzili go do ołtarza, gdzie on i senatorowie trzykrotnie skłonili się przed czarną zasłoną, dwa razy przed posągiem, następnie zasiedli na tronach po obu stronach ołtarza. Sermodas kazał mi i trzem moim ludziom siąść u stóp Albicormasa, a resztę poprowadził na drugą stronę.

Gdy tylko usiedliśmy, kapłani podeszli do młodych ludzi, o których wspominałem, i poprowadzili ich do ołtarza. Podzieleni byli oni na dwa rzędy. W prawym szli mężczyźni, w lewym kobiety. Kiedy dotarli do ołtarza, arcykapłan zasiadł na podwyższeniu ustawionym między rzędami i wygłosił do młodych zwięzłe przemówienie, po którym podano pochodnię, zapaloną, jak się później dowiedziałem, od promieni słonecznych. Albicormas zszedł z tronu, wziął ją i zapalił jakieś aromatyczne drewno umieszczone na ołtarzu, następnie klęknął przed świetlistym globem i wypowiedział tam kilka słów. Stamtąd przeszedł do posągu, przed którym ugiął tylko kolano i także wygłosił zdanie. Wówczas kapłani zaintonowali pieśń, na którą odpowiedział cały zgromadzony lud, zaś gdy dobiegła końca, dało się słyszeć dźwięki instrumentów. Symfonia ta poprzedzała koncert głosów tak czystych, że musieliśmy przyznać, że naszej europejskiej muzyce nie udało się jeszcze osiągnąć takiej doskonałości.

Później arcykapłan zbliżył się do pierwszej w szeregu dziewczyny i zapytał, czy pragnie ona małżeństwa. Ukłoniła się głęboko i zacerwieniona odrzekła, że tak. Następnie zadał on to samo pytanie innym dziewczętom i otrzymał podobne odpowiedzi. Gdy tak przepytawał dziewczęta, drugi kapłan zadawał te same pytania młodzieńcom. Gdy to dobiegło końca, arcykapłan powrócił do pierwszej dziewczyny

i zapytał, czy życzy sobie poślubić któregoś z mężczyzn w drugim szeregu. Gdy odpowiedziała, że taki był jej zamiar, wziął ją za rękę i poprowadził na koniec rzędu chłopców, by wybrała męża. Obejrzała uważnie pierwszych pięciu, po czym zatrzymała się na szóstym i spytała go, czy zechce być jej panem i wiernym mężem. Odrzekł, iż tego pragnął, po warunkiem wszakże, iż ona także będzie go kochać tak, jak czysta i wierna małżonka powinna miłować swego męża. Ona zaś przysięgła miłować go do śmierci, po czym on wziął ją za rękę, pocałował i poprowadził wzdłuż nawy świątyni. Wszyscy inni powtórzyli później tę ceremonię i dołączyli do pierwszych.

Pozostało osiem dziewcząt, które nie znalazły mężów, z których pięć, pełnych wstydu i zmieszania, wylewało obficie łzy. Trzy inne nie były tak zasmucone i gdy arcykapłan podszedł do nich, chwyciły jego szatę i pozwoliły się poprowadzić do Albicormasa. Rzekł im on kilka słów, po których ruszyły w kierunku senatorów i wybrawszy trzech spośród nich, rzekły, iż skoro wskutek złego losu nie udało im się znaleźć mężów, wybierają tych senatorów, by zmyli ich hańbę. Zostały one bowiem trzy razy publicznie odrzucone, prosiły ich zatem, by przyjęły je jako swoje kolejne żony, zgodnie z prawem tego kraju i przywilejem, jaki otrzymali. Przynęły być im zawsze życzliwe i wierne. Trzej senatorowie powstali natychmiast z tronów i ująwszy dziewczyny za ręce, udali się wraz z nimi do ołtarza, gdzie stali aż do chwili, gdy wszystkie pary ustawiły się obok nich. Urzędnicy ci byli ludźmi około czterdziestki lub pięćdziesiątki, jednak byli najprzystojniejsi z całego senatu.

Arcykapłan zapytał pięć pozostałych dziewczyn, czy życzą sobie wziąć za męża któregoś z senatorów lub innych urzędników. Odpowiedziały, że jak dotąd tylko raz zostały odrzucone, więc próbują swego szczęścia jeszcze dwukrotnie. Zasłoniwszy więc twarze welonami, wyszły ze świątyni i wsiadły do krytego powozu, który już na nie czekał, by odwieźć do domu.

Gdy opuściły świątynię, muzyka rozbrzmiała na nowo, a Albicormas, idąc ku ołtarzowi, rzekł głośno parę słów. Następnie złączył dłonie trzech dziewczyn i urzędników, po czym wygłosił kilka zdań, na które odpowiedzieli głębokim ukłonem. Uczynił to samo dla kilku innych par, po czym pozostawił resztę senatorom i wrócił na swój tron. Dwóch kapłanów zaniósł ogień z ołtarza na środek świątyni, gdzie czekali nowożeńcy, trzymający w dłoniach wonności. Uczynili krąg wokół ognia i każdy z mężczyzn po wymieszaniu wonności z wonnościami wybranki rzucał je w płomień. Następnie, na kolanach, każdy z nich kładł jedną dłoń na złotej księdze prezentowanej przez kapłanów. Przysięgli posłuszeństwo prawom, które mieli podtrzymywać w mocy ze wszystkich sił przez cały swój żywot, biorąc na świadków wielkiego Boga, Słońce, i ojczyznę. Gdy to się stało, podeszli oni do ołtarza, gdzie Albicormas zmówił krótką modlitwę, po czym, odwróciwszy się do nich, dał im swoje błogosławieństwo i wyszedł ze świątyni na czele całej kompanii i przy muzyce.

Stamtąd przeszliśmy do sali obok świątyni, gdzie znaleźliśmy stoły, na których zaraz pojawiły się mięsiwa. Albicormas rzekł do Nuitsa i do mnie, że będziemy dziś jego gośćmi i poprowadził nas do swego stołu, gdzie usiedliśmy pośród senatorów. Sermodas zaprowadził innych moich oficerów do osobnego stołu, zaś Carchida i Benoscar zajęli się resztą naszych ludzi, którzy przez całą tę ceremonię trzymali się na jednej z galerii świątyni. Uczta była wspaniała, a muzyka grała przez cały czas trwania posiłku.

Następnie udaliśmy się do amfiteatru, oddalonego od świątyni o jakiś strzał z muszkietu, a wszystkie ulice, którymi szliśmy, były usłane kwieciami. Posłyszeliśmy owacje ludzi, którzy przyszedli nas zobaczyć. Amfiteatr ten zbudowany był z kamienia i miał nie mniej niż pięćdziesiąt kroków średnicy, licząc od jednej zewnętrznej ściany do drugiej. Pokryty był wielkim sklepieniem, osłaniającym go przed słońcem i deszczem, którego wysokość graniczyła z cudem. Pełen był siedzisk, od samej góry aż do dołu i to one zajmowały większość przestrzeni.

Gdy przybyliśmy do amfiteatru, było tam już pełno publiki, lecz na scenę weszli tylko urzędnicy, nowożeńcy i my. Posadzono nas na krzesłach oddzielonych balustradą od wyższych rzędów. W tym czasie wielu młodzieńców próbowało sił w szermierce i innych grach ćwiczących siłę i zręczność. Po tych ćwiczeniach wszyscy nowożeńcy ruszyli do tańca, co trwało do późnych godzin wieczornych, gdy trąbki i inne instrumenty zagrały na koniec zabawy.

Wyszliśmy tak, jak weszliśmy, i odkryliśmy, że ulice pełne są pochodni i sztucznych ogni, które oświetlały je tak, jak gdyby to znów był dzień.

Albicormas i jego kompania wsiedli do powozów i wrócili do siebie. Nowożeńcy udali się w porządku do kwater, które dla nich przygotowano. Nas natomiast Sermodas odprowadził do naszych mieszkań, objaśniając różne elementy owej ceremonii.

Przyszedł do nas następnego ranka z pytaniem, czy chcemy iść do świątyni, by zobaczyć inną ceremonię, będącą niejako dalszą częścią poprzedniej. Zgodziliśmy się i gdy tylko byliśmy gotowi, zaprowadził nas do wrót świątyni, gdzie musieliśmy chwilę poczekać. Po kwadransie usłyszeliśmy zbliżającą się muzykę i chwilę później ujrzeliśmy świeżo poślubionych mężczyzn, z których każdy niósł długą, zieloną gałąź, na końcu której zawieszona była korona z poprzedniego dnia, związana z girlandą jego wybranki za pomocą zakrwawionego prześcieradła na znak utraty jej dziewictwa. Wkroczyli triumfalnie do świątyni i gdy dotarli do ołtarza, każdy z nich położył na nim swą gałąź, poświęcając ją Bogu, Słońcu i ojczyźnie, którą uosabia opisany przeze mnie posąg Karmicielki.

Potem wyszli wszyscy razem, tańcząc w rytm instrumentów, po czym każdy udał się w swoją stronę. Święto trwało zaś pełne trzy dni ku niekończącej się radości całego miasta.

Jednakże przyszedł czas, byśmy opuścili Sporundię i udali się do Sewarindy, o czym Sermodas powiadomił nas dzień przed odjazdem. Zaprowadził mnie, Nuitsa i Maurycego do Albicormasa, by się pożegnać. Znaleźliśmy go w jego domu, który to był pięknym pałacem, choć nie tak pięknym jak siedziba władz miasta. Przyjął nas gościnnie, rzekł, że następnego dnia mamy jechać do Sewarindy, gdzie staniemy przed wielkim Sewarminasem. Następnie zapytał, co sądzimy o Sporundii i ceremoniach Osparenibonu. Odrzekliśmy, że urzekło nas to miasto, jak również obchody.

– Udajecie się do krainy – powiedział – gdzie wszystko jest piękniejsze i wspólniejsze. Nie chcę zajmować waszego czasu opowieściami, ponieważ doświadczenie ukaże wam to o wiele lepiej niż ja. Sermodas pozostanie waszym przewodnikiem i będzie traktował was łagodnie i przyjaźnie. Nakłaniam was do słuchania jego rad we wszelkich sprawach i do zachowania tak przezornego, by wielki Sewarminas mógł pokochać was tak czule jak ja.

Następnie objął nas, ucałował w czoło i się pożegnał. Nazajutrz zaprowadzono nas wcześniej rano na brzeg rzeki, która opływa miasto od zachodu. Znaleźliśmy tam wiele przygotowanych dla nas statków. Sermodas poprowadził mnie i kilku moich oficerów do krytego statku średniej wielkości, zdobionego złoconymi i malowanymi rzeźbami. Nasi ludzie weszli na rozmaite barki i w ten sposób udaliśmy się w górę rzeki bez większych trudności, gdyż nurt rzeki pokonującej wielką równinę jest nader spokojny.

Na brzegach dostrzegaliśmy wiele budynków podobnych do tych, jakie widzieliśmy w mieście. Nie mieliśmy jednak czasu przyjrzeć im się dokładnie, ponieważ płynęliśmy szybko, dzięki często zmieniającym się wioślarzom. Nie zatrzymywaliśmy się od wczesnego ranka aż do zachodu słońca.

Dotarliśmy owego dnia do miasta zwanego Sporumé, oddalonego o jakieś trzydzieści mil od Sporundii. Natknęliśmy się na wielki tłum ludzi, zgromadzonych na nabrzeżu, oczekujących, by nas zobaczyć. Gdy wraz z Sermodasem zesliśmy na ląd, napotkaliśmy gubernatora Psarkimbasa, który powitał nas z wielką uprzejmością. Pomówił chwilę z Sermodasem, po czym zbliżył się do mnie, gdyż pragnąłby porozmawiać ze mną godzinę lub dwie. Odrzekłem, że jestem do jego dyspozycji, po czym weszliśmy do miasta.

Sporumé zbudowano podobnie do Sporundii, lecz jest o połowę mniejsze. Leży w krainie żyznej i przyjemnej do życia. Zostaliśmy przyjęci równie dobrze, co w Sporundii. Pozostaliśmy tam przez cały następny dzień, z tym że jedyną rzeczą godną wzmianki było przykładowe ukaranie czterestu przestępców. Wyciągnięto ich z więzienia powiązanych jeden z drugim liną, podzielonych na trzy grupy. W pierwszej było sześciu mężczyzn, którzy – jak się dowiedzieliśmy – zostali skazani na dziesięć lat kary, niektórzy za zabójstwo, inni za cudzołóstwo. W drugim rzędzie

było pięć młodych kobiet, z których dwie skazano na siedem lat zgodnie z prawem, zaś później miały cierpieć tak długo, jak się spodoba ich mężom, ponieważ udowodniono im niewierność. Trzy pozostałe miały otrzymać karę trzech lat za utratę dziewictwa przed Osparenibonem, czyli małżeństwem, które zawiera się w wieku lat osiemnastu. Trzej młodzieńcy, którzy je uwiedli, znajdowali się w trzecim rzędzie. Otrzymali taką samą karę, później zaś mieli je poślubić. Poprowadzono ich od więzienia aż do wrót pałacu, gdzie miała odbyć się egzekucja.

Przypominam sobie dokładnie, że jedna z tych, które dopuściły się niewierności, była kobietą wspaniałej figury. Jej twarz była doskonale piękna, oczy czarne, włosy kasztanowe, usta szkarłatne, cera zaś jędrna i delikatna. Odślonięty jej dekolt był najpiękniejszym i najbielszym, jaki w życiu widziałem. Pierwszy raz wystawiono ją na widok publiczny, by ją ukarać, więc jej wstyd i zmieszanie były ogromne. Łzy obficie płynęły jej na policzki, co jeszcze dodawało jej uroku i blasku. Podziw budzi miłość, zaś litość, dołączając do tych uczuć, sprawiła, że wszyscy czuli się głęboko poruszeni. Nie było jednego rozumnego człowieka w tym zgromadzeniu, który nie cierpiałby na ten widok. Jednakże ich litość przechodziła w rodzaj szlachetnej rozpacz na myśl, że niedługo owe wdzięki miały być splamione rękami niecnego kata. Był to jednak akt sprawiedliwości nakazany przez prawo, by ukarać zbrodnię, która wśród tego ludu uchodzi za jedną z największych. Z tego względu nie dało się ocalić tej cudownej istoty przed surowością nakazu.

Oto i kat uniósł już rękę, by ją uderzyć, gdy nagle pewien człowiek krzyknął donośnym głosem: „Wstrzymaj się!”. Wszyscy widzowie i urzędnicy zwrócili oczy w stronę, skąd dobiegł okrzyk. Wstrzymano egzekucję, by usłyszeć, co ów człowiek miał do powiedzenia. Podeszedł do nich, zdyszany, przedarłszy się ledwo przez tłum, i zwrócił się do głównego urzędnika. Wskazując piękną winowajczynię, rzekł, że jest jej małżonkiem, a tym samym stroną zainteresowaną w owej egzekucji. Pragnął pomówić z nią, zanim zostanie poddana karze. Otrzymałszy pozwolenie, zwrócił się do swej żony w tych słowach:

– Wiesz, Ulisbe, z jaką namiętnością kochałem cię trzy lata przed naszym ślubem. Wiesz także, że odkąd jesteśmy związani tym świętym węzłem, moja miłość, zamiast topnieć, wciąż się wzmacnia. Rozkosz, która często jest końcem zainteresowania między kochankami, jedynie zwiększa moją namiętność. Wiesz wreszcie, że przez cztery lata, jak jesteśmy razem, dawałem ci wszystkie świadectwa stałych i gorących uczuć, jakich tylko kobieta może się spodziewać od dobrego męża. Byłem przekonany, że żywisz wobec mnie podobne uczucia, jak mnie o tym tysiąc razy zapewniałaś, że twoja miłość jest równa mojej.

Pomimo twojej niewierności sądzę, że wciąż zajmuję najwięcej miejsca w twym sercu, ponieważ zostałaś uwiedziona podstępem perfidnego Flanibasa. Niegodziwymi

sposobami doprowadził cię do popełnienia przestępstwa, do którego nigdy byś się nie posunęła z własnej woli. Niecałe dwie godziny temu dopiero dowiedziałem się całej prawdy, a także tego, że udało mu się skłonić cię do zaspokojenia jego nieprawego pożądanego tylko podstępem. W tchórzliwy sposób przekonał cię, że to ja cię zdradziłem z jego żoną. Twoje bezpodstawne oburzenie i niesłuszne pragnienie zemsty kazały ci dopuścić się owej niewierności.

Gdybym prędzej dowiedział się tego wszystkiego, nigdy nie znalazłabyś się tutaj, w tak sromotnym położeniu. Przebacząc ci zniewagę łoża małżeńskiego, ukryłbym tak dokładnie twoje przestępstwo, że nigdy nie zostałabyś wystawiona na tę surową i haniebną karę. Jednak, ponieważ nie da się cofnąć tego, co się już zdarzyło i ponieważ nie jest w mojej mocy w pełni uwolnić cię od kary, którą musisz ścierpieć, by zadośćuczynić prawu ojczyzny, uczynię wszystko, co tylko będę mógł dla ciebie zrobić. Jeżeli łzy płynące z twych oczu są prawdziwą oznaką skruchy, jeżeli prawdą jest, iż pozostało w twym sercu nieco owej szczerzej miłości, o której tak często mnie zapewniałaś i której dowody od ciebie otrzymywałem, wreszcie, jeżeli przysięgniesz oddać mi w całości swe serce i nigdy więcej nie dzielić go z nikim innym, odzyskam moje dawne szczęście i przyjmę na siebie karę, której zaraz zostaniesz poddana. Przemów, Ulisbe, niech twe milczenie nie okaże się oznaką braku uczuć.

Zamilkł, a jego żona, tonąc niemal we łzach, przez czas jakiś nie mogła dobyć z siebie głosu. Jednak wreszcie zwróciła się doń:

– Moje milczenie, o nazbyt szlachetny Bramistasie, nie jest oznaką braku miłości, lecz raczej mej rozpacz. Znieważylaś cię przeciw świętym prawom sprawiedliwości i honoru. Dlaczegoż, najszlachetniejszy małżonku, godzien wierniejszej żony, troszczysz się o perfidną zdrajczynię, która dała się porwać obelżywej zemście? Dlaczego miałabyś cierpieć razy, na które to ja zasłużyłam? Nie, nie, Bramistasie, którego nie ośmielałam się więcej zwać swym małżonkiem, nie zwracaj już uwagi na nędznicę, która winna stać się przedmiotem twego gniewu, a nie litości. Pragnę z całej duszy cierpieć najokrutniejsze męki i nawet zakończyć mój nędzny żywot, by zmazać me winy. Przestań, o przestań ranić me serce świadectwem dobroci i szlachetności, które nie mają sobie równych! Pozostaw to perfidne serce na pastwę okrutnego smutku, który je pożera i wiecznym wyrzutem sumienia, które powinna wywołać ohyda mej zbrodni. Nie sprzeciwiaj się już wykonaniu prawa, na którego surowość w pełni zasłużyłam.

Przemowa ta wyciskała łzy z oczu wszystkich zgromadzonych. Ostatecznie jednak małżonek kazał się przywiązać na miejscu swej żony, odkrył połowę ciała i otrzymał razy przeznaczone dla przestępczyni. Inni skazani zostali ukarani w tym samym czasie, musieli trzykrotnie okrążyć pałac i zostali potraktowani tak ostro, że broczyli krwią z ran. Po egzekucji odprowadzono ich z powrotem do więzienia.

Dowiedzieliśmy się przy tej okazji, iż przywilejem tutejszych kobiet jest możliwość uniknięcia kary cielesnej, jeśli jakiś mężczyzna zaofiaruje się, że otrzyma ją zamiast nich. Było już wiele podobnych przykładów miłości do tego, który widzieliśmy.

Po egzekucji wróciliśmy do kwater, gdzie odbyłem z Psarkimbasem rozmowę o sprawach w Europie, podobnie jak wcześniej z Albicormasem i innymi, którzy zadawali mi wiele pytań na ten temat.

Następnego dnia wyruszyliśmy wczesnie rano ze Sporumii. Statki były już gotowe i ponownie miałem podróżować z Sermodasem. Pożegnaliśmy się z Psarkimbasem, po czym przepłynęliśmy jakieś dziesięć mil, aż do niewielkiej miejscowości złożonej z ośmiu kwadratowych budynków. Zwała się ona Sporunidą. Przesiedliśmy się tam na inne statki, które musiały być ciągnięte przez konie, ponieważ silniejszy nurt w tym miejscu nie pozwalał już opierać się tylko na sile wiosła. Cały czas zbliżaliśmy się do wysokich gór, które Haes odkrył, gdy dotarł był do jeziora na równinie naprzeciw starego obozu. Rozciągały się one ze wschodu na zachód, jak okiem sięgnąć. Wydawały się bardzo wysokie i strome. Widzieliśmy je już wcześniej, jednak z tego miejsca widać je było wyraźniej i zdawały się być bardzo blisko.

Ze Sporunidy przedostaliśmy się do innego miejsca, gdzie zmieniliśmy konie. Następnie dotarliśmy do miejscowości Sporunia, gdzie nastąpiła kolejna zmiana. Udaliśmy się na spoczynek w miejscowości Sporavita. Był to ostatni przystanek, do którego mieliśmy dotrzeć rzeką, jednak nie zauważyliśmy tam nic szczególnego.

Nazajutrz wczesnym rankiem znaleźliśmy wiele powozów, które dla nas przygotowano, kontynuowaliśmy więc podróż drogą lądową. Wraz z Nuitssem i Maurycym dotrzyśmy towarzystwa Sermodasowi. Pozostawiliśmy rzekę na zachodzie, ruszyliśmy ku południowi przez piękną, otwartą krainę, która stopniowo, choć niewyczuwalnie, wznosiła się ku góróm. Równina bowiem rozciąga się aż do podnóża gór, co sprawia, że wydają się one tak wysokie i strome. Przemierzając kraj, trafiliśmy na wiele pięknych i przytulnych miasteczek i kwadratowych budowli. W ten sposób około godziny jedenastej rano dotarliśmy do miejscowości o nazwie Sporaguestia, gdzie zażywaliśmy spoczynku aż do drugiej po południu, kiedy to ruszyliśmy do Sporagundo.

Przybyliśmy wieczorem do tego miasta, w którym to zostaliśmy przyjęci przez jego gubernatora Astorbasa. Miejscowość ta, położona u samych stóp gór, jest ostatnią, należąca jeszcze do krainy Sporundii i zawiera czternaście kwadratowych budowli. Nie zobaczyliśmy tam nic szczególnego, może poza cudownymi kanałami, które wykopano w kilku miejscach, by nawodnić teren. Dzięki wodzie i naturalnej żyzności gruntu kraina ta dysponuje najpiękniejszymi pastwiskami, jakie można sobie wyobrazić. Przez kanały, zapory, mosty i śluzy wielkie ilości wody płyną na równinę. Wszystkie te urządzenia skonstruowano tak dobrze, że i w Europie nie potrafiliby

zrobić tego lepiej, nawet za pięćdziesiąt milionów liwrow. A przecież przemyślność owego ludu dokonała tych cudów bez pieniędzy, ponieważ nie posługują się nimi w żadnej z części kraju, mając ich używanie za rzecz zbugną.

Przez trzy dni odpoczywaliśmy w Sporagundo, zwiedzając kraj, nim wyruszyliśmy na drugą stronę gór, do Sewarambii. Nasi przewodnicy byli tak ludzcy i uprzejmi, że wcale nas nie popędzali i dali nam czas na odpoczynek i rozrywkę.

Podczas naszego pobytu w Sporagundo Astorbas umożliwił nam polowanie i łowienie ryb. Zawieziono nas powozami aż do cyprysowego lasku, o trzy mile na zachód od miasta. Las ten jest w większości poznaczony alejkami, z wyjątkiem podnóża gór, gdzie rosną przemieszane różne gatunki drzew. Są one grube i gęste, mają rozmaite owoce, którymi żywi się zwierz podobny borsukowi, choć nieco większy, zaś jego mięso jest wielce delikatne. Jest tych zwierząt pod dostatkiem w lasach i nikt nie ośmiela się ich łowić poza gubernatorem, który trzyma w tym celu sfory psów. Miejscowi nazywają owego zwierza „abrusta”.

Gdy dotarliśmy do lasu, wysiedliśmy z powozów i ruszyliśmy w aleje obsadzone, jako się rzekło, cyprysami, ale to najwyższymi, najprostszymi i najgęstszymi, jakie w życiu widziałem. Astorbas powiedział, że czasem ścina się je na maszty, ponieważ znacznie lepiej się do tego nadają niż jodły. Widzieliśmy już wiele cyprysów w okolicach Sporundii, jednak nie były one w połowie tak wysokie, twarde i zwięzłe, jak tutaj. Gdyśmy tak podziwiali piękno owych drzew oraz ich ustawienie, posłyszeliśmy psy, które wyczuły ofiarę i zaganiały ją w głąb lasu, gdzie znajdowała się przestronna polana, otoczona gęstym żywopłotem. To w tym miejscu bowiem poluje się zwykle na abrusty, które docierają tu rozmaitymi ścieżkami, jednak nie mogą się wyrwać, gdyż polana jest otoczona ze wszystkich pozostałych stron. Dzięki temu można spokojnie podziwiać ich walkę z ogarami.

Pobiegliśmy co prędzej do tego miejsca i zajęliśmy pozycje na niewielkim pagórku pośrodku polany, skąd widać wszystko, co dzieje się wokół. Nie minęło pół kwadransa, gdy ujrzeliśmy dwie abrusty, poganiane przez trzydzieści niewielkich psów, które jednak nie śmiały się do nich zbliżyć. Umykały, kiedy tylko abrusty zwróciły się w ich stronę, by się na nie rzucić. Te małe psy są bardzo zwinne, stąd grubym i ciężkim abrustom rzadko udaje się którego pochwycić. Są stworzone do takiego polowania i tak świetnie znają przeciwnika, że narażają się tylko tyle, ile to konieczne, by go zaganiać. Ogary wciąż ścigały zwierza i uczyniły już trzy okrążenia wokół naszego pagórka. Straciwszy wreszcie oddech, dwie abrusty, z których jedna była samcem, a druga samicą – jak nam powiedziano, nigdy się one nie rozdzielają – stanęły tyłem do siebie i broniły się zajadłe przeciw całej sforze przez jakie pół godziny. Psy otoczyły je ze wszystkich stron i nie dawały im ani chwili spokoju. Czasem abrusty rzucały się ku ogarom, po czym wracały do poprzedniej pozycji, by wzajemnie się chronić.

W pewnej chwili jedna z nich położyła się na ziemi, jakby opadła z sił, co ośmieliło kilka psów. Abrusta zaczęła do odpowiedniego momentu, po czym rzuciła się na zbliżającego się psa, pochwyciła za tylną łapę i złamała ją jednym kłapinięciem szczęk. Rozerwała następnie ogara na strzępy z taką furją, że nigdy chyba nie widziałem okrutniejszego i bardziej rozwścieczonego zwierzęcia. Ten pokaz siły przeraził pozostałe psy, które nie śmiały już zbyt blisko się zbliżyć i stały się ostrożniejsze.

Jednak zabawa trwała już dość długo, odciągnięto więc sforę i sprowadzono na jej miejsce dwie bestie podobne do wilków, lecz bardziej kudłate, o sierści czarnej i kręconej jak barania wełna. Dotychczas trzymano je na smyczy, a kiedy abrusty je ujrzały, zjeżyły się ze strachu i poczęły przeraźliwie wyć, bo znały już groźnych przeciwników i przeczuwały zbliżającą się śmierć. Zwierzęta te, zwane „ustabarami”, zostały puszczone. Zbliżyły się powoli, kilka razy okrążając abrusty, po czym rzuciły się na nie gwałtownie. Tamte broniły się dość długo, jednak futro ustabarów chroniło je przed ukąszeniami. Po kwadransie walki biedne abrusty były tak zmęczone i wykrwawione, że zostały w końcu uduszone przez ustabary, co oznaczało koniec polowania.

Po tej rozrywce Astorbias odwiózł nas do miasta, gdzie zostaliśmy ugoszczeni mięsem zabitych abrust. Było ono bardzo smaczne i niezwykle pożywne, podobne nieco do sarniny, którą się jada w Europie.

Następnego dnia Astorbias powiedział, że po polowaniu powinniśmy jeszcze doświadczyć przyjemności łowienia ryb. Poprosił, byśmy byli gotowi na wieczór, kiedy przyjedzie nas zabrać. W istocie, dwie godziny po południu wrócił i zawiózł nas nad wielki staw, otoczony murami, zawierający wielkie ilości wody, która spływa doń z gór, po czym kierowana jest do licznych kanałów nawadniających równinę. Jest ów staw owalnego kształtu, ma nie mniej niż trzy mile obwodu, znajduje się na wschód od miasta i posiada nadzwyczajną wprost obfitość ryb. Wpłynęliśmy nań dużymi, płaskimi łodziami, krytymi płótnem dla osłonięcia od słońca, które mocno grzeje w pobliżu gór. W burtach tych łodzi są otwory, gdzie wkłada się długie, łukowate tyki, na końcu których znajdują się linki i haki z surowym mięsem na przynętę.

Gdy dopłynęliśmy na środek jeziora, rzucono kotwice i poprawiono haki. Zobaczyliśmy ryby niemal wielkości łososia, wyskakujące na dwie czy trzy stopy z wody, by pochwycić zwisające z haków mięso. Jednak ryby te mają wielką siłę, ciągnęły za linki i wyginały tyki, które niechybnie by pękły, gdyby nie były wykonane z bardzo mocnego i elastycznego drewna. Po długiej walce ryby zwisaly z wędek jeszcze przez kwadrans, zanim zdechły. Często dwie lub trzy rzucały się na jedną przynętę, zderzały się wzajemnie, uniemożliwiając sobie chwycenie jej, z czego czerpaliśmy jeszcze większą przyjemność. Miały one błękitne łuski, a największe z nich ważyły około siedmiu czy ośmiu funtów. Ich mięso jest jędrne, delikatne i tak smaczne, jak pstrągi

tęczowe, które łowi się w Jeziorze Genewskim. Z wielką przyjemnością złowiliśmy ich około trzydziestu w ciągu dwóch godzin. Nie bez zdziwienia oglądaliśmy łowienie w powietrzu ryb żyjących w wodzie. Powiedziano mi, że w języku miejscowych nazywają się one „fostila”.

Po połowie fostili przesiedliśmy się z dużego statku na mniejsze, które są lepiej przystosowane do kolejnej rozrywki. Jest to ni polowanie, ni łowienie, choć ma coś z obu. Po tej stronie jeziora, gdzie brzeg był najwyższy, było miejsce obrośnięte trzcinami, sitowiem i innymi roślinami wodnymi. Popłynęliśmy tam i gdy byliśmy już rzut kamieniem od owego miejsca, wpuściliśmy do wody dwa zwierzęta nieco większe od kotów, ale wyglądem przypominające wydrę. Ich futro jest szarobiałe, co sprawia, że są one niemal niewidoczne w wodzie. Nazywają się „safpemie” i gdy są dobrze oswojone, używa się ich do łowienia kaczki lub kurki wodnej, która nie lata nigdy daleko, ponieważ jej skrzydła są krótkie, a ciało wielce grube. Ptaki te zwą się „ebusta”. Gdy nasze dwie safpemie znalazły się w wodzie, popłynęły z niewiarygodną prędkością ku trzcinom, skąd za chwilę wyleciał tuzin ebust. Każda safpemia goniła swoją ebustę i bardzo przyjemnie było oglądać zwroty i uniki tych ptaków, które raz to wzbijały się lekko w powietrze, po czym nurkowały pod wodę, by zaraz schować się w sitowiu, umykając przed nieustępliwymi safpemiami. Wreszcie, po wielu unikach, ebusty były tak wycieńczone, że safpemie chwyciły je za kark i jeszcze żywe doniosły do łodzi, na której znajdowali się ich opiekunowie. Astorbas pragnął nałapać ich więcej, lecz Sermodas stwierdził, że na pierwszy raz wystarczy i powróciliśmy do miasta, niezwykle zadowoleni z rozrywki.

Nazajutrz opuściliśmy Sporagundo i ruszyliśmy pieszo ku góróm. Weszliśmy do wąskiej doliny między dwiema stromymi skałami, jakąś milę od miasta. U wrót tej doliny Sermodas oświadczył, że zawiedzie nas do rajy przez piekło. Zapytałem go, co przez to rozumie, on zaś odparł, iż są dwie drogi do owego rajy, niebiańska i piekielna, jednak ta druga jest krótsza i wygodniejsza, o czym przekonamy się dowodnie. Słowa te zaniepokoiły nas i wywołały przestroch i grozę wśród naszych niewiast. Maszerowaliśmy, nie ośmielając się prosić Sermodasa o wyjaśnienia, widząc, iż skwitował nasze pierwsze pytania jedynie uśmiechem.

Podążając w głąb doliny, dotarliśmy do miejsca, w którym droga była niemal wykuta w skale. Trzeba było pokonać sześć stopni, a rzut kamieniem stamtąd kolejne schody, i tak jeszcze pięć razy. Znaleźliśmy się wreszcie u stóp stromej skały, pośrodku której ujrzeliśmy wielką, ciemną jaskinię, która – jak powiedział nam Sermodas – prowadziła do rajy. Dodał, że wszystkie nasze bagaże już tędy przejechały na saniach. Pokazał nam, że na lewo od nas znajdowała się ścieżka bez schodów, którą ciągnięto sanie za pomocą grubych lin i kół. Gdy dotarliśmy do wlotu jaskini, ujrzeliśmy domy, zbudowane po obu jej stronach. Wyniesiono z nich pochodnie, by

oświetlać nam drogę w ciemności, oraz peleryny z woskowanego płótna, podszyte bawełną, by ochronić nas przed chłodem i wilgocią. Znaleźliśmy także u wejścia długie sanie, które miały wieźć ciężarne kobiety i wszystkich, którzy nie mogli podróżować o własnych siłach. Wszystko to zdumiewało nas, lecz postanowiliśmy sobie, że udamy się wszędzie, gdzie zechcą nas poprowadzić, zdając się na los.

Jednak niewiasty uderzyły w płacz, jakby prowadzono je na kaźń. Sermodas był tym wielce zdziwiony. Zapytałem, dlaczego płaczą, jednak żaden z naszych mężczyzn nie potrafił mi odpowiedzieć. Musiałem udać się do nich, by poznać przyczynę ich cierpienia. Wtedy wzniosły ręce ku niebu i bijąc się w piersi, rzekły, że wszyscy zginiemy i że skoro umknęliśmy furii odmętów i zgrozie pustyni, gdzie ryzykowaliśmy śmierć z głodu i pragnienia, to smutny nasz los, jeśli poprowadzono nas z miejsca, gdzie zaznaliśmy pozornego szczęścia, do samego piekła, i to przed godziną śmierci naszej. Całe zaś szczęście, którego zaznaliśmy, miało na celu jedynie łatwiejsze doprowadzenie nas do miejsca naszej męki. Sermodas wysłuchał ich skarg, po czym, spoglądając na kobiety z mieszaniną litości i rozbawienia, rzekł do mnie:

– Widzę dobrze, że płacz i jęki tych nieszczęsnych kobiet biorą się z przesądów, które łatwo nam będzie rozproszyć. Przykro mi, że dałem powód do takich wyobrażeń, które im sprawiły wiele cierpienia, mnie zaś całkowicie zaskoczyły. W żartach jeno powiedziałem, że poprowadzę was do rajy drogą przez piekło, a ponieważ nie chciałem tego objaśnić ani odpowiedzieć na wasze pytania, te biedne niewiasty pomyślały pewnie, że mówiłem poważnie i że naszym przeznaczeniem jest zejść do piekieł, gdy tylko ujrzały jaskinię na swej drodze. Aby je uspokoić, chętnie wyjaśnię całą tę enigmę. Otóż owo piekło jest jedynie jaskinią, którą wykuliśmy dla wygody przechodzenia pod górą. Gdybyśmy nie szli tędy, musielibyśmy nadłożyć drogi, wchodząc aż na sam szczyt. To właśnie określiłem jako drogę przez niebo, nazywając jednocześnie podziemną, dolną drogę piekłem. Oto, w kilku słowach, wyjaśnienie zagadki. Poza tym jeśli jest tu jakieś niebezpieczeństwo, będę na nie wystawiony podobnie jak wy. Ku waszej jeszcze większej satysfakcji, proponuję, byście nie podejmowali tego ryzyka wszyscy naraz. Niech kilku z was pójdzie ze mną przodem, a potem wróci do was i powie, co widzieli.

Te słowa, które powtórzyłem naszym, ukoili ich obawy. Przepróciliśmy Sermodasa za zachowanie naszych kobiet, prosząc, by wybaczył słabości ich płci i nie zrzucał ich winy na nas wszystkich. Otrzymaliśmy bowiem dość dowodów dobroci jego zwierzchników, a w szczególności jego osobiście, by nigdy nie wątpić w ich intencje i nie obawiać się tych, którym zawdzięczaliśmy życie.

– Przebaczam im z całego serca – rzekł – lecz trzymając się tego, co już powiedziałem, chcę, by nie więcej niż dziesięciu z was przeszło przez to wyobrażone piekło, po

czym wróciło, by opowiedzieć innym o jego grozie. Dlatego proszę, byście wybrali ludzi, których chcecie wysłać ze mną do podziemia.

Widząc, że Sermodas upiera się przy tym rozwiązaniu, wziąłem Nuitsa, Maurycego, Swarta i kilku innych oficerów, następnie okryliśmy się pelerynami i ruszyliśmy za pochodniami, które zapalono w jaskini. Została ona wykuta w skale w formie tunelu i mogła mierzyć jakieś trzydzieści stóp szerokości u podstawy i dwadzieścia wysokości. Po lewej droga szła prosto i płasko, bez żadnych stopni, i to tam pociągnięto sanie. Po prawej było wiele poziomów, na które wchodziło się wygodnymi schodami. Naliczyliśmy wszystkiego dwadzieścia sześć kondygnacji, jednak jakąś milę przed wyjściem Sermodas zdradził nam, że jaskinia powstała w sposób naturalny, zaś sztuka ludzka ograniczyła się jedynie do wypłaszczenia drogi i poszerzenia tunelu w miejscach, gdzie był za wąski. Rzeczywiście zauważyliśmy, że jaskinia nie była jednakowo gładka z jednej i z drugiej strony, że w różnych miejscach rozszerzała się, a gdzieś widać było osad minerałów, błyszczący jak kryształy, powstający z jakiegoś rodzaju soli, która zastyga, tworząc przedziwne figury. Miejsce to było także chłodniejsze i wilgotniejsze od innych, więc nasze peleryny szczególnie się tu przydały. Przekonaliśmy się też, że w miejscach, gdzie jaskinia była naturalna, stawała się bardziej kręta niż tam, gdzie została wykonana ręką ludzką.

Dwieście kroków przed wyjściem rozszerzała się i tam właśnie Sermodas pokazał nam ogromne dzbanki z gliny, metalu lub szkła, zawierające rozmaite lekarstwa. Przygotowuje się je tutaj ze względu na chłód i wilgotność tego miejsca. Stamtąd dotarliśmy wreszcie do wyjścia z jaskini, która mierzy nie mniej niż trzy mile długości. Weszliśmy jednocześnie na przepiękną ulicę pierwszego z miast Sewarambii, zwanego Sewaragundo. Leży ono pośrodku wielkiej doliny, pełnej urokliwych łąk, a jednocześnie tuż przy wylocie jaskini. Dlatego wchodzi się do miasta z podziemnego przejścia.

Gubernator, o imieniu Comustas, przywitał nas w Sewarambii, okazał radość z naszego przybycia i zaprowadził do wielkiego, kwadratowego domu, jakich wiele stoi w Sporumbii. Comustas był człowiekiem wysokim, czarniawym, około czterdziestki i wielce postawnym. Zapytał o resztę naszych ludzi, na co Sermodas opowiedział mu, co nam się przydarzyło u wejścia do jaskini, jak nasze kobiety wpadły w panikę wskutek niezrozumienia jego żartu. Dodał, że sprawiłoby nam przyjemność, móc spędzić resztę dnia w jego towarzystwie. Nasza przygoda rozbawiła go, ale wyznał, że cieszy się z okazji, dzięki której będzie mógł zapewnić nam nocleg. Poszedł wydać rozkazy, my zaś odświeżyliśmy się i zażyliśmy odpoczynku. Powrócił wkrótce, prosząc nas na obiad, po którym wysłaliśmy Haesa i Swarta, by sprowadzili resztę ludzi do Sewaragundo, to znaczy do wrót Sewarambii. „Gundo” w ich języku oznacza wrota lub wejście i dlatego właśnie miasto położone z tej strony przejścia nosi to miano, zaś to po drugiej stronie nazywa się Sporagundo, czyli „wrota Sporumbii”.

Po obiedzie Comustas powiódł nas na przechadzkę do niewielkiego lasku pod miastem, przez który przepływa rzeczka czy też strumień. Jego wody, płynąc wśród rozmaitych skał ze wschodu na zachód, wydają piękny dźwięk. Z lasku tego ujrzelśmy niezwykle wysokie góry porośnięte wielkimi świerkami, zaś w dolinie dostrzegliśmy drzewa, których nie znaleźliśmy. Jako że trwała ciepła pora roku, zieleń i wody płynące doliną dawały przyjemny chłód i rześkość. Comustas powiedział, że jeśli mamy trochę czasu, mógłby zabrać nas na polowanie na niedźwiedzie zwane „somuga”, których jest wiele w tych lasach oraz na inne zwierzęta, podobne z natury do niedźwiedzi, które zwą „erglanta”. Jednak Sermodas podziękował mu, stwierdziwszy, iż możemy zostać tylko do następnego dnia, po czym poprosił o przygotowanie naszych rzeczy do drogi.

– A zatem – odparł Comustas – skoro nie macie czasu na polowanie, to znajdziecie przynajmniej czas na ryby w oczekiwaniu na przybycie waszych ludzi.

Sermodas zgodził się na tę rozrywkę, Comustas wydał rozkazy i udaliśmy się pół mili za miasto, gdzie rzeka tworzy wodospad. Liczne skały blokują jej bieg, przez co wody tworzą rodzaj jeziora. Wypłynęliśmy w pięć łodzi wraz z gubernatorem, by zobaczyć, jak miejscowi łowią niewielkie, bardzo delikatne ryby podobne do naszych europejskich pstrągów. Ich mięso jest jednak bardziej jędrne i smaczniejsze. Łowi się je za pomocą kormoranów, którym wiązuje się szyje, by nie połykały ryb. Wypuszcza się ptaki, one zaś chwytają ryby i przynoszą do łodzi. Mieliśmy trzy kormorany, które w ciągu godziny złowiły piętnaście funtów ryb.

Po połowie wróciliśmy do miasta, gdzie zastaliśmy naszych ludzi, cieszących się z tego, że tak gładko przeszli przez piekło. Comustas znalazł dla nich nocleg i spędziliśmy spokojną noc w Sewaragundo. Gotowaliśmy się już do wyjazdu z samego rana, gdy powiadomiono mnie, że jedna z naszych ciężarnych kobiet, przestraszywszy się owego domniemanego piekła, poroniła tej nocy i była bliska śmierci. Powiedziałem o tym Sermodasowi, który uznał, że nie powinno to opóźnić naszej podróży. Pozostawiliśmy ją z kilkoma naszymi w Sewaragundo, gdzie niczego jej nie brakło, zaś Comustas miał ją nam odesłać, gdy poczuje się lepiej lub też pochować, jeśli umrze.

Gdy te rozkazy zostały wydane, wsiedliśmy do wozów, które powiozły nas doliną, wzdłuż rzeki, aż do wioski Dieneste, składającej się z czterech tylko kwadratów. Zmieniliśmy tam konie i odpoczywaliśmy od godziny jedenastej do drugiej. Wioska ta znajduje się piętnaście mil od Sewaragundo, nad tą samą rzeką. W tym miejscu dolina łączy się z kolejną doliną, przez którą musieliśmy przejść. O drugiej wsiedliśmy na wozy i przejechaliśmy jakieś dziesięć czy jedenaście mil tą nową doliną, piękną i żyzną. Widzieliśmy tam ogromne stada, w końcu zaś dotarliśmy do stóp góry, gdzie kończy się dolina. Znaleźliśmy tam wioskę Diemeke składającą się z czterech kwadratów, w której mieliśmy spędzić noc.

Góra, o której wspomniałem, nie jest zbyt wysoka, ma jednak strome zbocza i otoczona jest z dwóch stron skałami, które czynią ją niemal niedostępną. Nie widzieliśmy tam przejścia i nie rozumieliśmy, jak można na nią wejść. Nie śmieliśmy nawet pytać o to Sermodasa, by nie wziął naszej ciekawości za kolejny objaw podejrzliwości.

Następnego dnia Sermodas zapytał mnie jednak, czy równie mocno lękamy się wstąpienia do nieba, co zejścia do piekieł. Poprosił, bym zadał to pytanie kobietom, te jednak, uznawszy swe początkowe lęki za nieuzasadnione, postanowiły iść za Sermodasem bez odrazy i strachu, gdziekolwiek zechce je zaprowadzić. Ucieszył się i rzekł, że poprowadzi nas na szczyt góry drogą, która być może nas zaskoczy, jednak nie ma żadnego niebezpieczeństwa, a on będzie szedł pierwszy.

Po tych słowach przeprowadził nas przez bramę w długim murze u podnóża góry, który rozciąga się od jednego krańca doliny do drugiego. Za murem znaleźliśmy wiele sporych wózków, uwiązanych grubymi linami, które schodziły ze szczytu góry, gdzie – jak nam powiedziano – były przywiązane. Każdy z wózków mógł pomieścić dwadzieścia osób, był obity deskami, szczególnie z tyłu, gdzie umieszczono siedziska i liny do trzymania. Sermodas polecił mi wybrać ludzi, których chciałem ze sobą zabrać do wózka, po czym wsiedliśmy razem z nim. Gdy wszyscy zajęliśmy miejsca, przykryto tylną część wózka wytrzymałym płótnem oraz dodatkowo obwiązano linami tak, że nie było żadnego ryzyka wypadnięcia. Gdy wszystko było gotowe, rozległ się dźwięk gwizdka, pociągnięto za niewielką linę, łączącą podnóże góry ze szczytem, my zaś poczuliśmy, że nasz wózek zaczyna się lekko wznosić. W połowie drogi dostrześliśmy przez otwory w płótnie drugi wózek, który zjeżdżał na dół i swoją masą przyczyniał się do naszego wznoszenia. Był on bowiem przywiązany do drugiego końca liny, która kręciła się na ruchomej osi na szczycie góry. W ten oto sposób pokonaliśmy to zbocze bez żadnego wysiłku, nie ciągnęci przez ludzi ni konie, a tylko dzięki ciężarowi większemu niż nasz, który zjeżdżając, sprawiał, żeśmy się wznosili. Gdy wózek dotarł na szczyt, pozostaliśmy w miejscu, gdzie nas wysadził, by zobaczyć, jak kolejne transporty unoszą się, podobnie jak pierwszy, bez żadnego wypadku.

Tymczasem przygotowano dla nas powozy, które w wielkim pośpiechu przewiozły nas przez dwanaście mil równiny, aż do przeciwległego zbocza góry. Płaskowyż ten pokryty jest pastwiskami, na których przez osiem miesięcy pasą się niezliczone stada. Potem sprowadza się je do pobliskich dolin, ponieważ śnieg sprawia, że góra ta nie nadaje się do zamieszkania w zimie. Z tego względu nie ma tam miast ani wiosek, tylko niewielkie osady i chaty pasterzy. Płaskowyż ten nazywa się w języku miejscowych Ombelaspo. Po drugiej stronie znaleźliśmy takie same wózki jak te, które wciągnęły nas na szczyt. Posłużyliśmy się nimi, by przedostać się do wielkiej, okrągłej doliny, która po łacinie zwie się *convallis*. Znajdowało się tam

miasto z dziesięciu kwadratów, zwane Ombelinde. Przyjął nas gościnnie gubernator Semudas. Spędziliśmy tam noc, traktowani równie godnie, co wszędzie indziej. Nie zauważyliśmy nic szczególnego, chyba tylko to, że mężczyźni byli tu bardziej postawni, a kobiety miały bielszą cerę i były piękniejsze niż wszystkie, które do tej pory widzieliśmy.

Semudas oznajmił nam, że na naszej drodze napotkamy armię, która obozuje u podnóża gór, u wejścia do doliny, już od dziesięciu dni i na pewno pozostanie tam jeszcze jakiś czas. Dodał także, iż w armii tej panowały niepokoje z powodu jakiegoś oficera, którego oskarżono o zaniedbanie obowiązków. Dał się on ponoć zaskoczyć na korzystnych pozycjach, których polecono mu bronić. Grupa nieprzyjaciół przechwyciła je, co wywołało wielki tumult w wojsku. Semudas sądził, że oficer ten zostanie ukarany dla przykładu, pomimo wstawiennictwa wielu jego przyjaciół oraz nieskalanej dotychczas reputacji.

Następnego dnia wyruszyliśmy z samego rana z Ombelinde na wielbłądach. Siedziało się w koszach, umieszczonych na grzbiecie zwierzęcia, a każdy mieścił sześć osób. Wielbłądy nosiły nas wygodnie i bezpiecznie u podnóża góry, pochyłą drogą, która prowadziła do wielkiej doliny, gdzie płynęła rzeka na tyle głęboka, że mogłyby nią pływać statki, gdyby nurt nie był tak gwałtowny, a kaskady tak liczne.

U stóp góry trafiliśmy do miasta na sześć kwadratów, zwanego Arkropsindą. Nazajutrz mieliśmy tam wsiąść na łódzie i kontynuować podróż drogą wodną aż do Sewarindy. Arkropsinda położona jest u końca szerokiej doliny, u zbiegu dwóch rzek, podobnie jak Sporundia. Z dwóch stron otaczają ją wysokie góry porośnięte lasami. Za jedną z rzek ścieli się piękna równina, a na niej miasta i budowle. Rzeka, którą dostrzegliśmy jako pierwszą, jest o wiele mniejsza od tej drugiej, do której wpada pod miastem. Płynie ze wschodu na zachód, druga zaś, przeciwnie, toczy się wolno z zachodu na wschód. Gdy jednak się łączą, płyną na południowy zachód i tworzą razem wielką, spławną rzekę, zwaną Sewaringo. Wpływają do niej cztery duże rzeki jeszcze przed Sewarindą.

Brasindas, gubernator Arkropsindy, człowiek poważny i czcigodny, przyjął nas u bram w towarzystwie najznacniejszych osób w mieście, po czym zaprowadził do gmachu, gdzie mieliśmy nocować. Zamierzaliśmy wyruszyć nazajutrz, jednak z dwóch powodów okazało się to niemożliwe. Po pierwsze, wielka, całonocna ulewa sprawiła, że rzeka wezbrała do tego stopnia, iż niepodobna było płynąć po niej bez znacznego ryzyka. Po drugie, byliśmy wielce ciekawi owej armii, która stacjonowała ledwie trzy mile od miasta. Radowaliśmy się także widokiem grodu, który bardzo jest piękny i niemal tak duży jak Sporundia. Wszystkie te powody zmusiły Sermodasa do przyznania nam kilku dni odpoczynku w Arkropsindzie, zaś Brasindas i jego urzędnicy byli niezwykle radzi, że mogą zatrzymać nas na trochę.

Tymczasem pogoda poprawiła się i następnego dnia Sermodas zapragnął udać się ze mną na spacer po ogrodach gubernatora, które wydały mi się wielkiej piękności. Jest tam mnóstwo alejek i klombów z kwiatami, rozmaite baseny i niezwykle wodotryski.

– Co sądzisz o tym kraju, podoba ci się? – zapytał.

Odrzekłem, że jestem nim oczarowany i nie widziałem piękniejszego.

– Zatem cieszę się, że przypadł ci on do gustu, jednak znajdziesz wiele piękniejszych rzeczy w okolicy Sewarindy, a nawet za tym wielkim miastem. Nadłożyliśmy sporo drogi, by się tam dostać, ale nie mogliśmy udać się tam najszybszą drogą, ponieważ jest ona niedostępna dla wozów. Tylko piesi i konni mogą przedostać się przez niektóre górskie przejścia. Poza tym nie jest tak urokliwa jak ta i nie ma tam rzek. Rzeka, którą widzisz na zachodzie, płynie z daleka, jest głęboka i spokojna. Opływa wyspę, na której położona jest Sewarinda. Dopiero docieramy do prawdziwie pięknej krainy, gdzie po jednej stronie rzeki leżą pola, miasta i wioski, zamiast gór i skał, które widzieliśmy po drodze z Sewaragundo. Dopiero gdy poznasz cuda Sewarindy, zrozumiesz w pełni, że poprowadziłem was do rajy przez piekło, którego tak się bały wasze kobiety.

Zauważywszy, że Sermodas jest w tak dobrym nastroju, ośmieliłem się zadać mu wiele pytań o rzeczy, których dobrze nie rozumiałem. Po pierwsze, dlaczego nazwy niemal wszystkiego, co widzieliśmy, kończyły się na „-as”? Odrzekł, iż końcówka ta była oznaką godności i przysługiwała jedynie osobom piastującym wysokie stanowiska. Poza tym był jeszcze jeden wyznacznik godności, przysługujący wyłącznie wicekrólowi Słońca, a był nim początek imienia ich prawodawcy, Sewariasa, co można było zauważyć w imieniu ówczesnego wicekróla Sewarminasa. Ów przedrostek dodawano do nazw znaczących miejsc, tak jak całej krainie za górami, czyli Sewarambii i jej stolicy Sewarindzie, ponieważ kraj ów wcześniej nazywał się Strukarambią, zaś jego mieszkańcy Strukarambianami.

– Gdy poznasz nasz język – ciągnął – dowiesz się całej prawdy z lektury *Historii Sewariasa i jego następców*, którą bez wątpienia uznasz za piękną i pełną godnych naśladowania przykładów.

Poprosiłem go jeszcze, by zdradził, w jaki sposób udało się przebić przez górę tunel w okolicy Sewaragundo oraz ile dzieło to mogło kosztować. Odpowiedział, że kosztowało tyle, co trud, potrzebny do jego wykonania, zaś ich przodkowie prowadzili prace przez dziesięć lat, przy pomocy czterech tysięcy robotników, którzy pracując na zmianę, trudzili się bez przerwy, dzień i noc, z wyjątkiem świąt. Głównym motywem podjęcia tej pracy była korzyść, jaką odniosła ludność, oszczędzając czas konieczny na długą przeprawę w drodze do Sporundii. Natura sama zresztą przyczyniła się do ułatwienia prac, tworząc długą jaskinię pod górą. Dzieło to było trudne, lecz nic, co człowiek może osiągnąć, nie jest niemożliwe dla mieszkańców Sewarambii, w którym

poszczególne osoby nie mają nic, zaś cały lud posiada wszystko. Dzięki temu potrafi osiągnąć ogromne cele bez pieniędzy i złota.

– Ujrzysz dzieła jeszcze większe i wspanialsze od tego, co widziałeś dotychczas. Wierzę, że będziesz nimi równie zdumiony. Kiedy jednak dowiesz się więcej o naszym systemie rządów, zdumienie ustąpi miejsca podziwowi dla cnót i niezrównanego szczęścia wielkiego Sewariasa, który jest jego twórcą. On to, oprócz Boga, jest przyczyną naszego powodzenia.

Opowiedział mi jeszcze co nieco o prawach i obyczajach Sewarambian, które przytoczę w dalszej części niniejszej historii. Podziękowałem mu za zdradzenie mi wszystkich tych rzeczy i poprosiłem, by wyjaśnił mi coś, co od początku mnie zaskoczyło i czego dotąd pojąć nie mogłem. Zapytałem go, skąd tak dobrze zna niderlandzki i dlaczego ich zwyczaje tak niewiele różnią się od europejskich.

– Zapytałeś mnie o to jeszcze w Sporundii, lecz nie mogłem ci wtedy tego wszystkiego powiedzieć, gdyż nie znałem cię dość dobrze, poza tym miałem swoje powody, by przemilczeć pewne rzeczy. Dowiedz się zatem, iż podróżowałem po waszym kontynencie. Kilka lat spędziłem w Persji, następnie, podając się za Persa, przedostałem się do Indii. Widziałem dwór Wielkiego Mogoła. Udałem się potem do Batawii i innych kolonii holenderskich, gdzie spędziłem dość czasu, by nauczyć się języka. Umiałem już dobrze mówić po persku przed opuszczeniem Sewarindy, gdzie język ten jest publicznie nauczany.

Podróżowałem z dwoma towarzyszami, żyjącymi jeszcze, którzy z pewnością radzi będą poznać ciebie i twoich ludzi. Bez wątpienia uczynią dla was wszystko, co będzie w ich mocy, gdy tylko dotrzemy do stolicy, w której wszyscy mieszkamy. Nie mieszkam bowiem w Sporundii, jak mogło ci się zdawać, choć często tam przyjeżdżam. Ponieważ przebywałem tam, gdy Carchida i Benoscar przywiekli Maurycgo i jego ludzi, Albicormas wybrał mnie, bym udał się po was do obozu i zaprowadził do Sewarindy.

Co do podobieństwa między naszymi obyczajami a waszymi, a także między naszymi językami, nie zdziwi cię zapewne wiadomość, że nasz prawodawca Sewariasi był z pochodzenia wysoko urodzonym Persem. Zwiedził on wiele miejsc w Azji i Europie, we wczesnej młodości poznał pisma greckie i niemal wszystkie nauki pod okiem weneckiego preceptora. Ów Giovanni towarzyszył Sewariasiowi w drodze do tej krainy i pozostawił wśród nas swych potomków, których liczba wielce od chwili jego śmierci wzrosła. Giovanni był nieodłącznym towarzyszem wszystkich podróży Sewariasa i wiernym doradcą we wszelkich dziełach, szczególnie zaś podczas opracowywania najlepszych ich zdaniem praw i obyczajów. Prawa i zasady, które wśród nas ustanowili, czerpali oni zarówno z antycznych, jak i nowoczesnych ksiąg, a także z obserwacji, które poczynili w trakcie swych wojaży.

Jednak, ponieważ najmędrszy nawet i najbardziej oświecony z ludzi nie potrafi przewidzieć dalekiej przyszłości i żaden też nie może samodzielnie wszystkiemu sprostać, wielki Sewarias ogłosił prawo, zgodnie z którym jego następcy mieli możliwość, a nawet obowiązek, tworzyć takie przepisy, które najlepiej przysłużą się dobru i chwale naszego ludu. Między innymi nakazał im zachowanie niewinności obyczajów, zabronił kontaktów z innymi kontynentami, by ich przywary nie zepsuły także Sewarambian. Ponieważ jednak wśród ludzi zepsutych znajdzie się także trochę cnotliwych, zarówno w polityce, jak i w naukach i sztukach, Sewarias uznał, że nie należy, chroniąc się od przywar, pogardzać ich cnotami i dobrymi nieraz przykładami i wynalazkami, jakie znaleźć można u Chińczyków i ludów waszego kontynentu. Dlatego nakazał publicznie nauczać języka perskiego, by od czasu do czasu wysłać do Persji ludzi, którzy mogliby stamtąd udać się w dalszą podróż. Ich zadaniem jest obserwowanie wszystkiego, co godne uwagi, aby można było rzeczy te wykorzystać dla dobra naszego narodu. Tak się działo od początku i dzieje się nadal. Dzięki ludziom, których wysyłamy do Azji i Europy incognito pod perskim przebraniem, dowiadujemy się czasem, co też dzieje się wśród najznacześniejszych narodów waszego kontynentu, uczymy się języków i poznajemy wszelką wiedzę, nauki, sztuki i obyczaje, które mogą okazać się przydatne dla powodzenia naszego kraju. Oto, w niewielu słowach, co mogę ci powiedzieć, by zaspokoić twą ciekawość.

Po tej rozmowie Sermodas oświadczył, że nazajutrz zaprowadzi nas do armii, która była ponoć ze wszech miar godna naszej uwagi. Rankiem Brasindas polecił nam przygotować się do wymarszu. Zjedliśmy śniadanie w jego towarzystwie, po czym kazał mi zebrać tych spośród oficerów, których chciałem wziąć ze sobą. Miałem mu także podać ich liczbę, by mógł przygotować odpowiednio wiele koni i „bandelisów”. Dodał, że nie muszą się martwić o wierzchowce, gdyż miał ich gotowych około setki, a w godzinę mógłby zdobyć jeszcze trzy razy tyle. Powiedział to z niejaką dumą, która podkreślała nie tylko obfitość zasobów tej krainy, lecz także władzę, jaką tu sprawował.

W rzeczy samej, nie ma bardziej absolutnych monarchów niżli gubernatorzy tutejszych miast, gdzie wszystkie dobra i interes publiczny podlegają ich władzy, a ich rozkazy są dokładnie wykonywane, o ile są zgodne z prawem.

Posłałem Maurycego po wszystkich mych oficerów, którzy też wraz przybyli i poprowadzeni zostali do drugiej komnaty na śniadanie. Zeszliśmy następnie na dziedziniec, gdzie znaleźliśmy wóz, zaprzężony w szóstkę wielkich, czarnych koni, jak również wiele wierzchowców i bandelisów. Bandelis jest zwierzęciem większym i silniejszym od jelenia, jednak podobnym doń w budowie. Głowa zaś przypomina niemal kozia. Ma dwa niewielkie, białe różki, niemal przezroczyste, a pomiędzy nimi kępę czarnej sierści, krótkiej i kędzierzawej. Nie posiada grzywy na szyi, a ogon ma

krótki i gęsty. Jego gładka sierść błyszczy się jak u dobrze wyczesanych koni i może przybierać wiele maści. Bandelisy żywią się trawą, sianem, liśćmi, ziarnem i różnymi korzeniami. Kopyta mają jak muły, zaś podkuwa się je podobnie jak konie. Są jednakże od koni dużo szybsze i zwinniejsze. Zakłada się im siodło oraz rodzaj lekkiej uzdy bez wędzidła. Zamiast niego używa się koronkowego kawałka żelaza na nos, który rani go, gdy się pociągnie za lejce. Sprawia to, że bandelisy zatrzymują się natychmiast, ponieważ są to zwierzęta nader łagodne i posłuszne.

Brasindas zabrał Sermodasa, mnie i Nuitsa do swego powozu, zaś jego i nasi ludzie wsiedli na wierzchowce. Tak udaliśmy się wspólnie do obozu, jadąc wzdłuż rzeki i łańcucha górskiego, który obniżał się stopniowo ku równinie, na której ujrzelśmy obóz armii. Obóz otoczony był strumieniem, który spływał z gór, by wreszcie wpaść do rzeki.

Gdy przybyliśmy, zaczęto właśnie ustawiać żołnierzy w szyku. W niecałą godzinę, z podziwu godną sprawnością, cała armia znalazła się pod bronią. Stała w szyku liniowym i mogła liczyć jakieś dwanaście tysięcy osób. Nie śmiem powiedzieć dwanaście tysięcy mężczyzn, ponieważ kobiety stanowiły więcej niż trzecią jej część. Były to jednak wojowniczkki, które nosiły broń i posługiwały się nią równie skutecznie, co każdy z mężów, a ćwiczenia wykonywały nawet z większą dokładnością i gracją.

Była tu piechota i kawaleria. Jazda tworzyła trzecią część armii i składała się w większości z kobiet. Korpus składał się z trzech grup, z których każda obozowała oddzielnie, zaś obóz podzielony był palisadą. Mężczyźni żonaci i ich żony zajmowali środek obozu. Dziewczęta miały zaś prawą, a kawalerowie lewą jego część. Podobny podział dał się zauważyć w szyku, gdy stanęli pod bronią. Powiedziałem już, że w myśl praw Sewarambian, wszystkie dziewczęta mają obowiązek zamążpójścia, gdy tylko osiągną wiek osiemnastu lat, zaś chłopcy w wieku lat dwudziestu jeden. Można stąd łatwo wywnioskować, iż lewe skrzydło armii składało się z ludzi w kwiecie wieku i piękności. Nie wydaje mi się, by można było ujrzeć coś wspanialszego niż owa młodzież, która – oprócz przyrodzonego piękna tego ludu – posiadała zręczność i wdzięk w posługiwaniu się bronią, do czego jest przyuczana od wieku siedmiu lat.

Dziewczyny dosiadały bandelisów i uzbrojone były tylko w pistolety i szpady. Nosiły hełmy z pióropuszcami, z egretą na środku, co czyniło ich postawę dumną, a je same jeszcze piękniejsze. Miały także lekkie kirysy z białego żelaza lub bielonego brązu, zaś od pasa do kolan okryte były rodzajem sukni, rozciętej z dwu stron, która okrywała rajtuzy i pozwalała dostrzec nogę w krótkim buciku, sięgającego tylko do kolana. Te, które służyły w piechocie, miały piki bądź łuki, były silniejsze, bardziej postawne, a nawet nieco starsze od tych z kawalerii. Pikinierki odziane były podobnie, lecz nie nosiły butów do kolan i zamiast dwóch pistoletów miały tylko jeden, zawieszony u pasa, powyżej szpady. Łuczniczki nie miały kirysów ani hełmów, lecz

czapki w zielonym kolorze, podobnie jak cała reszta ich ubioru, który stanowiła podwijana i spinana pasem tunika. Odsłaniała ona rajtuzy i buty tej samej barwy. Za uzbrojenie służył im łuk i kołczan pełen strzał oraz miecz i pistolet u pasa, podobnie jak u pikinierek. Istniały tylko dwa żeńskie pułki piechoty i tyleż samo jazdy.

Wszyscy młodzieńcy dosiadali postawnych wierzchowców, nosili hełmy i kirysy żelazne, podobnie jak nasza ciężka kawaleria w Europie. Byli zbrojni w krótkie muszkiety, pistolety i pałasze, tak samo jak nasza jazda. Ich buty również niczym się od naszych nie różniły. Jeden szwadron uzbrojony był w lance i okrągłe tarcze, a jego rolą było rozbijanie kawalerii lub piechoty przeciwnika, których szyk łamali impetem szarży. Dosiadali oni najpotężniejszych koni, a każdy niósł, za plecami jeźdźca, piechura zbrojnego w miecz i pistolet. Byli oni w stanie z łatwością wskoczyć na grzbiet oraz zeń zeskoczyć w razie potrzeby. Ich piechota składała się z pikinierów, halabardników i muszkietierów. Byli również łucznicy, ubrani i uzbrojeni dokładnie tak samo jak łuczniczki. Mężczyźni żonaci i zamężne kobiety także byli podzieleni na piechotę i kawalerię oraz uzbrojeni podobnie do reszty. Rozpoznawało się ich jednak po wieku i kolorze strojów. Wszyscy mężczyźni dosiadali koni, a kobiety bandelisów. Małżeństwa trzymały się razem i tak samo było w piechocie.

W każdym pułku dostrzegało się sztandary i proporce podobne do naszych. Bębny, trąbki, cymbały, piszczałki i oboje grały muzykę wojenną, zdolną dodać odwagi nawet największym tchórzom.

Gdy armia stanęła w szyku bojowym, generał Salbrontas udał się wraz z oficerami powitać Brasindasa, następnie zaś Sermodasa. Pomówili chwilę, po czym zwrócili się w naszą stronę. Generał pozdrowił całą kompanię lekkim ukłonem, potem zaś ruszył w moim kierunku, jak gdyby chciał ze mną mówić. Sermodas dał mi znak, bym wyjechał mu naprzeciw, co też uczyniłem, kłaniając się do łęku siodła. Wcześniej bowiem wysiedliśmy z powozu i dosiedliśmy koni. Powiedział mi najpierw po hiszpańsku, że dowiedział się, iż jesteśmy cudzoziemcami, którzy rozbili się na wybrzeżu Sporundii. Dodał, że słyszał już o nas, szczególnie zaś o mnie i wiedział, że byłem wojskowym. Ten fakt, jak również pochwały Sermodasa, sprawiły, że darzył mnie głębokim szacunkiem i pragnął, bym ocenił szyk jego armii. Poprosił, bym ustawił się po jego lewicy, zaś Sermodas i Brasindas stanęli po prawej jego stronie. W ten sposób poprowadził nas od początku do końca linii, pokazując wszystko, o czym tu wspominałem. Powiedział mi też, że podróżował przez siedem czy osiem lat po naszym kontynencie i widział różne armie w Europie i Azji, na których wzorowana jest tutejsza dyscyplina.

Każdy oddział pozdrowiał generała, gdy przejeżdżał przed frontem armii. Gdy byliśmy naprzeciw centrum szyku, jeden z batalionów rozstał się, by zaprezentować dziesięć armat, które dały salwę honorową. Następnie wystrzelili muszkietery, po

czym połowa oddziałów oddzieliła się i utworzyła jakby nieprzyjacielską armię, stając naprzeciw drugiej połowy sił. Zaczęły się manewry, w których odegrano udawaną bitwę z wielką zręcznością, zapalem i dokładnością. Broń palna nabita była samym prochem, piki, halabardy i lance ledwie się stykały, zaś łucznicy i łuczniczki wypuszczali strzały w powietrze.

Zapytałem Sermodasa, dlaczego wciąż używali łuków i lanc, które porzuciliśmy już w Europie jako mało użyteczne.

– Zrezygnowaliście z nich – rzekł mi – bardziej przez kaprys niż z rozsądku. Gdybyście bowiem rzecz rozważyli dogłębnie, zachowalibyście przynajmniej część z nich, podobnie jak my tutaj. Używamy strzał, by zdeorganizować kawalerię na początku starcia, zaś lance służą do rozbijania jej szyku, gdy łucznicy już wprowadzą pośród niej zamieszanie. W czasie potrzebnym na dwie salwy z muszkietu można wystrzelić dziesięć strzał, które nie zabijają koni, lecz ranią je i rozjuszają. Wystarczy kilka rannych wierzchowców, by wprowadzić chaos w całym szwadronie, a wtedy już nasi lansjerzy dokonują cudów, rozbijając tych, którzy jeszcze nie całkiem poszli w rozsypkę.

Powiedział mi jeszcze na ten temat wiele rzeczy, które kazały mi podziwiać jego rozsądek. Gdy manewry dobiegły końca, przyprowadzono trzech młodzieńców, których nakryto w obozie dziewcząt, gdzie po kryjomu odwiedzali nocą swoje kochanki. Nigdy nie zdradzili imion wybranek, choć starano się z nich to wyciągnąć wszelkimi sposobami. Pragnęli sami cierpieć kary, jakich dyscyplina domaga się za tego rodzaju przewinienia. Nie chcieli mieszać w to swych kochanek, które czekałaby dokładnie taka sama kara, gdyby odkryto ich tożsamość. Wszyscy trzej zostali rozbrojeni, odebrano im hełmy i buty, po czym musieli przejść między dwiema liniami. Wszystkie dziewczęta, zarówno z piechoty, jak i z kawalerii, utworzyły długi szpaler, a każda trzymała długą różgę. Przestępcy zmuszeni byli przejść środkiem, otrzymując cios od każdej z dziewczyn. Wystarczyło to, by przysporzyć wiele bólu nieszczęsnym kochankom, gdyby każda uderzyła z całej siły. Większość jednak biła lekko, co wskazywało, że nie są bynajmniej tak rozsierdzone, jak się z początku wydawało. Oficerowie, których oskarżono o zaniedbanie obowiązków, nie zostali ukarani, gdyż nie udało się udowodnić im winy, poza tym odwołali się do Sewarminasa.

Po wymierzeniu kary Salbrontas zaprowadził nas do obozu, gdzie pokazał nam swój wielki i piękny namiot, potem inne namioty, w końcu zaś ugościł nas obiadem w pawilonie rozstawionym obok jego kwatery. Pozostaliśmy w obozie aż do wieczora, podziwiając porządek, jaki tam panował, w szczególności zaś grzeczność i piękno sewarindian i sewarindianek, z których składała się niemal cała armia.

Przed nocą powróciliśmy do miasta, gdzie mieliśmy jeszcze okazję zobaczyć końcówkę święta pełni księżyca. W całym imperium Sewarambian dzień pełni i dzień

nowiu są bowiem świętami publicznymi, podczas których mieszkańcy bawią się, tańczą, próbują się w zawodach, szermierce i posługiwaniu się bronią. Inni zajmują się gramami umysłowymi, w których popisują się swoją elokwencją oraz znajomością sztuk wyzwolonych.

W Arkropsindzie znajduje się amfiteatr podobny, choć mniejszy od tego w Sporundii. Także samo miasto nie dorównuje jej rozmiarem, ponieważ liczy jedynie czterdzieści osiem kwadratów. Za to ludzie są tu lepiej zbudowani niż mieszkańcy Sporundii.

Tymczasem wody strumieni w końcu spłynęły, rzeka wróciła w swe koryto, a my postanowiliśmy wyruszyć następnego dnia. Brasindas kazał przygotować statki, które miały nas zabrać do Sewarindy. Wypłynęliśmy z samego rana, posuwając się przez kraj piękny, niemal całkiem jednolity, z wieloma miastami, wioskami i budowlami. Uroku dodawały mu łąki, pola, lasy i rzeki, których nie jestem w stanie tutaj opisać. Wystarczy rzec, iż nigdy nie widziałem krainy równie żyznej, przyjaznej i dobrze zagospodarowanej.

Wieczorem dotarliśmy do małego miasta o ośmiu kwadratach, zwanego Maninda. Tam spędziliśmy noc, rano zaś ruszyliśmy dalej, mijając wiele pięknych osiedli, które podziwialiśmy z górnego pokładu naszego statku. Jeden z naszych, pochłonięty oglądaniem krajobrazu, wpadł do wody i utonął, zanim zdążyliśmy ruszyć mu z pomocą.

Około godziny czwartej po południu dotarliśmy do przylądka na wyspie, która rozdziela rzekę na dwa osobne nurty. Wyspę otaczają wysokie i grube mury o obwodzie niemal trzydziestu mil. Ostrów ten ma kształt prawie idealnie owalny. Opłynęliśmy go od wschodu i około szóstej dotarliśmy do wielkiego miasta. Zastaliśmy tam ogromne tłumy, które wyległy, by zobaczyć nasze lądowanie. Wysiedliśmy na niezwyklej piękności nabrzeże, skąd poprowadzono nas kilkoma uliczkami do przeznaczonego dla nas kwadratu. Odwiedziło nas tam kilku urzędników w imieniu Sewarminasa. Zachowywali się oni bardzo uprzejmie i oznajmili, że za kilka dni zostaniemy przedstawieni wicekrólowi Słońca.

W oczekiwaniu na audiencję, wyznaczoną na dziewiąty dzień po naszym przybyciu do Sewarindy, Sermodas przebywał głównie w naszym kwadracie. Był to świeżo postawiony budynek, zamieszkały jedynie przez kilkoro niewolników, których umieszczono tam kilka dni przed naszym przyjazdem, by nam usługiwali. Byliśmy traktowani bardzo dobrze, a przewodnicy pouczali nas, jak mamy się zachowywać wobec każdego, z kim się spotykaliśmy, w szczególności zaś wobec wicekróla. Sermodas, który był niezmiernie szlachetnym i przyjaźnie nastawionym człowiekiem, starał się nas rozerwać na wszelkie sposoby. Prowadziliśmy mądre dysputy, chodziliśmy na spacer, uctowaliśmy. Przedstawił nam swoje żony i dzieci, wszystkie już dorosłe

i mające własne rodziny. Było ich trzynaścioro, a miał je z trzema żonami, z których jedna już nie żyła. Co do Carchidy i Benoscara, wiedzieliśmy, że mieszkali oni na wyspach jeziora, gdzie mieli wrócić zaraz po naszej audyencji u Sewarminasa.

Dom, w którym przebywaliśmy, znajdował się na jednym z krańców miasta w górze rzeki. Widzieliśmy stamtąd pola pełne bujnych drzew, rosnących w porządku i tworzących różnorodne, zacienione alejki. Często spacerowaliśmy tam z Sermodasem i różnymi znacznymi osobistościami, które składały nam wizyty z ciekawości. W taki sposób spędzaliśmy czas do ósmego dnia, gdy Sermodas oświadczył, iż nazajutrz mamy stanąć przed wicekrólem i całym jego dworem.

Nadszedł ranek. Zbudzono nas o wczesnej porze i poprowadzono do łaźni, znajdujących się w naszym kwadracie, gdzie mieliśmy się dokładnie umyć. Otrzymaliśmy białą bieliznę i nowe stroje, wyszywane w wielokolorowe kwiaty. Mój był najbogatszy i dostrzegało się w nim srebro utkane z jedwabiem, podobne do tkanin złotych i srebrnych, jakie produkuje się w Europie. Każdy dostał też zieloną gałązkę, którą miał trzymać w dłoni. Podobnie jak w Sporundii, poprowadzono nas dwójkami do Pałacu Słońca długimi ulicami.

Dzień ten przypadał w miejskie święto, więc ze wszystkich okien i balkonów obserwowali nas mieszkańcy. Po godzinie marszu dotarliśmy wreszcie do przestronnego placu, pośrodku którego stał Pałac Słońca. Zbudowany był z białego marmuru i zdobiony różnymi elementami architektonicznymi i rzeźbami o wielu kolorach. Jak wszystkie inne budynki, ma on plan kwadratu, fronton długi jest na nie mniej niż pięćset kroków, a obwód liczy dwie mile, których to rozmiarów próżno szukać w innych domach. Z każdej strony jest dwanaście wrót położonych naprzeciw siebie, dzięki czemu można patrzeć na przestrzał z dwunastu różnych punktów. Oprócz nich jest też wielki portal, którym mieliśmy wejść.

Sermodas zatrzymał nas na moment, byśmy mogli podziwiać ów wspaniały pałac. Wszystkie porządki architektoniczne są w nim zachowane w sposób zaiste godny podziwu. Nie widziałem nigdy nic równie bogatego i majestatycznego. Dokładny opis podobnej budowli zajęłby kilka tomów i wymagałby autorów lepiej znających się na sztuce. Z obawy, iż nie podołam temu zadaniu i zanudzę Czytelnika, powiem tylko, że nie widziałem nigdy lepszej ilustracji tego, czym jest wspaniała budowla. Gdy wystarczająco długo napatrzyliśmy się na ten niesamowity pałac, poprowadzono nas ku portalowi wzdłuż szpaleru zbrojnych w błękitnych szatach, podobnie jak w Sporundii.

Kazano nam zatrzymać się na jakiś czas przed wejściem, które ma dwieście czterdzieści cztery kolumny z brązu po obu stronach, poniżej zaś kilka szeregów niższych kolumn, przemieszanych z różnymi posągami i statuami. Przeszliśmy na przestronny dziedziniec, otoczony portykami, podtrzymywanymi przez piękne,

różnokolorowe i różnokształtne kolumny z marmuru. W środku, podobnie jak na zewnątrz, budynek był biały. Następnie przeszliśmy na kolejny dziedziniec, tym razem z czarnego marmuru, zdobiony posągami i liściastymi ornamentami o różnych barwach. Były one wplecione w szkielet z czarnego, błyszczącego marmuru. Ujrzelśmy tam wielu zbrojnych w czerwonych liberiach, ustawionych w szpaler.

Z czarnego dziedzińca przeprowadzono nas do kolejnego, wyłożonego wielobarwnym marmurem, zdobionego kolumnami różnych porządków i ogromnej wielkości statuami z brązu. Dalej, szerokimi, zdobionymi i malowanymi schodami, przeszliśmy do wielkiej sali, by następnie trafić do jeszcze piękniejszej, później zaś do długiej galerii, po obu stronach obstawionej posągami mężczyzn i kobiet, doskonale rzeźbionymi. Galeria ta, przez kolejną salę, prowadziła do jeszcze innej, której posadzka wyłożona była bogatym kobiercem. Tam czekaliśmy czas jakiś, zanim wprowadzono nas do najpiękniejszego wnętrza, jakie dotychczas widzieliśmy. Płonęły tam wonne kadzidła, a rozmaite instrumenty grały uroczą melodię. Pozostaliśmy w tym miejscu przez chwilę, podziwiając jego piękno, aż wreszcie odsunięto zastonę w głębi pomieszczenia, która rozciągała się półkolem, niby chór w kościele.

Za nią ujrzelśmy Sewarminasa, wyniesionego na wysokim tronie z kości słoniowej, odzianego w uroczyście, złotą szatę. Wokół głowy nosił on rodzaj diademu lub aureoli z promieni słonecznych, błyszczącą od diamentów i innych szlachetnych kamieni. U jego boków stały dwa szeregi senatorów odzianych w purpurę i szarfy złote, które spływały z ich ramion. Było ich po dwunastu z każdej strony tronu, poniżej zaś dostrzegano się kolejny rząd trzydziestu sześciu osób, podobnie ubranych, z tym wyjątkiem, że ich wstęgi były koloru srebra.

Podziwialiśmy przez czas jakiś owo uroczyste zgromadzenie, aż w końcu dwie osoby, spośród tych stojących najniżej, przed barierką oddzielającą tron od reszty sali, poprosiły Sermodasa, by podprowadził nas bliżej. Postąpiliśmy trzy kroki i złożyliśmy głęboki ukłon, potem kolejne trzy kroki i znów pokłoniliśmy się do ziemi. Wreszcie poprowadzono nas do balustrady, gdzie trzykrotnie pokłoniliśmy się do samej posadzki. Mych ludzi ustawiono za moimi plecami, zaś Nuits i Maurycy trzymali się u mego boku. Kazano nam się podnieść i stać prosto.

Sermodas zbliżył się do Sewarminasa i opowiedział mu wszystko, co nam się przytrafiło. Następnie wziął mnie za rękę i powiedział, że jestem dowódcą przyszłów. Wówczas Sewarminas skinął mi głową i rzekł, iż jesteśmy mile widzianymi gośćmi w Państwie Słońca oraz że wielce jest kontent z naszego dotychczasowego postępowania. Żywił nadzieję, że będziemy czynić dalsze postępy i dostosujemy się do praw tego kraju, co miało nam zapewnić jego opiekę, życzliwość i pochlebne spojrzenie ich chwalebego króla, który widzi wszystko i nic się przed nim nie

ukryje. Zaklinał nas, byśmy zawsze słuchali rozkazów Sermodasa, któremu zlecił ponownie opiekę nad nami.

Po tych słowach pożegnał nas, pozostając na tronie, pośród swej świty, aż do chwili naszego wyjścia z sali. Wyprowadzono nas z pałacu innymi korytarzami niż te, które dotąd widzieliśmy. Wyszliśmy więc innym portalem i powróciliśmy do siebie innymi ulicami, choć w takim samym porządku, w jakim tam przybyliśmy.

Kolejne dziesięć dni spędziliśmy w podobny sposób, na takich rozrywkach jak spacerować po mieście czy zwiedzanie okolicy. Po tym czasie jednak Sermodas wzięła na bok mnie, Nuitsa, Devèze'a i Maurycego, by powiedzieć, że trzeba nam znaleźć jakieś zajęcie, które ochroni nas przed niebezpieczeństwami nicnieróbstwa. Poradził, byśmy zbadali wszystkich naszych ludzi pod kątem tego, do czego byli zdolni, by znaleźć im odpowiednie do ich umiejętności zatrudnienie. Dodał, iż nie mówi tego z zazdrości o ich beczynny tryb życia ani z pragnienia zarobku na ich pracy. Mieliby bowiem pracować nie tyle na rzecz narodu, który ich gości i karmi, lecz raczej dla własnego dobra i korzyści, a także po to, by ich próżniactwo nie stało się złym przykładem dla Sewarambian. Jest ono bowiem formalnie zabronione przez prawa tego kraju.

Odrzekliśmy, że nie pragniemy niczego innego, jak tylko mieć jakieś zajęcie i żyć podobnie do innych. Prosił nas jednakże o wybaczenie nam naszej ignorancji do czasu, gdy będziemy lepiej zaznajomieni z tutejszymi obyczajami i prawami. Nakłanialiśmy też Sermodasa, by rozkazywał nam, co mu się tylko spodoba, my zaś postaramy się być mu posłuszni we wszystkim.

– A zatem – rzekł – damy wam wszystkim zatrudnienie niezbyt męczące, nawet was nie rozdzielając. Wy, wasze kobiety i dzieci będziecie mogli przebywać razem, pod tym samym rządem, pod którym jesteście obecnie, tak długo, jak się wam spodoba.

Powiedział mi, iż tak dobrze przewodziłem naszym ludziom, że niesprawiedliwością byłoby pozbawiać mnie tej władzy. Aby ją zachować, Sewarminas uczynił mnie „osmazontą”, to jest gubernatorem „osmazji”, czyli kwadratowej budowli, którą zamieszkiwaliśmy. Miałem prawo wybrać spośród swoich ludzi oficerów wedle woli. Dodał także, iż nauczy nas obyczajów i praw Sewarambii, a nasze błędy, wynikłe z niewiedzy, spotkają się z wyrozumiałością. Poradził nam wszakże, jeśli chcemy lepiej żyć i móc rozmawiać ze wszystkimi mieszkańcami, byśmy nauczyli się ich języka, który jest łatwy, bo metodyczny i regularny. Postanowił przydzielić nam nauczycieli, by codziennie udzielali lekcji o ustalonej porze. Abyśmy mieli więcej czasu na naukę, wyznaczono nam sześciogodzinny dzień pracy zamiast zwyczajowego ośmiogodzinnego. Sewarminas dodał również, że w ciągu roku wypada wiele świąt, podczas których odbywają się spektakle i rozrywki dla publiczności. Dzięki temu praca nie jest uciążliwa, ponieważ przeplata się z wieloma zabawami i gramami, które dają wytchnienie ciału i umysłowi.

Gdy Sermodas zostawił nas samych, przepytaliśmy wszystkich naszych ludzi i odkryliśmy kilku, którzy nauczyli się w Europie różnych profesji. Reszta była marynarzami, jednak na tyle silnymi, że mogli przenosić ciężary i uprawiać ziemię. Powiadomiliśmy Sermodasa, który rzekł, iż powinniśmy niebawem położyć fundamenty pod nową osmazję, w pobliżu tej, którą zajmowaliśmy. Miało to zapewnić zajęcie wszystkim. Zalecił nam podzielić ludzi na tuziny i wyznaczyć każdemu z nich „dwunastnika”, to jest oficera, który będzie ich nadzorował i przewodził im w pracy.

Mieliśmy rozwiązywać nasze wewnętrzne sprawy, nie martwiąc się o żywność, odzienie i narzędzia do pracy, ponieważ rzeczy te otrzymamy w miarę potrzeb. Aby uczynić wszystko zgodnie z ustalonym porządkiem, dał nam Sermodas wzorzec zarządzania innych osmazji. Zgodnie z tym modelem uczyniłem Nuitsa i Devèze'a moimi namiestnikami, czyli „drosmajontami”. Resztę zaś podzieliłem na tuziny, przydzielając im dwunastników. Opuściliśmy sobie organizację kuchni i innych posad gospodarczych, ponieważ, nie znając języka i zwyczajów, nie byliśmy w stanie dojść z tym do ładu. W tym celu Sermodas przydzielił nam Sewarambianina imieniem Farista, który miał się zajmować gospodarstwem i rozkazywać naszym niewolnikom.

Po rozwiązaniu wszystkich tych kwestii rozpoczęliśmy budowę osmazji i pierwszy raz poprowadziłem ludzi do pracy. Na placu budowy powitał nas architekt Posterbas, któremu Sermodas nas polecił. Zatrudnił on naszych ludzi do różnych zajęć, a to do noszenia ciężarów, a to do gładzenia kamieni czy innych prac tej natury, którymi mieliśmy się zajmować codziennie o ustalonych porach. Co do mnie, przychodziłem tam, gdy miałem na to ochotę. Każdego dnia wysyłałem jednego z namiestników, by nadzorował postępy i wydawał rozkazy. Osobiście zjawiałem się na placu budowy co pięć dni, by dawać dobry przykład.

Tymczasem poświęciłem się nauce języka Sewarambian i, zgodnie z przepowiednią Sermodasa, okazał się on bardzo łatwy. Pojąłem wszystkie zasady w ciągu trzech czy czterech miesięcy, a w ciągu roku potrafiłem dość sprawnie się porozumiewać. Wielu z naszych ludzi także się go nauczyło, choć większość nie poczyniła szczególnych postępów. Każdy jednak potrafił posłużyć się nim w niezbędnych sprawach życia codziennego. Wszyscy mieliśmy kobiety, z nimi zaś dzieci. Ja otrzymałem pozwolenie na troje, a moi namiestnicy na dwoje potomków.

Gdy tylko przezwyciężyłem pierwsze trudności w nauce języka, poczyniłem zaraz tak wielkie postępy, że po trzech latach mówiłem w nim równie dobrze jak w moim ojczystym języku. Przysłużyło mi się to, gdy zapragnąłem wejść w towarzystwo Sewarambian, by obserwować ich obyczaje.

Podobnie jak my, posiadają oni drukowane księgi, choć nie mają ich równie wiele. Te jednak, którymi dysponują, są zawsze wysmienite w swoim gatunku. Inaczej

bowiem nie ścierpieliby ich u siebie. Przeczytałem kilka ich traktatów z filozofii, matematyki, retoryki, historii i wielu innych dziedzin. Szczególnie pasjonowały mnie jednak dzieje tych ludów oraz historia Sewariasa, pierwszego prawodawcy Strukarambian, jak nazywali się przed jego nastaniem. Przykładałem się też do lektury tekstów o ich prawach, religii i zwyczajach, o których opowiem najlepiej, jak umiem, w dalszym ciągu tej historii.

Zacznę od Sewariasa, przed którym wszystkie te ludy były równie barbarzyńskie i prostackie, jak dziś jeszcze ich sąsiedzi z całego kontynentu, jak mniemam. Wiele napisano o tym wielkim mężu, jednakże ograniczę się do kwestii najważniejszych dla jego rządów oraz tych, które wskazują, w jaki sposób osiągnął tak ogromną mądrość i cnotę jeszcze przed przybyciem na Ląd Południowy. Bez wątpienia wiele tłumaczą w tej sprawie nieszczęścia jego rodu, jego cierpienia i wędrowki. Nieczęsto widzi się ludzi obeznanych ze światem pośród tych, którzy zawsze żyli wygodnie w domowym zaciszu, nigdy nie doznając srogości i niestałości losu oraz złośliwości ludzkiej. Sewarias miał wiele wrodzonych talentów, a jego edukacja była wyśmienita i całkiem inna od tej, która jest powszechna w jego ojczyźnie. Cierpienia i podróże przyczyniły się znacznie do oświecenia jego umysłu, nie ma więc co się dziwić, iż udało mu się osiągnąć tak wielką mądrość i dać równie wspaniałe jej dowody na owej wysokiej scenie, gdzie wyniosła go Fortuna.

Co do miasta Sewarindy, które nosi jego imię, można śmiało powiedzieć, iż jest to najpiękniejsze miasto świata, czy to ze względu na położenie i żyzność okolicznych ziem, czy też ze względu na klimat i zdrowe powietrze, czy wreszcie na porządek i wspaniałość budowli oraz dyscyplinę jego mieszkańców.

Sewarinda leży na wyspie o niemal trzydziestu milach obwodu, która tworzy się pośrodku wielkiej rzeki, w miejscu, gdzie wpadają do niej mniejsze. Otoczona jest grubym murem, który chroni ją z każdej strony, więc właściwie niemożliwością jest wylądować tam bez zgody mieszkańców, choćby miało się największą armię świata. Gleba jest niesamowicie żyzna i rodzi obfitość wspaniałych owoców, podobnie jak wszystkie ziemie za rzeką w promieniu dziesięciu mil. Powietrze jest tam bardzo zdrowe, klimat łagodny, co jest właściwe dla czterdziestego drugiego stopnia szerokości południowej.

Miasto, zbudowane na planie kwadratu, stoi pośrodku wyspy. Oprócz pałacu w centrum posiada dwieście sześćdziesiąt siedem w pełni zaludnionych osmazji, czyli kwadratowych budowli. O frontach długości pięćdziesięciu kroków geometrycznych, każda z nich może wygodnie pomieścić ponad tysiąc osób. Posiadają cztery wielkie wrota położone naprzeciw siebie oraz środkowy dziedziniec pełen zieleni. Mury zbudowane są z jakiejś odmiany marmuru lub białego kamienia, który łatwo się szlifuje. Każdy z domów ma cztery piętra wysokości.

Na wszystkich ulicach, wielce prostych i szerokich, ujrzeć można żelazne kolumny podtrzymujące balkony, pod których osłoną mieszkańcy przechadzają się w deszczowe i upalne dni. Na każdym balkonie stoją pięknie zdobione donice z ziemią, w których rosną rozmaite kwiaty i krzewy, tworząc jakby maleńkie ogrody pod oknami. Podobny widok spotkać można na wewnętrznych dziedzińcach osmazji, otoczonych takimi samymi balkonami i zielenią. Pośrodku dziedzińca również znajduje się roślinność, a także fontanna. Woda spływa z dachów, gdzie dostarcza się ją z innych miejsc, by w razie czego gasić pożary. Zasila także łaźnie oraz różne inne pomieszczenia budynku. W końcu dociera do fontanny na parterze dzięki rurom i przewodom rozmieszczonym w wielu miejscach.

Ulice miasta są myte w razie potrzeby i gdyby się chciało, można by zalać je wodą na głębokość trzech stóp, co rzadko się spotyka na tak wyniesionych terenach, które nie mają w sobie nic z mokradeł. Można chodzić po dachach osmazji w kółko, a także puścić po nich wodę.

W okresie letnich upałów rozpina się między domami ogromne płótna, co sprawia, że ulice są chłodne i zacienione, a przechodnie osłonięci od promieni słonecznych tak skutecznie, że niemal nie odczuwa się gorąca. Podobnie czyni się na dziedzińcach domów. W tym celu montuje się w murach bloczki, przez które przeplatane są liny podtrzymujące namiot. Dzięki temu systemowi wciąga się płótno na wysokość dachu, by mury nie ogrzewały się od słońca. Wszystko to sprawia, że pomimo gorącego lata panującego w tym kraju, jest ono wcale znośne w Sewarindzie. Mogę śmiało powiedzieć, że nigdzie w Europie nie spędziłem przyjemniejszego lata niż w tym mieście, gdzie w każdym miejscu widać wodę, cień, kwiaty i zieleń.

Chlubą miasta są niewątpliwie Pałac i Świątynia Słońca, a także amfiteatr i staw, który znajduje się na krańcu wyspy. Jednak ponieważ cała wyspa otoczona jest murem, łatwo uznać go za część miasta.

Podobnie jak Sewarinda położona jest pośrodku wyspy, tak sama wyspa leży w centrum ziem Sewarambian. Mają oni bowiem maksimum, zgodnie z którą ich osadnictwo rozprzestrzenia się stopniowo wokół stolicy, w miarę wzrastania liczby ludności. Prawda, że od morza do ostatnich osmazji, położonych za Sewarindą w górze rzeki, jest aż sto pięćdziesiąt mil. Niemal cały ten teren zasiedlony jest przez Sewarambian, jednak ich osadnictwo rozprzestrzeniło się właściwie w prostej linii. Jeśli zaś odejść jakie dwadzieścia mil w bok, znajdzie się już wielką puszcze, zamieszkaną jedynie przez lwy, tygrysy, erglanty, jelenie, bandelisy i inne dzikie zwierzęta. Do Sewarambian należy pięćdziesiąt mil owych lasów wokół stolicy, cały bieg rzeki aż do morza oraz czterdzieści mil w stronę Sewaragundo, które jest pierwszym miastem Sewarambii na szczytach wzgórz od strony Sporundii.

Kraj za górami, na brzegu oceanu, gdzie mieszkali niegdyś Prestarambianie, obecnie zamieszkały jest tylko do wysokości wysp na jeziorze, gdzie Maurycy i jego towarzysze napotkali miejscowych. Osadnictwo zaś istnieje jedynie przy drodze ze Sporundii do Sewarindy. Kiedy bowiem Sewarias zjednoczył wszystkie te ludy, dotąd rozproszone po lasach, żyjące z łowów, dzikich owoców i kilku warzyw, nauczył je uprawiać ziemię na nasz, europejski sposób. Okazało się wówczas, że potrzebują oni znacznie mniejszych terenów, ponieważ każdy dobrze uprawiony akr dawał większy plon niż pięćdziesiąt akrów uprawianych na ich modłę. Z początku więc osiedlili się ciasno wokół Sewarindy i stamtąd stopniowo rozprzestrzenili się po okolicy, na jakieś dwadzieścia mil na brzegach rzeki i trzydzieści poniżej miasta, w kierunku Morza Południowego. Tam bowiem osiedlali się najchętniej, z powodu łatwego dostępu do rzeki i jej licznych dopływów. Często zakładają oni nowe kolonie, gdyż szybko się mnożą i na całym obszarze można już zliczyć prawie pięć tysięcy osmazji, zebranych w miastach i wioskach lub rozproszonych w różnych punktach kraju po trzy, po dwie, a nawet pojedynczo.

Jak już powiedziałem, wszystkie te ziemie przynoszą znaczne plony, zarówno dzięki ich przyrodzonej żyzności, jak i dzięki przemysłowości mieszkańców, którzy nie ścierpią nieużytków wokół swych domostw. Nie szczędzą oni trudów i starań, by użyźnić nawet najbardziej jałowe miejsca, szczególnie wokół Sewarindy. W tym celu wykopali kanały przecinające równiny, by nawodnić wszystkie suche tereny i osuszyć bagniska. Są nieopodal Sewarindy dwa miejsca, gdzie efekty ich pracy i przemysłu dają się doskonale zauważyć.

Jedno z nich znajduje się trzy mile od miasta, na tej samej wyspie. Są tam bardzo piękne łąki i aleje majestatycznych drzew. Przed nadejściem Sewarisa miejsce to, dziś tak urokliwe, było niczym więcej niż cuchnącym bagniskiem, które nie rodziło nic oprócz trzciny. Jednakże dzięki kanałom, które Sewarambianie tam wykopali oraz dzięki ogromnej ilości zwiezionej ziemi, stało się ono nad wyraz żyznym i przyjemnym terenem.

Drugie miejsce znajduje się na zachodnim brzegu rzeki, jakieś sześć czy siedem mil od miasta. Było kiedyś jałową, piaszczystą równiną, lecz dzięki doprowadzonej kanałami wodzie z rzeki oraz dzięki wynalezionemu przez Sewarambian sposobowi rozdzielania piasku, nawożenia go i przekształcania w dobrą glebę, uczyniono z niej jeden z najpiękniejszych i najpłodniejszych terenów świata. Największe zdumienie budzi to, że owe przemienione w glebę i nawożone piaski, zamiast zmniejszać swoją objętość po każdym zbiorze, stają się coraz to tłustsze i żyzniejsze.

Istnieje wiele piaszczystych miejsc w naszej Europie, które mogłyby się stać niezwykle żyznymi i zyskownymi terenami, gdybyśmy tylko potrafili zastosować ów wynalazek. Wydawał mi się on tak cudowny, że nie spocząłem, dopóki nie

poznałem jego sekretu, co okazało się niezbyt trudne, gdy już nauczyłem się języka miejscowych. Sewarambianie bowiem, pozbawieni chciwości i bogaci tylko jako państwo, nie czynią żadnych tajemnic z tego typu rzeczy. Mam nadzieję opublikować w Europie ów wynalazek, jeśli tylko tam dotrę i znajdę ludzi na tyle rozsądnych i potężnych, by zechcieli podjąć się takiego dzieła. Wydatki z nim związane nie będą zbyt wielkie, zaś korzyści bez wątpienia znaczne, tak dla jednostek, jak i dla ogółu.

Po tym zwięzłym opisie miasta Sewarindy, sądzę, że przyszedł czas na przybliżenie historii, praw i obyczajów Sewarambian, poczynając od żywota Sewariasa, który miałem okazję czytać wielokrotnie podczas mego pobytu w tym kraju, aby następnie przejść do dziejów jego spadkobierców.

Historia Sewariasa, prawodawcy Sewarambian, pierwszego wicekróla Słońca,
oraz jego następców albo
Część trzecia Historii Sewarambian

Zbyt wiele miejsca zajęłoby przytoczenie tu wszystkiego, co napisano o życiu tego wielkiego człeka, którego mądre postępowanie i godne podziwu czyny stały się przedmiotem wielu tomów. Wybiorę tylko rzeczy najważniejsze dla historii szczęśliwego ludu, który zdaje się zawdzięczać całe swe powodzenie staraniom i przezorności owego niezrównanego prawodawcy.

Był on z pochodzenia Persem bardzo starego rodu, ponieważ wywodził się od Parsów, których wciąż jeszcze trochę pozostało w Persji. Odróżnia się ich od Tatarów, którzy podbili to dawne królestwo. Parsowie ci, pierwotni mieszkańcy kraju, zachowali wiele obyczajów przodków, w tym kult Słońca i ognia. Nie przyjęli oni mahometanizmu ani sufizmu, jak inni poddani perscy.

W ten sposób Sewariasi, Pars z urodzenia, wychowany został od najmłodszej młodości w wierze ojców. W ojczyźnie nosił miano Sewaris Ambarces, był najstarszym synem szlachcica, zwanego Alestanem Hosserem Ambarcesem, arcykapłana Słońca. Miejsce jego narodzin oraz pierwsza siedziba leżała niedaleko tej części Persji, która rozciąga się wzdłuż Zatoki Perskiej. Jego ród zachował splendor pomimo wszystkich wojen, prześladowań tatarskich, aż do czasów owego Alestana, gdy utracił wiele ze swej potęgi przez złośliwość możnych nieprzyjaciół, których przysporzyła mu zawiść.

Sewarambianie dzielą czas na „dirnemia”, z których każde zawiera siedem obrotów Słońca. Według ich szacunków Sewariasi przyszedł na świat w roku pańskim 1395 naszej rachuby. Trzydzieści dwa lata później po raz pierwszy postawił stopę na Łądzie Południowym, to jest w roku 1427. Od tej chwili ludy te liczą swoją historię.

Przez pierwszych sześć lat życia Sewaris wychowywany był przez niewiasty w pałacu ojca, zgodnie z obyczajem jego narodu. Jednakże Alestan, człek uczony i znający astronomię oraz inne nauki przyjęte wśród Parsów, zauważył u swego potomka wszystkie cechy charakterystyczne natury niezwyklej. Sewaris obserwował i starał się naśladować niemal wszystko, co czynili inni, ponadto udawało mu się to o niebo lepiej, niż należałoby się tego spodziewać w tak młodym wieku. Ojciec postanowił kształtować umysł Sewarisa z największą troską oraz podarować mu edukację godną wspaniałego geniuszu, którym się już wykazywał. Tym łatwiej było mu podjąć taką decyzję, że można było skutecznie wprowadzić ją w życie dzięki jednemu z jego niewolników, Giovanniemu, który to był człowiekiem cnotliwym, wiernym i wielce uczonym.

Giovanni był z urodzenia Wenecjaninem, wyznawał wiarę chrześcijańską, służył już u Alestana od trzech czy czterech lat, zanim ten postanowił powierzyć mu wychowanie syna. Kilka lat wcześniej został pojmany przez piratów, następnie zaś kupiony przez kilku kupców, którzy wreszcie sprzedali go arcykapłanowi Słońca.

Był on z natury obdarzony bystrością umysłu oraz cnotą, zaś od najmłodszych lat poznawał literaturę i posiadał nieprzeciętną wiedzę już w chwili utraty wolności. Pierwsi jego panowie, którzy byli ludźmi pospolitymi i niewykształconymi, nie zwrócili uwagi na jego zalety. Jednak Alestan, który – jak wspomniałem – był człowiekiem uczonym, prędko zauważył wartość swego niewolnika. Traktował go w sposób tak łagodny i ludzki, że po pewnym czasie Giovanni wołał niewolę u tak dobrego pana od wyzwolenia, które Alestan wielokrotnie mu proponował, choć gorąco pragnął zatrzymać go w swym domu dla edukacji syna.

Kiedy więc Sewaris osiągnął siódmy rok życia, jego dalsze wychowanie powierzone Giovanniemu. Alestan, wyposażywszy go w całą władzę niezbędną gubernatorowi, polecił mu nauczanie Sewarisa nauk i sztuk, a także wpojenie mu cnoty, bez której światła umysłu są nie tylko bezużyteczne, ale też nader niebezpieczne. Przypomniał Giovanniemu łagodność, z jaką zawsze go traktował, oraz szczególne oznaki poważania i życzliwości, wreszcie rzekł, iż w dowód owego szacunku i zaufania powierza mu najcenniejsze dobro, jakie posiada, to jest swego syna.

Giovanni z głębokim uszanowaniem przyjął owo świadectwo dobroci swego pana i tak poważnie zabrał się do wychowywania młodego Sewarisa, że ten w ciągu kilku lat poczynił niezwykle postępy w nauce literatury i ćwiczeniach ciała, w szczególności zaś jednak w praktyce cnoty. Prawdą jest, iż znalazł Giovanni w swym podopiecznym materiał nader wdzięczny. Poza przyrodzoną łagodnością i uczciwością, młody ów książę wykazywał się umysłem żywym, przenikliwym i roztroptym, któremu towarzyszyła świetna pamięć, co jest połączeniem rzadko spotykanym. Mentor potrafił tak skutecznie wykorzysta te cechy, że w wieku lat szesnastu Sewaris doskonale władał

językiem włoskim, rozumiał dość dobrze łacinę i grekę i we wszystkich tych językach czytał autorów, którzy najlepiej mogli się przyczynić do rozwoju jego talentów, a także utwierdzić go w umiłowaniu sprawiedliwości i mądrości.

Poza tymi pięknymi przymiotami duszy, posiadał on ciało godne dobrze urodzonego młodzieńca. Pięknie zbudowany, słusznego wzrostu, miał poza tym przystojną twarz o wyrazie łagodnym i majestatycznym, który budził spontaniczną sympatię wszystkich, którzy nań patrzyli. Cieszył się świetnym zdrowiem, a jego krzepkie i żwawe ciało, pełne sił i zręczności, pozwalało mu wyśmienicie wykonywać wszystkie ćwiczenia.

Tak wiele wybitnych zalet czyniło zeń ulubieńca rodziców, przedmiot podziwu i nadziei Parsów, a także zazdrości nieprzyjaciół rodu. Długotrwała pomyślność ich domu przysporzyła bowiem zawistnych jego ojcu, byłoby ich zaś jeszcze więcej, gdyby – poprzez zręczność i umiarkowanie – Alestan nie zdusił w zarodku tysiąca przebiegłych planów uknutych przez licznych wrogów. Pomimo całej swej mądrości i roztropności nie mógł jednak zapobiec, by jeden z jego sąsiadów nie wyrządził mu wielu zniewag pod pretekstem jakichś wspólnych interesów. Ponieważ ich wzajemna nienawiść wzrastała z każdym dniem, zaczęli oni wreszcie toczyć otwartą wojnę. Nieprzyjaciel Alestana urządził wiele zamachów na jego życie, jednak żaden się nie powiódł.

Owe niepowodzenia nie przeszkodziły mu jednak w zastawianiu kolejnych pułapek, aż w końcu udał się z wieloma zbrojnymi, by dopaść Alestana i jego syna w lesie, gdzie mieli polować.

Na szczęście jeden z ich przyjaciół dołączył do nich bez zaproszenia, widząc ze sobą liczną świtę. Wzmocniło to bardzo siły Alestana, które w przeciwnym razie zostałyby przytłoczone liczbą przeciwników. Wrogowie rzucili się na nich godzinę po ich przybyciu, nie spodziewając się tak silnej eskorty. Byli mimo to silniejsi i lepiej przygotowani, początkowo więc rozproszyli ludzi Alestana i z pewnością osiągnęliby znacznie więcej, gdyby młody Sewaris, w towarzystwie swego gubernera i dwóch służących, nie dostrzegł niebezpieczeństwa, które groziło jego ojcu. Z heroiczną odwagą i niezwykłym szczęściem zaszarżował on w sam środek napastników i własnoręcznie ubił ich przywódcę. Śmierć wodza i waleczność młodego księcia wprawiły w osłupienie wrogów i zasiały panikę w szeregach zbirów. Alestan zebrał swych ludzi, ruszył w sukurs synowi i bez większego trudu rozbił i zmusił do ucieczki tych, którym udało się umknąć przed jego słusznym gniewem.

Jednak radość ze zwycięstwa nie trwała długo. Przemieniła się niebawem w smutek, gdy tylko zrozumiał, do jakich nieszczęść może ono doprowadzić jego rodzinę. Wróg jego co prawda padł martwy, lecz wciąż miał potężnych przyjaciół na dworze i w kraju, którzy mieli uczynić wszystko, co w ich mocy, by zgubić Alestana i jego syna.

Byli oni wszyscy mahometanami, a tym samym z łatwością mogli wyrzucić zemstę na księciu, który cieszył się szacunkiem tylko pośród wyznawców prześladowanej religii oraz ludu żyjącego pod butem okrutnych zdobywców.

Rozważania te, w szczególności zaś obawy o syna, którego miłował nad życie, kazały mu oddalić Sewarisa, by uchronić go przed zemstą nieprzyjaciół. Nie tracąc więc czasu, przywołał Sewarisa i Giovanniego do gabinetu, przedstawił im beznadziejną sytuację, w jakiej się znaleźli oraz grożące im niebezpieczeństwa. Następnie rzekł do Giovanniego, że skoro Sewaris od niego otrzymał wychowanie i uważał go, zaraz po ojcu, za człowieka, któremu winien był największy respekt i wdzięczność, tym samym miał prawo odeń oczekiwać więcej przywiązania i wierności niż od kogokolwiek innego. Od kilkunastu lat Giovanni był w ich rodzinie i dał tak jasne dowody gorliwości i przezorności, że grzechem wobec rozsądku i sprawiedliwości byłby brak zaufania wobec niego. Ponieważ dotychczas był on preceptorem Sewarisa, powinien zachować to stanowisko aż do osiągnięcia przez młodzieńca dojrzałości, zaś więzy zadzierzgnięte między nimi były tak silne, że nic nie mogło ich rozzerwać ani osłabić.

– Mój wierny Giovanni – rzekł doń – dotychczas zajmowałeś się uprawą tej młodej rośliny, lecz nie przyniesie ona owoców ani nie spełni naszych nadziei, jeśli nie ocalisz jej od grożącego niebezpieczeństwa. Powierzam ci ją zatem jako święty obowiązek, za który będziesz przede mną odpowiedzialny. Zaklinam cię, byś chronił mego syna jak źrenicy oka. Uciekaj z tej nieszczęsnej krainy, gdzie niesprawiedliwość uciska niewinnych, i zaprowadź mego syna do wszystkich krajów Azji i Europy, w których obaj będziecie mogli żyć bezpiecznie i w otoczeniu ludzi szlachetnego serca. Wydałem już rozkazy, by przygotowano wszystko, co będzie wam potrzebne w podróży i niczego nie oczekuję z większą niecierpliwością niż godziny waszego wyjazdu.

Niespodziewany ów dyskurs zdumiał młodego Sewarisa, ten nie chciał opuszczać ojca i pragnął dzielić z nim wszystkie niebezpieczeństwa i troski, których nieszczęśliwy los mógł mu przysporzyć. Lecz na nic się zdały wszystkie jego prośby, Alestan był nieubłagany i życzył sobie za wszelką cenę ochronić syna przed burzą, która nad nim zawisła.

Wyjechali więc potajemnie, on i jego preceptor, biorąc ze sobą jednego tylko człowieka, by im służył w drodze. Przemierzali wiele prowincji, zanim wrogowie zwieździeli się o ich ucieczkę.

Tymczasem Alestan, uporządkowawszy sprawy domowe, oddalił się na czas jakiś z kraju i ukrywał się do momentu, aż nieprzyjaciele wyładowali swą wściekłość, obracając w ruinę jego dom i niszcząc wszystko, czego nie mógł schować. Wreszcie, po trzech latach, doszedł z nimi do porozumienia i za pewną sumę pieniędzy przywrócono mu jego dobra i godności. Skierował wtedy wszystkie myśli ku synowi i wysłał

zaufanego posłańca na dwór władcy, u którego ten się zatrzymał, przemierzywszy znaczną część Azji. Jednak gdy posłaniec ów dotarł na miejsce, powiedziano mu, iż Sewaris udał się ze swymi ludźmi do Europy i nie było odeń wieści od szczęściu miesiący. Posłaniec, stwierdziwszy, że nie znajdzie Sewarisa w Azji, postanowił dotrzeć do Europy, konkretnie zaś do Wenecji, która była ojczyzną Giovanniego. Pojechał zatem do Italii, gdzie wypytywał dokładnie o osoby, które miał rozkaz znaleźć. Po długich i bezowocnych poszukiwaniach był jednak zmuszony wrócić do Persji bez Sewarisa.

Smutna ta nowina zasmuciła Alestana. Wyobraził sobie, że syn jego umarł w drodze i popadł w taką rozpacz, że w trzy miesiące po powrocie posłańca skonał. Pozostawił swe dobra i tytuły młodszemu o cztery lata bratu Sewarisa.

Powróćmy teraz do młodego pana, którego Opatrzność zachowała dla wielkich czynów, których miał później dokonać i w tym celu ochroniła go przed niezliczonymi niebezpieczeństwami. Opuścił Azję na statku płynącym do Wenecji, ojczyzny jego preceptora. Mieli nieszczęście wpaść w ręce piratów, którzy rozłączyli ich, dzieląc łupy, pomimo próśb i obietnic bogatego okupu. Giovanniego zabrano do Azji, zaś Sewaris wysłany został do Neapolu, do kupca, który miał prawo do części zysków korsarzy. Nie przebywał długo u owego handlarza, bowiem jego wartość została dostrzeżona przez arystokratę, który zapragnął podarować go młodemu szlachcicowi sycylijskiemu, mającemu niebawem powrócić do kraju.

Pan ów interesował się bardzo edukacją młodego szlachcica, ponieważ był jego najbliższym krewnym. Osobiście zbadał wiedzę Sewarisa z różnych nauk i języków. Uznał, że oprócz niezwyklej w jego wieku mądrości posiada on niezrównany geniusz i solidność umysłu. Owe piękne zalety zyskały Sewarisowi szacunek tego neapolitańskiego pana. Okazał się on na tyle szlachetny, że podarował go swemu krewnemu wyłącznie pod warunkiem, że ten wyzwoli Sewarisa po trzech latach służby. Sewaris udał się więc ze swym nowym panem na Sycylię, gdzie służył mu z wielką gorliwością i wiernością przez dwa lata. Z pewnością przesłużyłby cały przepisany czas, gdyby złośliwość pogardzonej kobiety nie ściągnęła nań nieprzyjemności, od których z trudem udało mu się wywinąć.

Owa niewiasta fałszywie oskarżyła go o to, że nastawał na jej cześć. Poskarżyła się swemu małżonkowi, który uwierzył jej i zapragnął zemsty. Po wielu prześladowaniach i karach, jakie spadły na Sewarisa, ostatecznie jego niewinność zatryumfowała nad przewrotnością nieprzyjaciół i ukazała się w całej swej oczywistości. Pozostała im jedynie hańba z powodu prześladowania obcokrajowca, zmuszonego do opuszczenia ojczyzny i pozbawionego krewnych i przyjaciół. Jednakże, pomimo swej niewinności, nie udałooby mu się tak łatwo uwolnić, gdyby człowiek, który go kupił, nie zwiedził się o całej sprawie i nie wstawił za nim, by mógł odzyskać wolność przed czasem.

Posunął swą dobroć jeszcze dalej, podarował mu bowiem środki konieczne na opłacenie powrotu do domu.

W ten sposób nasz młody wyzwolieniec, opuściwszy Sycylię, udał się co prędzej do Wenecji, gdzie miał nadzieję dowiedzieć się czegoś o losie swego preceptora. Jednak wszystkie jego starania spełzyły na niczym. Przebył zatem całą Italię, ujrzał wszystko, co było tam podówczas godne uwagi, po czym powrócił na dwór azjatyckiego władcy, gdzie wciąż miał przyjaciół i pieniądze.

To tam dowiedział się, iż jego wierny Giovanni był niewolnikiem w Egipcie, co sprawiło, że musiał udać się pospiesznie, by go wydobyć z niewoli i wraz z nim ruszyć w drogę powrotną do Persji. Sewaris uwolnił wreszcie Giovanniego i chociaż ta jego podróż była szczęśliwsza od poprzedniej, to przecież jej zakończenie przyniosło mu wiele smutku. Gdy tylko bowiem dotarł do miejsca, gdzie mogły go osiągnąć wieści od ojca, otrzymał nowinę o śmierci rodziciela. Niespodziewany ów zgon przysporzył Sewarisowi ogromnego cierpienia i kazał mu postanowić, iż długo jeszcze nie powróci do ojczyzny.

Oznajmił więc Giovanniemu, że ujrawszy Grecję, Italię i większą część Azji Zachodniej, pragnął poznać Azję Wschodnią i przedostać się aż do Indii. Giovanni miał zakomunikować ten projekt bratu Sewarisa i wydostać odeń wszystko, co konieczne w takiej podróży. Preceptor wywiązał się z zadania i dołączył do młodzieńca w umówionym miejscu.

Ruszyli następnie do Indii, na wyspy japońskie i wreszcie do Cesarstwa Chińskiego. Przeżyli we wszystkich tych krainach wiele przygód, w których Sewaris miał okazję ćwiczyć swą cnotę i nabyć ową niezwykłą mądrość, której dzieła po dziś dzień widoczne są wśród Sewarambian. Podróż na wschód zajęła mu równie wiele czasu, co ta na zachód. Ostatecznie ruszył w drogę powrotną do domu, gdzie pragnął odpocząć przez resztę życia po trudach, które stały się jego udziałem. Nie wiedział, iż niebiosa przeznaczyły mu rzeczy wielkie, których przyszło mu później dokonać. Nie na próżno urodził się z tak wieloma wspaniałymi zaletami i hartował swą duszę w licznych próbach i trudach. Miało to przygotować go do roli autora najbardziej sprawiedliwych praw, jakie kiedykolwiek wymyślono, oraz twórcy potęgi najbardziej szczęsnego z narodów świata.

Gdy Sewaris powrócił do siebie, został przyjęty nie tylko jako spadkobierca wszystkich dóbr swego ojca, lecz także dziedzic tytułu arcykapłana Słońca. Pod nieobecność Sewarisa urząd ten sprawował jego brat, by oddać mu go zaraz po przyjeździe. Ponieważ była to podówczas najznaczniejsza z funkcji wśród Parsów, kazała ona uważać tych, którzy ją sprawowali, za suwerenów. Ich władza była tym silniejsza, że ludzie z własnej woli się im podporządkowywali i sądzili, że wymaga tego ich religia.

Ponieważ wysokie godności nie tylko przynoszą honor tym, którzy je dzierżą, lecz także nabywają nowego blasku od ich cnót, Sewaris podniósł arcykapłaństwo do szczytu chwały i majestatu. Jego edukacja, podróże i przejścia znacznie rozjaśniły jego umysł i dawały mu wielką przewagę nad innymi ludźmi Wschodu. Wszystkie te zalety, w połączeniu ze szlachetnym urodzeniem, splendorem tytułów i wielkością fortuny przyniosły mu w krótkim czasie świetną reputację wśród Parsów. Uważano go za człeka bardziej przezornego i mądrego od wszystkich jego poprzedników. Przybywano doń ze wszech stron, by zasięgnąć jego rady w sprawach najbardziej zawiłych. On zaś udzielał ich lub rozsądzał mądrze i sprawiedliwie ku powszechnemu zadowoleniu.

Dwa lub trzy lata po powrocie Sewarisa doszło do wielkiego sporu między kapitanem okrętu a pewnym kupcem, o którego rozwiązanie poproszono arcykapłana.

Kupiec skarżył się, że żeglarze, których najął, by przewieźli towary do Indii i przywieźli stamtąd inne, źle wywiązały się z owego zadania. Dodawał, iż naraziwszy go na wielkie wydatki i przejadłszy wiele z jego towarów, powrócili z niczym. Wymyślali przy tym ponoć najdziwniejsze wytłumaczenia.

Marynarze natomiast usprawiedliwiali się burzą, która zepchnęła ich statek na Morze Południowe, za którym znaleźli zamieszkały ląd, gdzie musieli przebywać siedem czy osiem miesięcy, zanim udało im się powrócić. Podczas pobytu w tej nieznannej krainie byli zmuszeni pozbyć się części ładunku, by przetrwać i zdobyć rzeczy konieczne do powrotu.

Sewaris, usłyszawszy o nowym odkryciu na południu, gdzie – jak sądzono – było tylko morze, wypytywał żeglarzy w szczególności o tę jakże niespodziewaną kwestię. Dowiedział się, iż burza faktycznie rzuciła ich na brzeg wielkiego kraju na południu. Pytał o wszystko, co tam ujrzeli, oni zaś udzielili następujących odpowiedzi.

Widzieli mężczyzn i kobiety wielkiego wzrostu i bardzo dobrej postury, którzy ponadto byli niezwykle łagodni i spokojni. Podarowali oni żeglarzom wszystko, co potrzebne było do przeżycia w owej krainie. Nie uczynili im też żadnej krzywdy, czy to na ciele, czy na dobrach. Ludzie ci mieszkali w chatkach, chodzili nago i zakrywali jedynie te części ciała, które natura każe zasłaniać. Tamtejsze kobiety były niezwyklej piękności nawet bez nijakich ozdób. Otrzymali oni pewną liczbę niewiast, jak również żywność i dach nad głową. Jedyną bronią, jakiej używali mężczyźni były łuki oraz wielkie kije. Z wielką zręcznością szyli z łuku, a myślistwo było ich głównym zajęciem. Kraina ta była bardzo piękna, klimat łagodny i miejscowi mogliby żyć tam szczęśliwi na swój sposób, gdyby nie okrutna wojna, którą toczyli z ludami zza gór.

Żeglarze pojęli, że przyczyną owego konfliktu były pewne różnice zdań w sprawach religii. Ludzie zza gór dokonali zmian w kulcie Słońca, które wszyscy czcili, i wypowiedzieli wojnę tym, którzy nie chcieli przyjąć reform i zabobonnych ceremoniałów, które tamci dodali do kultu wielkiej gwiazdy.

Jednogłośnie świadectwo wszystkich żeglarzy przekonało Sewarisa o prawdziwości ich relacji, pomimo wszelkich znamion niepodobieństwa. Zapragnął osobiście zbadać tę nową ziemię. W tym celu obietnicami i darami skłonił marynarzy do przejścia na jego służbę, a także dał im pieniądze na odszkodowanie dla kupca. Następnie dołożył wszelkich starań, by zebrać rzeczy potrzebne do wyprawy i wyekwipował jeszcze dwa okręty oprócz statku wynajętych żeglarzy. Jakiś czas później, pod ich kierunkiem, wyruszyła wyprawa, do której Sewaris zwerbował wśród Parsów dość znaczną liczbę żołnierzy.

Niemало czasu spędzili na morzu, stawili czoła wielu burzom, aż wreszcie udało im się dotrzeć do nowo odkrytego kraju. Zanim sam zszedł na ląd, Sewaris wysłał przodem owych żeglarzy, którzy dość dobrze posługiwali się już narzeczem miejscowych. Kazał im przekazać, iż wierny kapłan Słońca przybył na to wybrzeże z wystarczającymi siłami, by obronić mieszkańców przed wszystkimi wrogami, choć liczba jego żołnierzy nie jest wielka. Jednakże uzbrojeni w gromy z niebios byli oni zdolni rozproszyć każdą armię.

W samej rzeczy Sewaris przewidział, że artyleria i inna broń ognista wzbudzą przerażenie wśród nieoświeconych ludów, które ich nie znały i nigdy nawet o nich nie słyszały. Dlatego też zebrał tyle broni, ile tylko statki mogły pomieścić, choć zdobycie jej nie było łatwe, gdyż nie była ona podówczas rozpowszechniona w Persji. Miał jednak Sewaris dobre relacje z Chinami, gdzie artyleria była już rzeczą dawno znaną, choć gdzie indziej pozostawała nowinką. Stamtąd właśnie sprowadził większość broni.

Tymczasem ludzie, których wysłał na ląd, znani już dość dobrze miejscowym, szybko wywiązali się z zadania. Propozycję rozważono i uznano za zbyt korzystną, by można ją było odrzucić. Trzy dni po przybyciu Parsów na wybrzeże zebrała się starszyzna tego ludu z wielką switą zbrojnych z łukami i maczugami, niosąc najlepsze mięsiwa i owoce, by ofiarować je Sewarisowi i poprosić, by raczył zejść na ląd. Ten przyjął kilku wodzów na pokładzie okrętu, który oglądali z podziwem. Odnosił się do nich z taką dobrocią i łagodnością, że od pierwszego spotkania zyskał ich szacunek i przyjaźń. Zwiedziawszy się, że był na tym wybrzeżu wygodny port, udał się tam, by ochronić swą niewielką flotyllę przed burzami. Była to w istocie zatoka, którą my odkryliśmy i gdzie przenieśliśmy nasz obóz. Podążaliśmy zatem do Sporundii tą samą drogą, którą obrał był Sewaris. Faktem jest, że wszedł do zatoki od strony zachodniej, gdzie ujście rzeki jest szersze i wygodniejsze niż od wschodu, z której to strony Maurycy wpłynął był na wielkie jezioro.

Przed lądowaniem Sewaris dopełnił wszystkich środków ostrożności, nie chciał bowiem powierzać swego życia ludziom, których obyczajów jeszcze nie znał. Założył więc obóz na niewielkiej wyspie, naprzeciw obecnego Sidenbergu. Tam to przez

kilka dni przyjmował wizyty i hołdy okolicznych ludów, którym demonstrował salwy artyleryjskie, aby wzbudzić ich respekt. Straszliwy huk owych nieznanych machin wprawiał miejscowych w takie osłupienie i podziw, że łatwo dali się przekonać, iż to Słońce zesłało Parsów im na pomoc, ponieważ nieśli gromy, by ukarać nieprzyjaciół.

Gdy Sewaris poznał obyczaje owych ludów, dowiedział się, że żyli oni wspólnie, podzieleni na wielkie rodziny, z których każda miała swego rodzaju osobny rząd. Jednak dla wspólnej obrony co roku wybierali głównodowodzącego, któremu każda z rodzin oddawała pod rozkazy pewną liczbę zbrojnych. Szli oni na wojnę z góralami, gdy ci schodzili w doliny, by łupić ich ziemie. Przekonał się też, że zgodnie z raportem marynarzy miejscowi chodzili nadzy, zakrywając jeno niewymowne części ciała skórami upolowanych zwierząt. Żywili się głównie różnorodnymi owocami z drzew, które hodowali, a także pewnym warzywem. Rybołówstwo i polowania na jelenie i bandelisy były ich najczęstszym zajęciem i co rok ofiarowywali Słońcu pierwsze plony każdego owoców.

Poznawszy tamtejsze zwyczaje, które uznał za zbieżne z jego opinią, oraz powziąwszy wszelkie środki ostrożności, Sewaris uznał, że jego interes i chwała wymagały podjęcia jakiejś wojennej akcji przeciw wrogom.

Kazał sobie pokazać przełęcz, którymi owi barbarzyńcy rokrocznie schodzili w doliny, i uczynił tam okopy, a następnie obsadził je artylerią i muszkietierami. Przywiódł ze sobą z Persji około sześciuset dzielnych i zręcznych ludzi, uzbrojonych w miecze, piki i muszkiety. Za okopem leżał las, w którym umieścił setkę Parsów oraz dwie setki Prestarambian, czyli tubylców. W innym lesie, jeszcze bliżej gór, zastawił podobną pułapkę, sam zaś z resztą ludzi pozostał w okopach. Zostały one utworzone w miejscu szczególnie wąskim, aby salwy artyleryjskie odniosły większy efekt.

Rozstawwszy w ten sposób ludzi, wysłał grupę Prestarambian na ziemie nieprzyjaciół i kazał im pozorować ucieczkę, gdy tamci dadzą im odpór, aby wciągnąć ich w zasadzkę. Weszli zatem na ziemie Strukarambian, jak nazywali górali, spalili i wymordowali kilka osad. Ta zniewaga oburzyła ów dumny lud, niezwyčajny znosić podobne obelgi, choć każdego roku najeżdżali w taki sposób ziemie Prestarambian. Zebrali się zatem, by wspólnie dać odpór najeźdźcom i ruszyli przeciw nim w liczbie dziesięciu czy dwunastu tysięcy, postanowiwszy zepchnąć ich aż do morza i wymordować do ostatniego.

Prestarambianie, zgodnie z rozkazem, udali, że przed nimi uciekają i doprowadzili ich ku pozycjom artylerii. Salwa z dział, wystrzelona w ostatnim momencie, uczyniła wśród górali taki pogrom, że uciekli w panice i bezładnie w góry. Wpadli jednak w kolejne zasadzki, które przygotowano, stąd uznali, że gromy z niebios spadają na

nich ze wszystkich stron i ścigają, gdziekolwiek próbują uciec. W owym zamieszaniu Prestarambianie i Parsowie dokonali straszliwej rzezi najeźdźców, mszcząc się jednego dnia za wszystkie doznane cierpienia.

Zabili ponad trzy tysiące Strukarambian i wzięli niemal tyle samo jeńców. Następnie powrócili triumfalnie do swych domostw, okazując wdzięczność i podziw Sewarisowi i jego ludziom, których od czasu tego zwycięstwa uznali za wyzwolicieli i bóstwa opiekuńcze. Sewaris przyjął ich hołdy z umiarem i dał im do zrozumienia, że dzięki należą się wielkiemu Bogu Światłości, który przysłał Parsów dla obrony Prestarambian. Dodał, że rozsądnie byłoby złożyć Słońcu uroczystą ofiarę, by podziękować mu za zwycięstwo ich oręża.

Pobożne to napomnienie uzyskało aprobatę wszystkich, naprędce wzniesiono więc na polu bitwy ołtarz. Sewaris, odziewszy się w swe najbogatsze szaty kapłańskie, odprawił uroczystą ceremonię, podczas której ofiarował Słońcu broń i ciała nieprzyjaciół. Złożył także w ofierze wonności, które nieznanne były Prestarambianom, co wprawiło ich w zachwyt. Wspaniałość ceremonii ofiarnej przekroczyła wszystko, co dotychczas widzieli.

Dokonawszy dziękczynienia, Sewaris powrócił do obozu, który niedługo później przeniósł na jedną z wysp jeziora Sporaskompo, w pobliżu których Maurycy został zatrzymany przez tubylców. Miejsce to było bezpieczniejsze i wygodniejsze od poprzedniego, a także znajdowało się znacznie bliżej gór, choć pozostawało w rozsądnej odległości od morza.

Gdy tylko się tam osiedlił, posłał dwa ze swych okrętów do Persji pod komendą Giovanniego, który miał za zadanie zwerbować tylu Parsów, ilu się uda[by zasiedlić nowe ziemie]. Miał także przywieźć wszystko, co uzna za konieczne do budowy solidnej siedziby, nie opowiadając o ich przygodach nikomu poza tymi, którzy zechcieliby do nich dołączyć. Konieczne było zachowanie pełnej tajemnicy, by żaden z ich nieprzyjaciół w Persji nie zechciał sprzeciwić się ich wyjazdowi lub osiedlić się na nowych terenach. Wydawało się bowiem, iż to Opatrzność podarowała je Parsom, by odtworzyli tam chwałę dawnych Persów oraz prawdziwy kult gwiazdy dziennej. Otrzymawszy rozkazy, Giovanni wypłynął z pomyślnym wiatrem, by w krótkim czasie szczęśliwie dotrzeć do Persji.

Tymczasem niedobitki Strukarambian powróciły do swego kraju, gdzie zasiały panikę swymi opowieściami o bitwie, w której pioruny, jak twierdzili, dokonały okrutnej rzezi ich ludzi. Wieść ta poniosła się aż za góry, do Strukarambian zamieszkujących równiny, na których obecnie leży Sewarinda. Historia ta wprawiła ich w osłupienie, a nawet kazała obawiać się kary podobnej do tej, która spotkała ich sąsiadów. Ich lęk znacznie ułatwił zadanie Sewarisowi, gdy wzmocniony posiłkami z Persji poniósł swój zwycięski oręż aż na równiny.

Pod nieobecność Giovanniego Sewaris został wybrany na najwyższego wodza wszystkich Prestarambian. Zajął się rozpoznaniem ich kraju oraz zliczaniem ludności, która – jak się okazało – składała się z trzystu tysięcy dusz, mężczyzn, kobiet i dzieci. Ponieważ ludy te żyły we wspólnotach i narażone były na coroczne ataki sąsiadów, którzy pustoszyli ich granice, czyniły zawsze ogromne oszczędności i gromadziły zapasy na dwa, trzy lata. W tym celu kopali wielkie doły w ziemi i zasypywali je potem tak dokładnie, że nieprzyjaciołom trudno było je odkryć. Sewaris kazał odkopać kilka takich magazynów i przenieść ich zawartość na wyspę, gdzie przeniósł obóz, aby móc swobodnie korzystać z zapasów w razie konieczności.

Zadbawszy w ten sposób o przetrwanie swych oddziałów, dał Prestarambianom do zrozumienia, że pokonanie wroga na granicy nie wystarczy. Należałoby pomyśleć o zaatakowaniu go na jego własnej ziemi i podporządkowaniu go sobie, aby zagwarantować pokój i bezpieczeństwo. Dopóki zaś ich nieprzyjaciele będą mogli im szkodzić, Prestarambianie nie zaznają prawdziwego spokoju. Doświadczenie przeszłości było bowiem wystarczającym dowodem tego, co niesie przyszłość. Powiedział im ponadto, że jeśli pragną zemsty za zniewagi, jakich wielokrotnie doznawali, to powinni podjąć wysiłek pomszczenia zniszczeń i okrucieństw czynionych im oraz ich przodkom przez owych dzikich ludzi. Uważał też, że dotychczasowe zwycięstwa wrogów brały się raczej z przewagi liczebnej niż z ich waleczności, lecz w przyszłości przewaga ta posłuży jedynie temu, by triumf Parsów i Prestarambian przyniósł im więcej chwały. Sukces w ostatniej bitwie i przychylność Boga, który w tym celu podarował im pioruny, zapowiadały pewny i łatwy podbój.

Przemowa ta poruszyła Prestarambian, natchnęła ich nowym duchem i podwoiła jeszcze pragnienie pomszczenia krzywd. Jednym głosem poprosili Sewarisa, by poprowadził ich w bój, przysięgając, że pójdą za nim wszędzie, gdzie spodoba mu się ich zawieść. Zaklinali się, iż niczego nie pragną tak bardzo, jak zwyciężyć lub zginąć u jego boku. Sewaris pochwalił ich odwagę i szlachetność, po czym obiecał, że gdy tylko nadejdą oczekiwane z dnia na dzień posiłki, poprowadzi ich na wojnę.

Jakiś czas później Giovanni powrócił do Prestarambii, jak dawniej nazywał się ów kraj, który obecnie nosi nazwę Sporumbii. Przywiódł ze sobą ponad tysiąc Parsów uzbrojonych i wyposażonych we wszystko, co potrzebne na wojnie. Zatrzaszczył się też o to, by zabrać tylu murarzy i cieślów, ilu udało mu się pozyskać oraz przywieźć wszelkie narzędzia przydatne do budowy i uprawy roli.

Z takimi posiłkami Sewaris postanowił przekroczyć góry, gdy tylko śniegi odpuszczą i poczynił wszelkie niezbędne przygotowania do wyprawy.

Od czasu ostatniego zwycięstwa udało mu się wyćwiczyć najrzęczniejszych młodzieńców spośród Prestarambian w posługiwaniu się bronią, by następnie stworzyć z nich i z Parsów mieszany korpus piechoty, gdy tylko dotrze dostawa broni.

Przywieziono mu też z Persji pół setki dobrych koni, które okazały się ogromnie przydatne. Dlatego też posyłał później często okręty, by przywiozły więcej rumaków, chciał bowiem utworzyć w Prestarambii stadniny.

Z nadejściem wiosny, gdy już zadbał o przetrwanie swych oddziałów, wyruszył Sewaris na kampanię z całą swą armią, liczącą osiem tysięcy ludzi, z czego trzy tysiące uzbrojonych w broń palną. Wykorzystał jeńców wojennych do transportu zapasów i ciągnięcia artylerii, która składała się tylko z niewielkich, łatwych w transporcie dział polowych. Ponieważ zaś ludzie ci byli w większości silni i potężni, dźwigali zapasy i ciągnęli armaty równie dobrze jak konie. Zorganizowawszy wszystko w ten sposób, ruszył Sewaris na czele armii w góry. Wieść o jego pochodzie zasiała już tak wielką zgrozę wśród mieszkańców, że wszyscy porzucili swe domostwa. Armia Sewarisa dotarła więc do równin Strukurambii bez konieczności zmagania się z czym innym niż stan dróg. Kraina ta wydała mu się tak piękna i żyzna, że postanowił sobie osiedlić się tam, gdy tylko ujarzmi tamtejszą ludność. Zdecydował także, iż przeniesie tam najlepszych ludzi spośród Prestarambian, których ziemia nie była ani tak dobra, ani tak urokliwa.

Niespodziewany marsz armii Sewarisa całkowicie zaskoczył mieszkańców równin, lecz nie do tego stopnia, by nie zebrali się w wielu miejscach, by stawić mu opór. W dwa tygodnie zebrali ponad dwadzieścia tysięcy zbrojnych gotowych do ataku, którzy śmiali się z pogłosek o Parsach rzucających piorunami z nieba. Uważali to za kłamstwo i zřeczny pretekst, którym ich sąsiedzi chcieli wytłumaczyć swą haniebną klęskę. W tej wierze ruszyli oni przeciw armii Sewarisa, która stanęła obozem opodal lasu i wielkiej rzeki.

Z obawy, by nie zostać napađniętymi w obozie, Parsowie umocnili go w miejscach zdalnych do ataku. Po swej prawej stronie mieli rzekę, którą później nazwano Sewaringo, po lewej zaś bór osłaniał ich od zakusów nieprzyjaciela. Od tyłu kazał Sewaris wykopać wielki okop od rzeki aż do linii lasu, z którego wzięto wiele drzew, by ich pnie strzegły obozu z tej strony. Od przodu jednak obozu broniła jedynie artyleria, nie chciał bowiem Sewaris polegać w tym miejscu na niczym oprócz czujności i odwagi żołnierzy. Gdy ujrzał nieprzyjaciela, posłał wszystkich Prestarambian, którzy mieli tylko łuki i maczugi na czoło swej armii. Mieli oni zaatakować wroga, związać go walką na pewien czas, następnie zaś cofać się stopniowo, aż znajdzie się w zasięgu artylerii. Rozkaz ten wykonano co do joty.

Barbarzyńcy dostrzegli z początku jedynie Prestarambian, których przywykli przecieć pokonywać i których armie nie różniły się od nich. Przyjęli ich atak z wielką odwagą i, lekceważąc ich niewielkie siły, spodziewali się łatwego zwycięstwa. Tamci zaś ustępowali im pomalą pola, aż przyciągnęli ich w poblize dział. Wówczas nagle rozstąpili się, zgodnie z rozkazem Sewarisa. W tej chwili artyleria poczęła gromić

nieprzyjaciół, zaś muszkietery na flankach zdwoili ogień, dokonując straszliwej masakry. Od pierwszej salwy padło więcej niż pięciuset Strukarambian. Huk dział i nagła śmierć tak wielu ludzi powstrzymała barbarzyńców i wprawiła ich w takie przerażenie, że porzuciwszy broń, rzucili się do ucieczki, traktując jedni drugich, co było przyczyną całkowitej ich klęski. W owym zamieszaniu Prestarambianie skoczyli na nich, zabili całą masę nieprzyjaciół i nie spoczęli, zanim nie rozproszyli ich do reszty. Pragnienie zemsty ożywiło ich do tego stopnia, że nie usłuchali rozkazu Sewarisa, który zabronił zabijania wrogów po zwycięstwie. Pięć do sześciu tysięcy ludzi padło w owej bitwie, a trzy tysiące trafiło w pęta, zaś nędzne resztki armii Strukarambian salwowały się ucieczką.

Po tej masakrze wszyscy mieszkańcy równin uwierzyli, że górale mówili prawdę, a Parsowie w istocie władają gromami z niebios. Pochwyliła ich trwoga i zdumienie, z czego Sewaris nie omieszkiał skorzystać. Uczyniwszy zatem nową ofiarę Słońcu, wyruszył dalej w górę rzeki, nie napotyając na żaden opór, gdyż tubylcy umykali przed jego wojskiem, porzucali swe siedziby i ukrywali się po lasach. Nie znajdując nikogo, kto śmiałby stanąć mu na drodze, postanowił pozyskać tych ludzi łagodnością. Gdy tylko dotarł do wyspy, na której dziś wznosi się Sewarinda, kazał rozłożyć umocniony obóz, by stamtąd prowadzić rozmowy z miejscowymi i nakłonić ich do zawarcia pokoju.

Aby zaś z własnej woli przyszli do niego, uwolnił wielu jeńców, traktując ich po ludzku i łagodnie. Kazał im powiedzieć ich pobratymcom, że nie przybył tu, by ich zniszczyć czy wygnać z kraju, lecz aby ich ukarać za okrucieństwa, których dopuścili się wobec Prestarambian. Dodał, że od tej chwili Słońce bierze ich pod swą opiekę, on zaś uczyni to samo, jeśli tylko bez wahania podporządkują się prawom owego Boga wszystkich ludzi, którego był arcykapłanem.

Sposób ten zadziałał zgodnie z przewidywaniami Sewarisa, bowiem po tygodniu dotarły doń ze wszech stron poselstwa, błagając o pokój na takich warunkach, jakie spodoba mu się podyktować. Postawił im nader rozsądne warunki, na początek żądając jedynie trybutu w zbożu, owocach i innych zapasach na wyżywienie armii. Następnie powiedział im, że innym razem, gdy będzie miał więcej czasu i lepiej się już poznają, zawrą nowe traktaty. Strukarambianie, którzy nie spodziewali się wywinąć tak małym kosztem, chętnie przyjęli warunki i znieśli do obozu Parsów obfitość wszelkich rzeczy niezbędnych do życia.

Kilka dni po zawarciu pokoju Sewaris wziął część swoich ludzi, większość armii pozostawiając w obozie pod dowództwem Giovanniego, i udał się na rozpoznanie okolicznych terenów. Powrócił nader zadowolony i tym bardziej utwierdzony w projekcie osiedlenia się w tym miejscu, które uznawał za o wiele lepsze od kraju Prestarambian. Ponieważ jednak nie mógł postawić solidnej siedziby bez zbudowania

miasta, udał się na tę wycieczkę nie tyle dla poszukiwania miejsca pod osiedlenie, lecz raczej z ciekawości.

Mieszkańcy tego regionu mieszkali podówczas w chatkach i nigdy nie słyszeli o budynkach z kamienia. Nie dało się więc znaleźć wśród nich ludzi zdatnych do podobnej budowy. Prawda, że miał wśród swoich Parsów murarzy i cieśli, lecz liczba ich była tak niewielka, że nie daliby rady postawić wielkich budowli bez pomocy wielu rąk. Podejrzał jednak, że jeśli przedsięwzięcie jakiś projekt wspaniały i użyteczny, to z czasem uda się uzyskać znaczną pomoc ze strony miejscowych. Do tego czasu sprowadzi się z Persji tylu robotników, ilu uda się namówić.

Aby przedstawić tubylcom konkretny projekt, powiedział im, że Słońce kazało mu zbudować w tym kraju świątynię. Jeżeli podporządkują się gorliwie jego woli, da im ono swe błogosławieństwo. Jeśli zaś odmówią, Słońce odwróci od nich swe przychylnie spojrzenie i zesle na ich tysiąc plag. Przykazanie to przyjęto z wielką radością i szacunkiem. Posłano ludzi we wszystkie strony, by odkryć kamieniołomy, z których można by pozyskać konieczne materiały. Znalaziono dwa czy trzy miejsca w pobliżu gór i w niewielkiej odległości od rzeki. Jednak z braku statków nie dało się ich przetransportować zbyt daleko, zaś miejsca w pobliżu nie były w połowie tak piękne jak wyspa na środku rzeki. Postanowiono budować na niej nie tylko ze względu na piękno i żyzność terenu, lecz także z powodu jej położenia. W tym celu trzeba było jednakże przewieźć tam kamienie, to zaś wydawało się ogromnie trudne, lecz wówczas przypadek, czy raczej szczęście Sewarisa, zniosło ową trudność.

Przechadzał się on właśnie na pagórku, który wznosił się u skraju wyspy przeciwnego do nurtu. W poszukiwaniu cienia wszedł do groty, która się tam znajdowała, i zauważył, że góra ta składała się z pewnej białej skały, nader prostej w obróbce, z której to dało się łatwo zbudować zamierzone budowle. Udało mu się przekonać Strukarambian, iż to Słońce wyjawilo mu, że z materiałów znajdujących się na samej wyspie można zbudować świątynię. Dzięki dokładnym badaniom, które później wykonano, wiadomo, że góra ta była pełna różnokolorowych marmurów, zaś w wielu miejscach wyspy rosły wyniosłe cedry i inne wysokie drzewa, nadające się na szkielet budynku. Obecnie nic już nie zostało z owych skał, ponieważ wszystkie zostały użyte przy budowie Sewarindy, przez co wyspa jest całkiem płaska, nieco tylko pochylona na jedną stronę rzeki. Sewaris osobiście wyznaczył miejsce pod fundamenty świątyni oraz najstarszych domostw, które do dziś można tam oglądać.

Pomimo że zajmował się wszystkimi tymi budowlami, Sewaris nie spuszczał z oczu innych spraw. W pierwszej kolejności zabezpieczył górskie przełęcze, następnie zaś zgromadził wielkie zapasy żywności, zaś by w przyszłości mieć jej jeszcze więcej, kazał Strukarambianom zasiać rozmaite nasiona, które sprowadził z Persji. Poleciał też zwodowanie pewnej liczby statków i nauczył miejscowych żegluga. Dotąd bowiem

posługiwali się oni wyłącznie czółnami z kory. Później przekonał wielu Prestarambian, by porzucili swe tereny i osiedlili się wraz z nim w ich dawnej ojczyźnie. Aby tym skuteczniej ich do tego nakłonić, rzekł im, że wyzbył się już wszelkiej myśli o powrocie do Persji. Czasem przybywali doń Parsowie, którzy słyszeli o jego powodzeniu. Dostrzegali w nim odradzający się blask i dawną chwałę ich narodu, niemal doszczętnie zatracone w ojczyźnie, toteż chętnie oferowali swe usługi owemu odnowicielowi imienia perskiego.

Utrzymując kontakty ze Strukarambianami, Sewaris śledził z wielką uwagą ich upodobania, obyczaje i prawa. Nauczył się też w krótkim czasie ich języka. Dzięki dokładnym obserwacjom przekonał się, iż ludzie ci byli z natury bystrzy i niepozbawieni szlachetności, choć podówczas ich obyczaje były raczej prostackie.

Żyli w sposób dość podobny do Prestarambian, zebrani w wielkie rodziny i wspólnoty, zaś kiedy wymagały tego okoliczności, obierali sobie wodzów, by wymierzali im sprawiedliwość lub wiedli na wojnę. Surowo karali kradzież, ponieważ nie ukrywali żadnych dóbr, mogliby zatem ponosić przez to ogromne straty.

Co do małżeństw, praktykowali je w sposób, który szczególnie się Sewarisowi nie spodobał i którego postarał się potem zakazać. Ponieważ żyli w wielkich rodzinach, wspólnie korzystali z dóbr, a nawet osób, które do tych wspólnot przynależały. Bez skrupułów żenili się z własnymi córkami i siostrami, a owo kazirodcze pomieszanie nie wydawało im się w żadnym stopniu zbrodnicze. Przeciwnie, mieli o tym zdanie zupełnie odmienne od naszego i uważali, że uczciwiej jest poślubić osobę własnej krwi, niż łączyć się z obcymi. Jednakże często się zdarzały sojusze z sąsiadami i przyjmowanie ich córek za żony, za to chłopcy nigdy nie opuszczali rodzin. Ten, który żenił się z kobietą, był uważany za jedyne jej małżonka i ojca dzieci, które mu dawała, lecz nie był jedynym, który miał prawo ją pościć. Wszyscy w rodzinie, których zgodziła się przyjąć, mogli korzystać z jej wdzięków na tych samych prawach, co mąż, który ze swej strony miał takie samo prawo względem cudzych żon. Jednak jeśli któraś z kobiet prostytuowała się poza rodziną, było to uważane za najgorszą zbrodnię i karane śmiercią. Karano także mężczyzn, którzy przestawali z żonami sąsiadów.

W każdej wspólnocie wybierano od czasu do czasu wodza i urzędników, których zadaniem był zarząd nad ekonomią rodziny. Zaraz po tych urzędnikach największym szacunkiem cieszyli się starcy. Wódz, wraz ze swą radą, decydował o życiu i śmierci wszystkich, którzy podpadali pod jego jurysdykcję. Dysponował też samodzielnie dobrami i osobami swych poddanych. Nie można było opuścić rodziny ani zawrzeć żadnego sojuszu bez jego pozwolenia, zaś każdy miał obowiązek posłuszeństwa wobec jego rozkazów. W celu decydowania o sprawach całego ludu każda społeczność wysyłała posłów, którzy tworzyli radę głównodowodzącego. Tak wyglądał rząd owego narodu.

Co do języka, to Sewaris zauważył, że ma on łagodne, melodyczne brzmienie, nader zdatne do kompozycji, choć był przy tym ubogi w terminy. Ludzie ci bowiem nazywali jedynie rzeczy proste, nie znając jeszcze nauk i sztuk, których dopiero Parsowie ich nauczyli, osiedlając się między nimi. Sewaris postarał się nauczyć tego języka, a ponieważ znał ich już kilka, był zdolny i miał świetną pamięć, prędko poczynił ogromne postępy. Mógł łatwo porozumiewać się ze Strukarambiami i Prestarambiami, którzy posługiwali się jednym i tym samym językiem.

Ci ostatni żyli podobnie do Strukarambian, z wyłączeniem wszakże kazirodczych związków, które budziły ich niepomierny wstręt. Twierdzili, iż zwyczaj ten ich nieprzyjaciele zapożyczyli od swoich sąsiadów, żyjących w południowej części lądu, w okolicy bieguna antarktycznego. Dodawali, iż stało się to już po ich rozdzieleniu (wcześniej bowiem tworzyli jeden naród), za sprawą niesławnego szalbierza, którego imię od tego czasu nosili. Omamił ich on i skorumpował ich dobre obyczaje, ściągając tysiąc nieszczęść na mieszkańców, którzy przed jego nastaniem zwani byli Sefirambianami.

Tymczasem mury świątyni wznosiły się każdego dnia. Chociaż początkowo pozbawione były architektonicznych upiększeń, to i tak wyglądały na piękne i solidne. Sewaris zaprojektował świątynię w taki sposób, by łatwo było w przyszłości ją ozdobić. Wokół świątyni rozrysował projekt nowego miasta i dopasował jego budowle do modelu rządów, który zamierzał ustanowić pośród tych ludów. Wymyślił go, kiedy tylko poznał tę krainę i tutejsze obyczaje, a jego triumfy wojenne dały mu sposobność przejścia nad nimi najwyższej władzy.

Gdy zakończono budowę świątyni, zaprosił wodzów tubylczych na ceremonię jej poświęcenia, podczas której roztoczył wszelki możliwy splendor i wspaniałość, aby ich olśnić. Kazał także sprowadzić z Persji niewiasty i dzieci, dzięki czemu Parsowie mogliby się obyć bez miejscowych kobiet. Jednak ponieważ w Persji poligamia była dozwolona, uznał, że dobrą polityką będzie pozyskanie przyjaciół i zawarcie związków z Prestarambiami i Strukarambiami. W tymże celu poślubił córkę jednego z wodzów Prestarambian, a jakiś czas później siostrzenicę jednego z ważniejszych Strukarambian, którego zaszczycił był swą przyjaźnią i zaufaniem. Nakazał także Parsom, by czynili to samo, a postępowanie takie znacząco umocniło jego autorytet. Wszystkie te związki ułatwiły mu ogłoszenie się najwyższym wodzem wszystkich tych narodów.

Tymczasem liczba Parsów i Prestarambian, którzy byli mu posłuszni, znacząco się zwiększyła i wzrastała z każdym dniem. Zyskiwał w ten sposób środki, by budzić postrach w całej krainie. Ćwiczył często swych ludzi w dyscyplinie, zaś przez resztę czasu wykorzystywał ich do budowy i uprawy roli na sposób narodów cywilizowanych. Dzięki temu ziemia przynosiła o wiele większe plony niż uprawy dzikich.

Sprowadził był z Persji konie, woły, wielbłądy i inne zwierzęta, których nie znalazł na Południowym Łądzie. Odkrył tam jednak wiele takich, których my nie znamy, zwłaszcza zaś bandelisy, które opisaliśmy w pierwszej części naszej historii. Jest to rodzaj jelenia, którego wielkie stada można było ujrzyć pasące się po lasach kontynentu. Sewaris kazał pochwycić kilka sztuk, po czym, poznawszy ich rozmiary, siłę i charakter, uznał, że można je łatwo oswoić i podporządkować. Kazał zatem złapać ich jak najwięcej, zabronił zabijać młode i wyznaczył dla Południowców nagrodę za każdą przyprowadzoną sztukę. Przywykli oni zabijać bandelisy oszczepami lub z luków i zjadać ich mięso, podobne w smaku do jelenia. W krótkim czasie pozyskał Sewaris wielką liczbę bandelisów, które tresował i wykorzystywał później jako zwierzęta pociągowe oraz pod wierzch w korpusie kawalerii, utworzonego z bandelisów i sprowadzonych z Azji koni. W ciągu trzech lat osiągnął to wszystko.

Budowa świątyni miała się ku końcowi, a udało się też pobudować cztery wielkie, kwadratowe domy, które nazwał osmazjami, to znaczy wspólnotami, z których każda mogła pomieścić około tysiąca osób. Teren wyspy i okoliczne ziemie były uprawiane, ogromne plony zapełniały magazyny. Uznał, iż nie należało dłużej odwlekać ogłoszenia się władcą wszystkich podporządkowanych ludów. W tym celu ustanowił uroczyste święto na cześć Słońca i zażądał, by było ono obchodzone co roku. Miano składać Słońcu ofiary, organizować festyny i publiczne uroczystości.

Zaprosił wodzów Prestarambian i Strukarambian, zaś widząc, iż wszyscy są w dobrym nastroju i pełni podziwu wobec wspaniałości święta, przez jednego z ich dowódców, Hostrebasa, podsunął im pomysł wybrania Najwyższego Wodza obu narodów, któremu przyznano by suwerenną władzę, aby nimi rządził i ich bronił. Jako że Hostrebas cieszył się powszechnym szacunkiem i miał wsparcie wszystkich sojuszników Parsów, jego propozycja została dobrze przyjęta. Jednogłośnie postanowiono uhonorować Sewarisa tytułem królewskim. Ten z początku odmówił, stwierdziwszy, iż nie może przyjąć tak wysokiej godności, nie zapytawszy wpiery o zgodę Słońca, którego był przecież kapłanem i zgodnie z wolą którego czynił wszystkie rzeczy. Dodał, iż jeżeli uznają to za słuszne, złoży on ofiarę z wonności, błagając Słońce, by oświeciło ich wszystkich w kwestii tak istotnej i wyjawilo najlepszy sposób postępowania. Przyznali mu rację i podążyli za nim do świątyni, gdzie Sewaris ofiarował Słońcu wonności i wygłosił przed całym zgromadzeniem modlitwę, czy raczej panegiryk.

Jej styl jest dość poetycki i w wielu miejscach można dostrzec rytm i szyk, który ścierpieć można jedynie w poezji. Ponieważ jednak było to celowe, a takie ułożenie słów przy podobnej okazji chwyta za serca lepiej niż proza, uznałem za stosowne przytoczyć ją w takiej formie, w jakiej ją wygłoszono.

Być może taki sposób pisania nie przypadnie do gustu wszystkich czytelników, a wiersze i szyk przestawny staną się pożywką dla krytyków. Jednak jestem przekonany, iż osoby oświecone i znające moc poezji ocenią ją zupełnie inaczej, szczególnie gdy usłyszą, że Sewaris, znający poetów greckich i łacińskich, częstokroć zajmował się pisaniem poezji.

Wielki poeta imieniem Kodamias, to znaczy „boski umysł”, przepisał później tę orację wierszem metrycznym.

Na końcu niniejszej relacji znajduje się historia owego sławnego poety, który dzięki wielu innym wyśmienitym dziełom pozyskał sobie pośród Sewarambian reputację podobną do tej, jaką kiedyś cieszyli się Homer i Wergiliusz u Greków i Rzymian. Jednak ze wszystkich jego pism żadne nie cieszy się taką estymą i poważaniem, jak *Modlitwa do Słońca*, ponieważ zawiera ona w skrócie wszystko, co najistotniejsze w ich religii. Co więcej, poeta ów w swym wierszu zachował najwierniej myśl Sewarisa, który to wygłosił tę orację wobec zgromadzonego ludu.

Modlitwa Sewarisa do Słońca

O źródło światła i życia! Gwiazdo niezrównanego blasku, którego boskiego wzroku słabe nasze oczy nie mogą strzymać! Chwała twa ponad wszystko i nie ma nic więcej podziwu godnego, gdy człek na wsze strony patrzy, widząc wspaniałości, których próżno by szukał bez ciebie. Piękno twe doskonałe i nic cię nie upięk szy.

To promienie twoje wszelaki splendor niosą podległym ci planetom, sklepienie niebios barwią i obłoki tysiącem kolorów. One to szczyty gór złocą i równin bezkresy. One przeganiają czarne cienie nocy, są przewodnikami wszelkiego zwierza i oświetlają wszystko, co może ujrzeć oko.

Twoja miłość jest nieskończona i bez ciebie nic miłości nie jest godne. Nic nie ujawni swych wdzięków bez twej jasności. Gdy tylko zjawiasz się na horyzoncie, całe stworzenie raduje się, przerywa ponurą ciszę, by głosić twą chwałę. To ty wyrwasz ludzi z objęć brata śmierci.

Gdy o zmroku pozbawiasz ich swego światła, by nieść je w inne krańce świata, pogrążają się zrazu w wielkich ciemnościach, obrazie śmierci, który byłby nie do zniesienia bez nadziei na twój powrót. Śmiertelni bledną, gdy twe świetliste ciało ciemnieje i skrywa się pośrodku dnia, a ich serca wypełnia przerażenie.

Jednak radość powraca, gdy znów cię dostrzegą. Przemierzasz ogrom sklepienia niebieskiego prędkimi kroki i co rok wyznaczasz nam czas i pory swym marszem. Gdy zbliżasz się do nas, wszystko odradza się i nabiera blasku. Natura, jakby obezwładniona pod śniegiem i lodem, zrywa okowy w twym życiodajnym cieple. Wówczas to ziemia okrywa się zielenią, a ty wyściełas ją kwieciami i napełniasz owocem, który dojrzewa pod twym życzliwym okiem, by żywić zwierzęta na polach, ptactwo na

niebie i ryby pod wodą. Z twej to niebiańskiej dobroci czerpią one swe siły, tak jak i życie od niej otrzymały.

Ty jesteś duszą świata, bowiem ożywasz wszelkie stworzenie i bez ciebie wszystko tkwi w bezruchu. Gdy tylko twe boskie ciepło nas opuszcza, natychmiast rodzi się zimny lęk śmierci, a wszystek zwierz przestaje żyć, gdy przestaje cię czuć. Dusza jest jeno promieniem twego nieskazitelnego blasku, a kiedy zabierasz ów promień ze śmiertelnego ciała, w którym był on zamknięty, ciało to psuje się, rozpada i odchodzi w niebyt.

Gdy oddalasz się od nas zgodnie z rytmem pór roku, całe stworzenie odczuwa tę stratę. Wszystko blednie, smutnieje, ziemia okrywa się żałobą. Rozsiewasz swój dobroczynny wpływ na wszystkich jej mieszkańców, choć nierówno obdzielasz nim ludy i klimaty. Niektórzy otrzymują tylko trochę ciepła i światła, przez większość czasu pogrążeni w przeraźliwych ciemnościach i surowej zimie, gdy wzdychają i schną w oczekiwaniu twego powrotu. Namacalny to dowód, iż to ty jesteś źródłem wszelkiego dobra lub chociaż kanałem, przez który spływają wszelkie dobrodziejstwa Wielkiego Bytu, któregoś ty kapłanem.

Jednak ci, którzy, jak my, cieszą się łagodniejszym spojrzeniem twych oczu, widzą swe pola usłane kwiatami i owocami i dlatego są ci winni jeszcze więcej miłości i wdzięczności. Zwracasz nam każdego ranka światło, które odbierasz wieczorem, a jeśli czasem wilgotny opar mórz lub gęste chmury zasłaniają twe oblicze, to po to tylko, by przemienić się w ożywczy deszcz i słodką rosę, które użyźniają nasze ziemie i stoki.

Chociaż twe dobrodziejstwa godne są podziwu i wszechogarniające, twój gniew jest niemniej groźny i wszechogarniający. Gdy nasza niewdzięczność i zbrodnie rozsierzdą cię, masz sto płonących batogów, by wyrzucić na nas zemstę twej sprawiedliwości. Czasem zamieniasz swe łagodne ciepło, które sprawia, że wszystko rośnie i dojrzewa, w płomienisty upał, co wszystko wysusza i wypala. Czasem przekształcasz lekki, ożywczy deszcz w nieprzerwaną ulewę i grad, które niszczą owoce naszych niw i sadów. Lekki powiew zefiru przemieniasz w burze i trąby powietrzne. Gromadzisz chmury jedna na drugiej, podnosisz gęste mgły, by pozbawić nas twego światła, a zamiast łagodnych spojrzeń posyłasz przeraźliwe pioruny i grzmoty, by dać nam odczuć twój słuszny gniew. Nierzadko ślesz swe błyskawice, by uderzały najdumniejsze drzewa i najbardziej wyniosłe góry, aby śmiertelni widzieli, że możesz powalić wszystko, co rośnie i wpada w pychę. Gdyby twa dobroć nie wstrzymywała twego gniewu, wszyscy bluźniercy, co nie czczą twej boskości, zostaliby zmiażdżeni.

My, którzy gromadzimy się w twej świątyni, by oddać ci cześć i okadać twe ołtarze, wierzymy, że tobie tylko zawdzięczamy życie i wszystkie dobra. Winniśmy ci szczególną cześć, ponieważ co dzień obdarzasz nas łaskami, których skąpisz innym ludom. Użyczasz nam swych straszliwych gromów, dzięki którym pokonujemy

wrogów. Dajesz nam jasność umysłu oraz wiedzę przydatną i piękną. Oświecasz nas w sprawach najważniejszych, gdy uciekamy się do twych świętych wyroczeni. Zyszasz powodzenie wszystkim naszym przedsięwzięciom, pomimo największych przeszkód. Wreszcie wskazujesz nam, w jaki sposób winniśmy cię czcić i jakie ceremonie odprawiać, by nasza religia nie czyniła nic, co mogłoby cię urazić lub byłoby sprzeczne z twą boskością.

W tym to celu prowadzisz nas jakoby za rękę po twych świetlistych i pewnych drogach, podczas gdy inni gubią się pośród ciemnych i zgubnych ścieżek czczych wyobrażeń. Jedni tworzą sobie bezsilne bałwany, inni próżne zjawy, by pod tymi postaciami oddawać cześć szaleństwu ich własnych umysłów. My jednak, prowadzeni światłością czystą i naturalną, czcimy Boga widomego i chwalebne, którego potęgę znamy i którego łaskę i dobroć odczuwamy każdego dnia.

Zechciej, o boska światłości, wiecznie ślać ku nam twe promienie i rozpraszać chmury i mroki, które mogłyby uwieść i zaciemnić nasze rozumy. Są one zbyt słabe i ograniczone, dlatego też uciekamy się do twego światła w wyborze władcy, zdolnego rządzić nami zgodnie z twą wolą. Jeśli spodoba ci się wyznaczyć nam wodza, spraw, o piękna gwiazdo, by miał wszelkie cnoty konieczne na tak wysokim urzędzie. Niech nas prowadzi i nam służy przykładem we wszystkich naszych czynach. Niech ochrania nas przed nieprzyjaciółmi. Niech sprowadzi pokój, sprawiedliwość i cnoty. Wreszcie, niech nauczy nas, jak winniśmy cię wielbić i czcić, abyśmy zawsze podobali się tobie i nie czynili nic, co mogłoby narazić nas na twój gniew. Abyśmy mogli wiecznie radować się twym życzliwym spojrzeniem i świadectwami twej szczególnej dla nas łaskawości.

Oracja wypowiedziana przez Sewarisa z wielkim zapalem poruszyła serca słuchaczy i wzbudziła w nich podziw dla pobożności księcia. Jednocześnie byli przyjemnie zaskoczeni, gdy po zakończeniu przemowy dało się słyszeć od sklepienia świątyni słodką harmonię, jakby z daleko przybywającą. Gdy zbliżyła się wystarczająco, usłyszano uroczy głos kobiety lub chłopca, który śpiewał jeszcze przez moment, potem zaś oświadczył całemu zgromadzeniu, iż jest wysłannikiem Słońca. Miał on wyjawić im, że bóstwo wysłuchało ich modłów, przyjęło ofiarę, a nawet wejrzało na jednego z nich, by wynieść go ponad wszystkich. Jednak nie życzyło sobie, by rządził on jako król, ponieważ żaden śmiertelnik nie jest godzien rządzić samowładnie ludem wybranym przez Słońce spośród wszystkich narodów jako jego prawdziwi poddani i czciciele. Słońce pragnęło osobiście zostać ich monarchą, skoro już było ich bogiem, aby rządzili się dokładnie wedle sprawiedliwych i jasnych praw, które nada im poprzez osobę swego namiestnika. Człowiekiem tym, wyniesionym uprzednio do rangi arcykapłana, był Sewaris. Lud miał przyjąć go jako namiestnika i być we wszystkim posłusznym

jemu oraz jego następcom zgodnie z niebiańskimi prawami. Sewaris został bowiem wybrany na interpretatora woli boskiej i szafarza jego łask.

Po tym przemówieniu dało się słyszeć jeszcze piękniejszą melodię niż przedtem, która zdawała się oddalać, aż zamilkła zupełnie.

Tymczasem lud przepełniony głębokim zdumieniem prawdziwie wierzył, iż to głos z niebios oznajmił mu był właśnie wolę ich boga. Natychmiast podporządkowali się jej tym chętniej, że człowiek, którego ów pełen chwały król wybrał na swego namiestnika, był tym samym, którego oni pragnęli ogłosić władcą. Co więcej, Słońce obiecało przecież, że osobiście będzie rządzić ich narodem i opiekować się nim. Sewarisa obwołano zatem wicekrólem Słońca, zaś najważniejsi jego poddani złożyli mu hołd i zaprzysięgli wierność.

Uważam jego postępowanie w tej sytuacji za szczególnie godny uwagi wyraz jego rozumności i przeczności. Ponieważ nie tylko, jak wielu innych prawodawców, powiedział, iż jego prawa pochodzą od jakiegoś bóstwa, lecz także sprawił, że lud uwierzył, iż to głos samego boga wyjawiał im swą wolę. Sądził także Sewaris, iż odmawiając najwyższej władzy i przekazując ją Słońcu, tworzył solidniejsze podwaliny przyszłego rządu, który lud będzie bardziej poważać. Jemu samemu zaś, jako namiestnikowi i tłumaczowi woli monarszej, ludzie okażą więcej szacunku i posłuszeństwa, niż gdyby jego władza pochodziła od śmiertelników.

Znał się też na muzyce i rozumiał jej zasady, co każe mi przypuszczać, że polecił uczynić w sklepieniu świątyni tajemną komorę, skąd rozlegała się wspomniana harmonia. Musiał mieć także jakiś zmyślny wynalazek, dzięki któremu dźwięki zdawały się wprawdzie przybliżać, a później oddalać. Pospolity lud pośród Sewarambian do dzisiaj wierzy, że głos, który ogłosił ich przodkom wolę bożą, pochodził od samego Słońca, a Sewaris został wybrany z polecenia tej wielkiej gwiazdy. Jednakże niemal wszyscy ludzie światli, z którymi o tym rozmawiałem w Sewarindzie, uważali, iż był to zręczny manewr prawodawcy w celu nadania większej powagi rządowi.

Widać to także w postawie Parsów z tego okresu, którzy wmawiali Południowcom, że to Słońce nauczyło ich wszystkich sztuk i rzemiosł, które przywieźli ze swego kontynentu, a także że zaszczycało ich szczególnym objawieniem. Sewaris rzekł to samo w swej oracji, gdy dziękował gwieździe za dary i łaski, otrzymane przezeń oraz przez jego ludzi.

Zgodnie z duchem ich języka, który nakazywał dodawać końcówkę „-as” do imion osób wynoszonych do najwyższych godności, Strukarambianie nazwali Sewarisa „Sewariasem”. Zmienili także nazwę swego kraju, który Prestarambianie zwali Strukarambią, na „Sewarambię”, łącząc pierwsze sylaby imienia księcia z końcówką „-arambia”, co oznacza kraj, krainę lub ojczyznę. Podobnie uczynili wcześniej z imieniem Strukarasa, które oznacza oszusta lub uzurpatora. Jednak ci, którzy przyjęli

go jako swego wodza i oddawali mu boską cześć, zwali go „Omigasem”, siebie zaś „Omigarambianami”. Kiedy jednak ludy te zostały zjednoczone pod władzą Sewarisa, nazwały się „Sewarambianami”, które to imię naród ów nosi aż do dziś.

Osiągnąwszy wreszcie swój główny cel i otrzymawszy najwyższą władzę, zajęli się Sewarisi rozwojem i upiększaniem kraju oraz tworzeniem praw dla swych nowych poddanych. Przez pewien czas wahał się pomiędzy rozmaitymi modelami rządów, które on i Giovanni wzięli pod uwagę.

Pierwszy projekt zakładał podzielenie ludu na kilka klas oraz podział ziemi pomiędzy jednostki jak u niemal wszystkich narodów naszego kontynentu. Wszyscy Parsowie popierali taki układ i już miało się zacząć dzielenie narodu na siedem klas, z których każda byłaby podporządkowana wyższej.

Pierwszą klasą mieli być oracze i wszyscy ci, którzy uprawiają ziemię. Do drugiej mieli się zaliczać ludzie wykonujący prace mechaniczne, jak murarze, cieśle, tkacze i tym podobni.

Trzecia klasa miała być dla tych, którzy uprawiali bardziej subtelne rzemiosła, to jest malarze, hafciarze, stolarze i inni tego typu rzemieślnicy. Czwarta należałaby do kupców i handlarzy wszelkimi towarami.

Bogaci mieszczenie, literaci i wszyscy, którzy parali się sztukami wyzwolonymi, mieliby należeć do piątej. Niższa szlachta miała tworzyć klasę szóstą. Wreszcie siódma, najbardziej zaszczytna, miała przypadać najwyższej szlachcie.

Przy podziale ziem miano zachować znaczną ich część na rzecz utrzymania państwa, zaś w nadzwyczajnych sytuacjach każda klasa miałaby płacić podatki zgodnie ze swym stanem i środkami, przy czym nikt nie byłby zwolniony z tego obowiązku. Wydaje się bowiem niesprawiedliwe i całkowicie sprzeczne z rozumem, by ci, którzy są członkami państwa, chronionymi przez prawa i korzystającymi z przywilejów życia społecznego, w żaden sposób nie przyczyniali się do jego utrzymania, podczas gdy inni obciążeni są daninami i podatkami. Tylko domena książęca miała być wyłączona z opodatkowania, a wszyscy poddani mieli jednakowo ponosić koszty wydatków publicznych, zgodnie ze swą rangą i środkami.

Aby jednak lud zawsze uznawał władzę księcia i przyzwyczał się do płacenia mu trybutu, postanowiono narzucić na każdą osobę w wieku powyżej dwudziestu lat niewielki doroczny podatek zwany pogłównym. Poza tym każdy, który w uprawniony sposób zdobywał dobra i bogactwa do pewnej granicy ustalonej przez prawo i pragnąłby wstąpić do wyższej klasy, musiałby także uiścić pewną opłatę zgodnie z regulaminem, który miano w tym celu sporządzić.

Każda klasa odróżniałaby się poprzez strój, aby niższe warstwy nie mogły uzurpować sobie zaszczytów, a każdy trzymał się swego miejsca w szeregu. Miało być jeszcze więcej szczegółowych regulaminów w tym projekcie, którego prawdziwym autorem

był, jak mniemam, Giovanni. Jednak Sewarias, zapoznawszy się z tym modelem oraz kilkoma innymi, które mu przedstawiono, odrzucił je wszystkie i stworzył własny, nieporównanie bardziej sprawiedliwy i doskonalszy od wszystkich, jakie kiedykolwiek dotychczas praktykowano. Cechowała bowiem Sewariasa szczególna przezorność i mądrość, zabrał się zatem do poszukiwań i badań nad przyczynami buntów, wojen i innych nieszczęść, które zwykle spadają na ludzi i niszczą narody i państwa. Przekonał się, że nieszczęścia społeczeństw wynikają głównie z trzech źródeł, to jest pychy, chciwości i nieróbstwa.

Pycha i ambicja sprawiają, że większość ludzi pragnie wznieść się ponad innych, by ich sobie podporządkować. Nic nie stanowi takiej pożytki dla tej namiętności jak wysokie urodzenie w krajach, gdzie szlachectwo jest dziedziczne. Blask wysokiego rodu do tego stopnia oslepia tych, którzy otrzymali ów dar z rąk Fortuny, że zapominają oni o swej istocie, przywiązując wagę jedynie do owego zewnętrznego dobra, które zawdzięczają wyłącznie swym przodkom, nie zaś swej własnej cności. Wyobrażają sobie zwykle, iż wszyscy inni powinni być im w każdej sprawie posłuszni, ponieważ oni to urodzili się, by rządzić. Nie biorą pod uwagę, iż natura uczyniła nas wszystkich równymi i nie czyni rozróżnienia między szlachcicem a plebejuszem, poddając ich tym samym ograniczeniom. Rodzimy się wszyscy w taki sam sposób. Bogactwa i tytuły nie przedłużają życia władcy o jedną, krótką chwilę, podobnie jak nie przedłużają żywota jego poddanych. Najpiękniejszą różnicą, która może wystąpić między ludźmi jest ta, która wynika z cnót. By zapobiec nieporządkom, wynikającym z nierówności urodzenia, Sewarias ustanowił jedną tylko różnicę między urzędnikami a osobami prywatnymi, zaś wśród tych ostatnich jedynie różnica wieku decydowała o randze.

Bogactwa i własność dóbr powodują wielkie nierówności w społeczeństwie i stąd bierze się chciwość i zazdrość, a także wyzysk i nieskończenie wiele innych bolączek. Sewarias zniósł był zatem własność prywatną i zażądał, by wszystkie ziemie i bogactwa należały do państwa, które miało swobodę dysponowania nimi. Poddani nie mogli mieć z nich żadnych korzyści, których nie przydzieliliby im urzędnicy. W ten sposób usunął Sewarias pragnienie bogactw, podatki, daniny, nędzę i niedostatek, które to przyczyniają się do tak wielu nieszczęść wśród społeczeństw tego świata.

Od chwili ustanowienia tego prawa, wszyscy Sewarambianie są bogaci, choć nie mają nic na własność. Wszystkie dobra państwa należą do nich i każdy może uważać się za równie szczęśliwego jak najbogatszy z monarchów. Jeśli któryś z nich potrzebuje czegoś niezbędnego do życia, wystarczy, że poprosi o to urzędnika, który zawsze mu tę rzecz przyzna. Sewarambianin nigdy nie troszczy się o pożywienie, okrycie czy dach nad głową w różnych okresach swego życia, ani nawet o utrzymanie jego żony i dzieci, choćby nawet miał ich setki i tysiące. Państwo dba o to wszystko, nie żądając danin ni podatków, cały zaś naród żyje w szczęśliwym dostatku i spokoju,

gwarantowanym przez władcę. Ponieważ jednak urzędnik będący głową ciała politycznego potrzebuje innych członków, by mieć z nich pomoc i wsparcie, a także dlatego że dobrze jest czasem rozruszać poddanych, by nie kapcianieli wśród wygod, przyjemności i nieróbstwa, Sewarias znalazł zajęcie dla wszystkich swych poddanych, utrzymując ich w dobrej kondycji poprzez pożyteczny i umiarkowany trud.

W tym celu podzielił dobę na trzy równe części, przeznaczył pierwszą z nich na pracę, drugą na przyjemności, trzecią zaś na odpoczynek. Pragnął, by wszyscy, którzy osiągną pewien wiek i nie zostaną prawnie zwolnieni z tego obowiązku z powodu chorób, starości i innych wypadków, pracowali po osiem godzin dziennie. Resztę czasu mogli przeznaczyć na uczciwe i dozwolone rozrywki oraz na sen i spoczynek. Dzięki temu żywot upływa spokojnie, ciała są wyćwiczone poprzez umiarkowaną pracę i nie zniszczone nadmiernym trudem. Umysły znajdują przyjemne zajęcie, lecz nie przytłaczają ich troski, smutki i zmartwienia. Przyjemności i rozrywki po pracy ożywiają ciało i ducha, zaś spoczynek usuwa zmęczenie. W ten sposób ludzie, zajmując się czynieniem rzeczy dobrych, nie mają czasu myśleć o rzeczach złych i nie popadają w przywary, które sprowadziłyby na nich beczynność. Zawiść płynąca z trzech wspomnianych źródeł rzadko pojawia się wśród tych narodów, zaś ich serca rozgrzewa zwykle szlachetna rywalizacja, która rodzi się z umiłowania cnoty oraz słusznego pragnienia pochwały, na którą zasługują dobre uczynki.

Poddani Sewariasia chętnie przyjęli nowe prawa, ponieważ pochodziły one od boga, lecz także dlatego, że nie były one dalekie od ich obyczajów. Jak już bowiem powiedzieliśmy, ludy te żyły we wspólnotach i nie posiadały właściwie nic na własność. Gdy przyjdzie nam omówić obecny system rządów w Sewarambii, opowiemy o tym w szczegółach, teraz jednak zadowolimy się kilkoma ogólnikami.

Chociaż wielki prawodawca sam położył podwaliny pod gmach administracji publicznej i praw, to jednak nie jest on autorem wszystkich rozporządzeń będących w mocy w Sewarambii. Pozostawił on bowiem swoim następcom władzę zmieniania, dodawania lub ujmowania, zależnie od okoliczności i zgodnie z tym, co uznają za konieczne dla dobra narodu. Zabronił im jednakowoż wyraźnie wydawać polecenia sprzeczne z prawem natury i fundamentalnymi maksymami państwa. Zgodnie z nimi muszą zawsze zachować ustrój heliokratyczny, to jest nie uznawać innego władcy poza Słońcem i nie przyjmować innych praw niż te, którymi Słońce natchnie swego namiestnika i jego radę.

Nie mogą także dopuścić do godności wicekrólewskiej nikogo, kogo Słońce nie wybierze spośród najwyższych ministrów stanu, co dzieje się poprzez wybór losowy, jak to będziemy mieli okazję zobaczyć.

Nie wolno im też dopuścić do tego, by własność dóbr wpadła w ręce osób prywatnych, musi ona bowiem pozostawać w wyłącznej gestii państwa.

Nie wolno również pozwolić na to, by pojawiły się jakiegokolwiek godności czy stanowiska dziedziczne. Należy zachować równość urodzenia, aby jedynie zasługi mogły wynosić jednostki do godności publicznych.

Starość ma być zawsze otoczona szacunkiem, a młodzi ludzie muszą być od początku przyuczani do posłuszeństwa tym, którzy są od nich starsi wiekiem i doświadczeniem.

Nieróbstwo ma być na zawsze wygnane spośród ludności, ponieważ rodzi ono przywary, spory i bunty. Dzieci muszą być przyzwyczajane do pracy i zmyślności.

Nie należy pozwalać, by dzieci zajmowały się sztukami zbędnymi i próżnymi, które służą jedynie zbytkowi i próżności, żywiąc uczucie pychy, zazdrość i niezgodę oraz odwracają umysły od umiłowania cnoty.

Trzeba też karać nieumiarkowanie w każdej postaci, gdyż korumpuje ono ciało i duszę, i czyni wszystko na przekór przeciwnej mu cnotcie, która to zachowuje ciało i umysł w stanie spokoju i miary.

Należy przestrzegać praw dotyczących małżeństw zarówno dla przedłużania gatunku i dla wzrostu liczby ludności, jak i dla uniknięcia cudzołóstwa, kazirodztwa oraz innych obrzydliwych zbrodni, które niszczą sprawiedliwość i zaburzają ład społeczny.

Należy również szczególnym staraniem otaczać wychowanie dzieci i zwyczaj adoptowania ich przez państwo w wieku lat siedmiu, aby jak najwcześniej nauczyły się posłuszeństwa wobec praw i urzędników, którzy to są prawdziwymi ojcami ojczyzny.

Konieczne trzeba ćwiczyć młodzież obydwu płci w posługiwaniu się bronią, aby w każdej chwili dysponować ludźmi zdolnymi odeprzeć nieprzyjaciół.

Wreszcie obowiązkiem jest zachowanie religii, aby przywiązać ludzi do państwa poprzez sumienie, ucząc ich, że nic się nie ukryje przed wzrokiem bóstwa oraz że nie tylko w tym życiu, lecz także po śmierci przeznaczyło ono nagrody dla dobrych i kary dla złych.

Oto w dużym skrócie główne artykuły prawa Sewariasa, które zostały publicznie przyjęte pięć lat po jego przybyciu na Łąd Południowy. Jego następcy wiernie je zachowali od czasu ich pierwotnego ustanowienia. Po publikacji tych praw Sewarias zajął się dbaniem o to, by były przestrzegane, tak dzięki łagodności, jak przez lęk przed jego armią. Poczynał on kroki tak słuszne i sprawiedliwe, że nie napotkał wielu przeszkód i nikt nie ośmielił się sprzeciwić owym prawom. O ile bowiem prawa Sewariasa nie były korzystne dla ludzi złych, to znalazły poklask ludzi dobrych, gdyż były wielce sprawiedliwe i równe dla wszystkich.

Prawda, że Parsowie mieli z początku trudności z pogodzeniem się ze wspólnotą dóbr, jednak ponieważ byli tu obcy, a ich powodzenie zależało w całości od powodzenia ich wodza, podporządkowali się wreszcie jego woli tym łatwiej, że

Strukarambianie, przywykli przecież do życia wspólnotowego, chętnie ulegali Sewariasowi. Ci, którzy żyli dotychczas w bezczynności, mieli więcej problemów z przyzwyczajeniem się do regularnej pracy. Nie zastosowano jednak wobec nich szczególnej surowości, lecz skoncentrowano wysiłki na tym, by młodzi ludzie stosowali się do tego prawa, dzięki czemu w ciągu dwudziestu lat było ono powszechnie przestrzegane i można było zobaczyć nierobów tylko pośród ludzi starszych wiekiem.

Sewarias rządził trzydzieści osiem lat wśród powszechnego i ciągłego dobrobytu. Jego prawa były dokładnie przestrzegane na wszystkich ziemiach pod jego panowaniem i nigdy nikt nie ośmielił się sprzeciwić jego woli. Podczas tego długiego panowania lud rozmnożył się tak ogromnie, że liczba jego poddanych, którą zliczano co siedem lat, przekroczyła dwa miliony, choć u początku rządów nie była większa niż osiemset tysięcy. Podzielił on ich wszystkich na osmazje, wielkie kwadratowe budowle, gdzie wszyscy żyli wspólnie. Jego następcy naśladowali go w tych kwestiach.

Za czasów Sewariasia miasto Sewarinda rozrosło się wielce. On sam położył fundamenty pod czterdzieści osmazji i kazał zbudować ich znacznie więcej aż do Sporundii, którą on także założył. Poleciał przekopać wiele kanałów na równinach Sewarambii, aby użyźnić je jeszcze bardziej, choć z samej natury były one nader płodne. Zaprojektował także liczne przedsięwzięcia użyteczności publicznej, które wykonali jego następcy.

Z dziesięcioma lub dwunastoma małżonkami, które miał w ciągu swego życia, doczekał się licznego potomstwa, które przez wiele pokoleń pomnożyło się znacznie. Jego ród znajduje się w wielkim poważaniu wśród Sewarambian i cieszy się nawet pewnymi przywilejami, które nie są dostępne innym poddanym. Największym z nich jest prawo wstąpienia do korpusu urzędniczego trzy lata wcześniej niż młodzieńcy z innych rodzin.

Przez wiele lat Sewarias bardzo troszczył się o wzbogacenie języka tej krainy, co czynił z takim powodzeniem, że jeszcze za jego życia dorównał on wszystkim językom Orientu w uprzejmości i delikatności. Poczył on dobre obserwacje i ułożył piękny system, dzięki czemu w czasach piątego panowania język ów stał się nad podziw piękny i bogatszy nawet od łaciny i greki.

Wreszcie po trzydziestu ośmiu latach panowania, gdy osiągnął siedemdziesiąty rok życia, czując już na barkach brzemień starości, postanowił Sewarias pozostawić ster rządów w młodszych rękach i spędzić resztę żywota w domowym zaciszu.

Zwołał więc wszystkich osmazjontów, czyli namiestników osmazji, którzy do dzisiaj stanowią radę naczelną, i wyjawiał im swe postanowienie. Jednocześnie nakazał im przeprowadzenie wyboru nowego wicekróla i zwrócenie się do Słońca, którego wola miała zadecydować w tak istotnej sprawie. Zapewnił ich, że wielki król nie

omieszka wskazać im poprzez los osoby, którą wybrał na to stanowisko, jeśli tylko rzucą losy zgodnie z ustanowionymi przezeń prawy.

Zauważywszy jednak, że jego decyzja zasmuca zebranych, wyjaśnił im, że czuje już ciężar starości i sił zaczyna mu braknąć, a tym samym nie może już utrzymać steru państwa. Dobro publiczne zależało zatem od wyboru nowego, młodszego i bardziej rzeńskiego namiestnika. Przepracowawszy trzydzieści osiem lat dla dobra i szczęścia narodu, zasłużył wreszcie na odpoczynek. Poza tym wyjawiał, iż otrzymał od Słońca sekretne polecenie, by wycofać się z życia publicznego i pozostawił komu innemu administrację i godność arcykapłana, która winna pozostać spojona z tytułem wicekróla.

Gdy skończył przemówienie, które wszystkich zasmuciło, członkowie rady wyrazili swój głęboki szacunek i wdzięczność, jak również żal, że będzie im panował ktoś inny niż Sewarias. Błagali go, by do końca swoich dni zachował władzę, którą sprawował tak chwalebnie lub żeby wyznaczył chociaż jednego ze swych synów na następcę. Dodali, że naród, widząc przez cały czas jego panowania dowody roztropności, cnoty i miłości, jaką żywił dla swego ludu, znajdzie pocieszenie po jego utracie tylko wtedy, gdy na tronie zasiądzie jeden z jego potomków, którego on sam uzna za najbardziej godnego, aby w jego osobie i w osobach jego następców dostrzec było można żywy obraz wielkiego poprzednika. Naród pragnie bowiem podziwiać w następcy tronu głęboką mądrość i niezrównane cnoty księcia, któremu zawdzięcza swe szczęście. W tym celu zaproponowali, by uczynić godności Sewariasa dziedzicznymi w jego rodzie i wynieść jego dostojną krew ponad wszystkie na świecie. Posłużyli się jeszcze innymi argumentami i środkami, aby przekonać go do przyjęcia ich propozycji.

Nic jednak nie mogli zmienić postanowienia tego wielkiego człeka. Oparł się ich błaganiom i argumentom, a jego cnota zatriumfowała wówczas nad wszystkimi słabościami umysłu ludzkiego. Rzekł, iż nie może przyjąć ich propozycji, bowiem państwo jest heliokratyczne i należy się kierować wolą Słońca w kwestii wyboru wicekróla. Słońce zaś poprzez los wskaże tego spośród swych poddanych, którego uzna za najgodniejszego. Niemniej jednak podziękował im za zapal i uczucie, dodając, że choć kocha swe dzieci tak, jak tylko ojciec może, to nie jest w jego mocy wyrzec się posłuszeństwa królowi, który wyniósł go na tron. Gdy bowiem idzie o dobro publiczne, zamilknąć musi miłość ojcowska, a osobisty interes ustąpić przed interesem państwa, którego ksiączę powinien być prawdziwym ojcem. Dodał też, że oczekuje od swych następców, że w podobnej sytuacji zachowają się tak samo i pokażą przyszłym pokoleniom, że honor i chwała władców polega na tym, by czynić wszystko dla szczęścia poddanych, których niebiosa im powierzyły.

Osmazjonci z rady zrozumieli wreszcie, że muszą wybrać nowego wicekróla. Wybrali zatem czterech spośród siebie i los wskazał niejakiego Komedasa, którego

nazwano później Sewarkomedasem, dodając do jego imienia dwie pierwsze sylaby miana Sewarias, jak to od tego czasu miało miejsce w przypadku wszystkich jego następców.

Trzy dni po owej elekcji Sewarias, w towarzystwie wszystkich wyższych urzędników, poprowadził Komedasa do świątyni, by tam odprawić ceremonię jego intronizacji, która miała być wielce wspaniała. Pragnął bowiem Sewarias uhonorować swego następcę i przez własny przykład pokazać ludowi, jaki szacunek należy się władcy. Złożył na ołtarzu ofiarę Bogu Światłości i po raz drugi wygłosił taką samą orację, jak wtedy, gdy został wybrany przez głos z nieba. Dodał tylko prośbę, by Wielka Gwiazda zechciała oświecić i poprowadzić nowego namiestnika, którego wybrała, by przewodził swemu ludowi. Następnie, zwróciwszy się ku Komedasowi, rzekł doń wobec całego ludu te oto słowa.

„Zanim rzeknę się resztek tego, co pozostało mi jeszcze z władzy, czuję się w obowiązku, o Komedasie, uczynić ci kilka przestróg. Zobowiązuje mnie do tego chwała naszego boskiego monarchy, dobro ludu oraz twoja osobista korzyść.

Cel naszego przybycia do świątyni w tym dniu ma w sobie coś zdumiewającego. Wczoraj jeszcze pozostawałeś moim poddanym, dziś zostaniesz mym władcą. Z własnej woli opuszczam tron, na którym ty zasiądziesz bez żadnych przeszkód. W ten oto sposób pozostawimy przyszłym pokoleniom godny uwagi przykład, jakiego żaden inny monarcha dotychczas nie dał. Rzadko zdarzają się takie zmiany w państwach, chyba że spowoduje je miłość ojcowska lub słabość książąt bądź też prawo zwycięzcy narzuci taką konieczność.

Inaczej mają się sprawy w naszej sytuacji. Ani krew, ani natura nie przemawiają do mnie za tobą. To nie twa siła lub moja słabość każą mi przekazać ci berło i diadem Słońca. To czysta wola owego chwalebego monarchy oraz me posłuszeństwo jego świętym nakazom wynoszą cię dziś do tej wysokiej godności.

Wybór twej osoby na namiestnika Słońca i mego następcę może słusznie napęlić twą duszę wzniosłymi myślami. Bacz jednak, by nie zaślepiła cię pycha i byś nie zapomniał, kim stworzyła cię natura. Pamiętaj, że jesteś człowiekiem, zaś urodzenie nie daje ci żadnej wyższości nad innymi. Pamiętaj, że podobnie jak oni, poddany jesteś chorobom i ułomnościom natury oraz niestałości losu. Kres, który wieńczy żywot każdego człowieka, stanie się także twoim udziałem. Pamiętaj, jaka jest waga korony, od kogo ją otrzymałeś i komu będziesz musiał zdać sprawę ze swego postępowania. Rozmyślaj nad pomyślnością poprzedniego panowania, znajdź przykład do naśladowania oraz do pozostawienia następcom.

Urząd wicekróla, na który zostałeś powołany, to rzecz wielka i wzniosła. Wymaga poważnego zaangażowania, jasnego umysłu, niezachwianej odwagi i stałości, a także

ogromnej przezorności. Nie wątpię, iż posiadasz wszystkie te cechy, skoro Bóg Światłości, który nas oświeca i widzi wszystko, wyniósł cię ponad innych swych poddanych. Pozwól mi jednakowoż powiedzieć, że państwo prowadzić można dwiema drogami, które wiodą do różnych celów.

Pierwsza jest drogą dobrych książąt. Druga – drogą tyranów. Pierwsza prowadzi prosto do chwały, druga zaś do hańby. Tyrani upuszczają cugli swym namiętnościom i oddają się złym popędom, niszcząc zawsze przez swe przywary wszystko, co zbudowała przezorność. Rzadko myślą o twórcy ich potęgi i o tym, że mają zdać sprawę ze swych rządów. Nie pamiętają, że im wolniej działa Jego sprawiedliwość, tym dotkliwsza będzie kara. Stąd wynika, że ich panowanie jest ohydne, ich koniec zwykle tragiczny, a pamięć po nich zawsze znieawidzona.

Dobrzy książęta przeciwnie, podążają wyłącznie drogą oświecenia i rozumu. Obowiązek jest dla nich najważniejszą regułą. Słuchając zawsze głosu słusznej przezorności, umacniają swój tron na niezachwianych podwalinach. Miłuje się ich za życia, żałuje po śmierci, a wspomnienie ich panowania jest zawsze drogą potomości.

Daleki jestem od myśli, że choć przez chwilę mógłbyś wahać się między tymi dwiema ścieżkami. Jestem przekonany, iż postanowiłeś już naśladować dobrych książąt i stronić od maksym tyranów. Twój obowiązek, szczęście oraz interes tego żądają i ja wzywam cię do takiego wyboru w imię tego, którego masz być widowym obrazem na ziemi.

Słońce dało nam prawa, których depozytariuszem, tłumaczem i wykonawcą czyni dziś ciebie. Prawa te są dekretami mądrości, która nie podlegając zmianom, nie ścierpi ich w fundamentalnej konstytucji tego królestwa. Szanuj zasadę, z której się ona bierze, bacz, by w niej nic nie zmieniać i nie omieszkać karać zuchwałości tych, którzy chcieliby sprofanować uświęcone rozkazy Słońca przez nieczystą mieszanie własnych wyobrażeń. Używaj absolutnej władzy, jaką dają ci owe prawa, by zaprowadzić sprawiedliwość, praktykować umiarkowanie i zachować pokój. To w nim bowiem spoczywa szczęście narodów.

By jednak go zachować, należy kultywować niewinność obyczajów i surowo karać przywary. Łatwo się rządzi dobrymi ludźmi, lecz trudno panować nad złymi. Jedyny sposób, by rządzić chwalebnie, to sprawiedliwie rozdzielać nagrody i kary. Dlatego książę zawsze musi być pod bronią, tak podczas pokoju, jak i w czasie wojny, aby w każdej chwili mógł odeprzeć zniewagi ze strony obcych, zdusić wewnętrzne rebelle oraz budzić postrach i respekt wobec potęgi jego oręża oraz świętości praw.

Poprzez moje czyny starałem się udowodnić prawdziwość tych maksym. To samo polecam dziś uroczyście tobie, wobec Boga, który nas oświeca, oraz wobec ludu, który mnie słucha. Do ciebie należy skorzystać mądrze z mych rad. Tym samym przekazuję ci koronę i berło Słońca, jako ostatnie oznaki mej władzy, którą zostawiam w twych

rękach z woli Słońca. Obyś zadośćuczynił swym postępowaniem pragnieniom owego boskiego monarchy, spełnił nasze życzenia i oczekiwania. Pamiętaj zawsze, iż prawdziwa chwała księcia nie przejawia się w lśniącym diademie, lecz w szczęściu jego poddanych”.

Zakończywszy przemowę, ujął Komedasa za rękę, poprowadził go ku ołtarzowi i kazał mu przysiąc na Boga niewidzialnego, wiecznego i nieskończonego, na Słońce widome i pełne chwały oraz na miłość ojczyzny, że zachowa fundamentalne prawa królestwa i nijak ich nie zmieni. Następnie posadził go na tronie, włożył mu na skroni koronę i berło do ręki, po czym powitał go jako nowego wicekróla Słońca i złożył mu pierwszy hołd. Poprosił wszystkich obecnych urzędników, by uczynili to samo. Później jeszcze, zwracając się do ludu, udzielił mu wielu pięknych pouczeń i napomnień. Przede wszystkim przypomniał, że najważniejszym obowiązkiem poddanych jest szacunek, posłuszeństwo i wierność władzy najwyższej. O ile ich głosy i zgoda konieczne były do jej ustanowienia, to nie powinni sobie wyobrażać, że to ich wola była główną tego przyczyną. Opatrzność miała o wiele więcej do powiedzenia w ustanowieniu książąt niż wola ludu i dlatego należy uważać władców za żyjące obrazy boskości. Nawet gdyby władca nie wywiązywał się dobrze ze swych obowiązków, to poddanym nie wolno oddalać się od swoich. Niebiosa przyzwalają często na niesprawiedliwość ze strony księcia, jeśli ten musi ukarać lud za zniewagi. Powinni znosić te kary bez szemrania i nie słuchać nigdy buntowniczych podszeptów. Bunt jest bowiem nie tylko najohydniejszą ze zbrodni, lecz także największym szaleństwem, ponieważ zamiast przynieść wolność tym, którzy się weń angażują, ściągą na nich zwykle najokrutniejszą niewolę, komukolwiek przypadłoby zwycięstwo. W posłuszeństwie władzy najwyższej spoczywa nie tylko obowiązek poddanych, lecz przede wszystkim ich własny interes.

Zrzekłszy się w ten sposób władzy, Sewarias oddał się na łono rodziny i zamieszkał w osmazji, którą kazał zbudować o dzień drogi od Sewarindy, w miejscu nad podziw pięknym i obdarzonym zdrowym powietrzem. Żył tam jako osoba prywatna, nie mieszając się wcale do spraw publicznych, chyba że przybywano, by poprosić go o radę. Zdarzało się to przy okazji podejmowania każdej z najistotniejszych decyzji. Nie tylko okazywano mu przez to szacunek i cześć dla jego osoby, lecz także podziw wobec jego rozumu.

Przeżył tak jeszcze szesnaście lat, nie tracąc nic z żywości umysłu. Zachował rozsądek, a nawet pamięć aż do ostatnich chwil. Czując zbliżający się koniec, zwrócił się do swych dzieci, by praktykowały cnotę i miłość ojczyzny. Powiedział im, że prawdziwa chwała polega na posłuszeństwie wobec prawa i praktykowaniu sprawiedliwości i umiaru. Dodał, że chociaż jego ciało jest śmiertelne, to dusza będzie żyć

wiecznie, a gdy tylko opuści swe doczesne więzienie, uleci ku Słońcu, gdzie wzięła swój początek. Otrzyma tam nową, piękniejszą formę. Taki los spotka wszystkich, których żywot i obyczaje są czyste i sprawiedliwe i którzy posłuszni są nakazom Boga, ten bowiem widzi wszystko, zna wszystkie czyny, a nawet myśli ludzi. Złoczyńcy i bezbożnicy, którzy nie byli posłuszni prawom ani nie żyli w niewinności, zostaną natomiast po śmierci ukarani w straszliwy sposób. Ich dusze otrzymają wstrętniejsze i słabsze ciała. Zostaną oni rzućeni w miejsca oddalone od jaśniejącego oblicza Słońca, by tam odczuli surowość zimy i zostali pogrzebani w głębokich ciemnościach nocy, gdzie odpokutują swe winy.

Uczyniwszy te napomnienia, oddał ducha i pozostawił po sobie powszechną żalobę wśród narodu, która to trwała przez pięćdziesiąt dni, stanowiąc świadectwo nadzwyczajnego bólu z powodu straty Sewariasa. Lud bowiem widział w nim ojca ojczyzny i twórcę wszelkiego szczęścia, którym się cieszył. Pamięć o tym wielkim człowieku do dziś jest czczona przez Sewarambian, którzy najchętniej wzniesliby mu ołtarze i oddawali boską cześć, gdyby – jako nieprzyjaciel idolatrii – nie zabronił tego wyraźnie w godzinie śmierci.

Wyprawiono mu królewski pogrzeb, złożono nadzwyczajne ofiary, a jego następca nie zaniedbał niczego, by uczcić jego pamięć i uwidocznić swój żal z powodu odejścia Sewariasa. To pobożne i mądre zachowanie zwiększyło znacznie miłość i szacunek, jakim darzono Komedasa, dodało blasku jego panowaniu i sprawiło, że uznano go za godnego następcę Sewariasa.

Rządził on jeszcze sześć lat po zgonie tego księcia, jednak czując zbliżającą się chorobę, zrzekł się władzy, idąc w ślady swego poprzednika, tak jak starał się we wszystkim podążać za jego przykładem.

W czasie swego władania zbudował wiele osmazji i doprowadził do rozkwitu wszystkich sztuk, jakie zawitały do Sewarambii za czasów Sewariasa. Wzniósł także swemu poprzednikowi wspaniałe mauzoleum, które po dziś dzień oglądać można w wielkiej świątyni w Sewarindzie. Kazał także zbudować wielkie mosty po każdej stronie wyspy, aby ułatwić transport, który dotychczas odbywał się wyłącznie łodziami. Komedas powziął także zamiar otoczenia wyspy solidnym murem, lecz nie żył wystarczająco długo i pozostawił to zadanie swym następcom.

Brontas III wicekról Słońca

Po Komedasie nastąpił władca imieniem Brontas, który otrzymał, zgodnie z obyczajem, miano Sewarbrontasa. Podążał on śladami poprzedników, polecał zakładać uprawy na równinach, a nawet w górach, szczególnie przy drodze do Sporundii,

którą uczynił był znacznie wygodniejszą. Położył fundamenty wielu miast, które od tego czasu znacznie się rozrosły. Za jego panowania rozpoczęto otaczanie stołecznej wyspy murem, zgodnie z projektem Sewarkomedasa. Dzięki studiom i praktyce stał się Sewarbrontas tak biegły w architekturze, iż wspinał się na wszystkie budowle, zbudowane przez jego poprzedników.

Za jego czasów doszło do pewnych sporów wśród Sewarambian, spowodowanych przybyciem kilku Parsów, którzy zapragnęli ustanowić własność prywatną, wbrew fundamentalnym maksymom państwa. Przysporzyło to wicekrólowi licznych trudności, lecz ostatecznie przewyciężył je. Aby zapobiec w przyszłości podobnym nieporządkom, zabronił kontaktów z naszymi kontynentami, nie życząc sobie więcej takich niespokojnych głów w swoim kraju.

Wywodził się on z Prestarambian, dlatego znacznie rozbudował Sporundię oraz liczne miejscowości w górach, aby ułatwić komunikację między miastami. Rządził trzydzieści cztery lata, po czym zrzekł się władzy na modłę swoich poprzedników.

Dumistas

IV wicekról Słońca

Następcą Sewarbrontasa został Sewardumistas, z pochodzenia Strukarambianin. Pragnął on poszerzyć granice państwa i podporządkować sobie jeden z ludów mieszkających w dole rzeki, jakieś osiemdziesiąt mil od Sewarindy. Jednakże Rada sprzeciwiła się tym planom, nie mogąc ścierpieć, by podbijano bez potrzeby nowe tereny, wbrew maksymom Sewariasa. Ten bowiem nakazał wprawdzie się rozwojem krain wokół Sewarindy, zanim będzie można upomnieć się o dalej położone tereny, chyba że znajdą się one przy drodze do Sporundii.

Widząc zatem, że jego plan nie wzbudził entuzjazmu, poświęcił się Sewardumistas rozwojowi rolnictwa, budowie osmazji w wielu miejscach, zwłaszcza zaś w jego rodzinnej Arkropsindzie. Ustanowił nowe ceremonie religijne, mające służyć jedynie zewnętrznej pompie, w tym Osparenibon, czyli uroczystość zaślubin. Sporządził był ponadto rozmaite regulaminy dotyczące się uroczystości publicznych, wynalazł nowe tańce święta Erimbasionu, to jest święta Słońca, które zostały zachowane aż do dzisiaj.

Uważa się, że nie mogąc zrealizować zamiaru wypowiedzenia wojny, skierował się on w stronę wprost przeciwną, zabawiając się wymyślaniem ceremonii. Jego panowanie trwało tylko jedenaście lat i był on pierwszym, który zachował władzę do końca swoich dni. Prawda, że przyczyną jego zgonu był niespodziewany upadek, co spowodowało piętnastodniowe bezkrólewie.

Sewaristas
V wicekról Słońca

Po nim wybrano Sewaristasa z rodu Sewariasa, w osobie którego krew pierwszego wicekróla powróciła na tron Sewarambii. Jego cnoty i talenty dawały wielkie nadzieje. Sądzono, że będzie godnie sprawował funkcję swego chwalebego przodka. Nie mylono się, gdyż okazał się Sewaristas jego żywym obrazem i doskonałym naśladowcą. Liczył sobie zaledwie trzydzieści lat, gdy wstąpił na tron, jednak cechowały go nadzwyczajna przezorność i mądrość.

Za jego czasów naród rozmnożył się szczególnie, zaś pokój i obfitość kwitły w każdym miejscu kraju tak, że już od samego początku panowanie Sewaristasa było szczęśliwe. Jako że miał wielu poddanych, którym według zasad państwa należało dać zajęcie, podjął się on wielkich prac o niemalże nieprzewyciężonej trudności. Po pierwsze, kazał dokończyć budowę pałacu w Sewarindzie oraz murów wyspy. Zbudował też amfiteatr i uczynił przejście przez górę, o którym opowiedzieliśmy w pierwszej części tej relacji.

Sewaristas wznowił kontakty z Persją i innymi krajami naszych kontynentów, których to zabronił był Sewarbrontas. Odmienił jednak ich sposób – zażyczył sobie, by tylko niewielka liczba Sewarambian podróżowała do naszych części świata, by uczyć się nauk i sztuk, które mogłyby przyczynić się do wzmożenia szczęścia i chwały narodu. Zabronił im jednak opowiadać komukolwiek o ojczyźnie.

On też dokonał dzieła cywilizacji Sewarambian poprzez ustanowienie wśród nich nauk i sztuk pięknych, jak również wielkich spektakli publicznych. Ustanowił Kodimbasion, czyli święto Wielkiego Boga, którego pierwotny zamysł należał do Sewariasa. Jego następcy nie chcieli ustanawiać święta, bowiem nie byli pewni, czy właściwie pojęli intencje prawodawcy. Sewaristas jednak, czy to na mocy przywileju krwi, czy dzięki lepszemu zrozumieniu zamysłu swego wielkiego protoplasty, prze-mógł wszystkie owe trudności i zażądał, by święto było obchodzone na początku każdego „dirnemis”, to jest co siedem lat. Osobiście odprowadzał owe uroczystości sześć razy, ponieważ panował czterdzieści sześć lat, po których zrzekł się tronu i przeżył kolejne dwanaście.

Kemas
VI wicekról Słońca

Następcą Sewaristasa został Sewarkemas, wielki naturalista, który promował wiedzę o surowcach i metalach. Odkrył wiele złóż, a nawet założył bogate kopalnie złota. Posłużyło mu ono do ozdoby Świątyni Słońca i pałacu w Sewarindzie, ponieważ

w kraju tym nie bije się monety, jest bowiem zbędna, a jej użycie zostało nawet surowo zabronione przez fundamentalne prawa królestwa.

On to kazał otoczyć świetlisty glob, który przedstawia Słońce w świątyni, ową wielką tablicą ze złota, ciętą i grawerowaną tak, by wyobrażała promienie. Sewarkemas rządził czterdzieści trzy lata, po czym zrezygnował.

Kimpsas VII wicekról Słońca

Później nastąpił Sewarkimpsas. Był on wielkim podróżnikiem i zwiedził każdą, najmniejszą nawet osmazję w swym kraju. Upodobał sobie ogrodnictwo. Dbał o stan dróg i kazał stawiać znaki i kamienie milowe dla wygody podróżnych. Zlecił zmierzenie i oznakowanie odległości między różnymi miejscami. Nakazał także, by w każdym mieście trzymano niewolnice, by usługiwały przejeźdnym. Toczył on wojnę ze Strukarambianami Południowymi, ludem dumnym i brutalnym, który nigdy nie uznał władzy Sewariasa. Ten bowiem gardził owym ludem i zalecił swemu następcy, by nie atakował ich, lecz raczej zajął się tymi ziemiami, które już doń należą. Przy dobrej uprawie mogły one wyżywić sześć razy więcej ludności, niż liczyła Sewarambia. Od tego czasu pogardzano tymi barbarzyńcami i nie robiono z nimi nic, dopóki zachowywali dystans.

Ośmielili się oni jednak wkroczyć na ziemię Sewarambii. Wobec tego Sewarkimpsas najechał ich tereny, pokonał ich w wielu bitwach, po czym narzucił roczny trybut w postaci dziewcząt i chłopców, którzy mieli trafiać jako niewolnicy do Sewarambii. Ponieważ w górach Strukarambian znaleziono bogate złoża, kazał Sewarkimpsas pobudować tam liczne fortece, a w nich garnizony złożone z młodzieży Sewarambii. Rządził on dwadzieścia osiem lat, aż wreszcie zrzekł się władzy.

Minas VIII wicekról Słońca

On to rządzi obecnie i z jego to rozkazu sprowadzono nas do Sewarindy. Ów Sewarminas panował już długie lata i w chwili opuszczenia przeze mnie kraju w drodze do Persji zamierzał właśnie złożyć władzę w ręce następcy, czując już brzemię starości. Dokonał wielu rzeczy, w tym budowy akweduktu, który prowadzi do Sewarindy wodę z rzeki, która spływa z gór sześć czy siedem mil od Sewaringo. Dzieło to rozpoczął jego poprzednik, jednak to Sewarminas doprowadził je do końca w ciągu pierwszych dwunastu lat panowania.

Jest to człek sprawiedliwy i surowy, żądający posłuszeństwa, lecz także kochający ten lud, który ze swej strony także go miłuje. Mieszkałem trzynaście lub czternaście lat pod jego rządami i widziałem w tym czasie wiele rzeczy, które się dokonały. Zadałem sobie też trud obserwowania praw i obyczajów owych ludów, o których obecnie należy powiedzieć szerzej niż dotychczas.

O prawach i obyczajach dzisiejszych Sewarambian

W historii Sewariasa i jego następców nakreśliłem jedynie ogólny obraz praw owych ludów oraz wymieniłem główne maksymy ich ustroju. Mógłbym w tym miejscu rozwinąć te kwestie i opisać wszystkie regulacje i ordonansy, jakie zostały dotychczas ogłoszone przez wicekrólów Słońca od Sewariasa aż po Sewarminasa. Ponieważ jednak podobny wykaz byłby zbyt długi i nużący, ograniczę się do podania tego, co najbardziej interesujące.

Ustrój Sewarambii jest monarchiczny, despotyczny, a w szczególności heliokratyczny, co oznacza, iż najwyższa władza przypada jednemu monarsze, który to jest panem i właścicielem wszystkich dóbr narodu. Za owego absolutnego władcę i pana uznaje się Słońce. Rozważając jednak ludzką stronę administracji państwa, należy uznać je za monarchię sukcesywną i despotyczną, z elementami arystokracji i demokracji.

Przejawia się to w fakcie, że wicekról, który jako jedyny reprezentuje monarchę, nie tylko wyniesiony jest do tej rangi przez wybór Słońca, lecz także w drodze elekcji przez Radę Najwyższą i lud. Kiedy bowiem przychodzi konieczność wyboru nowego wicekróla, Rada wybiera spośród swoich członków cztery osoby, które ciągną losy. Ten, który wylosuje znak Słońca, zostaje ogłoszony wodzem tak, jakby został wybrany przez samą gwiazdę.

Wszyscy, którzy zajmują urzędy, wynoszeni są do nich przez wybór ludu w każdej z osmazji aż do rangi osmazjonty albo cenobiarchy. Kiedy człowiek osiąga takie stanowisko, staje się członkiem rady ogólnej i otrzymuje w niej prawo głosu jako przedstawiciel swojej osmazji. Na początku, gdy naród nie był jeszcze zbyt liczny, ci osmazjonty należeli do rady zwyczajnej, lecz w miarę rozrostu trzeba było ich przenieść do rady ogólnej. Do rady zwyczajnej wybierało się jednego na cztery osmazje, następnie jednego na sześć, obecnie zaś jednego na osiem. Spośród tych reprezentantów, zwanych brosmazjontami, wybiera się przyszłych senatorów. Ten, który najdłużej pełnił swą funkcję, zajmuje miejsce ostatnio zmarłego senatora. Nie ma to nic wspólnego z jego wiekiem, bowiem liczy się jedynie długość sprawowania urzędu. Senatorów jest obecnie dwudziestu czterech i asystują oni wicekrólowi we wszystkich najważniejszych sprawach jako członkowie Rady Najwyższej. Nazywa się ich sewarobastami, to jest pomocnikami Sewariasa lub jego następców.

Istnieje także niższa izba złożona z trzydziestu sześciu brosmazjontów. Z niej biorą się sewarobaści oraz gubernatorzy miast prowincjonalnych, z wyjątkiem wszakże Sporundii i Arkropsindy, którymi zarządzają sewarobaści, tacy jak Albicormas lub Brasindas. Są to bowiem gubernatorstwa o szczególnym znaczeniu.

Poza służeniem radą wicekrólowi niemal każdy sewarobasta posiada jakieś indywidualne obowiązki. Jeden jest generałem armii, drugi admirałem, inni pełnią funkcje prefektów budynków, zapasów, składania ofiar, szkół, uroczystości i wielu innych. Każdy z nich dysponuje w tym celu własną radą.

Podobnie każdy gubernator prowincji lub miasta ma swoją radę, jak to widzieliśmy w Sporundii, pierwszym i najznacniejszym gubernatorstwie królestwa. Gubernatorowi Sporundii podlegają bowiem wszystkie osady za górami oraz wszyscy Prestarambianie, którzy nie osiedlili się w Sewarambii. Wysła się do nich osoby w jakiś sposób kalekie na ciele bądź umyśle, skąd – jak wspomnieliśmy – bierze się nazwa owej krainy.

Poza wymienionymi urzędnikami jest jeszcze wielu niższych rangą, spośród których szczególnym szacunkiem cieszą się ci, którzy zajmują się wychowaniem młodzieży. Od dobrej edukacji zależy bowiem powodzenie państwa i całego narodu.

Intendenci rozmaitych rzemiosł także są szanowani, szczególnie zaś ci, którzy opiekują się rolnictwem lub budowlami, które to zajęcia są najważniejsze i najczęściej wśród Sewarambian spotykane.

Jako że urzędnicy zostali wyniesieni ponad gmin, a ich funkcje są szlachetniejsze od zadań pospólstwa, otrzymują oni wynagrodzenie proporcjonalne do rangi, jaką zajmują w królestwie. Po pierwsze, cieszą się oni chwałą i przyjemnością wydawania rozkazów i posłuszeństwem ludu. Prawa pozwalają im na poślubienie większej liczby kobiet niż reszta poddanych oraz na posiadanie niewolników. Zwykle otrzymują lepsze kwatery, lepsze jadło i odzienie niż ludzie z gminu. Wszyscy szanują ich i oddają im honory należne ich urzędom.

Ponadto gdy tylko człowiek zostanie urzędnikiem, może żywić nadzieję na władzę najwyższą, do której wspinać się może po stopniach drabiny urzędniczej. Wszyscy wicekrólowie po Sewariasie weszli na tron w ten właśnie sposób, nie ma bowiem innej drogi. Sprawia to, że każdy, kto ma jakoweś talenty i ambicje, stara się zdobyć miłość i uznanie współobywateli, a tym samym ich głosy podczas wyborów. Poważne rozważania nad tymi zwyczajami i manierami Sewarambian wykażą, iż w gruncie rzeczy mamy podobne pragnienia i cele w życiu. Także staramy się zająć wyżej, by cieszyć się wygodami życia.

Różnica między nimi a nami polega jednakowoż na tym, że wszystkie sposoby, jakie Sewarambianie stosują, by wznieść się w hierarchii, są prawomocne i uczciwe. My zaś najczęściej posługujemy się podłością i przestępstwem, by wydobyć się

z nędzy i pospolitości. Kiedy zaś w sposób bardziej lub mniej uczciwy zdobędziemy wreszcie bogactwa i zaszczyty, nadużywamy ich lub pozostawiamy swym dzieciom, które mogą dysponować nimi, jak im się żywnie podoba. Sewarambianie jednak, którym pozwala się wyłącznie na dobre uczynki, mogą zachować swe dobra i godności tylko dzięki ciągłej praktyce cnoty, potomstwu zaś zostawiają jedynie przykład do naśladowania.

W przypadku bezkrólewia najstarszy spośród Sewarambian rządziłby zamiast wicekróla aż do czasu wyboru następcy przez Radę Najwyższą.

Pierwszą rzeczą, jaką robi nowo wybrany namiestnik, jest zwołanie rady ogólnej całego narodu, w której zasiadają wszyscy osmazjonci, a nawet wszyscy urzędnicy. Ogłasza on wybór, jakiego dokonało Słońce, i pyta, czy zgromadzeni podporządkują się woli ich boga i króla i uznają go namiestnikiem. Oni zaś odpowiadają: „Erimbasimanto”, co znaczy „Niech się stanie wola króla światłości”. Następnie wszyscy podążają za wicekrólem do świątyni, gdzie składa on ofiarę z wonności oraz dziękczynienie za szczególną łaskę, jaka go spotkała. Poświęca się służbie Słońcu i ślubuje wierność, ludowi zaś przyrzeka sprawiedliwość i ochronę. Potem zasiada na tronie, na którym ujrzelśmy Sewarminasa podczas naszej audiencji. Podążają za nim wszyscy sewarobaści, a najstarszy spośród nich wkłada mu na głowę aureolę lub nimb promienisty, o którym była już mowa. Każdy z senatorów przysięga wówczas pomoc i wierność, pozostali zaś posłuszeństwo namiestnikowi i jego radzie. Jeżeli nowy władca ma w owej chwili propozycję jakiegoś prawa, przedstawia je wobec wszystkich, podaje argumenty, przekazuje pisemne kopie każdemu z osmazjontów, prosząc o dokładne zapoznanie się i podzielenie opinią. Dziewięć dni później, na kolejnym zgromadzeniu, prawo to zostaje uchwalone i zatwierdzone wobec wszystkich i każdy zabiera kopie do siebie. Następnie wicekról żegna się z całym zgromadzeniem i udaje się do swego pałacu.

Funkcje i urzędy pozostają w mocy, dopóki wicekrólowi i jego radzie nie spodoba się ich zmienić. Rzadko jednak zdarza się, by komuś odebrano urząd, który sprawował, chyba że sam się go zrzecze (co dzieje się zwykle w wieku sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu lat) lub sprawuje swe obowiązki w sposób niewłaściwy, co jest bardzo rzadko spotykane. Gdyby jednak przypadkiem zdarzyło się, że wicekról rządzi źle, bezbożnie, tyrańsko i próbuje pogwałcić prawa fundamentalne, wówczas uczyniono by wszystko, żeby przywrócić mu rozsądek. W razie niepowodzenia najstarszy z sewarobastów zwołałby radę ogólną, podał przyczyny i zapytał, czy rada nie sądzi, że należy poprosić Słońce o opiekuna dla wicekróla, aby zachować prawa w mocy i w zgodzie z konstytucją Sewariasa i jego następców. Po odpowiedzi twierdzącej wszyscy udaliby się do świątyni, złożono by ofiarę z kadzidła i wygłoszono modlitwę do Słońca. Sewarobaści ciągnęliby losy i ten, który dostałby znak Słońca, zostałby

opiekunem wicekróla, który utracił zdrowy rozsądek. Od tej chwili wicekról nie miałby już możliwości zasiadania w radzie, jednak trzymano by go w odosobnionym pałacu i traktowano go z największą łagodnością i szacunkiem, aż spodobałoby się Słońcu przywrócić mu rozsądek. Wówczas publicznie przywrócono by go do pełnienia dawnych funkcji w taki sam sposób, w jaki pozbawiono go władzy.

Taka jest klauzula prawa Sewariasa na podobny przypadek, który jednak nigdy dotąd się nie zdarzył i może nigdy nie nastąpi. Ten sam zapis dotyczy władców, którzy faktycznie straciliby rozum i nie chcieli dobrowolnie zrzec się tronu.

Sewarias pozostawił regulacje dotyczące rozmaitych kwestii, w tym niektórych modlitw, które należy wznosić do Słońca przy różnych okazjach, w szczególności zaś tej, którą przetłumaczyliśmy tutaj i którą wygłasza się przy elekcji wicekróla.

Sądzę, iż należy teraz przedstawić sposób utrzymania tego państwa, organizacji jego magazynów i dysponowania zasobami.

Powiedzieliśmy już, że jedną z głównych zasad ustroju jest pozbawienie poddanych własności dóbr i pozostawienie ich w wyłącznej gestii władcy. Tak było od czasów Sewariasa, a żeby utrzymywać poddanych i zapewnić im dobrobyt, pobudowano publiczne magazyny wszystkich użytecznych towarów. Uczyniono także magazyny rzeczy służących godnym przyjemnościom. Z tych magazynów wydobywa się towary, które zaopatrują poszczególne osmazje według ich potrzeb. Każda osmazja ma także swój własny magazyn, który od czasu do czasu zaopatruje się w magazynach powszechnych, by każdy otrzymał wszystko, czego potrzebuje do życia i wykonywania swego zawodu. W osmazjach wiejskich większość mieszkańców zajmuje się uprawą roli i żywi się tym, co zbierze. Każda osmazja wiejska zatrzymuje niezbędną do pracy ilość zboża, wina, oliwy i innych plonów. Podobnie dzieje się w przypadku trzody tam, gdzie się ją hoduje.

Istnieją prefeki do spraw polowań, rybołówstwa oraz wszystkich manufaktur, którzy pobierają niezbędne towary tam, gdzie są wytwarzane, po czym transportują je do miejsc, gdzie się je przetwarza. Są na przykład miejsca, gdzie uprawia się bawełnę, len, konopie i jedwab. Tamtejsi intendenci wysyłają te towary do miast, gdzie produkuje się z nich tkaniny. Z miast przewozi się tkaniny do wszystkich miejsc, które ich potrzebują. Podobnie ma się sprawa z wełną, skórą, metalami oraz wszystkimi innymi rzeczami, którymi się człowiek w życiu posługuje. Co do materiałów budowlanych, ich magazyny organizuje intendent placów budowy i on też pobiera z nich wszystko, co potrzebne do wznoszenia nowych obiektów oraz naprawy i utrzymania starych. Podobnie dzieje się w przypadku uroczystości, świąt publicznych i spektakli – nad wszystkim czuwają intendenci i podlegający im urzędnicy, którzy rozkazują zespołom organizującym. Istnieją także osmazje, gdzie wychowuje się dzieci obu płci, jednak każda płeć wychowywana jest osobno.

Przebywają tam preceptorzy zajmujący się nauczaniem młodzieży. W niektórych osmierzach naucza się sztuk i rzemiosł, a każda z nich posiada własny magazyn, urzędników i niewolników do najbardziej niewdzięcznych prac. Z magazynów tych pobiera się wszystko, co potrzebne do utrzymania każdej z osób.

Jeśli skupimy się na obserwacji życia innych narodów, przekonamy się, że wszędzie są magazyny. Miasta czerpią ze wsi, a wsie z miast. Jedni pracują rękami, inni głową. Jedni rodzą się, by słuchać, inni, by rozkazywać. Mamy szkoły dla edukacji młodzieży i nauczycieli, by uczyli ją zawodów. Istnieją zatrudnienia konieczne dla przetrwania, takie, które sprawiają, że żyje się wygodniej, wreszcie są i takie, których celem jest czysta przyjemność. Rzeczy są w istocie takie same, różni się tylko sposób ich rozdzielenia. Mamy wśród nas ludzi, którzy posiadają nadmiar bogactw i dóbr oraz takich, którym brak wszystkiego. Mamy takich, co pędzą życie wśród beczynności i rozkoszy, i tych, co bez ustanku leją pot, by zarobić na swój nędzny chleb. Mamy ludzi wielkiej godności i takich, którzy nie są ani godni, ani zdolni pełnić powierzonych im funkcji. Są też tacy, którzy posiadają talenty, lecz brak im dóbr, przez co są skazani na wieczne życie w błocie i pospolitości.

Tymczasem wśród Sewarambian nikt nie jest ubogi, nikomu nie brakuje rzeczy niezbędnych i użytecznych, każdy ma swój udział w przyjemnościach i publicznych rozrywkach, nie musząc torturować swego ciała i umysłu pracą ponad siły, by to osiągnąć. Umiarkowany trud przez osiem godzin dziennie przynosi wszystkie te korzyści jemu, jego rodzinie i dzieciom, choćby miał ich tysiąc. Nikt nie martwi się płaceniem podatków, gromadzeniem fortun, by wzbogacić swe dzieci, dać posag córkom lub kupić dobra. Sewarambianie wolni są od wszystkich tych trosk i bogaci od chwili narodzin. I chociaż nie wszyscy otrzymują publiczne godności, to mają przynajmniej tę satysfakcję, iż widzą wśród urzędników jedynie tych, których do owych godności wyniosły zasługi i estyma współobywateli. Wszyscy oni są i jednocześnie nie są szlachciami i nikt nikomu nie może wytykać jego niskiego urodzenia ani też chwalić się splendorem swojego. Nikt nie musi cierpieć widoku próżniaków, podczas gdy sam trudzi się, by wyżywić ich pychę i próżność. Jeśli zaś zważymy szczęście tego ludu, przekonamy się, że nikt nie jest odeń szczęśliwszy na tym świecie, a wszystkie nacje wyglądają w porównaniu z Sewarambianami na bardzo nieszczęśliwe.

Jeżeli porównać szczęście królów, książąt i innych władców ze szczęściem wicekróla Słońca, znajdzie się między nimi znaczące różnice. Tamci mają zwykle trudności, by pozyskać środki konieczne dla utrzymania państwa i muszą nierządkiem uciekać się do przemocy i okrucieństwa, by osiągnąć swe cele. Wicekról Słońca nigdy nie posługuje się tymi sposobami, jest bowiem od początku absolutnym panem wszystkich dóbr narodu. Żaden z poddanych nie może odmówić mu posłuszeństwa

ani domagać się indywidualnych przywilejów. Daje i odbiera, kiedy mu się spodoba. Zawiera pokój i wypowiada wojnę, gdy uzna to za stosowne. Wszyscy są mu posłuszni i nikt nie odważyłby się sprzeciwić jego woli. Nie grożą mu bunty ani powstania ludu, nikt nie wątpi w jego władzę i wszyscy się jej podporządkowują. Swej potęgi nie zawdzięcza nikomu i nikt nie może mu jej odebrać. Któż bowiem byłby tak zuchwały, by buntować się przeciw Słońcu i jego ministrom? Któż byłby dość próżny, by uważać się za godniejszego niż wybraniec króla światłości? A gdyby znalazł się nawet ktoś dość nierozumny, by zapragnąć uzurpować sobie władzę, jakże mógłby tego dokonać? Gdzie znalazłby ludzi chętnych, by poprzeć jego szaleństwo i stać się niewolnikami, by jego uczynić władcą? Dodajmy, że religia Sewarambian kładzie wielki nacisk na posłuszeństwo przełożonym, ponieważ nie tylko uważają oni Słońce za króla, lecz także oddają mu boską cześć i wierzą, że jest ono źródłem wszystkich dóbr. Dlatego głęboką czią darzą prawa i ustrój, który – jak sądzą – ustanowiło samo Słońce za pośrednictwem Sewarasia.

Co więcej, ich edukacja jest tak dobra, że od najwcześniejszej młodości przyzwyczajają się do posłuszeństwa prawom, które stają się dla nich czymś naturalnym. Podporządkowują się im tym chętniej, że im więcej się nad nimi zastanawiają, tym bardziej sprawiedliwe i rozsądne owe prawa się im zdają.

O edukacji u Sewarambian

Ich mądry prawodawca, ustanawiając tak piękne prawa dla swego ludu, nie zaniedbał kwestii wychowania młodzieży. Zdawał sobie bowiem sprawę, iż od tego zależy zachowanie lub ruina tychże praw, a także iż zepsucie obyczajów powoduje zwykle wielkie złudzenia w polityce. Jest bowiem mało prawdopodobne, by człowiek zepsuty i źle wychowany był zręcznym ministrem lub dobrym poddanym. Z jednej strony bowiem siła jego namiętności ciągnie go ku przywarom, z drugiej zaś ignorancja nie pozwala mu odpowiednio rozróżnić dobro i zło, prawdę i fałsz. Ludzie z natury mają silne ciągoty ku przywarom i jeśli dobre prawa, przykłady i edukacja nie wskażą im drogi, zło ziarno, które w nich tkwi, wykiełkuje i wzrosnie, zduszając najczęściej zalążki cnoty, które otrzymali od natury. Oddają się wówczas swym nierozumnym żądzom, pozostawiając rozum na łasce dzikich i potężnych namiętności, i nie ma zła, do którego nie mogliby się posunąć. Stąd bierze się przemoc i grabieże, zazdrość, nienawiść, pycha i pragnienie władzy, bunty, wojny, masakry, pożary, świętokradztwa i całe zło, które dręczy ludzkość.

Dobre wychowanie najczęściej powstrzymuje, a czasem nawet zdusza zarodki zła w człowieku, kultywując za to pragnienie cnoty. To właśnie bardzo dobrze rozumiał Sewarasia i dlatego wydał wiele ordonansów dotyczących wychowania dzieci. Uznał,

że rodzice zwykle psują dzieci przez nadmierną wyrozumiałość lub zbyt wielką surowość. Nie życzył sobie pozostawiać tych młodych istot w rękach osób tak mało zdolnych do opieki nad nimi.

W tym celu ustanowił szkoły publiczne, by wszystkie dzieci wychowywały się razem i pod okiem osób wybranych i zdolnych, których nie zaślepia miłość ani nienawiść. Mieli oni wychowywać dzieci w sposób neutralny, poprzez przykazania, kary i przykłady, aby wzbudzić w nich nienawiść wobec przywar i umiłowanie cnoty. Aby zaś rodzice nie mogli zniweczyć tego trudu, Sewarias zaprzagnął, by otoczywszy wpięrowo owoce swej miłości rodzicielską troską i czułością, zrzekli się po paru latach swej władzy i przekazali ją państwu i jego urzędnikom, którzy są politycznymi ojcami Sewarambii.

Zgodnie z tym przepisem w niektóre ustalone dni i cztery razy w roku rodzice prowadzą do Świątyni Słońca swe dzieci, które osiągnęły wiek siedmiu lat. Rozbiera się je wówczas z białych szat, które nosiły od urodzenia, myje się je i obcina im włosy, naciera oliwą i ubiera w żółte szaty, po czym ofiarowuje się je bóstwu. Ojciec i matka zrzekają się całkowicie władzy, jaką natura dała im nad potomstwem, zachowując sobie jedynie prawo do miłości i szacunku. W tej chwili ich potomek staje się dzieckiem państwa i zaraz potem zostaje wysłany do szkół publicznych, gdzie przez cztery lata przyucza się go do posłuszeństwa wobec prawa, uczy się go czytać, pisać, tańczyć i walczyć.

Po czterech latach, gdy ciała dzieci się wzmocnią, wysyła się je na wieś, gdzie poznają tajniki uprawy ziemi. Uczą się tego przez cztery godziny dziennie, pozostałe cztery poświęcone są praktykowaniu rzeczy, których już nauczyły się w szkołach. Dziewczynki wychowuje się podobnie jak chłopców, nie czyniąc większej różnicy, jednak w osobnych placówkach. Są bowiem osmazje dla obu płci, a osmazje wiejskie są zwykle oddalone od siebie.

W czternastym roku życia dzieci zmieniają strój i miejsce pobytu. Zielone szaty zastępują żółte. Nazywa się ich wówczas w języku tego kraju „edirnai”, czyli „będący w trzecim siedmioleciu życia”. W pierwszym siedmioleciu zwą się „adirnai”, a w drugim „gadirnai”. Inaczej, od koloru ich strojów, zwie się ich „alistsai”, czyli „białe szaty”, „erimbai” – żółte, i „fornai” – zielone. U dziewczynek zmienia się tylko końcówka „-ai” na „-ei” – „adirnei”, „alistei” i tak dalej. Wówczas naucza się ich zasad gramatyki i pozostawia się im wybór profesji. Gdy po pewnym okresie próbnym wydają się zdadni do wybranego zawodu, przydziela się im mistrza, który ich uczy. Jeśli nie mają jednak większych dyspozycji, pozostawia się im wybór między życiem rolnika i murarza, które to dwa zawody najczęściej się spotyka wśród Sewarambian.

Dziewczynki uczy się zawodów odpowiednich dla ich płci, które nie są tak ciężkie jak prace chłopców. Zajmują się one przędzeniem, szyciem, tkaniem i innymi ćwiczeniami, przy których siła mięśni nie jest tak ważna jak w zawodach męskich.

Gdy dziewczynki osiągną szesnaście, chłopcy zaś dziewiętnaście lat, otrzymują prawo do miłości i małżeństwa, które to odbywa się w następujący sposób. Pozwala się młodemu w odpowiednim wieku widywać się na spacerach, balach, łowach, rewiach i wszystkich uroczystościach publicznych w obecności opiekunów. Przy tych okazjach chłopcy mogą zwracać się do dziewcząt i wyznawać im miłość, zaś dziewczęta mają prawo bez wstydu przyjąć taką deklarację. Urodzenie, bogactwo, tytuły ani inne dary Fortuny nie mają tu znaczenia, ponieważ są oni równi i różnią się jedynie płcią i trzema latami życia.

Małżeństwa nierówne są dozwolone tylko dla tych dziewcząt, które – nie mogąc znaleźć męża – muszą wybrać urzędnika do pozbawienia ich dziewictwa. Kobiety, które z powodu wrodzonej ułomności albo jakiegoś wypadku wyjęte są spod obowiązku małżeństwa, wysła się do Sporumbii, ponieważ takie osoby nie mają prawa przebywać w Sewarambii.

Podczas spotkań dziewcząt i chłopców miłość odgrywa swoją rolę i podbija serca. Każdy stara się przypodobać, czy to pięknnością twarzy, czy to urokiem umysłu. Ci, którzy błyszczą dowcipem i znani są z prawości i cnoty, są najczęściej wybierani przez rozsądne dziewczyny, które widzą, że łatwo zdobędą oni wysokie stanowiska, one zaś będą miały udział w honorach i godnościach ich mężów. Znajdują się jednak dziewczęta przezorne w zupełnie inny sposób. Z obawy, że przysły małż, otrzymawszy wysoki urząd, uzyska jednocześnie przywilej posiadania więcej niż jednej kobiety, wolą poślubić beztalencie, niż wiązać się kimś, kogo serce będą musiały dzielić. W ten sposób każdy dostosowuje swą politykę do upodobań. Jedni wolą rozkosze, inni honory; każdy ma własne skłonności.

Jako że Sewarambianie mają wiele wrodzonej bystrości i są dobrze wychowani i grzeczni, kochankowie nie mieszkają w swych podbojach stosować prezentów, kwiatów, owoców, uśmiechów, piosenek i elokwentnych dyskursów, aby dać swej ukochanej dowód namiętności. Wszystko to jest dozwolone i nikt tego nie krytykuje. Wprost przeciwnie, pogardza się tymi, których miłość nie porusza i uważa się ich za złośliwych z natury i obywateli niegodnych dobrodziejstw swej ojczyzny.

Przy tych wszystkich okazjach rzadko tylko oddalają się młodzi ludzie od reguł skromności i nigdy nie mówią rzeczy bezwstydných. Jest to bowiem wyraźnie zabronione i nawet najwięksi bezwstydnicy nie ośmieliliby się uczynić nic niestosownego, ponieważ mogą rozmawiać z dziewczętami tylko publicznie i przy ich guwernantkach.

Przez osiemnaście miesięcy panny na wydaniu, które nazywa się „enibei”, i kawalerowie, czyli „sparai”, mają możliwość widywać się, poznawać i miłować bez konsekwencji. Po tym okresie, zgodnie ze zwyczajem, młodzi zgadzają się i przyrzekają sobie wiarę, po czym rywale wycofują się, zaś dziewczyna przyjmuje już tylko

zalotnika, który obiecał się żenić. Gdy przychodzi czas Osparenibonu, czyli święta ślubów, udają się oni do świątyni i pobierają się w taki sposób, jak to opisaliśmy w pierwszej części tej historii.

Po ślubie daje się błękitne szaty chłopcom, ponieważ osiągają dwadzieścia jeden lat, i dziewczętom, ponieważ się z nimi złączyły. Jednak by było wiadomo, że dziewczyna nie jest jeszcze w swym czwartym dirnemis, nosi ona zielone rękawy u niebieskiej szaty. W wieku dwudziestu jeden lat przywdziewa szaty całkowicie błękitne i zakrywa włosy, które dotychczas miała odkryte.

W wieczór zaślubin wyprawia się młodym wielką ucztę, na którą przychodzi wiele osób w każdym wieku obojga płci. Nie brak też muzyki i tańców. Dzieje się to w jednej z sal osmazji, w której będą mieszkać i gdzie przygotowano dla nich dwa pokoje, z których jeden wychodzi na ulicę, drugi zaś na dziedziniec. To tam konsumują swój związek. Jednak przez pierwsze trzy lata małżeństwa mogą sypiać ze sobą tylko przez jedną noc na trzy, potem – do dwudziestego ósmego roku życia – jedną noc na dwie. Później są już wolni i mogą sypiać razem, kiedy tylko zechcą.

Największym honorem niewiast jest kochać mężów i przynieść państwu liczne potomstwo. Wśród kobiet z ludu największym szacunkiem darzone są właśnie te, które urodziły najwięcej dzieci, zaś wśród żon urzędników zależy to od rangi męża. Kobiety bezpłodne są pogardzane i jeśli mężczyzna był z taką przez pięć lat, pozwala mu się poślubić jakąś wdowę lub pannę, która nie znalazła męża albo też może mieć niewolnicę jako konkubinę. Jedynym sposobem zmazania hańby bezpłodności jest służenie chorym lub edukacja młodzieży. Każda matka ma obowiązek karmienia swego dziecka, chyba że jest zbyt słaba, by nie stanowiło to ryzyka dla jej zdrowia. W takim przypadku dziecko otrzymuje mamkę spośród kobiet, które straciły własne dzieci. Mamki te cieszą się wielkim szacunkiem, ponieważ z braku własnego owocu karmią dziecko innej dla ojczyzny.

Oto zwyczajny sposób wychowywania i edukacji dzieci w Sewarambii. Jednakże latorośle, które wykazują nadzwyczajny geniusz oraz uzdolnienia w naukach i sztukach wyzwolonych, wychowywane są na inną modłę. Zwalnia się je bowiem z prac fizycznych, by mogły się poświęcić ćwiczeniom umysłu. Dla ich edukacji powstały specjalne gimnazja i to spośród tych osób, raz na siedem lat, wybiera się tych, którzy podróżują na nasz kontynent, by poznawać wszystko to, co mamy godnego uwagi. Praktykują ten zwyczaj od czasu, gdy Sewaristas przywrócił łączność z kontynentem i nakazał ten rodzaj podróży. Podróżnicy nie mogą jednak opuścić kraju, jeśli nie zostawią przynajmniej trojga dzieci, jako gwarancji powrotu. Nie wiem, czy z tego właśnie powodu zawsze wracają, jeśli tylko mogą, ale nie słyszałem, by ktokolwiek z nich opuścił swą ojczyznę, by zamieszkać gdzie indziej. Ci, którzy nie umarli podczas podróży, zawsze powracają w końcu do swego kraju.

Wyprawy te są przyczyną tego, że w Sewarindzie i innych miastach jest wiele osób, które posługują się różnymi językami Europy i Azji. Nauczają też tych, którzy przeznaczeni są do podjęcia podobnych podróży. Z tego powodu Sermodas, Carchida i inni potrafili porozumiewać się z nami, ponieważ już wcześniej znali nasze języki i posługiwali się nimi przez lata wśród Azjatów i Europejczyków. Nikt jednak nie wiedział, skąd naprawdę pochodzili, bowiem podawali się zwykle za Persów lub Ormian.

Koniec tomu pierwszego

Historia Sewarambian Część czwarta

O poszczególnych obyczajach Sewarambian

Ustrój, pod którym żyją Sewarambianie, oraz edukacja, jaką otrzymują, wywierają istotny wpływ na ich umysły i kierują ich ku dobru, jeżeli mają jakiś wrodzony ku niemu popęd. Sewarias zauważył kiedyś, że ludy te z natury są dumne i to się nie zmieniło. Faktem jest, że dzięki dobremu wychowaniu duma ta przemienia się w szlachetną ambicję czynienia dobra i zdobywania sobie szacunku. Dzięki temu to, co w innych państwach wiodłoby ludzi ku przywarom, tutaj staje się ostrogą ku cnocie.

Sewarambianie kochają się w pochwałach i gdy tylko któryś z urzędników chwali ich dobrze wykonaną pracę lub szlachetny uczynek, radują się więcej niż my, kiedy otrzymujemy bogate podarki. Niewiasty nie mniej pragną pochwał niż mężowie, co widać szczególnie u tych, które odchowwały liczne potomstwo lub zawsze wykazywały się honorem i czystością. Czerpią z tego dumę, którą czyta się na ich obliczach pomimo wszelkiej skromności, którą starają się okazywać. Nic nie budzi ich większej odrazy niż rozwiążność i czułyby się winne zbrodni, gdyby chociaż zamieniły kilka słów z osobą o złej reputacji lub taką, która powiedziałaaby coś bezwstydnego. Nie czynią przy tym jednak szczególnych skrupułów, bowiem rozmawiając codziennie w pracy i podczas posiłków ze współobywatelami i współobywatelkami, śmiało wyrażają swoje uczucia, choć czynią to nader skromnie.

Mężczyźni podobnie odnoszą się do kwestii reputacji i naraziliby się na wielce niepochlebną opinię, gdyby ośmielili się powiedzieć coś nieczystego lub nieszlachetnego w obecności dam. Starają się pozyskać miłość i szacunek wszystkich, ponieważ jest to sposób na uzyskanie rang, przez co ci, którzy aspirują do godności muszą zważać na swe czyny, aby nie stracić zaufania.

Obmowa i kalumnie są surowo karane i jeśli ktoś oskarża o coś swego współobywatela, lecz nie może tego dowieść, naraża się nie tylko na infamię, lecz także na srogą sankcję prawną. Mają oni zasadę, że należy mówić prawdę albo milczeć. Gdy pyta się ich o coś, czego nie chcą wyjawić, nie odpowiadają, a jeśli się naciska, gniewają się wielce i nie omieszkają nazwać rozmówcę natrętem. Nie ma nic zdumiewającego w tym, że pośród ludzi wychowanych jak Sewarambianie i żyjących pod takim rządem niewiele jest kłamców. Nie mają oni bowiem takich powodów do kłamstwa jak inne narody. Nigdy nie zmusza ich do tego ubóstwo ani chęć zysku, tym mniej obawa lub pragnienie przypodobania się przełożonym.

Skądinąd, jako że przykłady wywierają wielki wpływ w narodach, jedynie ludzie zepsuci i zagubieni pragną odejść od ogólnej reguły i czynić coś niezgodnego

z obyczajem i maksymami, które wszyscy wyznają. Wśród Sewarambian przykład człowieka zepsutego nigdy nie pójdzie zbyt daleko, bowiem ludzie tacy są surowo karani. Jeśli nie poprawiają się, wysyła się ich do kopalń, z dala od uczciwych ludzi.

Ferment i bluźnierstwo są tu nieznane. Można powiedzieć o Sewarambianach, że choć nigdy nie czytali Ewangelii, to lepiej zachowują jej przykazania niż sami chrześcijanie. Każda ich wypowiedź ma bowiem jedynie „tak” za potwierdzenie i „nie” za przeczenie.

Pijaństwa również nie znają, ponieważ nie tylko byłoby surowo ukarane, lecz nawet nie mają jak się upić. Nie znają bowiem tawern, karczem i spożywają posiłki publicznie, a każdy dostaje tyle, ile zje i wypije w granicach umiaru. Co więcej, tylko osoby po ślubie mają prawo pić wino i inne napoje fermentowane. Dzięki temu wychowują się w trzeźwości i nabierają odpowiednich przyzwyczajzeń, zanim otrzymają choćby możliwość nieumiarkowania. Nieumiarkowanie, do którego mają najwięcej naturalnego popędu, to miłość i zemsta, lecz prawa zapobiegają nadużyciom w miłości, nakazując młodym małżeństwo, gdy tylko stają się gotowi do tego uczucia.

Co do zemsty, edukacja bardzo temperuje ich skłonności, bowiem wychowując się razem, od dziecka uczą się znosić wiele rzeczy ze strony swych rówieśników. Po pierwsze, nie mają wyboru, po drugie zaś, czynią to z posłuszeństwa wobec przełożonych, którzy zawsze starają się pogodzić zwaśnionych. Sewarambianie są z natury weseli i lubią oddawać się rozrywkom po codziennej pracy. Taniec, muzyka, wyścigi, walka i inne gry są ich ulubionymi zajęciami. Są bardzo silni i cieszą się z reguły dobrym zdrowiem, co wynika z ich urodzenia, lecz także trybu życia i po części z ich radosnego usposobienia.

Wynika to z urodzenia, ponieważ ich rodziców połączyła miłość. Kochają się oni znacznie bardziej niż ludzie, którzy wiążą się z innych powodów. Wielką wagę przywiązują do płodzenia potomstwa, dlatego rzadko mieszkają razem, dzięki czemu ich dzieci rodzą się silniejsze i bardziej żywotne niż u ludzi, którzy nie mają takich względów. Zamężne kobiety, które wychowają liczne potomstwo, zyskują wielki szacunek. Dlatego też starają się nie obcować zbyt często z mężami, ponieważ nie jest to korzystne dla prokreacji i uczyniłoby ich dzieci słabszymi i bardziej podatnymi na choroby lub nawet naraziłoby je na śmierć w niemowlęctwie.

Tryb życia tych ludów przyczynia się wielce do wzmocnienia ich ciała, ponieważ zachowują oni umiar we wszystkim, nie cierpiąc przy tym głodu ni pragnienia. Oddają się ćwiczeniom, lecz w sposób umiarkowany. Ponieważ nie oddają się żadnej rozpuście, nie spotyka się wśród nich podagry, kamieni nerkowych ani nieczystych i bezwstydnych chorób.

Rozrywki i wesołość także przyczyniają się do zachowania zdrowia przez Sewarambian, ponieważ nie zadręczają się oni smutkami i troskami, które pożerają dusze tych, którzy co dzień muszą zaspokajać bieżące i przysze potrzeby swoje i bliskich. Sewarambianie nie mają zmartwień i nie czują chciwości, niczego im nie brakuje, a najbardziej troszczą się o to, by korzystać z umiarem z godnych rozkoszy życia. Sprawia to nie tylko, że są z reguły zdrowi i silni, ale też długowieczni. Powszechnie spotyka się wśród nich starców stuletnich czy nawet studwudziestoletnich. Niemal wszyscy są wysocy, dobrze zbudowani, zaś ci, którzy są drobniejsi, u nas uchodziliby za wysokich. Widzi się u nich wielu mężczyzn, liczących sześć lub siedem stóp wzrostu i proporcjonalnie wysokie niewiasty. Nie znaczy to, że nie ma wśród nich ludzi dużo niższych, jednak spotyka się wielu mężczyzn wysokich na siedem stóp, których u nas uznano by za olbrzymów.

Wszystko, co przyczynia się do ich zdrowia, ma także wpływ na urodę obu płci. O ile bowiem nie spotyka się u nich owych delikatnych piękności, które przypominają woskowe lalki, są wśród Sewarambian mężczyźni i kobiety o rysach pięknych i regularnych, skórze gładkiej i jednolitej, ciele krągłym, cerze dość jasnej i żywej oraz postawie pełnej siły i wigoru, jaką rzadko się u nas spotyka. Mają oni zwykle czarne włosy i oczy podobnego koloru. Spotyka się także jasnych szatynów, lecz raczej nie blondynów.

Ich odzienie jest nad podziw czyste, lecz proste, wykonane z płótna, bawełny, wełny lub z jedwabiu, którego mają trzy gatunki. Pierwszy pochodzi z pewnej rośliny, którą sieje się jak len, drugi z kory drzewa, bardzo rozpowszechnionego w tym kraju, ostatni zaś z jedwabników, tak jak u nas. Używają także tkanin złotych i srebrnych, lecz zarezerwowane są one dla wysokich urzędników. Złoto i klejnoty dla wicekróla, szarfy ze złotej nici wyłącznie dla sewarobastów, srebrne zaś dla osmazjontów i brosmazjontów. Niżsi urzędnicy oraz ich żony noszą jedwabie, a płótna z lnu, konopi, wełny i bawełny są dla prostego ludu.

Stroje różnią się kolorem ze względu na wiek osób, które je noszą, i zmieniają się co siedem lat. Jak powiedzieliśmy, stroje najmłodszych dzieci są białe, potem żółte, zielone, błękitne. Po nich następuje czerwień w dwóch odcieniach, jasnym i ciemnym, później szarości, barwy sadzy i wreszcie czern, którą noszą starcy. Purpura, złoto i srebro są dla urzędników i dzięki tym różnicom stroju dostrzega się różnicę wieku i godności. Niektórzy mogliby wyśmiewać tę pstrokaczną, jednak u tych ludów tym, co decyduje o godności człowieka, obok urzędu, jest wiek. Kolory te są zatem konieczne, by każdemu oddać należne mu honory. Stroje wielobarwne przywdziewają tylko niewolnicy i cudzoziemcy, i dlatego właśnie stroje, które otrzymaliśmy, miały wiele kolorów.

Mężczyźni okrywają głowy czapkami lub kapeluszymi tej samej barwy, co ich odzienie. Przed ślubem zapuszczają włosy, jednak po zawarciu małżeństwa obcinają

je przy uszach. Noszą rajtuzy, kurtki i szaty, które sięgają im do kolan. Przepasują się pasem, a szyje przewiązują opaskami z malowanego płótna. Noszą też rękawiczki, pończochy, skórzane pantofle oraz espadryle sznurowe, podobnie jak my. Mają także buty z kory pewnego drzewa, które nie jest nam znane.

Kobiety noszą różne fryzury, zależnie od wieku. Dziewczęta czeszą się na rozmaite sposoby i nie zakrywają głów, chyba że wychodzą na słońce. Zakładają wówczas kapelusze z jedwabiu, który pozyskuje się z roślin. Takich kapeluszy używają wszystkie kobiety w podobnych okazjach. Niewiasty zamężne noszą zawsze czepek z płótna lub z jedwabiu, w kolorze dopasowanym do odzienia.

Matki noszą tyle purpurowych, jedwabnych opasek, ile odchowwały dzieci, które dożyły do siedmiu lat. Te, które umarły wcześniej, się nie liczą, i ich matkom nie należy się z tego tytułu szacunek. To sprawia, że matki bardzo troszczą się o swoje dzieci. Reszta stroju kobiet nie różni się od męskiego, z tym że ich szaty są dłuższe i mają dekolty.

Co dwa lata każdy z Sewarambian otrzymuje dwa nowe stroje, jeden lniany bądź bawełniany, drugi wełniany. Także mężczyźni i dzieci dostają dwa stroje, więc zawsze są czysti i dobrze ubrani. Każdemu przypada także kilka kompletów bielizny raz na trzy lata. W razie potrzeby umeblowanie ich mieszkań także jest odnawiane. Składa się ono z łóża, stołu, krzeseł, pewnej liczby naczyń. Nie potrzebują nic więcej, ponieważ nie gotują sami mięs i pożywiają się wspólnie w osmazjach, gdzie przygotowuje się wszystko, co potrzebne.

Spożywają zwykle trzy posiłki dziennie: śniadanie, obiad i wieczerzę. Dwa pierwsze odbywają się publicznie, zaś ostatni prywatnie, ponieważ każdy ma prawo wieczorem pożywić się w zaciszu domowym, z żoną i dziećmi oraz przyjaciółmi, których zechce zaprosić.

Często organizują w gronie przyjaciół wieczorne spotkania i wspólnie bawią się w mieszkaniach lub na zewnątrz. Wszystko to jednak dopiero po pracy. W ten sposób każdy wybiera towarzystwo tych, którzy najbardziej mu odpowiadają i podąża za skłonnościami swego serca.

Mają w zwyczaju często zażywać kąpeli. Zimą kąpią się w gorącej wodzie. W każdej osmazji przygotowuje się takie kąpiele, przynajmniej raz na dziesięć dni. Latem kąpią się wieczorami w rzekach, a żonaci mężczyźni i ich żony kąpią się wszyscy razem. Chłopcy i dziewczęta są jednak ściśle rozdzieleni i w tym celu różne miejsca są dla nich przeznaczone.

Często organizuje się publiczne polowania i wszyscy mężczyźni i kobiety mają prawo w nich uczestniczyć. Podobnie dzieje się z łowieniem ryb i są ludzie odpowiedzialni za organizację tych wydarzeń.

Godziny pracy są określone. Dźwięk dzwonu budzi i przypomina ludziom o ich obowiązku. Latem wstaje się bardzo wcześnie, ponieważ dni są długie, a zimą później, gdyż są krótkie. Przesuwa się godziny zgodnie z rytmem pór roku.

Chorzy są zwolnieni z obowiązku pracy na czas choroby, podobnie jak wszyscy, którzy skończyli sześćdziesiąt lat i chcą skorzystać z tego przywileju. Jednak przyzwyczajenie do pracy i wstyd z powodu nieróbstwa większości z nich nie pozwala na zrezygnowanie z pracy, jeśli tylko mają siły. Także kobiety ciężarne i karmiące nie muszą pracować, jednak jeśli mogą czymś się zająć w wolnej chwili, wołają pracować, niż nic nie robić.

Pozdrowienia Sewarambian różnią się w zależności od tego, kto kogo pozdrowia. Gdy Sewarambianin mija urzędnika, odkrywa głowę i kłania się, a głębokość ukłonu zależy od jego rangi i godności. Przed starcami odkrywają jedynie głowę, nie kłaniając się. Wobec równych sobie czynią zaś gest dłonią – kładą ją na piersi, po czym opuszczają do boku. Kobiety robią to samo, z wyjątkiem dziewcząt, które zamiast odkrywać głowę, kładą na niej lewą dłoń, gdy pozdrawiają urzędnika lub osobę starszą. Urzędnicy pozdrawiają młodych gestem dłoni, a gdy pragną okazać komuś szczególną życzliwość, całują go w czoło. Nie ma zwyczaju całowania kobiet i dziewcząt ani dotykania ich. Niewiele przedstawicielek tej płci było całowanych przez kogoś innego niż ojciec i matka we wczesnym dzieciństwie, a pierwszym pocałunkiem otrzymanym od mężczyzny jest ten, który otrzymują w świątyni od swego męża w dzień ślubu. Nie znaczy to, że zabrania się dziewczętom podawania dłoni do ucałowania swemu adoratorowi, jednak zdarza się to niezwykle rzadko i jest oznaką szczególnej łaski. Tylko w tańcu młodzi mężczyźni mogą dotykać dłoni dziewczyn, zaś osoby tej samej płci mogą je sobie podawać na znak przyjaźni. Życzenia podczas powitania są rozmaite, najczęściej jest to: „Erimbas erman”, co znaczy: „Niech Słońce cię miłuje”.

Nieczęsto zdarza się, by niewiasty uczyniły coś sprzecznego ze swym honorem, choć zdarzały się takie przypadki. Czytelnik przekonał się o tym, dowiadując się o ukaraniu Ulisbe i jej towarzyszek oraz młodzieńców z armii, o których wspominaliśmy. Świadczy to, że są kobiety, które pragną zaspokoić swe namiętności, jednak zwykle trzy rzeczy stoją im na przeszkodzie: surowość prawa, rzadkość okazji oraz troska o to, by młodzi ludzie jak najszybciej zawierali małżeństwa. Bywa jednak tak, że powody te nie są tak silne jak miłosna niecierpliwość, jak to się zdarzyło trzy lata po naszym przybyciu do Sewarindy pewnym kochankom. Byli oni nazbyt zakochani, by doczekać do Osparenibonu, który wydawał im się zbyt odległy w czasie.

Byli to dwaj młodzi mężczyźni. Jeden zwał się Bemistar, drugi Pansona. Pierwszy miał siostrę o imieniu Bemista, która była doń wielce podobna i młodsza odeń tylko

o rok. Byli jednakowego wzrostu, mieli podobny ton głosu, słowem, nigdy dwie osoby nie były do siebie bardziej podobne.

W osmazji Bemisty była dziewczyna wielkiej piękności o imieniu Simmadé, w której Bemistar zakochał się był bez pamięci, i to z wzajemnością. Miłość tych dwojga sprawiła, że nawiązała się nić przyjaźni między Bemistą a Simmadé, które stały się niemal nierozłączne, szczególnie w nocy, miały bowiem wspólny pokój i łożę. Bemista kochała zaś Pansonę, który także odwzajemniał jej uczucie.

Z tego samego więc powodu Pansona i Bemistar stali się przyjaciółmi, dzięki czemu mogli mieszkać razem i zwierzać się sobie ze swych miłości. Dzięki Bemistarowi, który miał prawo swobodnie widywać się z siostrą, Pansona mógł często spotykać się ze swą drogą Bemistą i mówić jej wszystko w obecności brata, który w tym czasie miał możliwość rozmowy z Simmadé. Spotykali się najczęściej, jak to było możliwe i z każdym dniem czuli, jak ich wzajemna miłość się umacnia. Sprawiało to, że wzrastały w nich niecierpliwość i pragnienie, które z trudem powstrzymywali. Często wzdychali do szczęsnego dnia, który miał położyć kres ich cierpieniom, jednak nazbyt zwlekał on z nadejściem dla kochanków, których młode serca pochwyliła paląca namiętność.

Bemistar był najbardziej niecierpliwym ze wszystkich i zapał ten podsunął mu pomysł, jak ulżyć swemu cierpieniu, myląc strażników osmazji jego ukochanej. Wyobraził sobie, że gdyby udało mu się przekonać siostrę, by zamienić się ubraniami, ona mogłaby spędzić noc z Pansoną, on zaś mógłby zająć jej miejsce u boku Simmadé. Narodził się więc z przyjacielem, który nie miał więcej odeń rozsądku i, ponosząc mniejsze ryzyko, gorliwie poparł jego pomysł. Problem polegał na tym, by przekonać dziewczynę. Zdawało im się to rzeczą nader trudną, jednak postanowili, że musi im się to w końcu udać. Poczynili wszelkie wysiłki, by uwieść te niewinne dziewczęta i tak przekonujące były ich dyskursy, że w ciągu miesiąca nakłonili je do ustąpienia ich miłosnym zapędom.

W dzień święta, gdy wszyscy zajęci byli celebracją uroczystości, brat i siostra zamienili się ubraniami i mieszkaniem. W ten sposób Pansona mógł do woli korzystać z obecności Bemisty, a Bemistar z towarzystwa Simmadé. Gdy siedmiodniowe święto dobiegało końca, ponownie zamienili się odzieniem i każde z nich powróciło do siebie, wielce zadowolone.

Ponieważ jednak gwałtowne uczucie rzadko bywa trwałe, pragnienie Bemistara zgasło, gdy zostało zaspokojone. Zapałał on miłością do innej dziewczyny. W czasie, gdy mógł swobodnie spotykać się z kochanką, miał także okazję rozmawiać z innymi mieszkankami jej osmazji. Poznał tam Ktalipsę, której wdzięki wydały mu się przewyższać urodę Simmadé.

Trzy dni po skonsumowaniu uczucia miał jej już dość. Udawał jednak uczucia i nie dał poznać kochance, że jego miłość osłabła. Korzystał przy tym z każdej okazji, by wkraść się w łaski Ktalipsy. Wywiedział się o adoratorach dziewczyny, których miała trzech czy czterech, spośród których jeden zyskał jej życzliwość. Prędko zawarł był z nim znajomość, zwierzył mu się ze swego uczucia do Simmadé, nie wspominając jednak o tym, co między nimi zaszło. Dodał też, że za pośrednictwem swej siostry mógłby znacznie dopomóc swemu nowemu znajomemu w jego staraniach o Ktalipsę. Tamten, nie pragnąc niczego innego, poprosił go, by pozyskał dlań Bemistę, by ta wstawiła się za nim u Ktalipsy. Otrzymawszy takie polecenie, Bemistar nie omieszczał powierzyć tej sprawy siostrze.

Ktalipsa życzliwie przyjęła wszystko, co mówiono jej na temat człowieka, którego i tak kochała. Poczwała także wielką przyjaźń do Bemisty. Spędzały dużo czasu razem i Simmadé mogłaby być o to zazdrosna, gdyby nie wiedziała, w czym rzecz. A ponieważ młode dziewczyny mają w zwyczaju sypiać razem, gdy bardzo się lubią i mieszkają w jednej osmazi, Ktalipsa pragnęła czasami zamienić się z Simmadé, by móc swobodnie rozmawiać z Bemistą o swej miłości. Bemista przekazywała wszystko swemu bratu, który z kolei informował ukochanego Ktalipsy.

Sprytny Bemistar, widząc, że sprawy doszły do punktu, który pragnął osiągnąć, poprosił siostrę, by jak najczęściej sypiała z Ktalipsą, jeszcze głębiej wkradła się w jej łaski i wstawiła się coraz usilniej za jego przyjacielem. Bemista, nie przewidując zamierzeń brata, czyniła wszystko, co w jej mocy, na korzyść tego, którego polecił Bemistar. Powiodło się jej tak dobrze, że Ktalipsa poczuła do tego młodzieńca miłość ogromną, lecz jednocześnie czystą, mając nadzieję poślubić go. Człowiek ów nie mógł wyrazić całej swej wdzięczności Bemistarowi i jego siostrze za ich usługi i jeszcze bardziej utwierdzał ukochaną w jej przyjaźni do Bemisty.

Tymczasem czworo szczęśliwych kochanków z niecierpliwością oczekiwało kolejnego święta, a tym samym kolejnej okazji do spotkania. Pięciodniowa uroczystość Osparenibonu także się zbliżała i mieli oni nadzieję, że ułatwi im spotkanie podobnie jak poprzednie święto. Jednak ich nadzieje były tym razem inne niż poprzednio, bowiem sprytny Bemistar pragnął już jedynie Ktalipsy, związek z Simmadé postrzegając jedynie jako środek do celu. Zobowiązał więc siostrę prośbą i groźbą, by powiedziała Ktalipsie, że jej kochanek, znalazłszy pewny sposób, by przedostać się niewidziany do jej kwatery, spotka się z nią podczas święta.

Zgodnie z poleceniem brata Bemista wybrała najlepszy moment, by oznajmić tę nowinę Ktalipsie. Przekazała jej bowiem niezwykle czuły i namiętny list ukochanego, który bardzo tamtą wzruszył. Z największą zrećnością zaproponowała jej przyjęcie kochanka, jednak bez powodzenia. Ktalipsę zrazu przeraził ten projekt. Rzekła, iż nigdy nie poświęci swego honoru dla namiętności i jeżeli nie będzie mogła posiadać

ukochanego uczciwą drogą, to w ogóle zeń zrezygnuje. Następnie uświadomiła Bemście, jak straszne mogłyby być konsekwencje tak zuchwałego przedsięwzięcia i dodała, że gdyby ktokolwiek inny niż ona ośmielił się coś takiego jej zaproponować, zienawidziłaby tę osobę na całe życie. Co więcej, zaczęła poważnie wątpić w szczerść swego ukochanego, ponieważ ten pozwolił sobie zwątpić w jej cnotę. To zaś uzmysłowiło jej, że nie jest on człowiekiem tak szlachetnym, za jakiego go uważała.

Bemista, widząc gniew dziewczyny, uznała, że trzeba całą sprawę zręcznie rozegrać tak, by nie stracić przyjaciółki. Zmieniła więc wyraz twarzy, roześmiała się, ucałowała Ktalipsę, rzucając się jej na szyję, i rzekła, że po tym dowodzie cnotliwości może ona jeszcze mocniej umiłować swego kochanka, ponieważ to ona sama postanowiła złożyć jej taką propozycję, by wypróbować jej cnotę. Ukochany nie miał w tym żadnego udziału, ona zaś radziła mu usilnie trzymać się szlachetnych postanowień i nigdy nie słuchać rad, które mogłyby zniszczyć jego szczęście. Dodała też, że gdyby kochanek Ktalipsy pomyślał kiedykolwiek o wykorzystaniu jej, Bemisty, do jakichś bezprawnych zamierzeń, nigdy by mu podobnej zniewagi nie wybaczyła.

Kilka dni później powiedziała bratu, co zaszło między nią a Ktalipsą, czym wielce go zasmuciła. Jego plan nie powiódł się i już niemal stracił nadzieję. Miał on bowiem zamiar zakraść się do łóża Ktalipsy, udając jej kochanka, i w ten sposób zmylić tę niewinną i cnotliwą dziewczę.

Pomimo niepowodzenia zachował wszakże resztki nadziei. Prosił więc siostrę już tylko o to, by zapewniała Ktalipsę o swej przyjaźni i z największą cierpliwością oczekiwał nadchodzącej uroczystości. Gdy wreszcie przyszedł ów dzień, zamienił się z Bemistą odzieniem i udał się do Simmadé. Jednak jego pieszcoty były udawane i gdyby zwróciła ona większą uwagę, niechybnie przekonałaby się, że serce jej kochanka należy do innej. Ponieważ jednak niczego nie podejrzewała, a Bemistar potrafił dobrze ukrywać swe uczucia, wciąż miała go za wiernego.

Jednak zapytał ją, jak miałby sobie poradzić, gdyby Ktalipsa, biorąc go za jego siostrę, przyszła prosić go, by spędził z nią noc. Simmadé rozbawiła myśl o swym kochanku, zmuszonym odmówić tak pięknej dziewczynie. On także udawał, że się z tego śmieje, jednak trzeciego dnia, upewniwszy się, że Simmadé zasnęła, wtarł jej w nozdrza narkotyki, dość powszechny w tym kraju, który sprawił, że zapadła w bardzo głęboki sen.

Następnie wstał i poszedł zapukać do drzwi Ktalipsy, której pokój znajdował się niedaleko. Ktalipsa wzięła go z początku za jego siostrę i poprosiła swoją towarzyszkę, by poszła spać do Simmadé, ponieważ chciała pomówić na osobności z Bemistą. Bemistar znalazł się więc po chwili sam na sam z Ktalipsą w jej łóżu. Zapragnął skorzystać z tej okazji i posiąść ją, jednak spostrzegła ona, że trzyma w ramionach mężczyznę. Pomyślała, że udawał on głos przyjaciółki, by skraść jej to, co miała

najcenniejszego, zaczęła więc krzyżeć tak głośno i rozpaczliwie, że zaalarmowała całą osmazję. Ruszono jej na pomoc, lecz zanim ktokolwiek wszedł do pokoju, Bemistar zdążył już być umknąć i wmieszać się w tłum kobiet z pochodniami i pod bronią. Pytają Ktalipsę o przyczynę jej krzyku i przerażenia. Wraca też jej towarzysza z pokoju Simmadé, która jako jedyna śpi jeszcze snem głębokim. Bierze Ktalipsę za rękę i pyta:

– Droga przyjaciółko, co też cię się przytrafiło po moim wyjściu i skąd to wielkie poruszenie? Mów, moja droga, jaka jest przyczyna twych krzyków i strachu?

Ktalipsa milczy, tysiąc myśli zajmuje jej głowę. Przypomina jej się propozycja, którą niedawno złożyła jej Bemista. Wyobraziła sobie, że jej ukochany, nie uzyskawszy jej zgody, postanowił wprowadzić plan w życie bez niczyjej wiedzy, sądząc, iż łatwo osiągnie cel, gdy tylko Ktalipsa znajdzie się w jego ramionach. Myśl o tak zuchwałym posunięciu z początku oburzyła ją, po chwili jednak poczuła przypływ uczuć oraz litości, które kazały jej patrzeć na ów czyn jako na efekt namiętnej miłości jej ukochanego. Zaczęła nawet żałować, że narobiła takiego hałasu i oskarżała się, że nie broniła się w inny sposób niż krzykiem.

Jej smutek był tym większy, że widziała, jak wielkie zamieszanie wywołała w osmazji, co wystawiało jej kochanka na niebezpieczeństwo i wielce surowe kary. Sama zaś mogła stać się obiektem plotek i drwin całego narodu. Rozsądne te rozważania przychodziły jednak nieco za późno. Mogła milczeć, dopóki była jeszcze roztrzęsiona, należało jednak w końcu wyjawić przyczynę swych krzyków.

Jej towarzysza zapytała, gdzie podziała się Bemista i opowiedziała całemu zgromadzeniu, jak to zamieniły się miejscami do spania. Udano się jej szukać do pokoju Simmadé, które spała jeszcze i nijak nie była w stanie odpowiedzieć na pytania. Wołają, potrząsają nią, szczypią, na próżno. Kilka dziewcząt zaraz w krzyk, że Simmadé umarła, co powoduje jeszcze większy zamęt. Badają jej tętno, kładą rękę na sercu i stwierdzają, że żyje, lecz śpi snem głębokim. Wreszcie znajdują przyczynę uśpienia w nozdrzach, gdzie wciąż był ślad narkotyku Bemistara. Otóż i nowy powód zdumienia i nikt nie wie, co o tym wszystkim myśleć. Przynoszą jednak eliksir, który natychmiast budzi śpiącą. Można sobie wyobrazić osłupienie dziewczyny, która po przebudzeniu, zamiast kochanka u swego boku, widzi tłum kobiet zadających całkowicie niezrozumiałe pytania. Pomyślała z początku, że cała intryga została wykryta i znaleziono kochanka w jej łożnicy. Myśl ta, wraz z wyrzutami sumienia i słabością po zażyciu narkotyku, sprawiły jej takie cierpienie, że zapadała zaraz w głębokie i niebezpieczne omdlenie.

Nowy ten wypadek zdziwił zgromadzone niewiasty i dał nowy przedmiot do roztrząsania. Jednak, podczas gdy tamte niosą pomoc omdlełej Simmadé, powróćmy do Ktalipsy. Nie mogą dłużej milczeć, stwierdza ona, że lepiej będzie

stracić kochanka niż honor i oświadcza wszem i wobec, że nieznanemu jej mężczyźnie przedostał się do jej pokoju, udając Bemistę. Chciał ją wziąć przemocą i dlatego musiała wołać o pomoc. Wyznanie to uczyniła w obecności zarządczyni osmazji, która natychmiast kazała podwoić strażę i zawołać Bemistę. Szukają jej po wszystkich kątach, nawołują, lecz znaleźć nie mogą. Znalaziono jej odzienie, owszem, lecz nigdzie nie ma jej samej.

Po tych próżnych poszukiwaniach zwołano wszystkie dziewczęta, każdą obejrzano, lecz nie znalaziono wśród nich mężczyzny. Z tego powodu różnie się mówi o Ktalipsie i zaczyna się wątpić w jej świadectwo, choć ta zapewnia, że jakiś mężczyzna napadł ją w łóżku. Szukają dalej, przetrząsają całą osmazję od góry do dołu, jednak bez skutku, nie ma ani żadnego mężczyzny, ani Bemisty.

Jednakże, gdy nastał dzień, kilka dziewcząt zapragnęło wziąć kąpiel i znalazło w balii udawaną Bemistę, czy też raczej Bemistara, który musiał się w końcu wynurzyć, by zaczerpnąć powietrza. Dziewczyny zawiadamiają zarządczynię, która każe pochwycić intruza i prędko przekonuje się o jego płci i tożsamości. Tymczasem Simmadé wróciła do świadomości, a Ktalipsa dowiedziała się, że to Bemistar zaskoczył ją w łóżnicy. Odsłoniła więc także starania jego siostry, która proponowała jej schadzkę z kochankiem, bez wątplenia planując zastąpienie jej ukochanego Bemistarem.

Wówczas powzięto słuszne podejrzenia wobec całej intrygi i chociaż zatrzymany nie chciał ujawnić żadnych informacji, posłano ludzi, by przeszukali jego pokój, gdzie znalaziono prawdziwą Bemistę w objęciach kochanka. Przepytano ich wszystkich troje w sprawie Simmadé, lecz żadne nie chciało jej oskarżyć i udałoby jej się ująć sprawiedliwości, gdyby sama siebie nie oskarżyła przed śledczymi. Posłano po urzędników wymiaru sprawiedliwości, lecz zanim oddano Bemistara w ich ręce, dziewczęta z osmazji obili go różgami.

Ta awantura nabrała wielkiego rozgłosu w Sewarindzie i wkrótce poznano wszystkie jej szczegóły. Niedługo później owi nieszczęśni kochankowie zostali publicznie popędzeni wokół pałacu i wybatożeni, zaś Ktalipsa została zbadana, lecz uznano, iż jest czysta. Sprawilo to wielką radość jej ukochanemu, który poślubił ją w krótki czas potem i – jak sądzę – wciąż żyją szczęśliwie razem.

Oto jak miłość potrafi czasem przechrzyć najsurowszych strażników i popycha kochanków do najbardziej ryzykownych przedsięwzięć. Nie każdy jest tak samo posłuszny prawom, choćby były one najłagodniejsze i najbardziej zgodne z rozumem. Zawsze znajdują się ludzie, których ślepa żądza popchnie do przemocy, pomimo całej surowości kar, na jakie się narażają.

Sewarambianie dzielą czas podobnie jak my, na lata, czyli obroty Słońca. Lata dzielą także na miesiące, czyli obroty Księżycy oraz jego półobroty, nie liczą bowiem tygodni. Trzy pierwsze dni nowego Księżycy i trzy dni po pełni są u nich świętami,

podczas których pracują tylko przez trzy godziny z rana, a resztę dnia spędzają na weseleniu się.

Spotyka się u nich niemal wszystkie instrumenty muzyczne, które są znane na naszym kontynencie, a także kilka takich, których nie znamy. Odtworzyli organy hydrauliczne, znane Grekom i Rzymianom, o których wiedzę zatraciliśmy. Chwalą się, że wielce je ulepszyli. Jak by nie było, nie ma wątpliwości, że organy hydrauliczne, inaczej wodne, są znacznie lepsze niż takie, które używają tylko powietrza.

Ich pieśni i melodie mają w sobie coś tak majestatycznego i urokliwego zarazem, że nie bez racji ich koncerty wydawały się Maurycemu o wiele lepsze od naszych. Dodajmy, iż będąc lepszej postury i silniejsi od nas, mają Sewarambianie głos bardziej męski i grzmiący. Ponadto trzymają się oni reguł poezji metrycznej, która to jest o wiele mocniejsza i bardziej energiczna od naszych barbarzyńskich wierszy rymowanych. Należy także podkreślić, że kiedy znajdują wśród swych dzieci takie, które obdarzone jest doskonałym głosem, uczą je śpiewu od siódmego roku życia i poświęcają je Słońcu, by stało się jednym z kantorów śpiewających hymny ku chwale bóstwa.

Co do malarstwa, rzeźby, rytownictwa, haftu i innych sztuk, bardziej ciekawych niż użytecznych, lud nie zajmuje się nimi. Mają wszakże specjalne miejsca, gdzie wybrane osoby z talentem do sztuk pięknych pracują nad ozdobami budynków publicznych.

Nie mają także karoc, powozów ani lektyk, chyba że dla chorych lub urzędników w podeszłym wieku. Sewarambianie chorują rzadko i mało kto zaraża się jakąś chorobą poważniejszą niż febra czy zapalenie płuc, które biorą się z nadmiaru krwi lub nazbyt wielkiego wysiłku.

Ich domostwa są tak przewiewne i czyste, że w znacznym stopniu przyczynia się to do zdrowia tych ludów, podobnie jak ich umiarkowane i uregulowane ćwiczenia i tryb życia. Sprawia to także dobre powietrze w ich kraju oraz mięsa, które spożywają. Dzięki temu nie gnębią ich medycy i aptekarze, choć magistratura ustanowiła trochę takich urzędów. W wielkim poważaniu mają za to chirurgów. Zajmują się oni przede wszystkim balsamowaniem ciał zasłużonych urzędników. Są w tym tak zręczni, że widziałem już ciała zabalsamowane ponad sto lat temu, które wciąż wyglądają jak żywe. Nawet powietrze im nie szkodzi, kiedy otwiera się skrzynie, w których leżą. Jeśli chodzi o resztę ludu, ich ciała są palone po śmierci, a ich prochy zbiera się do urn na modłę starożytnych Rzymian.

Sewarambianie wierzą, że ogień spalający ciało zabiera najlepsze jego części ku Słońcu, zaś w popiołach pozostają tylko te najbardziej związane z ziemią.

O sposobie wymierzania sprawiedliwości u Sewarambian

Jako że w Sewarambii nikt nie posiada niczego na własność, nie ma tam w ogóle procesów cywilnych. Zdarzają się wyłącznie sprawy karne, które są rozstrzygane przez osmazjontów, gdy popełnione przestępstwo podpada pod ich jurysdykcję. Sędziemu towarzyszy dwóch asystentów oraz trzech miejscowych starców, których wybiera oskarżony. Gdy czyn popełniono wobec mieszkańców innej osmazji, sprawa staje na sądzie brosmazjonty i zainteresowanych osmazjontów, którzy zasądzają wspólnie drobne wykroczenia. Cięższe przestępstwa pozostają w gestii brosmazjonty i jego ośmiu asystentów, i do nich też można się odwołać w poważnych sprawach. Zbrodnie stanu wnoszone są do sewarobasty i jego dwunastu asystentów, którymi mogą być tylko brosmazjonty. Kiedy popełniony czyn jest nadzwyczajny, osądza go sam wicekról i jego Rada. Oskarżeni mogą samodzielnie się bronić, ale mają też prawo zatrudnić w tym celu któregoś ze swych przyjaciół.

Często uczestniczyłem w obradach trybunałów, by poznać ich sposób sądenia, który bez wątpienia jest wielce godny pochwały, nie tylko ze względu na cierpliwość i umiarkowanie sędziów, lecz także z powodu szacunku, jakim się ich otacza. Nie słyszy się u Sewarambian owych krzyków i tumultu, które znamy z europejskich sądów. Wszystko tutaj odbywa się w niezwyklej ciszy i porządku, i rzadko się zdarza, by padł wyrok niesprawiedliwy, jak to nierzadko dzieje się u nas, gdzie ambicja, chciwość i zawiść korumpują umysły sędziów, każąc im ferować wyroki niezgodne z prawem i rozumem. Jednakże namiętności rządzą wszędzie tam, gdzie żyją ludzie, a różnica polega tylko na stopniu. Fawory i spryt triumfują często nad sprawiedliwością i niewinnością. Odniosłem takie wrażenie pewnego dnia w Arkropsindzie przy okazji wyroku wydanego przez sędziego Nereliasa.

Pewien młody człowiek, uczciwy i wielce uzdolniony matematycznie, szczególnie zaś w tym dziale matematyki, który zowią mechaniką, wynalazł był sposób wznoszenia wody na niesamowitą wysokość za pomocą opracowanej przez siebie maszyny, którą uznawał za niezawodną.

Ponieważ jednak nie chciał, by ktokolwiek dowiedział się o jego odkryciu, zanim sam nie zaprezentuje go publicznie w czasie, gdy przyznaje się nagrody za arcydzieła, zmuszony był zwrócić się o pomoc do swego znajomego, który wyśmienicie szkicował. Wyjawił mu, że potrzebuje jego ręki, by przedstawić na papierze wyobrażoną przez siebie maszynę i poprosił go o pomoc. Tamten zgodził się natychmiast narysować maszynę według dostarczonego modelu. Matematyk przekazał więc rysownikowi część własnych szkiców, prosząc, by ten przerysował je na czysto przed nadejściem Święta Nagród.

Minęło wiele dni, podczas których malarz niemal nie ruszył zleconej pracy, więc wynalazca, gniewając się nań za stratę czasu i szansy na nagrodę, postanowił

odebrać mu szkice. Rysownik jednak wyśmiał jego skargi, złożył kilka obietnic bez pokrycia i w końcu oznajmił, że nie odda mu oryginałów, jeżeli ten nie zepchnie z mostu w Arkropsindzie do rzeki jednego z jego nieprzyjaciół. Pragnął zmusić do tego właśnie matematyka, ponieważ był on nad podziw mocarny.

Żądanie to zdumiało młodego człowieka, ponieważ było nieuczciwe i dziwaczne, jednak obawa, że nie zdąży z przygotowaniem dzieła na czas, sprawiła, że przyobiegał malarzowi, czego tamten sobie życzył, pod warunkiem że w ciągu dziesięciu dni wywiąże się ze zlecenia. Rysownik zgodził się, a pragnienie uczynienia afrontu wrogowi cudzymi rękami, nie wystawiając się na niebezpieczeństwo, sprawiło, że pracował bez przerwy nad szkicami, które dawno temu rozpoczął, więc skończył wszystko w ustalonym terminie. Powiadomił o tym matematyka, obiecując przekazać mu rysunki, jeżeli ten wywiąże się z obietnicy.

Chociaż wynalazca widział wyraźnie jego złośliwość i tchórzostwo, nie omieszkął wszakże potwierdzić danego słowa. Poprosił tylko malarza, by znalazł sposób na zwabienie jego nieprzyjaciela na most. Malarz znalazł odpowiednią okazję i zaprowadził swego czempiona na most, z którego jego wróg oglądał jakieś ćwiczenia odbywające się na rzece. Wskazał delikwenta matematykowi, który chwycił go wpół i pomimo wszelkiego oporu wrzucił do wody. Następnie zażądał swoich rysunków, a malarz oddał mu je natychmiast. Wówczas wynalazca powiedział, że skoro tamten tak długo mamił go obietnicami, a później uczynił go narzędziem swej niesłusznej zemsty, to teraz on zaspokoi własną urazę. Chwycił więc malarza i wrzucił go do rzeki, mówiąc, by dotrzymał towarzystwa swemu wrogowi, który mniej odeń zasługiwał na takie traktowanie.

Rzeka Sewaringo jest szeroka i głęboka, a mosty Arkropsindy niezbyt wysokie, dzięki czemu nikomu nic się nie stało. Obydwaj umieli pływać i nie byłoby żadnego ryzyka utonięcia, gdyby nie rzucili się na siebie natychmiast, gdy tylko malarz znalazł się w wodzie. Wywiązała się między nimi niezwykła walka i gdyby ludzie nie przybyli na łodziach, by ich rozdzielić, niechybnie by się wzajem potopili. Wróg malarza już chwycił go za włosy, uderzył kilkakrotnie w twarz i przytrzymał mu głowę pod wodą, gdy w końcu wyrwano mu go z rąk i przetransportowano obydwu na ląd.

Osadzono ich w więzieniu do czasu rozstrzygnięcia sporu przez wymiar sprawiedliwości. Tymczasem matematyk, widząc, że trafią oni przed oblicze sędziego, także udał się doń i również wysłano go do aresztu. Jakiś czas później cała trójka stanęła przed wspomnianym wyżej Nereliasem, który dał się oszukać, i skazał wynalazcę oraz tego, którego najpierw wrzucił do wody, na sześć miesięcy więzienia. Malarz odszedł wolno, choć on to przecież ponosił największą winę. Podczas ogłaszania wyroku matematyk na próżno starał się powiedzieć Nereliasowi prawdę i usprawiedliwić nieprzyjaciela malarza, który nie był niczemu winien. Sędzia nie chciał nawet wysłuchać świadków.

Nerelias ów był człowiekiem dosyć oświeconym i dobrym urzędnikiem sprawiedliwości, gdy nie był uprzedzony. Jednak każdy, kto przyszedł doń przed procesem, znajdował więcej przychylności niż ci, którzy próbowali przemówić mu do rozsądku podczas rozprawy. Poza tym wyznawał nader fałszywą zasadę i wspierał raczej niewolników i ludzi bez honoru niż godnych szacunku. Widać to było i w innych sprawach, które rozsądzał, jednak ponieważ orzekał zwykle w sprawach mniej głośniejszych niż ta, nigdy nie został ukarany za swe niesprawiedliwe decyzje. Był on kapryśny i gburowaty, i przy najmniejszej okazji skazywał tych, którzy mieli nieszczęście mu podpaść, choćby ich sprawa była najślusniejsza.

Matematyk, człowiek wielkiego serca i uczciwości, wielce zagniewany był doznana niesprawiedliwością i skierował całą swą złość na osobę sędziego, mając nadzieję zemścić się przy jakiejś okazji. Musiał jednak odsiedzieć wyrok, bowiem nie mógł apelować do cenzorów, którzy urzędują publicznie raz na trzy lata. Wtedy to wszyscy, którzy doznali niesprawiedliwości ze strony sędziów nie tylko mogą, ale nawet mają obowiązek to zgłosić cenzorom. Uznał zatem, że lepiej będzie zaczekać na taką okazję, niż wszczynać hałas bezskutecznymi skargami.

Czas cenzury się zbliżał, a ponieważ sprawują ją sewarobaści we wszystkich osadach, które posiadają siedzibę sądu, wynalazca nie wątpił, że któryś z tych ministrów rozpatrzy jego sprawę bardziej sprawiedliwie niż Nerelias. Ten bowiem dał się omamić kilku przyjaciółom malarza i nie słuchał już nikogo innego. Co więcej, traktował matematyka niegodnie, odpowiadając jedynie pełnymi pogardy spojrzeniami i groźbami na respekt i posłuszeństwo, które ów okazywał.

Na szczęście dla wynalazcy do Arkropsindy skierowano wielce uczonego sewarobastę, który był miłośnikiem nauk i sztuk. Matematyk przedłożył mu skargę na Nereliasa i spotkał się z jego przychylnością. Pokazał mu także kilka swoich szkiców, które sewarobasta pochwalił, choć Nerelias, ledwie na nie spojrzawszy, uznał je za chimeryczne i zagmatwane.

Jako że kilka innych osób dołączyło swe skargi na Nereliasa, cenzorzy wielce się rozsierdzili na niegodnego sędziego, który osądzał sprawy, nie zbadawszy ich dokładnie i nie wysłuchawszy nawet obu stron. Wśród tych ludów uchodzi to za największą niesprawiedliwość i głównie dlatego karze się sędziów. Nerelias stanął przed cenzorami, a matematyk, któremu nie brakło elokwencji, udowodnił wszystko, co mu zarzucał. Z powodu licznych niesprawiedliwych wyroków, które był wydał, został w końcu Nerelias złożony z urzędu, pozbawiony godności i zmuszony do życia jako osoba prywatna, wystawiony na powszechną nienawiść. Nie żył jednak długo w ten sposób, ponieważ nie mogąc znieść cierpienia i hańby, stracił rozum i wreszcie skoczył z mostu w Arkropsindzie w tym samym miejscu, gdzie matematyk zrzucił niedgdy malarza i jego nieprzyjaciela. Nie skończył jednak tak szczęśliwie jak tamci,

bowiem pozwolił się unieść prądowi i utonął, zanim zdążono go wydobyć. Oto jak niebiosa karzą zbrodnie niesprawiedliwych sędziów, dowodząc w ten sposób, że nic nie jest gorsze niż nadużycie władzy przeciw niewinnym ludziom. Przebywałem w Arkropsindzie podczas owej cenzury, a jakiś czas później usłyszałem w Sewarindzie o nieszczęsnym końcu Nereliasa.

Nie wydaje się nigdy wyroku śmierci, chyba że za jakoweś ogromne zbrodnie. Skazuje się raczej na długoletnie więzienie zgodnie z kwalifikacją czynu. W więzieniach osadzeni muszą ciężko pracować i są często karani. Od czasu do czasu winnych prowadzi się po ulicach, by wybatożyć ich potem, pędząc wokół pałacu. Następnie wtrąca się ich z powrotem do więzienia, by odbyli resztę kary. Gdy zapytałem Sewarambian, dlaczego nie karzą śmiercią, odparli, że taka kara jest nieludzka i nierozumna. Nieludzkie jest uśmiercenie współobywatela i odebranie mu tego, czego nie można mu dać. Nierozumne zaś jest pozbawienie życia człowieka, który może jeszcze odkupić swe winy poprzez użyteczną pracę.

Dodali, że wystarczająco karze się zbrodniarza ciężkimi robotami w więzieniu, gdzie cierpi on długoetrwałą śmierć i skąd od czasu do czasu wyciąga się go, by stanowił przykład dla innych. Twierdzili także, iż ludzie więcej obawiają się owych długoetrwałych kar niż szybkiej śmierci, która natychmiast kończy wszelkie ich troski. Najczęściej wysła się złoczyńców do kopalń lub osadza w domach poprawczych zgodnie z zapotrzebowaniem.

Każdy ma prawo zaprowadzić tego, którego oskarża, przed oblicze urzędnika, pod warunkiem że jest to osoba prywatna i że sam także odda się do dyspozycji wymiaru sprawiedliwości. Jeżeli oskarżony nie chce iść po dobroci, a oskarżyciel nie dysponuje siłą, by go zmusić, każdy ma obowiązek przyjść mu z pomocą, gdy tylko zakrzyknie: „Sevariastei sornés antai”, co znaczy, że gwałci się prawa Sewariasa. Kiedy ludzie słyszą to zdanie, zbiegają się ze wszech stron, by zatrzymać oskarżonego, który przez swe nieposłuszeństwo stawia się w znaczenie trudniejszej sytuacji, niż gdyby stanął przed sędzią z własnej woli. Oto w skrócie, w jaki sposób sprawuje się wymiar sprawiedliwości u owych ludów, gdzie sprawy rozstrzygane są szybko, ponieważ przedłużanie ich nie przynosi nikomu zysku ni korzyści.

O milicji Sewarambian

Chociaż naród ten nie prowadzi nigdy wojen, jest on jednakowoż bez ustanku uzbrojony i wiecznie ćwiczy się w posługiwaniu bronią, co stanowi główne jego zajęcie. Gdy tylko chłopiec lub dziewczę zostają adoptowani przez państwo, to jest w wieku siedmiu lat, uczy się ich władania bronią i do czternastego roku życia muszą ćwiczyć codziennie. Wówczas naucza się ich rzemiosła, jednak zobowiązani

są trenować z bronią przez kilka godzin w czasie każdego święta, których przypada sześć na miesiąc, nie licząc innych, wielkich świąt w ciągu całego roku.

Podczas świąt zwyczajnych ćwiczą oni w swoich osmazjach, lecz w uroczyste święta organizuje się powszechne przeglądy, na których każdy ma obowiązek się stawić, chyba że ma prawomocne usprawiedliwienie. Nie tylko mężowie uczą się władać bronią, albowiem i niewiasty od czternastego do czterdziestego dziewiątego roku życia mają takowy obowiązek. Po pięćdziesiątce Sewarambianie są już zwolnieni z obowiązku milicji.

Ponadto naród dzieli się na dwanaście części, z których jedna pozostaje zawsze pod bronią i przez trzy miesiące służy w armii. Części te zmieniają się naprzemiennie i co trzy miesiące wszyscy, którzy nie są zwolnieni ze służby, muszą stawić się do wojska. Służba ta odbywa się w polu, zaś armia obozuje tak, jakby rzeczywiście miała wroga do pokonania.

Mieliśmy okazję obserwować porządek ich armii w pierwszej części naszej relacji, gdzie dałem dosyć obszerny jej opis. Dodam tylko, że w Sewarambii stacjonują zawsze cztery armie, w Sporumbii zaś dwie. Każda armia jest przeciwstawiona innej i bezustannie starają się podejść i zaskoczyć, jakby faktycznie byli wrogami. Dyscyplina i rygor zachowywane są tak ściśle, jakby panowała prawdziwa wojna. Poza tym z każdego plemienia zaciągają się pewną liczbę żołnierzy do ochrony kopalń, jako garnizony fortec wzniesionych w czasach Sewarkimpsasa, który to podbił naród Strukarambian, czyniących inkursje na ziemie Sewarambii. Każdy, kto pełni tę służbę garnizonową, pozostaje w niej przez sześć miesięcy, po czym zmienia się z kim innym i wraca do siebie. Takie powołanie zdarza się raz na dwanaście lat. Gdyby jednak wybuchła prawdziwa wojna, wówczas niektóre armie stacjonujące w obozach byłyby zmuszone wyciągnąć w pole.

Poza armiami pod bronią stoi też codziennie trzy tysiące ludzi z gwardii pałacowej wicekróla, z czego dwa tysiące piechoty i tysiąc jazdy. Kobiety są jednakowoż wyłączone z tej służby, podobnie jak z ochrony kopalń. Także każdy z namiestników posiada własną gwardię, której liczebność zależy od wielkości jego gubernatorstwa. Z tego względu dwunasta część tych, którzy nie są zwolnieni ze służby, pozostaje każdego dnia pod bronią. Do celów utrzymania armie otrzymują tabory, zapasy żywności i amunicji, artylerię i wszystko, co konieczne w sytuacji, gdy żołnierze trują się tak, jakby trwała prawdziwa wojna.

Wszyscy generałowie zasiadają w Radzie Najwyższej i wyłącznie sewarobaści mają prawo dowodzić armią. Ich zastępcy wywodzą się z brosmazjontów, natomiast resztę oficerów wybiera się spośród ludu. Posiadają oni sądownictwo wojskowe, jednak wyżsi oficerowie mogą w niektórych sprawach apelować od wyroku generała do wicekróla.

Żołnierstwo dzieli się na trzy korpusy: żonaty i zamężne, którzy przebywają razem, oraz dziewczęta i chłopców. Korpusy te dzielą się z kolei na pułki, liczące po dwanaście setek. Każda setka dzieli się dalej na tuziny, dowodzone przez tak zwanych dwunastników. W każdej kompanii jest też po dwóch pięćdziesiątników i są to podoficerowie. Oficerami zaś jest po dwóch chorążych, poruczników i kapitanów, wreszcie po dwóch pułkowników na każdy regiment oraz oficerowie sztabu.

Co do floty, Sewarambianie posiadają okręty rozmaitego tonażu, z których niektóre pozostają zawsze uzbrojone. Na jeziorze Sporaskompso mają trzydzieści do czterdziestu okrętów i galer, gotowych do wypłynięcia w każdej chwili, na rozkaz admirała, który także należy do korpusu sewarobastów. Admirałów jest dwóch – jeden stacjonuje na rzece Sewaringo, a drugi na morzu Sporundii.

Na rzece można zobaczyć niemal nieskończoną ilość mniejszych i większych statków, które podlegają admirałowi. Służą one do połowów oraz transportu towarów wzdłuż rzeki, która jest niezwykle długa i głęboka. Wpływa do niej wiele spławnych rzek. Sewaringo wpada do morza prawie sto mil od Sewarindy i jest to morze wewnętrzne, które – jak się sądzi – nie ma połączenia z oceanem. Rozciąga się ono aż za biegun południowy, co dotychczas nie było nam wiadome.

Wielokrotnie słyszałem relacje Sewarambian, którzy zapuścili się daleko na to morze i opowiadali rzeczy niezwykle. Mówili, że rzeka Sewaringo wpada do cieśniny, która wciną się na ponad sto dwadzieścia mil w głąb lądu i miejscami nie ma więcej niż cztery, pięć mil szerokości. Poszerza się jednak w kierunku pełnego morza aż do momentu, gdzie przepływa między dwiema górami, oddalonymi od siebie o zaledwie dwie mile. Twierdzili także, iż na owej cieśninie zaobserwowali przyplawy i odpływy, jak na oceanie, jednak nieco mniejsze. Za cieśniną morze rozlewało się szeroko na wszystkie strony. Widzieli tam wiele zadrzewionych wysp. Wyspy te, jak również wybrzeża morza i cieśniny, zamieszkane były przez ludy proste i dzikie, które prawdziwie czciły Słońce, Księżyc i gwiazdy, jednak niektórzy poddali się herezji Strukarasa.

Powiemy niebawem o tym osławionym w owych krainach szalbierzu, gdy dotrzemy do rozdziału o religii Sewarambian. Żeglarze dodawali także, iż na morzu tym spotykało się monstra i ryby, których nie ma w oceanie. Kanał obfitował w pewne gatunki ryb, które stanowiły główne pożywienie ludów zamieszkujących jego brzegi. Poza tym ich ziemia jest bardzo dobra i żyzna, mogłaby więc obdarować ich wielkimi plonami, gdyby potrafili ją odpowiednio uprawiać.

Gdy po raz pierwszy Sewarambianie zapuścili się na to morze, co nastąpiło pod koniec panowania Sewariasa, zostali napadnięci przez wielką siłę owych barbarzyńców, którzy podpłynęli do nich w swych czółnach, by zająć ich okręty. Do tego stopnia jednak przerazili się artylerii i muszkietów, że rzucili się do ucieczki i nigdy

już nie ośmielili się ich zaatakować. Co więcej, przychodzą oddać cześć wszystkim przepływającym okrętom i przynoszą im dary. Chodzą całkiem nago, choć w zimie okrywają się skórami upolowanych zwierząt, które zmiękczają za pomocą mózgowych stworzeń. Są oni bardziej lub mniej dzicy, w zależności od tego, jak daleko od Słońca zamieszkują, lecz na najbardziej oddalonych wyspach Sewarambianie napotkali plemiona, z którymi nigdy nie udało im się nawiązać trwałych relacji.

Jest wiele tych wysp, większość zaś znajduje się w zasięgu wzroku jedna od drugiej. Rozciągają się w linii w kierunku bieguna i oddalone są o ponad sto mil od stałego lądu. Jest kilka dość dużych, jednak większość nie ma więcej niż dziewięć mil średnicy, pozostałe zaś są o wiele mniejsze.

W czasach Sewaristasa zapuszczono się bardzo daleko na morze, niemal w pobliżu samego bieguna, lecz nie natrafiono na jakiegokolwiek ślady lodu, choć zalegał on na wybrzeżach znacznie bliższych Słońcu. Odtąd pływa się przez sam biegun bez żadnego ryzyka, ponieważ tamtejsze wody są o wiele spokojniejsze niż przy brzegach. Są tam jednak pływy, a w kilku miejscach dość wartkie prądy, jednak nie stanowią one zagrożenia, a nawet okazują się użyteczne w pewnych sytuacjach. Czysta ciekawość popchnęła Sewarambian na to morze, bowiem nie mają żeń większych korzyści. Ich ustrój sprawia, że handel z innymi narodami wydaje im się zbędny. Odkryć tych dokonali więc tylko po to, by zaspokoić swe pragnienie wiedzy.

Z żeglugi tej mają jednakowoż kryształ górski oraz niezwyklej piękności perły, jakie poławia się przy niektórych wyspach. Pewien pilot imieniem Chicodan, z którym związała mnie przyjaźń, opowiadał mi często o swoich podróżach i pokazał nawet kilka takich pereł, które w tamtych krainach są powszechne. Podarował mi siedem sztuk wielkiej piękności i znacznych rozmiarów, które później sprzedałem w Azji za niemałą kwotę. Ten, który mi je był ofiarował, nie przywiązywał do nich wszakże większej wagi niż my do szklanych bransoletek.

Przed moim wyjazdem z Sewarambii Sewarminas miał zamiar posłać okręty, by całkowicie odkryć to morze, które jest ogromne i podobno nie ma połączenia z oceanem, chyba że poprzez jakoweś podziemne strumienie. Aby ułatwić sobie to zadanie, pobudowali forty w różnych miejscach kanału, a nawet na niektórych wyspach. Tam, gdzie mrozy są uciążliwe, zbudowali sobie grubościennie siedziby pod ziemią, kryjąc je pod sklepieniem. Dzięki temu niewolnicy i przestępcy skierowani do tych prac nie cierpieli niemal zimna, choć często ich domy pokryte były śniegiem. Pod owymi sklepieniami panuje umiarkowane ciepło, nawet w środku zimy. Wydaje się, że tak dobrze przygotowani Sewarambianie odkryją niebawem cały obszar morza.

Wielokrotnie pytałem ich, dlaczego nie opanowali całego brzegu rzeki i kanału, aż do samego morza. Odpowiadali, że mogliby to uczynić w każdej chwili, a nawet już nad nimi panują dzięki swym fregatom, galeotom oraz fortalicjom. Jednak nie

troszczyli się o te tereny, ponieważ jeszcze ich nie potrzebowali. Sądziли wszakże, że ich naród, co dzień pomnażając swą liczbę, będzie musiał prędzej czy później rozciągnąć swe panowanie na wybrzeże morza i zasiedlić stopniowo cały brzeg rzeki. Dokona się to jednakże w sposób niemal niewyczuwalny i dopiero wtedy, gdy zmusi ich do tego konieczność. Inaczej nie zajmą tych ziem, bowiem jedna z maksym ich rządu zabrania uzurpowania sobie dóbr innych ludów, a nakazuje raczej kupować je, jak w przypadku terenów, na których postawili swe forty. Tubyłcy sprzedali im je w zamian za wino, tkaniny i inne towary.

Rzeka Sewaringo jest tak wielka i głęboka, że od Arkropsindy do morza nie ma miejsca, gdzie nie byłoby przynajmniej piętnastu stóp głębokości, nawet przy najniższych stanach. Jej bieg jest tak powolny i łagodny, że w wielu miejscach trudno w ogóle dostrzec nurt. Dzieje się tak, ponieważ Sewaringo przepływa przez stumilową równinę, całkiem płaską w pobliżu rzeki, choć dalej widać jakieś wzniesienia i pagórki. Trzy mile poniżej Sewarindy do Sewaringo wpada wielka rzeka, spływająca z gór na wschodzie, sprawiając, iż ta staje się wielce szeroka i głęboka. Słyszałem, że wiele sporych rzek wpada do Sewaringo, zanim ta ujdzie do morza, zaś u samego ujścia ma ona ponad sześć mil szerokości. Mówi się, że w tamtych okolicach w wodzie żyją wielkie węże, które czasem pożerają nieszczęsnych Południowców w ich czółnach.

O dworze wicekróla Słońca

Księżę ten mieszka we wspaniałym pałacu, który już opisaliśmy. Przebywają w nim także wszyscy sewarobaści, by łatwiej móc uczestniczyć w zebraniach Rady. Liczba urzędników dworskich i służby jest średnia, jednak jeśli policzyć wszystkie rodziny senatorów, które tworzą główny trzon dworu wicekróla, okaże się, że jest to dwór nader liczny. Wszyscy brosmazjonci przybywają na nim służyć naprzemiennie i poczytują to sobie za wielki zaszczyt.

Urzędnicy państwowi są ograniczeni, jeśli chodzi o liczbę kobiet i służby, z wyjątkiem samego wicekróla, któremu zwyczaj nakazuje jednak posiadać nie więcej niż dwanaście kobiet, jak czynił to Sewarias. Żona, którą wicekról poślubił jako pierwszą po przejęciu władzy, cieszy się największym szacunkiem i uważa się ją za prawdziwą wicekrólową, jeśli wolno mi tak to określić. Musi ona być z rodu Sewariasia, ponieważ chciano uczynić pewien honor krwi tego wielkiego człeka, który wszakże nie ścierpiał, by tron stał się dziedziczny. Postanowiono więc wynieść na tron niektóre kobiety z jego rodu.

Reszta żon zachowuje nazwisko, które nosiły przed ślubem, z tym że dodaje się doń końcówkę „-es” lub „-s”, jeśli miano kończy się na „-e”. Pierwsza żona nosi jednak nazwisko wicekróla i zgodnie z tą regułą pierwsza żona Sewarminasa zwie

się Sewarmines. Żony innych wysokich urzędników także noszą imiona z końcówką „-es”, jednak pierwsza z nich zawsze dzieli miano swego małżonka, które przechodzi na drugą żonę po śmierci pierwszej.

Gdy znajdzie się w narodzie jakaś dziewczyna niezwyklej urody, pokazuje się ją w pierw wicekrólowi, który może ją poślubić, jeśli zechce. Jeśli nie zdecyduje się jej poślubić, może podarować ją temu z senatorów, którego zapragnie takim prezentem uhonorować, jeśli tylko liczba jego żon nie osiągnęła jeszcze limitu. Każdy z sewarobastów może posiadać osiem żon, brosmazjonci po pięć, a osmazjonci po trzy. Mają też prawo do takiej samej liczby niewolnic konkubin, jednak rzadko się to spotyka. Niżsi urzędnicy mogą posiadać dwie żony i tyleż samo niewolnic, zaś ludziom z gminu przypada jedna żona i jedna konkubina, jeśli żona okaże się bezpłodna. Gdy niewolnica także nie może począć, mają prawo wymienić ją na inną.

Zezwala się także wszystkim mężczyznom zamieniać się żonami ze współobywatelami, pod warunkiem że wszystkie cztery zainteresowane osoby się na to zgodzą. Zdarza się to często w przypadkach, gdy małżeństwa nie mogą się porozumieć. Ma to jednak miejsce wyłącznie między ludźmi równego stanu, gdyż niewiasty nie chcą brać mężów niższej rangi niż ich pierwszy. Jeśli przed rozstaniem mieli dzieci, które nie osiągnęły jeszcze siedmiu lat, przypadają one zawsze kobiecie, która opiekuje się nimi do czasu, gdy zostaną adoptowane przez państwo. Rzadko się jednak zdarza, by pary, które mają potomstwo, rozstawały się, choć przecież mają do tego prawo. Takiej separacji zawsze jednak towarzyszy pewna sromota, bowiem ludzie mają niepochebną opinię o takich, co zrywają więzy tak silne jak wspólne potomstwo.

Separacje są znacznie bardziej powszechne wśród urzędników niż wśród prostych ludzi, ponieważ – posiadając więcej żon – ich podzielona miłość jest słabsza niż wtedy, gdy zachowuje się ją w całości dla jednej osoby. Nie pozwala się dziewczętom przed osiemnastym i młodzieńcom przed dwudziestym pierwszym rokiem życia zawierać małżeństwa. Prawo zabrania także wdowom po sześćdziesiątce i mężczyznom po siedemdziesiątce wstępować w nowe śluby.

Sewarminas spożywa posiłki publicznie w comiesięczne święta, zaś w najbardziej uroczystych dniach roku wydaje ucztę w wielkiej sali, od góry do dołu wyłożonej kryształami, które jak zwierciadła odbijają przedmioty, tworząc iście cudowny efekt. Zasiada podówczas u szczytu długiego stołu ze swą małżonką Sewarmines, po bokach zaś siedzą sewarobaści, których obsługują brosmazjonci, z pomocą osmazjontów podających mięsiwa. Cała zastawa jest szczerozłota, a podczas gdy wicekról się pożywia, przygrywiają mu muzycy. Czasem przechadza się ulicami Sewarindy lub dookólnymi polami, gdzie posiada wielkiej piękności ogród nad samą rzeką.

Jest to zaiste jeden z najbardziej urokliwych ogrodów świata, czy to ze względu na klimat, czy żyzność gleby, czy wreszcie bliskość rzeki, która nawadnia go i upiększa.

Ma on kształt kwadratu i nie otacza go żaden murek, lecz fosa pełna czystej wody i rozmaitych gatunków ryb. Rów łączy się z rzeką, która odgradza ogród z jednej strony i płynie naprzeciw wielkiej terasy, wzmocnionej murem podobnym do tego, który otacza całą wyspę. Cały teren ogrodu ma niespełna miłą szerokości i co najmniej trzy po obwodzie, licząc z fosą. Oto w kilku słowach, jak został urządzony.

Najpierw, idąc od strony Sewarindy, przechodzi się wielkimi alejami majestycznych drzew, a największa z nich, środkowa, kończy się u bram ogrodu. Po obu stronach bramy stoją budowle, wysokie na jakieś trzydzieści stóp, szerokie na sto dwadzieścia i na sto długie. Wieńczy je piękna balustrada z różnobarwnego marmuru oraz posągi na piedestałach. Podobna balustrada znajduje się od strony ogrodu. Między nimi zaś znajduje się teren wyłożony kamieniem, pokryty miejscami zielenią, gdzie indziej zaś piaskiem. Gdzieniegdzie stoją donice z karłowatymi roślinami lub różnorodnymi kwiatami. Czasem natknąć się też można na jakąś statuę lub niewielką fontannę nawadniającą ów kwietny ogród. Jest to rodzaj belwederu, który dominuje nad ogrodem i pozwala dokładnie przyjrzeć się wszystkim jego urokom. Poniżej znajdują się rozmaite grotty i cieniste altany, gdzie woda wypływa ze źródeł, gdy tylko się tego zapragnie. Pod balustradą, po obu stronach muru, znajdują się szerokie portyki, pod którymi można się przechadzać w cieniu o każdej porze dnia. Kiedy bowiem słońce przygrzewa z jednej strony, druga pozostaje osłonięta od jego promieni.

Sam ogród podzielony jest na alejki, rabaty, kwadratowe placyki ozdobione drzewami, fontannami, rzeźbami i kwieciami. Są tam gęste pergole, labirynt, zaś w głębi niewielkie gaiki cedrów, palm, wawrzynów, drzewek pomarańczowych i innych roślin, wielce cieniste i czarowne. Co jednak w owym ogrodzie najcudowniejsze i co wymaga najdłuższego opisanie, to wielka góra wodna w samym jego środku. Góra ta ma kształt głowy cukru o wysokości stu pięćdziesięciu łokci i średnicy pięćdziesięciu. Jest pusta w środku jak kartonowy rożek i w tej wklęsłości dostrzec można wielkie przewody, którymi płynie woda na szczyt i na wszystkie zbocza góry. Wokół niej znajdują się terasy i stopnie, ułożone w takich odległościach względem siebie, by zatrzymywały wodę, tworzyły stawiki i kaskady. Na szczycie znajduje się basen, czy też zbiornik, do którego wpływa cała woda z rur. Z nich bowiem wystrzeliwuje ona na dziesięć czy dwanaście stóp ku górze, słupem grubości trzech mężów, by następnie trafić do basenu i równomiernie spłynąć wszystkimi ścianami wzniesienia. Zbocza są pokryte owym żywym kryształem wody tak dokładnie, że nie widać ich konstrukcji i wszystko to przypomina czystą górę wody. Oprócz wielkich przewodów, które pchają wodę na szczyt, jest jeszcze nieskończenie wiele mniejszych, które sprawiają, że cały ten pagórek najeżony jest wodotryskami, skierowanymi ku górze, w dół, na boki, jak się komu podoba, co tworzy efekt isticie godny podziwu.

To panujący obecnie Sewarminas kazał stworzyć to dzieło, które nie ma sobie równych na świecie w swym rodzaju. Łączy ono przyjemne z pożytecznym, bo z tej wyniosłej góry (do której woda dopływa z górskiej rzeki) woda nie tylko zasila wodotryski i nawadnia ogród, lecz także prowadzona jest do Sewarindy, dla wygody mieszkańców. Góra ta jest bowiem otoczona pięknym kanałem, który prowadzi wodę aż do wielkiego zbiornika na krańcu wyspy, na którym to odbywają się ćwiczenia żeglarskie. Przewody doprowadzające wody nie są wykonane ani z ołowiu, ani też z miedzi, lecz z innego metalu, pośredniego między jednym a drugim, który nie jest wszakże znany w Europie, choć zupełnie pospolity w Sewarambii. Posągi i kolumny, które zdały nam się zrazu brązowe, w istocie były wykonane z tego metalu, podobnego kolorem, lecz nie tak twardego. Jest on też o wiele bardziej wytrzymały od ołowiu i można zeń zrobić lepszy użytek. Nigdy nie rdzewieje i tylko złoto jest odeń trwalsze. W języku miejscowych nazywa się on „plocasto” i posługują się nim oni w wielu dziedzinach.

Gdy wicekról udaje się na wypoczynek do tego ogrodu i czyni to publicznie, wieziony jest w wielkim powozie ze złota i drogich kamieni, któremu towarzyszy masa innych wozów oraz oddział gwardii na koniach i bandelisach. Czasem jedzie tam sam, wierzchem, szczególnie gdy wyjeżdża z miasta. Kiedy jednak kieruje się do amfiteatru, jest zwykle niesiony w niezwykle bogatym i połyskliwym palankinie.

Amfiteatr ów znajduje się w odległości mili od Sewarindy, w pobliżu miejsca, skąd wydobywano kamień na jego budowę. Jest to być może najbardziej gigantyczna budowla na świecie, a jej mury, zbudowane z ogromnych bloków, najmocniejsze. Stoi na planie koła, ma dwieście kroków obwodu na zewnątrz i pięćdziesiąt średnic wewnątrz.

Parter otoczony jest kolumnadą wielkiej długości i grubości, zdolną podtrzymać wysokie sklepienie, które z kolei posiada liczne otwory wypełnione kryształem. Dookoła tej kolumnady znajduje się drugie sklepienie, utrzymywane przez nieco niższe kolumny, dalej zaś trzecie, jeszcze niższe. Światło wpada do środka z zewnętrznych okien, umieszczonych jedno nad drugim. Na zewnątrz znajduje się taras, otaczający amfiteatr, którym można się dostać aż na sam szczyt. Dalej prowadzi kamienna droga, poprzecinana stopniami i schodami, które kończą się u stóp wielkiej platformy, otoczonej przepiękną balustradą. Znajduje się ona tak wysoko, że można z niej oglądać całą równinę jak ze szczytu góry.

Pośrodku platformy umieszczono kryształowy glob o dwunastu krokach średnicy. Jest on pusty w środku oraz przebity z góry na dół, zaś otwór dolny jest na tyle szeroki, że może się w nim zmieścić człowiek, który w każde uroczyste święto zapala w środku wielką latarnię. Sprawia to, że glob staje się wyraźnie widoczny i przypomina księżyc w pełni. Wzbudził on mój szczególny podziw, jest bowiem z jednego kawałka i zdumiało mnie, że można uczynić tak wielką konstrukcję z kryształu. Oświecono mnie

jednak, iż Sewarambianie opanowali tajniki wytopu kryształu, jak my wytapiamy szkło, a nawet łatwiej jest go kształtować.

Do amfiteatru wchodzi się czterema wielkimi bramami. W środku znajdują się siedziska oraz trzy galerie, mogące pomieścić niewyobrażalną liczbę widzów. Są tam też rozmaite rzeźby i dekoracje, których opis byłby wszakże nazbyt długi i nużący. O dwanaście kroków od amfiteatru znajduje się mur, wysoki na dwadzieścia stóp, w którym poczyniono rozliczne cele i pomieszczenia. Trzyma się w nich rozmaite dzikie bestie, które wprowadza się na scenę podziemnymi przejściami, gdy organizowane są walki zwierząt, co ma miejsce podczas każdego z wielkich świąt.

Młodzież także ćwiczy się tam w walce, tańcach, szermierce i innych sztukach zręcznościowych. Wystawia się też sztuki teatralne, wygłasza mowy i poematy, a także gra się na różnorodnych instrumentach. Zwycięzcy tych konkursów otrzymują nagrody honorowe, którymi są sztuczne kwiaty ze złota, srebra lub innych metali malowanych lub emaliowanych, miecze, medale lub instrumenty muzyczne. Po zakończeniu zmagani zwycięzców wiezie się na rydwanach triumfalnych aż do Świątyni Słońca, gdzie składają bóstwu w podzięce ofiary z wonności.

Oprócz ćwiczeń, które odbywają się na lądzie lub w amfiteatrze, Sewarambianie uprawiają też takie, które mają miejsce na wodzie. Na krańcu wyspy znajduje się bowiem wielkie jezioro lub zbiornik, otoczony grubym murem, takim jak ten, który opasuje wyspę. Pośrodku tego owalnego basenu wzniesiono trzy rzędy galerii lub portyków na kolumnach, które stoją w wodzie. Mogą się pod nimi schować statki. Trenuje się tutaj walkę morską i podczas świąt widziałem ponad trzysta berek i statków po każdej ze stron, które toczyły udawaną bitwę morską. Fregaty i barki na tyle duże, by przetranszportować działa, strzelały tak, jak my to czynimy na morzu i tylko kul brakowało, by walka była prawdziwa.

Liczne małe statki mają inny sposób walki. Jako że są płaskie, nie można na nich umieścić nic ciężkiego, nie mają więc żadnej artylerii. Zasiadają w nich młodzi ludzie w kalesonach, noszący okrągłe, drewniane puklerze na brzuchach i uzbrojeni w tępe i szerokie na końcach lance. Tymi lancami uderzają się wzajemnie, starając się zepchnąć do wody, ku wielkiej uciesze widzów. Ci, którzy wpadną do wody, nie mogą wrócić na łódź, lecz muszą uznać się za przegranych. Czasem załoga jednego statku przechodzi na drugi, wyrzuca zeń przeciwników i opanowuje go lub wręcz zatapia, co uchodzi za ostateczny wyraz brawury.

Odbywają się też zawody wioślarskie i pływackie. Nigdy i nigdzie nie widziałem lepszych pływaków od tych, którzy zmagali się w tym właśnie basenie. Są niemal tak szybcy jak statki i gdybym tego na własne oczy nie widział, trudno byłoby mi w to uwierzyć. Prawda, że biorąc pod uwagę przyrodzoną siłę i zręczność Sewarambian, ciepły klimat, dogodne położenie Sewarindy oraz zaszczytne nagrody, nie ma

nic dziwnego w tym, że wiele osób ćwiczy się w pływaniu i stąd tak wybitni pośród tego ludu pływacy.

Między zbiornikiem a miastem jest wiele rzędów drzew, które tworzą szerokie aleje, gdzie często odbywają się zawody jeździeckie. Całe miasto i okoliczne pola pełne są owych alej, którymi można przechadzać się w cieniu. Wszystkie drogi zresztą obsadzone są drzewami, dzięki czemu można podróżować, nie obawiając się upału, jak to się dzieje w innych krajach. Równiny nawadniają liczne kanały poprowadzone z gór. Woda płynie wszędzie tam, gdzie chce się ją poprowadzić, użyźnia glebę i utrzymuje wieczną zieloność tej równiny, pomimo wielkiego słońca.

Sewarminas zabawia się też czasem, polując na lwy, tygrysy, lamparty, niedźwiedzie, erglanty, abrusty, jelenie, bandelisy i inne zwierzęta, których nie mamy w Europie. Łowy te odbywają się w lasach niedaleko Sewarindy, płynąc rzeką w stronę morza. Dlatego też często udaje się tam drogą wodną. Organizuje się także połowy ryb, co dzieje się zwykle w okolicach świąt, z którego to powodu uczestniczą w nich rzesze mężczyzn i kobiet.

Resztę czasu wicekról poświęca swoim sprawom lub prywatnym przyjemnościom, w gronie rodzinnym lub z przyjaciółmi. Jeśli ma dzieci, jak to się zwykle zdarza, wychowują się one publicznie, z innymi dziećmi. Nie pretendują one do następstwa i nie są uważane za lepsze od innych, choć wielki to honor mieć w swym rodzie wicekróla. Nie wynikają z tego wszakże żadne przywileje, są one bowiem zarezerwowane dla domu Sewariasa.

Poza tym wszystkim wicekról jest najszcześliwszym i najbardziej poważanym księciem na świecie. Nie znam ludu, który większym szacunkiem darzyłby swego władcę niż Sewarambianie. Nikt przeciw niemu nie złorzeczy, nikt nie podżega i nikt nie ma powodu, by się nań skarżyć. Wiadomo bowiem, iż wszystko co czyni, czyni dla dobra publicznego i nie podejmuje żadnej decyzji bez opinii Rady i rozkazu Słońca, jak karze się ludowi wierzyć.

Opisanie Świątyni Słońca i religii Sewarambian

Świątynia Słońca znajduje się pośrodku wielkiego pałacu, o którym wspominaliśmy. Została wzniesiona przez Sewariasa i nie przewyższa rozmiarami naszych największych katedr w Europie. Przez pierwsze trzy lata budowy powstały jedynie mury. Następnie Sewarias kazał dodać pewne ozdoby i tak doskonale wszystko zorganizował, że pozostawił swym następcom dużą swobodę dodawania kolejnych rzeźb i dokończenia dzieła, które rozpoczął.

Trzeci wicekról, Sewarbrontas, który był wielkim architektem, upiększył świątynię rozmaitymi ornamentami, jednak wszystkie one były z kamienia, ponieważ w jego

czasach metale były jeszcze w kraju rzadkością. Nakazał zbudować marmurową balustradę, by oddzielić chór od parteru oraz umieścić obok ołtarza wyobrażenie Słońca z złotego marmuru, a z drugiej strony wielki posąg ojczyzny z marmuru białego, taki sam jaki widzieliśmy w Sporundii. Polecił także uczynić trzy rzędy galerii jedna nad drugą, na których mógł zasiadać lud. Dodał jeszcze wiele innych rzeczy, z których część się zachowała, reszta jednak została później zmieniona.

Sewarkemas, szósty wicekról, wielki naturalista, upiększył świątynię dzięki metalom, których bogate złoża odkrył w swoim czasie. Zamienił marmurową balustradę oddzielającą chór od parteru na srebrną. Zastąpił reprezentację Słońca kulą z kryształu i otoczył ją złotą aureolą w formie promieni, zdobioną drogimi kamieniami i bezcennymi diamentami, które tworzą cudowny efekt. Kryształowy glob w Sewarindzie jest znacznie większy i bardziej błyszczący niż ten ze świątyni w Sporundii.

Po jednej ze stron ołtarza stoi także wielki posąg Sewariasa ze szczerego złota, z drugiej zaś statua jego następcy Sewarkomedasa. Obok nich można zobaczyć pomniki kolejnych wicekrólów, wszystkie szczerozłote i naturalnej wielkości. Pośrodku ołtarza, pomiędzy globem a statuą, znajduje się tylko czarna zasłona jak w świątyni w Sporundii. Na murach otaczających chór wiszą wielkie obrazy olejne przedstawiające wszystkich wicekrólów w najbardziej pamiętnych chwilach ich panowania. Przedstawienia te są to emblematy albo naturalne portrety.

Na pierwszym obrazie widzimy Sewariasa otrzymującego od Słońca gromy z niebios oraz księgę praw, którą pozostawił Sewarambianom. Przedstawione są także jego dwa zwycięstwa nad Strukarambianami oraz moment otrzymania władzy z rozkazu Słońca, jak również kilka innych godnych uwagi wydarzeń z jego żywota.

Drugie malowidło przedstawia Sewarkomedasa otrzymującego księgę praw z rąk poprzednika. Następnie widzimy go przy wznoszeniu mauzoleum Sewariasa, które wzniesiono obok świątyni. Gdzie indziej dogłąda budowy mostów Sewarindy, osmazji oraz innych rzeczy, które dokonały się za jego rządów.

Trzeci jest portret Sewarbrontasa z obnażonym mieczem oraz ekierką i kompasem, które symbolizują wojnę, jaką stoczył z buntownikami oraz jego wielką wiedzę architektoniczną. Obraz przedstawia także inne wielkie czyny tego księcia.

Na czwartym ujrzeć można Sewardumistasa z mieczem do połowy wyciągniętym z pochwy, którego wszakże powstrzymuje ręka z niebios. Jest to symbol jego pragnienia podbicia ościennych terytoriów, które zostało jednak uniemożliwione dzięki niebiańskiemu prawom Sewariasa. Widzimy także, jak składa ofiary i ustanawia nowe ceremonie.

Kolejny obraz przedstawia Sewaristasa, najmłodszego i najpiękniejszego z wicekrólów. Z jednej strony namalowano zbudowany przezeń amfiteatr, z drugiej strony

zaś pałac, którego budowę dokończył. Przedstawiono także wiele innych jego czynów. W oczy rzuca się wszakże portret młodej dziewczyny ogromnej piękności, którą władca trzyma za rękę. U jego stóp spoczywa ciało młodzieńca ze sztykletem w piersi. Zapytałem o znaczenie tego obrazu i opowiedziano mi historię, której całość przeczytałem później w żywocie tego księcia.

Za czasów Sewaristasa mieszkał w Sewarindzie młodzieniec imieniem Foristan, który zakochał się dziewczynie zwanej Calenis. Od czternastego roku życia promieniała ona urodą tak olśniewającą, że budziła podziw u wszystkich, którzy na nią spojrzeli. Nietrudno sobie wyobrazić, że z taką urodą nie brakło jej adoratorów, lecz to Foristan pierwszy wyznał jej miłość i ofiarował swe serce. Miał on wielu rywali, którzy później uczynili to samo, lecz ponieważ był pierwszy, a także przystojny i namiętny, zajmował on poczesne miejsce w sercu Calenis.

Namiętność i piękno Calenis i Foristana wzrastała z każdym rokiem, co budziło zazdrość rywali, choć Foristan zachowywał się bardzo skromnie i tylko w duchu radował się, że to jego Calenis wołała od wszystkich innych. Z niecierpliwością oczekiwał szczęsnego dnia, który miał zakończyć cierpienia i pozwolić mu nacieszyć się wreszcie przedmiotem swych gorących pragnień. Nie spodziewał się jednak nieszczęść, które miały naznaczyć jego żywot i niemal doprowadziły do jego zguby jeszcze przed owym szczęśliwym dniem, który uwieńczył jego starania.

Świątecznego dnia, gdy organizowano wielkie łowy, towarzyszył on swej ukochanej i jej przyjaciółkom. Calenis dosiadała śnieżnobiałego bandelisa, a jej stróż myśliwski błyszczał jak słońce. Wszyscy zalotnicy podziwiali ją i czuli, jak ich uczucie się wzmacnia, podobnie jak ich zazdrość, gdy widzieli, jak słodkimi spojrzeniami obdarowywała swego Foristana. Jeden z nich, młodzieniec imieniem Cambuna, który był gwałtowny i z trudem znosił powodzenie swego rywala, bez przerwy trzymał się blisko Calenis, zarówno by okazać jej swą namiętność, jak również by wywołać niepokój Foristana.

Tego dnia łowcy naszli w gęszczy stado erglant, to jest zwierząt podobnych do białych niedźwiedzi, jednak o wiele od zwykłych niedźwiedzi zwinniejszych. Wszyscy myśliwi popędzili w to miejsce, w tym oczywiście piękna Calenis i jej wielbiciele. Łowcy natarli na erglanty z wielkim zapalem i wiele z nich zabili, jednak te, które były tylko ranne, stawały się przez to bardziej zaciekle i rozrywały na strzępy wszystko, co się do nich zbliżyło.

Jedna z nich ruszyła w stronę, gdzie stała Calenis, przewracając i roztrącając wszystkich na swej drodze. Niechybnie zabiłaby piękną tę dziewczynę, gdyby Cambuna nie zajechał jej drogi, zasłaniając ukochaną i zatrzymując na czas jakiś bestię. Jednakże, nieszczęśliwym wypadkiem, koń jego przewrócił się i przygniótł go, zaś erglanta już miała skoczyć ku Calenis, którą bandelis zrzucił z siodła, gdyby nie

Foristan, który czuwał przy ukochanej. Przebił on zwierzę, zagłębiając miecz w jego ciele aż po gardę i zabijając na miejscu. Gdy tylko ujrzał niebezpieczeństwo kochanki, zeskoczył był z siodła i ta przezorność uratowała ją oraz Cambunę.

Jednakże dla Foristana historia ta skończyła się znacznie gorzej niż dla nich. Zbliżył się bowiem zanadto do erglanty, która, umierając, uderzyła go łapą i rozdarła mu udo, przez co stracił on wiele krwi. Calenis była wdzięczna obydwu swym wielbicielom, chociaż Foristan zareagował dopiero jako drugi, nie był bowiem w tak dobrej pozycji jak Cambuna. Jednak okazał nie mniej poświęcenia, niosąc jej ratunek. Wykazał się też większą przezornością niż rywal, a nawet przelał krew w obronie ukochanej. Wielki ów czyn Foristana, który przewyższał poświęcenie jego rywala, połączone ze skłonnością, jaką i tak doń czuła, kazał Calenis okazać mu więcej wdzięczności niż Cambunie. Tamten popadł z tego powodu w rozpacz, lecz tym razem skrył swe uczucia i wszyscy powrócili do Sewarindy.

Jakiś czas później Calenis zapadła na chorobę, która odebrała jej blask i dobre samopoczucie. Trwała ona sześć czy siedem miesięcy i obawiano się nawet, że dziewczyna umrze. Wszyscy adoratorzy oddalili się, z wyjątkiem wszakże Foristana, który pozostał przy niej i nic nie stracił ze swego uczucia do Calenis. W czasie choroby troszczył się o nią może jeszcze więcej niż przedtem, dawał tysiąc dowodów przyjaźni i pocieszał na wszelkie sposoby. Sam także zadręczał się z miłości do niej, aż stracił upodobanie do wszystkich rozkoszy życia.

Po siedmiu czy ośmiu miesiącach Calenis ozdrowiała dzięki cudownemu remedium, które jej podano i niebawem odzyskała dawny urok i radość, a nawet stała się piękniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Niewierni zalotnicy, widząc ją tak urodziwą, poczuli znowu dawną namiętność, którą choroba Calenis ugasiła w ich sercach. Jednak wstyd, że ją opuścili, nie pozwolił większości pokazywać jej się na oczy. Kilku jednak ośmieliło się powiedzieć dziewczynie o swych uczuciach. Calenis potraktowała ich jednak tak, jak na to zasłużyli, i otwarcie oznajmiła im, że skoro przestali ją kochać, bo przestała być piękna, to ona także straciła szacunek dla nich, gdy przestali być jej wierni. Dodała, że tylko Foristan był stały w swych uczuciach i staraniach, a tym samym on jeden godzien był jej szacunku i wdzięczności. Zabroniła im odtąd czynić jakiegokolwiek starania, bowiem nie chciała ofiarować jednemu wiernemu kochankowi serca, w którym jest miejsce dla kogoś innego. W ten sposób Calenis pozbyła się niechcianych wielbicieli i dała wyraźnie do zrozumienia, że swe serce zachowuje w całości dla Foristana. Doprowadziło to do rozpaczki szczególnie popędliwego Cambunę, który nie mógł znieść szczęścia rywala i w tym stanie chętnie poświęciłby swoje życie, by tylko pozbawił go drogiej Calenis.

Sewarambianie nie noszą broni, chyba że podczas wojskowych ćwiczeń lub w armii bądź w gwardii wicekróla czy innego wysokiego urzędnika. Cambuna,

choć zazdrosny był o szczęście Foristana, nie mógł się zdobyć na żadne tchórzostwo i szukał tylko okazji, by stanąć przeciw niemu z bronią w ręku. W tym celu zamienił się na dni służby z jednym ze swych przyjaciół, który akurat miał pełnić straż przy wicekrólu tego samego dnia, co Foristan.

Znaleźli się więc obaj pod bronią i wtedy to Cambuna spróbował sprowokować rywala ostrymi słowy. Tamten jednak powstrzymywał się, czy to z obawy przed surowością praw, czy to przez szacunek dla miejsca, w którym się znajdowali. Cambuna pierwszy wyciągnął więc miecz, zmuszając Foristana do zdobycia swego. Wymienili wiele ciosów i obaj odnieśli rany. Foristan miał przebite ramię, a Cambuna otrzymał cięcie wskroś tułowia. Choć ciężkie, nie były wszakże te rany śmiertelne. Niemniej walka narobiła hałasu w całym pałacu i pojedyńkowicze zostali osadzeni w areszcie. Ze względu na ich zuchwałość musiano powiadomić o zajściu samego wicekróla. Książę wielce się na nich obu rozgniewał, tak ze względu na brak poszanowania Pałacu Słońca, jak i wobec jego osoby. Zażądał więc, by ukarano ich z całą surowością prawa.

Tymczasem trzeci adorator Calenis, uznawszy to za właściwy moment, za pośrednictwem znajomego sewarobasty poprosił wicekróla o rękę dziewczyny. Sewaristas udzielił pozwolenia, pod warunkiem wszakże, iż Calenis się zgodzi. Ponieważ dziewczyna była szczególniej piękności, prawo nakazywało, by wpiery przedstawić ją władcy. Nie omieszkało by tego uczynić, gdyby nie choroba, która podówczas przyćmiła jej wdzięki.

Młodzieniec ten, uzyskawszy wolną rękę od wicekróla, rozpoczął starania o względy Calenis, prezentując nie tylko swe wdzięki i zalety, lecz także łaski, w jakich był u władcy. Aby zaś pozbawić ją nadziei na poślubienie Foristana, ukazywał jej, w jak beznadziejnym położeniu znalazł się jej kochanek po owym pojedynku. Jednakże żadne argumenty nie mogły wzruszyć Calenis. Pozostawała wierna Foristanowi i zdecydowała, że cokolwiek się stanie, nie poślubi nikogo innego.

W tym czasie nieszczęsny ów kochanek niemal wyleczył się już był z ran. Próbował się usprawiedliwić z faktu, iż dobył miecza na terenie pałacu, argumentując to koniecznością obrony przed rywalem. Po wielu trudach udało mu się w końcu wyjść z opresji i przy pomocy kilku świadków udowodnić, iż Cambuna napadł nań z premedytacją. On zaś starał się, jak mógł uniknąć walki i dobył miecza jedynie w obronie własnej. Uzasadnienie to dało mu wolność i sposobność ponownego ujrzenia Calenis, która ledwo powstrzymywała radość na jego widok. Nie mieli jednak wiele czasu na owe spotkania, gdyż niedługo później Foristan powołany został do armii, która akurat ruszała w pole. Pogrążyło to kochanków w niewyobrażalnym smutku, tym okrutniejszym, że nic nie można było na to poradzić. Musieli się rozstać, co nie obyło się bez szlochów i łez. Przysięgli sobie wieczystą wierność, a jako że

uroczystość Osparenibonu była niedaleka, pocieszali się, iż niedługo połączy ich szczęście małżeństwa.

Foristan odjechał więc i na trzy miesiące pozostawił swą piękną kochankę. W tym czasie człowiek, który otrzymał ją był od wicekróla, na wszelkie sposoby starał się przemoc jej postanowienie, lecz po bezskutecznych prośbach i przekonywaniach zdecydował się w końcu na oszustwo i przemoc. Serce mniej stałe niż Calenis z pewnością ustąpiłoby wobec takich starań, jednak nachalność Cambuny umacniały ją jeno w wierności Foristanowi.

Jednakże, przewidując, iż trudno będzie jej samej bronić się przeciw ludziom będącym w łaskach u wicekróla, postanowiła zwrócić się z prośbą do księcia. Błagała go, by odwołał pozwolenie, jakiego udzielił był wcześniej trzeciemu zalotnikowi i zezwolił jej stanąć przed swym obliczem. Wicekról zgodził się i przyprowadzono dziewczynę, która z płaczem przedstawiła swe skargi w sposób najbardziej wzruszający. Sewaristasa z początku zaślepiła jej uroda, potem jednak poruszyło go jej cierpienie. Wybuchnął gniewem na tych, którzy ośmielali się grozić jej przemocą, pocieszył dziewczę łagodnymi słowy i umieścił w pałacu, u boku żony jednego z sewarobastów. Tam to właśnie często ją odwiedzał i po kilku rozmowach znalazł w niej tyle wdzięku, iż zapałał do Calenis miłością, której liczne dowody dawał jej każdego dnia. Calenis zmartwiła się tym faktem, wiedziała bowiem, iż nie będzie mogła obronić się przed takim zalotnikiem i prędzej czy później będzie musiała mu ulec. Nie potrafiła jednak zapobiec grożącemu jej nieszczęściu.

Jakiś czas potem żona sewarobasty, która się nią opiekowała, otrzymała polecenie pomówienia z nią o uczuciach władcy. Miała oznajmić jego zamiar poślubienia jej, co też uczyniła w sposób najbardziej na świecie przekonujący. Napotkawszy bowiem opór Calenis, przedstawiła jej argumenty zdolne skruszyć wszelką wierność, do jakiej niewiasta jest zdolna.

– Cóż sobie wyobrażasz, nieszczęsna, odrzucając męża tak wspaniałego, że najpiękniejsze kobiety świata mogłyby tylko o nim marzyć? Zważ rozsądnie korzyści i straty, jakie przynieść ci może dobra lub zła decyzja. Jeśli poślubisz Foristana, znajdziesz w nim, przyznając, mężczyznę w wieku bardziej odpowiednim do twego niżli Sewaristas i będziesz go posiadała na wyłączność tak długo, jak długo pozostanie osobą prywatną. Zadowolisz wówczas swą namiętność i spłacisz dług wdzięczności wobec niego.

Jednak wszystko to niewiele znaczy wobec korzyści, jakie odniesiesz, poślubiając Sewaristasa. Po pierwsze, będziesz w nim miała najpotężniejszego i najprzystojniejszego człowieka w całym narodzie. Prawda, że nie należy już do najmłodszych, lecz nie jest także bardzo stary. W jego wieku, pomijając fortunę, jest bardziej

godny miłości niż wszyscy młodzieńcy Sewarindy. Zalety młodości są powszechne u wszystkich ludzi, u zwierząt nawet. Jednak uroda cielesna, a przede wszystkim piękno duszy, są udziałem jeno niewielu z nich. Często, gdy natura ofiarowuje komu te przymioty, nie dodaje do nich fortuny, która pozwoliłaby im zabłysnąć jaśniejszym blaskiem.

Wszystko to znajduje się, i to w najwyższym stopniu, w osobie wicekróla. Jest tak przystojny, jak tylko mężczyzna być może i nie ma pośród Sewarambian drugiego o tak czarującym spojrzeniu i majestatycznej, niemal boskiej postawie. Nie ma potrzeby opowiadać ci o jego wielkich cnotach, umyśle i wspaniałej naturze. Wszyscy wiedzą, iż od czasów Sewariasa, którego jest potomkiem, nie mieliśmy wicekróla równie wielkodusznego, który bardziej niż on zasługiwałby na tron Słońca.

Jego fortuna wyniosła go tak wysoko, jak wysoko może wspiąć się mężczyzna. On zaś może wnieść cię ponad wszystkie inne kobiety. Uczyni to niechybnie, ponieważ cię kocha i zamiast być żoną zwykłego człowieka, staniesz się połowicą pana całego narodu, który nad sobą ma tylko bóstwo.

Bez potrzeby powtarzasz mi, że przysięgłaś wiarę swemu ukochanemu i że wiąże cię z nim miłość i wdzięczność. Wszystko to miałoby znaczenie wobec osoby prywatnej, jednak wobec wicekróla podobne argumenty nic nie ważą. Po pierwsze bowiem, jesteś do jego dyspozycji zgodnie z prawami kraju i jeszcze zanim pokochałaś Foristana, Sewaristas mógł cię wziąć dla siebie lub podarować cię innemu. Zgodnie z tym samym prawem wciąż do niego należysz i nie możesz dysponować swą osobą wbrew jego woli. Wiesz dobrze, że jest to zabronione dziewczętom na wydaniu, ponieważ wszystkie są dziećmi państwa, którego wicekról jest politycznym ojcem.

Lecz nawet gdyby nie miał on tych praw, jaki mężczyzna, pytam, bardziej byłby godzien twej miłości? Czy nie dlatego pokochałaś Foristana, że wydał ci się bardziej godnym miłości od wszystkich, którzy się o ciebie starali? Pokochałaś go tylko z miłości do siebie samej, ponieważ widziałaś więcej korzyści w posiadaniu Foristana niż innych zalotników. Niechaj owa miłość własna zadziała w tobie raz jeszcze. Powie ci ona, że Sewaristas jest nieskończenie bardziej godzien miłości od reszty ludzi, że już kocha cię do szaleństwa, i że ty także powinnaś go pokochać z tego samego powodu, który kazał ci umiłować Foristana.

Co do wdzięczności i wierności, są to powody nader słabe i więcej jesteś winna wdzięczności wicekrólowi, że raczył spojrzeć na ciebie życzliwym okiem, niż Foristanowi za wszystkie usługi, jakie ci oddał. Jeśli zaś brać pod uwagę dobra przyszłe, zobacz, jaka dysproporcja między staraniami zwykłego człowieka a korzyściami, jakie może ci przynieść władca całego państwa. Zważ wszystko, co ci rzekłam i nie odrzając człowieka wielkiego, by zaspokoić pospolitą namiętność.

Powiesz zapewne, że nie będziesz posiadać księcia na wyłączność, jak możesz posiadać Foristana. Odrzeknę ci, iż wyłączność ta będzie ci zagwarantowana tak długo, jak twój małżonek pozostanie osobą prywatną. Jeżeli jednak zajmie jakiś urząd publiczny, będzie mógł poślubić inne kobiety, które pokocha być może bardziej niż ciebie. Jeśli tak się stanie, utracisz jedyne szczęście, do którego dążysz. Inaczej będzie w przypadku wicekróla, bo jeżeli nawet jego namiętność wygaśnie kiedyś, to na pocieszenie będziesz miała wspaniałe korzyści, jakie wyniesiesz z tego małżeństwa. A zatem, jeśli droga ci chwała, rozumiesz, że miłość władcy jest o wiele bardziej chwalebna niż miłość poddanego.

Potężne te argumenty zachwiały stałością Calenis. Im więcej je rozważała, tym większą znajdowała w nich słuszność i pomimo wyrzutów sumienia miłość do Sewaristasa zastępowała stopniowo w jej sercu uczucie do Foristana. Kilka dni później wicekról przyszedł do niej z wizytą i to zadecydowało, że wreszcie się poddała. Podziwiała jego osobę i wspaniałe zalety, zaś obraz, jaki przed nią naszkicowano, wydawał jej się błędym odzwierciedleniem oryginału. Ambicja zawładnęła jej sercem i wymazała niemal całkowicie wspomnienie nieszczęsnego Foristana. Płocha dziewczyna z radością przyjęła wizytę księcia i z rozkoszą słuchała jego dyskursów. Powoli zdobyła się na taką z nim zażyłość, by wytrzymać jego spojrzenie, a nawet na nie odpowiedzieć, dając mu do zrozumienia, iż nie pozostaje nieczuła na jego cierpienia. W końcu, po miesiącu starań, przyrzekła mu, że wyjdzie za niego i zapomni o wszystkich innych mężczyznach.

Oto w jaki sposób koronowane głowy załatwiają sprawy i jak łatwo zwyciężają nawet najbardziej buntownicze serca. Nie ma jednak co się dziwić, iż Calenis tak prędko dała się pokonać równie potężnemu przeciwnikowi, ponieważ Sewaristas był w samej rzeczy jednym z najprzystojniejszych i najszlachetniejszych ludzi na świecie. Jego zalety były w stanie skruszyć najwierniejsze serce, nawet bez blasku fortuny i majestatu, jaki go otaczał.

Tymczasem, jako że czyny możnych znane są wszystkim, a wicekról nie ukrywał bynajmniej swej miłości do Calenis ani zamiaru poślubienia jej, cały naród wiedział o tych sprawach. Nieszczęsny Foristan prędko dowiedział się, jak potężnego rywala przysporzył mu zły los. Kosztowało go to tyle cierpienia, ile tylko może znieść mężczyzna w podobnej sytuacji. Pocieszenie i nadzieję widział już tylko w swej śmierci i rozpaczy. Wieścią gminną posłyszał o ustalonej dacie ślubu jego niewiernej kochanki, a serce podpowiadało mu, iż winien to być jednocześnie ostatni dzień jego żywota. Utwierdził się w tym uczuciu i udał się w drogę do Sewarindy, nie prosząc zwierzchników o przepustkę. Dociera do stolicy w samym dniu zaślubin. Oto zaczynają się uroczystości, a on wkrada się do świątyni i ukrywa za filarem, w pobliżu miejsca, gdzie Calenis ma podać swą dłoń wicekrólowi. Gdy już ma wyciągnąć ją w stronę Sewaristasa, naraz rozbrzmiewa okrzyk:

– Stój! Stój, niewierna i nie łam za mego życia wiary, którą moje zasługi i twoje przysięgi miały uczynić wieczną. Zaczekaj choć do mej śmierci, która już niebawem stanie się owocem twej zdrady i uprawomocni czyn, który za mego życia byłby zbrodnią!

Po tych słowach ruszył w ich stronę i na oczach wicekróla pogрузzył sztylet w swej piersi. Niespodziewany i niezwykły ów czyn zaskoczył niepomierne Sewaristasa i całe zgromadzenie, lecz to nieszczęsną Calenis dotknął do głębi. W jednej chwili obraz jej niewierności i perfidii stanął jej przed oczami w całej swej okazałości. Rozpacz zawładnęła jej duszą i dziewczyna rzuciła się ku Foristanowi, by wyrwać z jego piersi sztylet i wbić go w swe niewierne serce i w ten sposób odpokutować wiarołomstwo i umrzeć wraz z ukochanym. Jednakże jej spojrzenia i rozpacz tak wyraźnie rysowały się na jej obliczu, że w porę udało się zapobiec jej zamiarom.

Tymczasem, z rozkazu Sewaristasa, pospieszono na pomoc Foristanowi, który nie umarł był jeszcze. Jego rana zresztą nie okazała się ostatecznie śmiertelna. Mogłaby się wszakże taką stać, gdyby nie obietnica wicekróla, który uroczyście zrzekł się Calenis na jego rzecz. Przyniosło to spokój duszy Foristana oraz pragnienie dalszego życia. Pozwolił więc opatrzyć ranę, która na całe szczęście nie okazała się groźna. W ciągu kilku dni ból zelżał i wróciła niemal już wygasła nadzieja. Wicekról często go odwiedzał, ponawiał swą obietnicę, po czym rzeczywiście zrzekł się Calenis, choć żywił do niej wielkie uczucie i pragnienie jej posiadania. Cnota jego nakazała wszakże milczenie namiętności i kazała ustąpić przed sprawiedliwością i współczuciem. Dlatego ów szlachetny czyn pozyskał mu wiele szacunku i miłości pośród poddanych. Jego następcy uznali go za tak piękny przykład, że godzien uwiecznienia na obrazie. Co do Calenis, wyraziła ona głęboką skruchę, że dała się omamić zaletom Sewaristasa, po czym poślubiła swego drogiego Foristana na wyraźne życzenie księcia. Złączył ich zatem węzeł małżeński zgodnie z prawem ich kraju. Historia ta została spisana w całości w żywocie Sewaristasa i stamtąd ją cytuję.

Po tej dygresji przechodzę do szóstego obrazu, na którym widzimy Sewarkemasa ze złotym berłem w prawej dłoni i bukietem ziół i kwiatów w lewej. Jest to symbol jego wiedzy przyrodniczej, szczególnie zaś znajomości roślin i metali, których bogate i użyteczne złoża władca ten odkrył. Wokół niego wymalowano rozmaite dzieła sztuki złotniczej, którymi ozdobił Świątynię i Pałac Słońca, w tym bogate promienie, które otaczają świetlisty glob.

Na siódmym i ostatnim malowidle Sewarkimpsas, z obnażonym mieczem w dłoni, prowadzi za sobą niewolników w łańcuchach. Jest to wyobrażenie jego zwycięstwa nad Południowcami, którzy ośmielili się czynić inkursje na jego ziemie. Widać tam także przedstawienia znaków i drogowskazów, jakie kazał on umieścić na drogach, oraz rozmaite ogrody, którymi upiększył był Sewarambię. Można też

dostrzec na obrazie długi szereg młodych niewolników, którzy symbolizują trybut narzucony pokonanym.

Oto siedem obrazów przedstawiających czyny dotychczas panujących wicekrólów. W świątyni znajdują się także ich grobowce, obok mauzoleum Sewariasa. Wszystkie są ozdobione rzeźbami z marmuru ze złotymi i srebrnymi ornamentami, niezwykle bogatymi i z wielką wykonanymi sztuką. Pośrodku świątyni, naprzeciw jednej z galerii, stoją organy niezwyklej rozmiarów, których wszystkie piszczałki wykonane są ze srebra i są złożone. Naprzeciw organów znajduje się miejsce dla orkiestry i chóru.

Sklepienie świątyni jest bardzo wysokie i bogato zdobione złoceniami i freskami wielkiej wartości, które nadają mu cudowny poblask. Znajduje się tam wiele innych jeszcze ornamentów, które pomijam. Dość rzec, iż świątynia ta jest wielka i wspaniała, podobnie jak pałac i amfiteatr. Ktoś lepiej obeznany z architekturą mógłby dać lepszy ich opis niżli ja. Nie będę więc rozwijał tych opisów, z obawy, by nie zanudzić czytelnika detalami. Sądzę, iż wystarczy dodać, że nie widziałem nigdy nic porównywalnego do tych trzech budowli, chociaż przemierzyłem całą Europę i zobaczyłem wszystko, co w niej najrzadsze i najciekawsze.

Jako że w tej to świątyni głównie odprawuje się kult tego kraju, tuszę, iż jest to właściwe miejsce, by opowiedzieć o wierzeniach, teologii oraz religii Sewarambian.

O religii współczesnych Sewarambian

Naród ten, podobnie jak wszystkie inne, posiada różnorodne opinie na temat boskości, chociaż tylko jeden kult zewnętrzny jest dozwolony. Jednak wszyscy, którzy mają inne odczucia, dysponują swobodą sumienia i nawet nie zabrania się im dyskutować na tematy religijne, o ile zachowują respekt i posłuszeństwo wobec praw i urzędników. Istnieją nawet kolegia, w których, w pewnych okresach roku, przeprowadza się publiczne dysputy, gdzie każdy może swobodnie głosić swe zdanie i bronić swych opinii, bez ryzyka oskarżeń i przemocy ze strony innych. Sewarambianie mają bowiem zasadę, że nikt nie powinien być niepokojony z powodu swych poglądów, o ile zewnętrznie podporządkowuje się prawom i stosuje się do obyczaju w kwestiach, które dotyczą dobra społecznego.

Podobnie w wymiarze sprawiedliwości, jak również w wyborze na urzędy, poglądy religijne nie są brane pod uwagę, ponieważ liczy się tylko jego moralność i uczciwość. Także nie wyklucza się kapłanów z rządu cywilnego, jak to dzieje się niemal wszędzie indziej. Sewarambianie uważaliby to za pogwałcenie prawa naturalnego i cywilnego, gdyby odmówiono urzędu publicznego kapłanowi tylko dlatego, że należy do stanu duchownego. Pozostaje on bowiem członkiem państwa i ma nie mniejszy udział w rządzie i społeczeństwie cywilnym niż jego współobywatele.

Spółceństwo Sewarambian nie jest podzielone na różne jurysdykcje, ponieważ wszyscy podlegają najwyższemu przywódcy, którym jest namiestnik i arcykapłan Słońca. W osobie wicekróla łączą się tytuły władzy doczesnej i duchowej, co czyni jego autorytet o wiele silniejszym i bardziej czcigodnym. Kapłaństwo uświęca władzę wicekrólewską, która z kolei dodaje blasku stanowi kapłańskiemu. Jako że te dwa urzędy łączą się w osobie władcy, mogą także łączyć się w osobach poddanych i kapłan ma prawo być jednocześnie urzędnikiem świeckim, nawet jeśli ma w kwestiach religijnych własne zapatrywania, o ile na zewnątrz wykonuje obowiązki urzędowe i prowadzi się jak człowiek szlachetny.

Efekty owych słusznych i rozumnych zasad są wielce korzystne dla spokoju publicznego, czyli głównego celu, do którego powinien dążyć każdy mądry polityk. Chociaż Sewarambianie różnią się w opiniach dotyczących boskości i często zdarzają się u nich otwarte dysputy, w których każdy może wziąć udział, to nie ma chyba na świecie narodu mniej zaciętrzewionego w kwestiach religijnych, gdzie wywołują one mniej sporów i wojen.

W innych państwach religia staje się zaś pretekstem do czynów najbardziej nieludzkich i bezbożnych pod płaszczykiem pobożności. To pod tą maską zwykle ambicja, chciwość i zawiść grają swą ohydłą rolę i do tego stopnia zaślepiają nieszczęsnych śmiertelników, że każą im zatracić wszelkie człowieczeństwo, miłość i szacunek dla praw natury i społeczeństwa, jak również całą łagodność i miłosierdzie, które narzucają im reguły religii. Stąd wynika, że z najświętszej rzeczy czynią oni rzecz najokrutniejszą i najbardziej zgubną. To, co winno natchnąć ich duchem dobroci, sprawiedliwości i niewinności, rodzi w nich częstokroć gniew, niesprawiedliwość i okrucieństwo.

Inaczej mają się sprawy u owych szczęsnych ludów, gdzie nikt nie może uciskać bliźniego ani pod żadnym religijnym pretekstem gwałcić prawa naturalnego. Nie dałoby się tu podburzać dzikiego spólstwa do buntów, masakr i gwałtów poprzez nierozumny zapal religijny. Nie da się tutaj także uzyskać dóbr i zaszczytów dzięki oszustwu i pozorowaniu pobożności. Ambicja upodobała sobie jedynie szczyty i trudności i nie przywiązuje wagi do rzeczy podłych i łatwych.

Z tego względu nikt z Sewarambian nie pragnie zostać wodzem sekty, ponieważ każdy mógłby bez problemu to osiągnąć, a wszyscy mogą wyznawać taką religię, jaka im się spodoba. Nikt nie szuka wielkiego bogactwa, bowiem niczemu ono nie służy, a ten, kto ma ogrom skarbów, nie jest ani bogatszy, ani szczęśliwszy od ostatniego biedaka. Nikt wreszcie nie zazdrości bliźnim ani godności kościelnych, ani rent i dochodów, które się z nimi wiążą.

Dzięki temu wszyscy żyją w poszanowaniu prawa i lęku przed urzędnikiem, a chociaż każdy ma prawo wierzyć, w co mu się spodoba, nie może z tego powodu

zaburzać spokoju publicznego ani gwałcić praw społeczeństwa. Ciekawość jest jedynym powodem ich dysput, a religia jest tam traktowana z takim dystansem jak u nas filozofia. Nie budzi to zdumienia, jeśli tylko przypomnimy sobie, w jaki sposób wychowuje się wśród Sewarambian dzieci. Jak najwcześniej przyzwyczajają się je do życia społecznego i do wzajemnego szacunku. Należy dodać, iż religia państwowa Sewarambian ma w sobie więcej z filozofii i rozumowania niż z objawienia i wiary, nic więc dziwnego, że rozmawia się o niej z zimną krwią i bez większego zapału.

Wynika stąd, że jeśli nawet ich religia nie jest najprawdziwszą ze wszystkich, to jest niewątpliwie najbardziej zgodną z ludzkim rozumem i jedynie niebiańska łaska Ewangelii jest od niej więcej godna podziwu. Gdybyśmy bowiem nie otrzymali boskiego objawienia, moglibyśmy łatwo zgodzić się z poglądami tych ludów na boskość. Wierzą oni bowiem, że istnieje jeden Bóg najwyższy i niezależny, który jest bytem wiekuistym, nieskończonym, wszechmogącym, nieskończenie sprawiedliwym i dobrym, który rządzi i kieruje wszystkimi sprawami w swej wielkiej mądrości.

Jednakże wierzą oni również, że świat jest nieskończony i nie dopuszczają pustki i niebytu w przyrodzie. Co do globów, które są częściami wszechświata, uważają, że podlegają one takim samym prawom, jak wszystkie zwierzęta, to jest że zniszczenia jednych biorą się narodziny drugich. Dodają, że gdy widzi się jaką kometę ponad planetami, jest to glob, który rozpada się w ogniu. Jego ciało, które wcześniej wydawało się gwiazdą, po zapłonie rozciąga się i rozszerza, i stąd zdaje się większy i lepiej dla naszych oczu widoczny. Sewarias długo wątpił, czy istnieje inne bóstwo niż Słońce, które to jest jedynym, jakie starożytni Persowie wyznawali. Jednakże jego gubernator Giovanni, będąc chrześcijaninem, z początku na próżno starał się mu to udowodnić za pomocą Pisma Świętego, później zaś skutecznie przekonał go w sposób rozumowy.

Kazał mu zaobserwować, iż gwiazdy stałe tak bardzo były od Słońca oddalone, że otrzymywały tylko niewiele jego światła i jeszcze mniej ciepła. Musiały zatem dysponować własnym światłem i najprawdopodobniej były w istocie słońcami we wszechświecie, równie wielkimi i pełnymi chwały, jak to, które nas oświeca i ogrzewa. Owa wielość słońc i ich równość we wszechświecie wykluczają możliwość, by były one najwyższym bóstwem, które winno być jedno jedyne. Poza tym widać wyraźnie, że Słońce nie jest wszechmogące, gdyż nie może samotnie wystarczyć całemu wszechświatu i może oświetlić jedynie niewielką jego część. Stąd można łatwo wywnioskować, iż nie może ono być Bogiem Najwyższym, który rządzi światem. Musi zatem istnieć byt nieskończony, niewidzialny, niezależny i wszechmogący, który panuje nad wszechrzeczą poprzez wiekuistą swą Opatrzność.

Rozważania te przekonały Sewariasa i kazały mu przyznać, że musi istnieć bóstwo najwyższe i niewidzialne, większe od Słońca, lecz nie mogły pozbawić go przekonania,

iz Słońce także było bogiem, nawet jeśli nie bóstwem najwyższym niebios i ziemi, to przynajmniej bóstwem podporządkowanym lub jednym z ministrów Boga natury. Jego zdaniem Bóg Najwyższy polecił Słońcu oświetlać i ogrzewać glob ziemski i planety wokół niego, które także podpadały pod jego jurysdykcję. Umacniał się stale w tych poglądach i umierając, przekazał je następcom, którzy do dzisiaj dochowali im wierności. Można nawet wywieść tę doktrynę z jego Modlitwy do Słońca, gdzie Słońce jest co najmniej „kanałem, przez który spływają wszelkie dobrodziejstwa Wielkiego Bytu”, którego jest kapłanem.

Dwie te idee boskości kazały Sewarambianom umieścić w swych świątyniach czarną zasłonę ponad ołtarzem, która reprezentuje Boga wiecznego i niewidzialnego, którego nie znają, i mogą go oglądać jedynie poprzez czarne mroki, które spowijają ich rozumienie. Jednak co do Słońca, które – jak twierdzą – jest bóstwem widzialnym i chwalebny, a także kanałem, poprzez który ludzkość otrzymuje życie i wszystkie niezbędne dobra, wierzą oni, iż musi ono być ich osobistym Bogiem, ponieważ ożywia ich, oświetla i żywi. Z szacunku i wdzięczności mają zatem obowiązek oddawać mu cześć, składać ofiary i czynić je bezpośrednim przedmiotem ich kultu. Słońce jest, według nich, posłańcem wielkiego Boga, który polecił mu poruszać globem, zamieszkiwany przez nas, oraz innymi podległymi mu planetami.

Dodają także, iż wielki Bóg jest niewidzialny dlatego, że nie chce, byśmy widzieli go inaczej niż oczami umysłu. Zadowolona się ciężą i ofiarami, które składamy temu, którego uczynił szafarzem swych łask.

W taki oto sposób rozumują ci biedni ślepcy, którzy wynoszą słabe światło własnego ciemnego umysłu nad blask objawienia i nad świadectwo świętego Kościoła Bożego. Niemniej jednak czczą tego samego Boga Wiekuistego, co chrześcijanie, a nawet ustanowili na jego cześć uroczyste święto zwane „Kodimbasion”, które odbywa się raz na siedem lat. Jednakże kult, którym go otaczają, jest równie mglisty jak ich pojęcie o nim, dlatego też czynią zeń największe misterium swej religii.

Jeśli chodzi o kult Słońca, jest on jasny i widoczny jak ta piękna gwiazda i nie ma w nim głębokich misteriów, jak w kulcie Wielkiego Boga, którego zwą Kodimbas, czyli Król Umysłów. „Koda” znaczy u nich bowiem umysł, duch, zaś „imbas” – król, suweren, od słowa „imba”, to jest władza lub rozkazywanie, skąd czasownik „prosimbai”, co znaczy sprawować najwyższą władzę. Zwą oni także słońce „Erimbas”, czyli Król Światłości, od „ero” – światło. Obdarzają je oni jeszcze takimi epitetami jak „Fodariestas” – Źródło Życia, „Antemikodas” – Boskie Zwierciadło, oraz wieloma innymi określeniami, które podamy później.

W licznych rozmowach, jakie z nimi odbyłem na ten temat, kończyli oni swój dyskurs takim wywodem: w religii istnieją trzy główne zasady, do których można sprowadzić wszystkie inne. Pierwsza z nich wiąże wszystkie istoty rozumne z wielkim

Bytem Bytów, poprzez respekt i wewnętrzne uwielbienie. Druga wiąże wszystkie byty ze Słońcem przez miłość i wdzięczność, połączone z respektem i kultem zewnętrznym. Jest bowiem Słońce bogiem i panem globu, który zamieszkujemy. Trzecia zasada wiąże ludzi z ojczyzną lub krajem rodzinnym, gdzie otrzymali życie, pożywienie, wychowanie, co zobowiązuje wszystkich ludzi do miłowania miejsca swych narodzin i preferowania go nade wszystkie inne na świecie. Owe trzy rzeczy są w ich świątyniach przedstawione pod postaciami czarnej zasłony, świetlistego globu oraz posągu niewiasty karmiącej liczne potomstwo.

Sewarambianie wierzą, iż Słońce wprawia w ruch Ziemię i wszystkie planety, które przynależą do jego prowincji. Wszystkie te globy przemieszczają się koncentrycznie za sprawą promieni, które wypływają bezustannie z wnętrza Słońca z wielką prędkością. Wprawiają w ruch ciała, które ogrzewają i oświetlają, tak jak wiatr lub woda poruszają kołem młyńskim. Uważają także, że Słońce jest przyczyną wiatrów i pływów morskich.

Sądzą, że wszystkie dusze, tak ludzkie, jak i innych zwierząt, pochodzą od Słońca, którego są najczystszyimi promieniami. Różnią się one tylko stopniem czystości. Wielkie umysły tego ludu spierają się w kwestii nieśmiertelności duszy. Jedni uważają ją za nieśmiertelną, inni zaś za doczesną. Jednakże pośród ludu wszyscy wierzą w nieśmiertelność i taka jest właśnie religia państwa, gdyż była to opinia Sewariasa. Jest ona też bardziej prawdopodobna i miłsza ludziom niż druga. Ci, którzy uważają, iż dusza jest materialna, a jedynym bytem duchowym jest Wielki Bóg, twierdzą, że jest ona nieśmiertelna w takim sensie jak wszelka inna materia, która może zmienić formę, lecz nie da się jej unicestwić.

Jednakowoż powszechna opinia głosi, że po tym życiu są nagrody i kary dla dobrych i złych, że dusze, opuszczając ciało ludzkie, idą zająć inne ciała, bliżej lub dalej Słońca, zgodnie z tym, jak żyły. Opinię tę wzięto od Sewariasa i tak jak on uważa się, że dusze ludzi prawych, przeszedłszy drogę kilku żywotów, przez czas jakiś pozostają w powietrzu, czy to na naszym świecie, czy na innych planetach. Następnie łączą się na powrót ze Słońcem, którego są jedynie ułamkiem i tam odnajdują pełnię szczęścia i doskonały spokój.

Jak widzieliśmy, Sewarias jasno wyraził swe zdanie na ten temat przed śmiercią i to, co wówczas rzekł, pozostaje powszechnie przyjęte za niepodważalną prawdę. Dusza nikczemnika, opuściwszy martwe ciało, udaje się do innego ciała, bardziej oddalonego od świetlistego oblicza Słońca. Przez długi czas cierpi wygnanie pośród mrozów, śniegów i lodów, aż poprawi się i z powrotem zacznie się zbliżać ku gwieździe, z którą połączy się, gdy już zostanie oczyszczona z nikczemności swej i zepsucia.

Sewarambianie wierzą także, iż dusze zwierząt wędrują od jednego ciała do drugiego, lecz nie uważają, jak Pitagoras, że dusza ludzka może przejść do ciała

zwierzęcia ani też dusza zwierzęca do ciała człowieka. Dlatego właśnie Sewarambianie nie mają problemu z zabijaniem zwierząt, by pożywić się ich mięsem.

My czynimy zwykle rozróżnienie między zwierzętami rozumnymi i nierozumnymi, lecz Sewarambianie nie uznają takiego podziału. Sądzą oni, że wszystkie zwierzęta, które przychodzą na świat poprzez rozmnażanie, które to nazywają zwierzętami doskonałymi, obdarzone są pewną dozą rozumu, mniejszą lub większą w zależności od stopnia czystości ich duszy. Wierzą, że dusze ich także są emanacjami Słońca, lecz wymieszały się z powietrzem i innymi żywiołami, nie są zatem równie czyste i trwałe, jak dusze ludzkie, które to bliżej są natury duchowej i tym samym mają mocniejszą budowę i dłużej trwają. Opinie na ten temat są niezwykle podzielone, jednak wszyscy uznają, że religia państwowa jest wielce rozsądna i nikt nie ma problemu z uczestnictwem w uroczystościach publicznych, ofiarach, hymnach i pieśniach, które śpiewa się ku chwale Słońca.

Jedynie potomkowie Giovanniego, którzy są chrześcijanami, tworzą osobną sektę i nie chcą uczestniczyć w kulcie państwowym, który określają jako bałwochwalczy. Są jednak bardzo nieliczni i nawet nie są zbyt dobrymi chrześcijanami, ponieważ posiadają własne opinie, często niezgodne z dogmatami świętego Kościoła katolickiego.

Po pierwsze, nie wierzą oni, by Jezus Chrystus miał naturę boską, lecz został bogiem przez wniebowzięcie lub zespolenie z boskością. Twierdzą też, że zanim przyjął naturę ludzką, by pracować nad misterium naszego zbawienia, był on tylko aniołem, a dokładnie najdoskonalszym z aniołów, którego Bóg obdarzył pełnią łaski i wybrał na swego syna spośród wszystkich jego współtowarzyszy, aby uczynić zeń narzędzie zbawienia człowieka. W tym celu dał mu żelazną łaskę, by zwyciężył nieprzyjaciół, poniżył potęgę piekielną i wraz z Wybranymi zatryumfował nad diabłem, światem i ciałem. Zaprzeczają jednak, jakoby był on bogiem odwiecznym, *a parte ante*, jak mówią w szkołach. Uważają, iż z własnej swej natury był on jedynie stworzonym aniołem, od kiedy zaś został człowiekiem, jest także bogiem z woli Boga, który podarował mu wszystką potęgę Nieba i Ziemi, wziął go za syna i kazał zasiąść po swej prawicy, co miało być oznaką władzy, jaką otrzymał.

Owi biedni heretycy próbują usprawiedliwić swe błędy próżnym rozumowaniem, zaprzeczając przynajświętszemu misterium Trójcy albo postrzegając je w sposób zupełnie inny niż dobrzy katolicy. Poza tym bowiem, iż zaprzeczają odwiecznej boskości Syna Bożego, mówią też, że przez Ducha Świętego należy rozumieć jedynie porozumienie między Ojcem a Synem, a także moc, która z nich obu wypływa, aby wzmocnić wiernych, podtrzymywać Kościół i rządzić światem. Co do reszty, uznają oni niemal wszystko to, co Kościół rzymski, jak czyściec, modlitwę za zmarłych, obcowanie świętych, znaczenie dobrych uczynków i wiele innych doktryn katolickich.

Jednakże nie wierzą w misterium Przenajświętszego Sakramentu Ołtarza i twierdzą, że jest to jedynie ceremonia ustanowiona przez Jezusa Chrystusa na wspomnienie Krzyża oraz przymierza, jakie nawiązał z tymi, którzy weń wierzą i starają się naśladować przykład, który pozostawił ludziom. W ten sposób wypowiadają się o świętej Eucharystii, w czym, jeśli się nie mylę, podobni są kalwinistom i innym heretykom, których mamy w Europie. Co prawda odprawiają oni mszę w sposób podobny do naszego i zachowali niemal wszystkie ceremonie Kościoła katolickiego i rzymskiego.

Owi chrześcijanie południowi, których od imienia ich mistrza moglibyśmy zwać giovannitami, mają taką zaletę, że wielce czczą papieża i jednogłośnie twierdzą, że jest on największym z biskupów chrześcijańskich i prawdziwym następcą świętego Piotra. Twierdzą wszakże, iż nie wszyscy chrześcijanie są mu winni posłuszeństwo, choć mają obowiązek go szanować. Niektórzy zapewniają jednak, że z chęcią ujrzeliby go jako głowę ich Kościoła, gdyby tylko mogli mieć odeń jakąś pomoc w powiększaniu ich sekty na Łądzie Południowym. Zdają sobie jednak sprawę, że jest to prawie niemożliwe ze względu na znaczną odległość, jak również na prawa Sewarambii, które zabraniają dzielenia władzy duchownej i świeckiej, jak to czynią chrześcijanie.

Liczba giovannitów nie przekracza dziesięciu lub dwunastu setek na cały naród i niemal wszyscy zamieszkują w Sewarindzie, w osmazji, która została im przydzielona, by mogli przebywać razem i wspólnie modlić się na swój sposób, nie czyniąc niepokoju. Mają swego biskupa i kilku księży, którzy odprawiają obrządki. Otaczają ich wielką czcią i darzą ich szacunkiem godnym ich urzędów. Są oni jedynymi, którzy unikają zgromadzeń i ofiar składanych Słońcu, choć bez skrupułów uczestniczą w święcie Kodimbasion, ponieważ – jak twierdzą – zostało ono ustanowione ku czci prawdziwego Boga.

Pytałem czasem giovannickich księży, czy nie próbowali kiedy nawrócić Sewarambian na wiarę katolicką, na co odpowiadali, że usiłowali wielokrotnie, jednak bez efektu. Ludy te są bowiem tak gorliwymi czcicielami Słońca i tak silnie wspierają się na ludzkim rozumie, że naśmiewają się ze wszystkiego, czego nauczają nas wiara, o ile nie jest to podparte rozumowymi dowodami. Zgodnie z tą maksymą uważają za dziwaczne święte misteria naszej religii i nazywają śmiesznym wszystko, czego ich ciemny umysł nie potrafi pojąć. Śmieją się z cudów, twierdząc, że muszą one mieć jakoweś naturalne przyczyny, choć efekty są w istocie zdumiewające i mogą uchodzić za cudowne. W naturze jednak wszystko dzieje się z godnie z uregulowanym porządkiem, zgodnie z dyspozycjami, które z góry znajdują się w rzeczach.

Ostatecznie księża ci uważają, iż nawrócenie owych biednych niewiernych jest prawie niemożliwe i o ile Bóg nie uczyni pośród nich jakiegoś wielkiego cudu, by podważyć ich rozumowanie i zwyciężyć ich niewiarę, nie ma co spodziewać się, że którykolwiek z nich zaprznie przyjąć wiarę chrześcijańską.

Ci sami księża dodają, iż od Giovanniego wywodzi się tradycja, zgodnie z którą Sewarias, oprócz wielkiego uwielbienia Słońca, ogromnym szacunkiem darzył także Mojżesza i Chrystusa. Uważał on, że byli oni co najmniej wielkimi ludźmi, którzy pozostawili po sobie piękne prawa i zasady, a także starali się wzbudzić w swych współczesnych umiłowanie i prawdziwy kult Boga i wyciągnąć ich ze zwierzęcego bałwochwalstwa. Dodawał też, że moralność Chrystusowa była czymś doskonałym dla naszego kontynentu, gdzie musiała naprawić zepsute obyczaje. Miała w sobie coś boskiego, gdyż przez doktrynę zmartwychwstania oraz kilka innych dążyła do bardzo dobrego celu, to jest złagodzenia pychy ludzi, przewyżczenia ich najdzikszych namiętności oraz ustanowienia pobożności, sprawiedliwości, umiarkowania i miłosierdzia.

Religię Mahometa określał za to jako świecką i zmysłową. Mawiał, że prowadziła do ignorancji, nikczemności i okrucieństwa, zaś jej zasadą była tyrania, prześladowania i niewierność. Jej najważniejsi twórcy to w istocie sekta chciwców, okrutników i zuchwalców, którzy posługiwali się fałszywą maską religii, aby wynieść się ponad innych i władać nieoświeconymi ludami jako bydłem. Jego zdaniem pragnęli oni uczynić ze swych wiernych niewolników oraz narzędzia własnej chciwości i pychy.

W taki sposób Sewarias wypowiadał się o mahometanach i im podobnych, co nie powinno dziwić, miał on bowiem dobre powody, by ich nienawidzić. W szczególności jednak widział w nich ludzi, którzy zawładnęli Persją, zaś jego przodkowie i on sam długo cierpieli skutki tyranii i okrucieństwa, jakie nakazuje ich religia.

Giovannici mówili także, że Giovanni poczynił wszelkie starania, by nawrócić Sewariasa na chrześcijaństwo, jednak nigdy nie udało mu się tego osiągnąć. Doczesny interes i próżne rozumowanie Sewariasa okazały się bowiem przeszkodami nie do pokonania. Sewarias był poza tym wielkim przeciwnikiem pogańskiej idolatrii, uznawał za śmieszne wszystkie bajki Greków i zwykł mawiać, iż udziwnili oni kult prawdziwego Boga, który z początku był wielce prosty, tysiącem przesądnych zmyśleń, które urągały nie tylko prawdzie, lecz i zdrowemu rozsądkowi. Dlatego też zabronił czytania i opowiadania tych mitów swym następcom i narodom, żeby nie doprowadziło to do zepsucia obyczajów i umysłów. Nazywał także bajkami dla dzieci i wymysłami starych bab wszystko, co mówi się o skrzatach, wrózkach, magach i czarownikach, mówiąc, że ludzie uwierzyli w te rzeczy z powodu oszustw pewnych osób, które wmówiły je pospólstwu, wykorzystując jego łatwowierność i ignorancję, aby je zdominować i panować nad jego sumieniem poprzez strach przed tymi zmyślonymi widmami.

Następcy Sewariasa poszli w jego ślady i w całym narodzie nie znajdzie się człowieka, który wiedziałby, co to czary, uroki i zjawy. Niemniej jednak widzieli je w chmurach, bowiem w czasach Sewarkimpsasa dostrzeżono w Sporundii całą

flotę, która zdawała się płynąć pod pełnymi żaglami w niebiosach. Wielu łamało sobie głowy nad tymi zwidami i nawet urzędnicy powzięli pewne obawy, wierząc, iż oznaczało to nadejście jakiejś prawdziwej floty, która mogłaby spustoszyć ich wybrzeża.

Na wszelki wypadek przeniesiono dwie armie z Sewarambii do Sporundii i wyekwipowano wszystkie statki dla obrony kraju, w razie gdyby został on zaatakowany przez obce siły. Minęły wszakże dwa lata od czasu ukazania się widziadła i żadna flota nie przybyła. Środki zaradcze okazały się zatem zbędne. Mędracy długo poszukiwali naturalnych przyczyn owego zjawiska, lecz nie potrafili ich odgadnąć. Dwadzieścia lat później ponownie ujrzano okręty na niebie, tym razem jakoby walczące ze sztormem. Wydawało się nawet, iż kilka z nich zatono. Dostarczyło to ludziom nowych powodów do zdumienia, a literatom do filozofowania, jednak bez większego efektu niż za pierwszym razem.

Wreszcie, gdy już niemal zapomniano o całej sprawie, przybył statek z Persji, przywożąc młodzieńców, którzy udali się w podróż na nasz kontynent. Podczas przeprawy napotkali sztorm, który omal nie kosztował ich życia, właśnie w tym czasie, kiedy dostrzeżono ów zwid w Sporundii. Niektórzy porównali czas i sposób, w jaki opowiadano o tym fenomenie z burzą, na którą natknęli się podróżnicy, jak również powietrzne statki z flotą okrętów z Europy, którą widzieli na morzu krótko przed sztormem. Na tej podstawie uznano, iż to, co widziano w niebiosach, było właśnie odbiciem zdarzeń na oceanie, zaś obiekty naziemne i nawodne odbijają się czasem w chmurach niczym w zwierciadle. Obłoki, dokonując swego rodzaju refrakcji, przenoszą otrzymywane obrazy w inne miejsce na ziemi, będące w opozycji względem kąta padania światła, które oświetlało te obiekty.

Wyjaśnienie to zostało powszechnie uznane za wielce prawdopodobne i rozwiało wszelkie tajemnicze myśli na ów temat. Sewarambianie nie będą już w przyszłości obawiać się podobnych zwidów, jeśli pojawią się nad Sporundią czy gdziekolwiek indziej. Prawda, że miasto to znajdowało się w rozsądnej odległości od morza, na równinie u podnóża wysokich gór Sewarambii, było zatem odpowiednio położone, by mogły się tam zdarzyć podobne widziadła, szczególnie od czasu, gdy Niderlandczycy i inne narody tak często przepływają przez ocean do Indii Wschodnich, Chin i Japonii.

Wydaje się, iż wiele zdarzeń, które widzieliśmy na niebie Europy, na którym zwiadywały się walczące armie, piechota, kawaleria, sztandary, mogło mieć podobną przyczynę. W chwili gdy chmury ukazywały nam taki spektakl, otrzymywały go z innego miejsca, gdzie faktycznie toczyły się bitwy, które oglądaliśmy w przestworzach. Niech każdy wierzy, w co sobie życzy, co do mnie, uważam, że Sewarambianie dokonali rozsądnego osądu i że nie ma tak wielu tajemnic, ile prosty lud sobie wyobraża.

Choć jednak Sewarambianie nie widzą już nic tajemniczego w owych przywidzeniach, to wierzą jednak, że powyżej dolnych partii powietrza znajdują się niewidoczne dla nas substancje składające się z materii tak subtelnej, że nasze toporne oczy nie są w stanie ich dostrzec. Istnieje nawet w Sewarindzie sekta ludzi, którzy chwalą się, iż nawiązali kontakt z mieszkańcami świata żywiołów. Twierdzą, iż są oni wielce liczni i mogą stać się widzialni za pomocą skondensowanego powietrza, które pobierają z niższych partii przestworzy, by uczynić zeń sobie swego rodzaju odzienie.

Większość jednak uważa te opowieści za śmiechu warte urojenia, a tych, którzy je głoszą, za ludzi o spaczony wyobraźni, pragnących rozpowszechnić swoje mrzonki pod pretekstem tego zmyślonego kontaktu. Mówi się nawet, że pierwszy z twórców owej sekty wywodził się od jednego z kapłanów Strukarasa, o którym wspominaliśmy. Za pomocą cudownego kamienia, który przechodził w jego rodzie z ojca na syna od czasów osławionego szalbierza, miał on czynić swą twarz rozświetloną, niby to promieniejącą niebiańskim światłem. Nie ośmielał się twierdzić, jak Strukaras, że rozmawiał ze Słońcem, ponieważ religia Sewariasa zaprzeczała takiej możliwości, mówił jednak, że miał kontakt z ludem żywiołów, a czasem nawet wznosił się w przestworza, gdzie wraz z nim zażywał rozkoszy nieskończonej słodszej niż wszystko, czego człowiek może zaznać na ziemi.

Aby dodać swym mrzonkom pozorów prawdy, posługiwał się, na wzór Strukarasa, owym cudownym kamieniem. Wkładał go sobie w usta, co stopniowo pogrążało go w letargu tak głębokim, że przez godzinę lub dwie wydawał się martwy. Po tym czasie budził się i kiedy powstawał z ziemi, z jego oblicza emanowało jakby boskie światło oślepiające wszystkich, którzy nań spoglądali, nikt więc nie potrafił znieść jego wzroku. Wmawiał im wówczas, że jego dusza została przeniesiona w powietrze, do ludów żywiołów, wśród których zaznawał niewypowiedzianych rozkoszy.

Za sprawą owego kamienia uzyskał aurę świętości pośród tych, którzy nie całkiem jeszcze porzucili religię Strukarasa, oraz ustanowił wśród nich przekonanie, które liczni wciąż podzielają, o istnieniu ludu żywiołów, które czasami rozmawiają z ludźmi. Miałyby one być zbudowane z substancji czystszej i bardziej duchowej niż nasza. Jednakże w czasach Sewaristasa wykryto owo szalbierstwo. Podczas gdy oszust pozostawał w letargu, jeden z Sewarambian, który udawał jego zagorzałego zwolennika, aby odkryć prawdę, zauważył w jego ustach kamień, wyjął go i zabrał. Szalbierz nie mógł potem wykonywać swych czarów, zaś dzięki doświadczeniom odkryto, iż kamień ów posiada właściwości usypiające oraz wywołuje niezwykle rozświetlenie oczu i twarzy u osób, które trzymały go w ustach. Uważa się, że jako pierwszy posłużył się nim Strukaras i dzięki temu udało mu się uchodzić za proroka, a później dążyć do najwyższej władzy, którą ostatecznie uzyskał, jak się przekonamy w ostatniej części niniejszej relacji.

Chociaż oszustwo tego, który posługiwał się kamieniem, by wmówić ludziom bajkę o kontaktach z mieszkańcami żywiołów, zostało odkryte, to jednak zachował on pewną wiarygodność wśród swych wyznawców. Przepęłała ich ta wiara bowiem od wczesnego dzieciństwa, była dla nich czymś miłym i obiecywała im wiekiustą szczęśliwość pośród ludu żywiołów, której mieli dostąpić wyznawcy po śmierci.

Historia Sewarambian Część piąta i ostatnia

Gdy Sewarias i jego Parsowie przybyli do ziem południowych, zauważyli, iż tubylcy oddawali cześć Słońcu, lecz nie wszyscy zgadzali się co do sposobu, w jaki należało to czynić. Dzieliły ich różnorodne opinie, które wywołały długi ciąg wojen domowych między Strukarambianami a Prestarambianami. Ci ostatni chwalili się, że zachowali w czystości dawny kult Słońca i oskarżali drugich o herezję i mieszanie do religii mrzonek fałszywego proroka, zwanego przez jego lud Omigasem, zaś przez nich Strukarasem, które to słowo oznacza szalbierza.

Mówiono, że Omigas ów podawał się za syna Słońca i uwiódł niemal wszystkich mieszkańców kraju w promieniu stu mil od Sewarindy. Według relacji Prestarambian uzyskał aurę boskości dzięki rozlicznym oszustwom i fałszywym cudom. Miał on bowiem wiedzę o ziołach, z których pozyskiwał trucizny wielce subtelne, zabijające poprzez węch lub dotyk. Dzięki nim pozbywał się Strukaras tych, którzy stanowili przeszkodę dla jego planów. Posiadał także sekret leczenia niektórych chorób, co przysparzało mu wiele szacunku u tych nieuczonych ludów, które brały działanie natury za cuda i wierzyły, że jest on obdarzony boską mocą.

Najskuteczniejszym jednakowoż sposobem, jakim posługiwał się, by uwiarygodnić swe szalbierstwa, był wspomniany przez nas cudowny kamień. Mówi się, że zdobywszy go i rozpoznawszy jego właściwości, Strukaras postanowił wykorzystać go, by przekonać łatwowierny lud, iż obcuje ze Słońcem, które to jest jego ojcem. Wielu tym silniej wierzyło w jego słowa, ponieważ widzieli, jak po wybudzeniu z głębokiego snu, jego twarz jaśniała i nikt nie był w stanie spojrzeć w jego oblicze. Światło to miało tym większy efekt, że szalbierz był niezwykle pięknym mężczyzną oraz miał dar wysławiania się i mówienia rzeczy z takim wyrazem i wdziękiem, że oczarowywał wszystkich, którzy go otaczali.

Podobne sztuczki pozyskały niebawem szalbierzowi wiele uznania w oczach spóółstwa, które podążało za nim wszędzie ze ślepyim posłuszeństwem. Zdarzało mu się przekupywać ludzi, by udawali ślepców, kulawych lub dotkniętych rozmaitymi chorobami, których on jakoby uzdrawiał w imieniu Słońca. Aby jeszcze skuteczniej rozsiewać wieści wśród ludu, kazał niektórym z nich wędrować, rozpowiadając

o jego cudach i świętości, oni zaś nie omieszkali wyolbrzymiać zdarzeń na jego korzyść. Wiele niewiast podążało za nim, ponieważ był wielce przystojny, a tym, które skorumpował, polecił opowiadać, że rozmawiał poufale ze Słońcem na szczycie wysokiej góry, gdzie czasem spędzał całe miesiące. Tam wytresowane ptaki przynosiły mu owoce i mięsivo od jego uczniów.

Gdy pozyskał już sobie reputację wśród ludu, wmówił mu, że Słońce kazało mu udać się w święte miejsce, by tam codziennie składać mu ofiary za tak wielkie dobrodziejstwa, którymi obdarzało ludzi.

Do tego celu wybrał on wiecznie zielony las w głębi doliny, osłoniętej od niepogody i niedostępnej z jednej strony, bowiem stroma góra czyniła z niej ślepy zaułek. Tam, w gąszczu, wokół ogromnego, wiekowego drzewa, jakich niewiele znajduje się w tej krainie, uczynił on drewnianą świątynię, którą otoczył potrójną palisadą. Osiedł tam wraz z najbliższymi zwolennikami, których mianował kapłanami. Sam zaś z rzadka jedynie pokazywał się ludowi, aby wzbudzić jeszcze większą cześć i respekt. W owej świątyni lub w jej pobliżu składał każdego dnia ofiary Słońcu i przyjmował dary, które znoszono doń ze wszech stron. Dzięki nim Strukaras i jego współpracownicy żyli wygodnie, bez trosk, szanowani przez wszystkich, wmawiając ludowi, co im się tylko spodobało.

Jest w owej krainie gatunek orła o żółtym upierzeniu, który ze względu na ową barwę zwą „erimfroda”, co znaczy ptak słoneczny. Strukaras i jego zwolennicy znaleźli sposób, by oswoić wiele z tych ptaków w swym lesie, gdzie nikt nie ośmielał się wchodzić bez ich pozwolenia. Wypuszczali je często, a ludzie – widząc owe ptaki, zgodnie ze swym zwyczajem latające wysoko na niebie, później zaś przylatujące prosto do gaju – chętnie wierzyli, iż przynosiły one wiadomości od Strukarasa do Słońca i wracały z rozkazami i poleceniami. Kapłani umacniali te wierzenia, jak tylko mogli, utwierdzając lud w przekonaniu, że Słońce często kontaktowało się ze swym synem za pośrednictwem ptaków.

Mówili im ponadto, że gwiazda nakazała traktować ziemię, na której stała świątynia, oraz jej okolice, jako miejsce uświęcone. Aby żaden bezbożnik nie sprofanował świętości, miała zostać utworzona straż broniąca gaju dzień i noc na żołądzie samego ludu, który przecież otrzymał od Słońca życie i niezbędne dobra. Niebawem przyznano im prawo stworzenia takiej straży i Strukaras wybrał pewną liczbę ludzi, z których uczynił gwardzistów. Dzięki temu jego siła religijna zyskała wsparcie wojskowe.

Był on także uważnym obserwatorem pogody i pór roku, przewidywał często nadchodzące burze, deszcze, piękną pogodę i złe lata. Zanim nastała susza, która zniszczyła uprawy, przepowiedział ją ludowi i wmówił mu, że to niebiosy zesłały nań karę, bowiem wielu nie chciało podporządkować się rozkazom, które otrzymywał od

Słońca. W samej rzeczy było wśród ludu wiele osób rozumnych, w tym wodzowie; poznali się oni na oszustwach Strukarasa i nie mieli zamiaru ustąpić przed jego wołą ani przyjąć zabobonów, które planował wprowadzić do ich religii. Nie śmieli jednak sprzeciwić mu się otwarcie z obawy przed masami, nad którymi ów szalbierz panował dzięki swym fortelom i fałszywym cudom.

Na nieszczęście dla narodu jego przepowiednia się sprawdziła i susza zniweczyła wszystkie plody ziemi. Lud tym większym podziwem darzył Strukarasa i wierzył święcie, iż to niesubordynacja wodzów ściągnęła nań karę boską. Strukaras nie zmarnował tak pięknej okazji, by zrujnować swych wrogów. Przekonał on tych, którzy byli posłuszni jego partii, że jeśli nie wygnają buntowników i bezbożników, coraz silniej odczuwać będą gniew jego Ojca, który co roku będzie palił owoce, trawy i ziarno, którymi żywili siebie i swe dzieci.

Łatwowierni motłoch, zwiedziony przez szalbierza i rozsierzdzony na domniemanych bezbożników, przyrzekł Strukarasowi wygnać ich na zawsze z ojczyzny, jeśli tylko zechce mu wskazać winowajców.

Wymienił więc miana wodzów narodu, którzy się mu sprzeciwiali, wskazując ich jako przyczynę cierpienia ludu. Dodał, że jeśli nie okażą skruchy lub nie opuszczą kraju, ściągną na swój lud jeszcze sroższe klęski. Tamci próbowali usprawiedliwić się przed masami, dowodząc, iż szli w ślady przodków tak w sprawach religii, jak i obyczajów, nic w nich nie zmieniając. Jeśli zaś nie chcieli przyjąć Strukarasowych nowinek, to dlatego że nie wydawało im się, by ten był obdarzony jakąkolwiek prawomocną władzą zmieniania prawa ojców i wprowadzania nowych doktryn do wiary przodków. Gdyby jednak potrafił udowodnić im swą władzę, podporządkowałyby mu się jak inni i uznali go za syna Słońca. Argumenty te powstrzymały na chwilę furję ludu i kilku posłańców przekazało Strukarasowi, że powinien wpierw wysłuchać wodzów, zanim wygna z ojczyzny osobistości tak znaczne. Jeśli zaś upierać się będą w niewierze, gdy już ukaże im dowodnie swą moc, wówczas będzie mógł ich sprawiedliwie skazać na banicję.

Strukaras wysłuchał tej propozycji, zdał się z nią zgadzać i rzekł, że w sprawie tej wagi nie może dać odpowiedzi, nie skonsultowawszy się uprzednio ze swym Ojcem. W tym celu miał złożyć nadzwyczajną ofiarę i wysłać latających posłańców, którzy przyniosą mu rozkazy Słońca na tę okoliczność. Odpowiedź ta zadowoliła wszystkich i na czas jakiś uspokoiła umysły, a przynajmniej wstrzymała gniewną rękę ludu.

Kilka dni później Strukaras złożył uroczystą ofiarę w obliczu całego zgromadzenia i w jego obecności posłał do nieba słoneczne ptaki, rozkazując, by jak najszybciej powróciły i oznajmiły mu wołę Ojca. Zgodnie ze swym zwyczajem ptaki wzleciały ku Słońcu tak wysoko, że stracono je z oczu. Parę godzin później powróciły i usiadły na ramionach Strukarasa, który zaniósł je do świątyni, jakoby w tajemnicy wysłuchać

tego, co miały mu od Ojca przekazać. Za chwilę wyszedł do zgromadzonego w uroczystym wyczekiwaniu ludu i oświadczył, że z woli Słońca, jeśli w ciągu dwudziestu dni oskarżeni stawią się w świętym gaju, będą mogli wysłuchać argumentów Strukarasa. Jeżeli wciąż nie będą chcieli się pogodzić z jego władzą, wówczas udowodni swą potęgę nowym cudem, który przekona ich, chyba że celowo odrzucą świadectwo niebios. Propozycja ta, choć podejrzana, została przyjęta przez tych, do których ją skierowano. Ponieważ wszyscy uważali ją za rozsądną i nie dało się jej odrzucić bez wzbudzania gniewu motłochu, przyrzekli, iż w wyznaczonym czasie udadzą się do wskazanego miejsca, aby zbadać dowody Strukarasa.

Naonczas szalbierz kazał wykopać w lesie wielki rów i wypełnić go materiałami palnymi, po czym przykryć go tak dokładnie, by nie dało się odkryć, iż ziemia była w tym miejscu wzruszona. Następnie polecił umieścić tam rośliny, by zakryły miejsce zakopania materiałów oraz nieco terenu wokół. W końcu kazał postawić tam krzesła dla wszystkich, którzy mieli brać udział w zgromadzeniu, przy czym połowę krzeseł nad dołem, a połowę obok, pozostawiając między nimi przestrzeń. Tak zmyślnie wszystko urządził, by specjalnie stworzoną ścieżką dało się dostać do materiałów i podpalić je, zaś pociągnięcie mechanizmu uszkadzało konstrukcję podtrzymującą pokrycie dołu.

W wyznaczonym dniu zaproszone osoby nie omieszkały znaleźć się w lesie, a Strukaras zaprowadził je do miejsca, które dla nich przygotował. Swoich ludzi usadził na krzesłach, które stały na pewnym gruncie, zaś przeciwników ponad dołem. Gdy wszyscy usiedli i czekali już tylko na niego, dołączył do zgromadzenia i rozpoczął dysputę z tymi, którzy sprzeciwiali się jego doktrynie. Każdy swobodnie wygłosił swoje argumenty i wszystkie aspekty zostały poddane zapalczywej dyskusji. Strukaras posłużył się całą swą elokwencją, by przekonać adwersarzy, iż faktycznie jest synem Słońca, a jego doktryna i cuda, których dokonał, były rezultatem posłuszeństwa wobec świętych rozkazów gwiazdy.

Widząc jednak, że druga strona obstawała przy swej niewierze i domagała się pewnych dowodów jego władzy, powstał i wznosząc ręce ku niebu, poprosił Słońce, by dokonało cudu, który udowodni prawdziwość jego słów. Niech otworzy się ziemia pod jego stopami, by go pochłonała, jeśli skłamał w choć jednej rzeczy, lub niech ukarze w taki sam sposób niedowiarków.

Ledwo skończył to wezwanie, gdy wyznaczeni pomocnicy uszkodzili szkielet, na którym siedzieli jego przeciwnicy i wszyscy ci niewinni ludzie spadli do dołu, z którego zaraz począł się dobywać gęsty dym i płomień, które spopielity umieszczone tam rośliny i drewno. Dzięki temu ohydnemu podstępowi Strukaras pozbył się swych najzagorzalszych nieprzyjaciół i jeszcze bardziej umocnił swą pozycję w wyobraźni ludu przez ów domniemany cud.

Znalazło się jednak wielu, których to szalbierstwo nie przekonało i którzy pozostawali przy swych dawnych zapatrywaniach. Strukaras kazał zmasakrować znaczną część z nich, w końcu jednak, lękając się, iż zbytne okrucieństwo może ściągnąć nań nienawiść, zamiast wzbudzać lęk, oznajmił, że ci, którzy nie chcą podporządkować się woli Ojca, mają wycofać się za góry oddzielające Sewarambię od Sporundii. Wielu wołało dokonać takiego wyboru, niż zmienić swe wyznanie. Biedni ci nieszczęśnicy zostali zmuszeni do opuszczenia ojczyzny, gdzie ryzykowali okrutną śmierć. Gdy już nikt nie śmiał sprzeciwić się szalbierzowi, podwoił on swą straż i ogłosił się wodzem całego narodu, który od jego imienia przybrał miano Omigarambian aż do czasów Sewariasa. Stanąwszy na ich czele nie poczuł się bezpiecznie, dopóki nie uniemożliwił wszelkich kontaktów ze swymi przeciwnikami. Tamci przeszli góry i, jak już mówiliśmy, osiedli w kraju, który obecnie nazywa się Sporumbią i rozciąga się wzdłuż wybrzeża oceanu, na północy i wschodzie Sewarambii.

Przekonał więc swych poddanych, by ruszyli na wojnę przeciw nim, aby zasiał między tymi ludami wieczną niezgodę. Tamci, widząc atakujących Strukarambian, postanowili się bronić i w tym celu wybrali na swego wodza dzielnego człowieka imieniem Prestar, którego nazwali Prestarasem i od którego wzięli miano Prestarambian.

Człek ów był zręcznym dowódcą, bronił swych nowych poddanych i wielokrotnie wyparł nieprzyjaciół aż za góry, dziesiątkując wrogów. Wzmogło to tylko nienawiść między oboma ludami i sprawiło, że wszelkie porozumienia stały się niemożliwością.

Tymczasem Strukaras dzierżył władzę absolutną dzięki sztuczkom i fałszywym cudom, przekonując swych poddanych, iż był synem Słońca i jedynym dysponentem jego woli. Zyskał w ten sposób nimb boskości i jeszcze przed śmiercią zaczęto zanosić doń modły, jako do jedynej osoby zdolnej pozyskać łaskę niebios. Nie pokazywał się już ludowi i od kiedy wiek osłabił jego ciało i zniweczył piękno, zwracał się doń wyłącznie za pośrednictwem kapłanów. Po długim panowaniu, poczuwszy się stary i zgrzybiały, przeczując rychły koniec, rozpuścił wieść, iż niebawem wstąpi na niebios, by połączyć się ze swym Ojcem i nie będzie już w sposób widomy kontaktował się ze swymi poddanymi. Nie omieszka jednak często przybywać do leśnej świątyni, gdzie oznajmiać będzie wolę Słońca oraz dawać świadectwo nieustannej pieczy, w jakiej ma swoich wiernych. Pod jego nieobecność władać nimi będzie jego syn oraz kapłani, aż spodoba mu się w pełni odsłonić przed poddanymi swe zamiary.

Gdy wieść ta rozniosła się pośród ludu i przygotowała go do posłuszeństwa, przedstawił mu swego syna, którego przyjęli za swego wodza. Ludność wyraziła swój żal i cierpienie z powodu odejścia Strukarasa, jednak on pocieszył ją obietnicą rychłego powrotu.

Kazał swemu synowi i uczniom wydrążyć wielkie drzewo pośrodku lasu, gdzie miało spocząć jego ciało, gdy tylko wyzionie duszę, co też nastąpiło kilka dni później.

Jednak nie powiadomiono ludu o jego śmierci aż do pewnego dnia, gdy na niebie pojawiły się przerażające grzmoty i błyskawice. Wykorzystano ową burzę, by wmówić ludowi, że oto Strukaras wstępuje do nieba, z którego wszakże czasem będzie powracał, by ogłosić wolę Słońca. Od tego czasu oddawano mu boską cześć, składano ofiary, a gdy napotkano jaką szczególną trudność, czy to w sprawach religijnych, czy państwowych, błagano go, by zeszedł z niebios i oznajmił wolę swego Ojca w danej kwestii. W tym celu jeden z kapłanów wchodził do wnętrza wydrążonego drzewa i wypowiadał się jako wyrocznia na wszystkie tematy, tak jakby był Strukarasem.

Gdy tylko znalazła się jakowaś piękna dziewczyna wśród ludu, kapłani zawsze przekonywali jej rodziców, że syn Słońca spojrzeł na nią życzliwym okiem. Aby uczynić ją naczyniem świętości, miał on zejść z niebios i złączyć się z nią, zbierając pierwsze kwiecie jej młodości (tak bowiem się wyrażali). Dodawali, że jeśli rodzice i dziewczę mają prawdziwą wiarę i przyjmą ów zaszczyt z szacunkiem i pokorą odpowiednimi do okoliczności, boski Strukaras nie omieszką wypełnić jej łona świętym owocem, który przyniesie błogosławieństwo niebios całej rodzinie. Jeśli w ten sposób uświęcona dziewica porodzi syna, stanie się on jednym z kapłanów służących gwieździe dziennej. Jeśli urodzi córkę, będzie to święte dziewczę, a człowiek, który ją poślubi, będzie mógł szczycić się powinowactwem z samym boskim Strukarasem. Taki związek łączyłby się z wieloma innymi korzyściami, poza najwyższym szczęściem, jakie powinna odczuwać oblubienica boga.

Łatwowierny i zabobonny lud tak chętnie wierzył tym pięknym obietnicom, że nie było ojca ni matki, którzy nie radowaliby się, gdy okazało się, że ich córka spodobała się synowi Słońca. Dlatego też ze wszystkich zakątków kraju prowadzono do leśnej świątyni najpiękniejsze dziewczęta, by ofiarować je i poświęcić Strukarasowi.

Gdy kapłani wybierali jedną z dziewczyn, pozbawiali ją świeckiego odzienia, zastępując je uświęconym, gdy już została obmyta w kąpieli z aromatycznego ziela. W przeddzień nawiedzenia dziewicy przez Strukarasa składano ofiary, z towarzyszeniem różnych pieśni, aby zechciał zstąpić z niebios i pojąć skromną i świętą dziewicę, która ofiarowała mu swoje dziewictwo. Po owych ceremoniach pozostawiano dziewczynę samą ze starym kapłanem, który rozbierał ją do naga i uczył ją przybierania mnóstwa lubieżnych póz przed ołtarzem, aby zachęcić Strukarasa do objęcia jej w posiadanie. Gdy ona dokonywała wszystkich tych nieczystych ceremonii, inni kapłani, którzy odeszli, by zostawić ją samą ze starym kapłanem, kryli się za zasłoną, spoza której mogli widzieć całą świątynię, nie będąc widzianymi. Stamtąd zadawali swe rozpustne oczy widokiem młodej osoby. Następnie ciągnęli losy, który pierwszy ją wykorzysta.

Z zapadnięciem nocy prowadzono dziewczę w specjalnie w tym celu urządzone ciemne miejsce, gdzie kazano jej położyć się na łożu i z wielką czcią oczekiwać

nadejścia swego niebiańskiego kochanka. Jakiś czas później wytwarzali jakoby błyskawice, które oślepiały dziewczynę i wprawiły ją w respekt i zdumienie. Po nich następował sztuczny grzmot, aby wypełnić ją podziwem i bojaźnią. Dzięki temu uważała ona te efekty za oznaki zbliżania się jej chwalebne go kochanka. Tymczasem to uperfumowani kapłani zbliżali się wśród mroku, by połączyć swą fałszywą boskość w jakże prawdziwym człowieczeństwem łatwowiejnej i pobożnej dziewicy. Następnie przetrzymywano ją do momentu, aż stała się brzemienną. Wtedy to oddawano ją rodzicom, którzy przyjmowali ją pełni szacunku i pokory.

Ohydne te praktyki odprawiano pośród tych zaczarowanych ludów do dnia, gdy Sewarias odsłonił przed nimi szalbierstwa Strukarasa i jego kapłanów. Jednakże ci, których nie podporządkował swej władzy, aż do dzisiaj zachowują te obrzydliwe zwyczaje.

Do tego oszustwa, wymyślnego po to, by zaspokajać ich żądze, kapłani dodawali kolejne, stworzone po to, by zaspokoić swe okrucieństwo na ludziach, którzy im w jakiś sposób podpadli lub których intelekt zdawał im się podejrzany. Domagali się w imieniu Strukarasa, by owi nieszczęśnicy zostali poświęceni Słońcu. Twierdzili, że grzechy ludu tak bardzo rozgniewały bóstwo, że jedynym sposobem uspokojenia go było poderżnięcie gardeł nieszczęsnym ofiarom, aby w ich krwi obmyć grzechy narodu i zachować łaskę Strukarasa.

Syn szalbierza władał przez kilka lat po jego śmierci, jednak jego własny nagły zgon uniemożliwił mu wyznaczenie następcy. Spowodowało to podziały wśród kapłanów i nieomal wszystkich ich zgubiło, bowiem nie mogli się zgodzić co do sukcesji. Ponieważ jednak przebywali w miejscu, do którego nikt prócz nich nie ośmielał się zapuszczać, udało im się całą rzecz ukryć aż do chwili porozumienia.

Istniały dwie frakcje, którymi kierowali dwaj najznacniejsi kapłani. Wszystkie inne partie ustąpiły przed tymi dwiema i po przyłączeniu się do nich doprowadziły do impasu. Każda partia upierała się przy swoim i żadna ze stron nie chciała ustąpić drugiej w najmniejszej sprawie. Ostatecznie, po wielu dyskusjach, postanowili rozejść się i zbudować nową świątynię w innym miejscu kraju i poprzez los zdecydować, która z frakcji opuści pierwotną siedzibę, by w nowym miejscu ustanowić podobny kult. W ten sposób rozwiązawszy konflikt, przekonali lud, iż Strukaras wybrał miejsce na drugą świątynię, by lud nie musiał tak daleko chodzić do miejsca kultu. Kapłani wybrali więc inny las, z wielkim drzewem tego samego gatunku, gdzie zbudowali nową świątynię, otoczyli ją palisadą i przenieśli tam połowę duchowieństwa.

Gdy tylko się osiedlili, złożyli ofiary i zaczęli rządzić tak samo jak w pierwszym lesie, zaś Strukaras przybywał, by wygłaszać swe wyrocznie, podobnie jak w dawnej świątyni.

Od tego czasu świątynie wielce się rozmnożyły, a Strukaras znajdował się w każdej z nich i w wielu różnych miejscach głosił wyroki w tym samym czasie. Nikt jednakże

nie uznał tego za dziwne ani nawet nie ośmielił się wspomnieć o tym, przez wzgląd na nędzny los wielu już nieszczęśników. Wszyscy uznali, że lepiej milczeć, niż sprzeciwiać się nadużyciom usankcjonowanym już przez czas, obyczaj i fałszywe cuda.

Temat ów skłania mnie do opowiedzenia historii, którą Sewarambianie znają z tradycji i której pamięć dokładnie zachowali. Mawiają oni, że po śmierci Strukarasa jego następcy, by umocnić religię religii i uczynić ją bardziej czcigodną, fingowali cuda i tworzyli nowe ceremonie. W tym celu posługiwali się wszelkimi fortelami, jakie przychodziły im do głowy, byle tylko przydać wiary tym przesadnym innowacjom. Najwięcej wślawił się tym niejaki Sugnimas, który chwalił się, że rozmawia ze Strukaraszem i otrzymał odeń dar prorokowania i czynienia cudów. Nie był kapłanem, lecz tajnym wysłannikiem leśnej świątyni, mającym za zadanie wmówić ludowi, że rozmawia poufale z synem Słońca i otrzymuje odeń moc czynienia rzeczy ponadnaturalnych.

Jako że on oraz jego mocodawcy dokładnie obserwowali pogodę i pory roku, podobnie jak Strukaras, przepowiadał on nierzadko burze i piękną pogodę, dobre i słabe zbiory. Czasem zdarzało mu się sprawić, by uschły drzewa należące do ludzi, których podejrzewał o sprzeciw wobec jego doktryny. Mawiał wówczas: „Jeśli głoszę prawdę, niechaj drzewa tego czy tamtego uschną w ciągu trzech dni. Jeśli zaś łżę, niechaj sam wyschnę za karę!“. Zanim jednak wygłosił tę kłatwę, wiedział już, że drzewa uschną z powodu wody mineralnej, którą rozlał u ich korzeni. Jego słowom zawsze więc towarzyszył skutek, ku wielkiemu zdumieniu łatwowiernego i przesadnego motłochu.

Posługiwał się także innym płynem, by uczynić ciało niepalnym i dokładnie się nim natarłszy, śmiało chodził po rozżarzonych węglach i przechodził przez płomień bez ryzyka poparzeń. Dowiedziono później doświadczalnie, iż czerpał ów płyn z ciał niektórych węży, których wielką liczbę można znaleźć u stóp pewnej stromej skały w górach Sporundii, która skierowana jest na południe. Bestie te, z natury wielce zimne, przebywają w tym miejscu ze względu na ogromne gorąco skał rozgrzanych słońcem. Skała ta jest bowiem lita i wklęsła i tworzy coś na kształt zwierciadła. Sugnimas zauważył, iż węże ogromnie lubią upaść i zapragnął sprawdzić, czy są w stanie przeżyć w ogniu. Po pierwszym udanym doświadczeniu rozpałił wielki stos w miejscu, gdzie było najwięcej węży i nie bez zdumienia spostrzegł, że te, które poczuły żar, przypelzały ze wszech stron, by z rozkoszą tarzać się wśród rozpalonych węgli. Nie płonęły, przeciwnie, nabywały nowych sił. Nie były jadowite ani niebezpieczne, więc śmiało brał je w ręce.

Przyszło mu do głowy sprawdzić, czy ich tłuszcz nie uczyni drewna niepalnym. Zabił zatem kilka gadów i natarł nimi kije, które wrzucił do ognia. Okazały się równie niepalne, co kamień. Następnie wykonał eksperymenty na żywych stworzeniach i w końcu na sobie. Odkrył, że wszystko, co dokładnie natarł cieczą pozyskaną z węży,

stawało się niewrażliwe na ogień. Zachował to odkrycie w tajemnicy i zdradził je tylko leśnym kapłanom, którzy postanowili wykorzystać je jako cud, aby wzmocnić wiarę Strukarasową. Pozyskali więc sobie Sugnimasa, podzielili się z nim bogactwami i uczynili zeń swego wysłannika, który czynił cuda wśród ludu.

Ponieważ jednak ostatecznie wszystko wychodzi na jaw, sekret Sugnimasa został w końcu odkryty przez pewnego młodzieńca. Był on w kontakcie z żoną Sugnimasa, którą irytowało, że mąż brał udział w rozkoszach, jakie miały miejsce w leśnej świątyni. Postanowiła zatem zaznać z kochankiem przyjemności, jakiej rzadko zaznawała z mężem. Młodzieniec, którego wybrała, należał do jednej z rodzin, które nie wierzyły w doktrynę Strukarasa i tylko udawały wiarę, pragnąc uniknąć losu Prestarambian.

Pozyskał sobie serce tej kobiety do tego stopnia, że zdradziła mu wszystkie sekrety męża. Wyjawiała mu jego konszachty z kapłanami i sposoby, dzięki którym czynił swe cuda, nade wszystko zaś ten, który pozwalał mu kroczyć przez ogień bez szwanku. Młodzieniec przeprowadził eksperymenty i zobaczył, iż jego kochanka nie oszukała go, a on mógł w ten sposób dokonać takich samych cudów jak Sugnimas i odsłonić przed wszystkimi szalbierstwa fałszywego proroka przy najbliższej okazji.

Chwila ta nastąpiła niedługo później, gdy oszust miał, w dzień świąteczny i w przytomności całego ludu, rzucić się na rozżarzone węgle, by usankcjonować nową ceremonię, wymyśloną przez leśnych kapłanów. Wszystko zostało przygotowane, Sugnimas wygłosił przemowę ku czci boskiego Strukarasa, poprosił o jego wsparcie, wyraził pragnienie doszczętnego spopielenia, jeśli powiedział cokolwiek niezgodnego z prawdą i kultem Słońca, i jego syna. Następnie rzucił się w płomień, po czym wyszedł z nich cały i zdrowy, co wzbudziło powszechny podziw i respekt w umysłach zgromadzonych. Jeden tylko młodzieniec wiedział o jego szalbierstwach oraz dwóch lub trzech przyjaciół, którym je wyjawił. Natarł się dokładnie ciecżą z węży i to samo polecił swym towarzyszom, aby zdemaskować oszustwa Sugnimasa. Gdy ów szelma zakończył swe przedstawienie, młodzieniec zwrócił się do ludu, domagając się jego uwagi, którą otrzymawszy, przemówił tymi słowami:

– Dokonałeś, o Sugnimasie, wielkiego cudu, aby umocnić doktrynę Strukarasową i chwalisz się, że to od niego otrzymałeś ową nadnaturalną moc. Odpowiedz, czyś jedyne, który został nią obdarzony, czy inni także dostąpili podobnej łaski?

Szalbierz, uważając się za jedynego posiadacza sekretu, nie podejrzuwając wcale afrontu, jaki chciano mu uczynić, odparł zuchwale, że jemu jednemu boski Strukaras nadał zdolność przechodzenia przez ogień, aby tym cudownym znakiem wzmocnić jego doktrynę.

– A gdyby inni – odparł młodzieniec – także uczynili taki cud, by ukazać ludowi, który zwodzisz, że jesteś jeno oszustem, a twoja doktryna fałszem? Czy ów lud nie

miałby wówczas powodu uważać, iż wszystkie te domniemane cuda to szalbierstwa, a twoja doktryna została zmyślona po to, by go uwieść i odciągnąć od prawdziwego kultu Słońca, który ty i tobie podobni ośmieszają tysiącem przesądów?

Sugnimasa zaskoczyło to pytanie, jednak musiał odpowiedzieć, a nie spodziewał się, że ktokolwiek mógł odkryć jego tajemnicę. Odparł zatem bez wahania, że w istocie lud słusznie mógłby zwątpić w jego cuda i doktrynę, gdyby inni potrafili dokonać tego samego, co on, by dowieść innej racji. Dodał jednak, że nie wierzy, by było to możliwe i wyzywa wszystkich ludzi na świecie, by dowiedli jego oszustwa. Wówczas to młodzieniec, zdejmując odzienie, oznajmił wszem i wobec, że zamierza udowodnić, iż Sugnimasa jest fałszywym prorokiem, szelmą i oszustem. Jeśli jego świadectwo nie jest prawdą, niechaj płomienie spopielą go do szczytu. Rzekłszy to, rzucił się w ognisko, w którym tarzał się długo i wyszedł zeń w końcu nietknięty, bez nijakich oparzeń, ku ogromnemu zdziwieniu ludu i jeszcze większemu Sugnimasa. Aby jeszcze bardziej go pogrążyć, zaproponował, że wybierze zaraz kilku spośród swoich, by przeszli podobną próbę, chyba że Sugnimasa zaraz wyzna swe kłamstwa.

Tamten nic nie odrzekł, wobec czego młodzieniec powiedział, że po tej czyś łatwo poznać, że przestępstwo Sugnimasa zajmowało go tak bardzo, że nie potrafi odpowiedzieć. Aby tym mocniej udowodnić jego winę, przywołał trzech swoich towarzyszy, by dokonali takiego samego cudu. Ich ciała zostały przygotowane w taki sam sposób jak jego, więc jeden po drugim ruszyli w płomienie i wyszli z nich cało. Awantura ta wprawiła Sugnimasa w rozpacz i przysporzyła wiele zmartwień leśnym kapłanom. Wiedząc, że coraz więcej ludzi zaczynało wątpić w ich cuda i dość otwarcie na ten temat szemrało, stwierdzili, że mogą stracić władzę, jeśli nie wzmocnią jej jakimś wielkim fortem, fatalnym dla ich przeciwników. Naradzili się zatem wspólnie i w końcu znaleźli sposób, by się zemścić i odzyskać pozycję.

Las, w którym Strukaras kazał zbudować świątynię, leży w długiej dolinie, zamkniętej z jednej strony wysokimi, stromymi skałami. Ciągną się one ku równinom, przez co w tej urokliwej dolinie panuje wieczna wiosna. Dolina zwęża się w stronę gór i kończy się u stóp wielkiej skały w kształcie muszli, z której wypływają liczne źródła. Dwieście kroków dalej wody te zbiegają się, tworząc rzekę, która przecina dolinę na dwie części. Wylewa czasem i nawadnia ziemię, utrzymując tam ogromną obfitość owoców i zieleni. Świątynia położona jest o jakie sto kroków poniżej miejsca zbiegu wód, na lekkim wzniesieniu, obrośniętym drzewami tworzącymi przyjemny gaj.

Z początku Strukaras zadowolili się otoczeniem świątyni potrójną palisadą, jednak później poprowadzono podobne umocnienia przez całą szerokość doliny, od jednego zbocza do drugiego, aby uniemożliwić ludowi dostęp. Dzięki temu kapłani mieli na wyłączność cały fragment doliny od palisady aż do skały, z której wypływają owe piękne źródła tworzące rzekę. U stóp jednej ze skał znaleziono znaczne ilości kredy lub

glinki, która w kontakcie z wodą zabarwia się na czerwono. Leśni kapłani postanowili posłużyć się nią, by uczynić nowy cud, który przekona ludzi, że ich przeciwnicy ściągnęli na siebie gniew niebios, podrabiając cuda, których nie wolno im było naśladować.

Z początku nie wystąpili przeciw młodemu człowiekowi i jego towarzyszom. Przeciwnie, zdawali się podziwiać moc, której publicznie dowiedli, twierdząc, że z pewnością spłynęła na nich łaska Strukarasa, której jednak użyli być może w niewłaściwy sposób. Oświadczyli, że rozmówią się w tej sprawie z synem Słońca, aby odróżnić prawdziwych proroków od fałszywych. Złożyli więc nadzwyczajne ofiary i błagali Słońce o uczynienie cudów, który mogłyby rozwiązać ich wątpliwości i wskazać właściwy sposób postępowania w tej sprawie tak trudnej i najeżonej sprzecznościami. W tym samym czasie nagromadzili wielkie ilości czerwonej glinki, którą roztarli na proszek i zanurzyli w naczyniach z wodą, które mogli łatwo opróżnić do rzeki.

Gdy wszystko było gotowe, oznajmili ludowi, że na próżno przez kilka dni błagali boskiego Strukarasa, by objawił im swą wolę. Zapałał on gniewem przeciw całemu ludowi i zagroził mu surowymi karami za jakowyś grzech, który popełniono. Później jednak objawił się ponoć arcykapłanowi i rzekł, że za kilka dni dokona cudu, który uwiadomi lud, co winien uczynić. Rozpuściwszy tę wieść, pod osłoną ciemnej nocy wylali wodę z czerwoną glinką z naczyń do rzeki, zabarwiając jej wody na kolor krwi.

Wody te są na ogół bardzo czyste i zdrowe, a ponieważ przepływają u stóp świątyni, kapłani już dawno temu przekonali lud, że są one uświęcone i posiadają wiele tajemnych właściwości. Z tego względu ludzie z okolic czerpali z rzeki, a latem wszyscy pragnęli się w niej wykapać. Gdy ci, którzy mieli zwyczaj czerpać wodę o poranku, ujrzeli, że zmieniła kolor na szkarłatny, rozpuścili jak najprędzej nowinę wśród ludu. Kapłani udali wielkie zdziwienie tym nowym cudem i oznajmili, że należy zapytać o to Strukarasa, złożyć kolejne ofiary i spróbować poznać przyczynę zmiany tak dziwnej i niespodziewanej.

Tymczasem lud, zmuszony czerpać wodę gdzie indziej, choć nie była w połowie tak zdrowa ani smaczna, znalazł się w kłopotcie i uwierzył we wszystko, co próbowano mu wmówić. Po trzech dniach kapłani oświadczyli oczekującym masom, że boski syn Słońca, wzruszony w końcu ich uniżonymi modlitwami, zechciał oznajmić, że woda nie straci koloru krwi ani śmiertelnej trucizny, jaką zawiera, dopóki nie wleje się do źródła rzeki krwi tych, którzy podrobili cuda Sugnimasa. Dodali, że owi bezbożnicy otrzymali łaskę czynienia cudów w dobrym celu, lecz wykorzystali ją w nieczny sposób, dlatego też miała ona stać się przyczyną ich klęski lub całkowitego zniszczenia ludu. Do ludzi właśnie należało zdecydować, którą drogę wybierze: poświęcić te zbrodnicze dusze, by ukoić gniew bóstwa, czy będzie pokornie oczekiwać jego zemsty i unicestwienia całego narodu.

Motłoch nie wahał się ani chwili i natychmiast posłano po czterech młodzieńców, którzy odsłoniли szalbiertwa Sugnimasa. Oddano ich w ręce kapłanów, którzy poddawszy ich najokrutniejszym torturom, jakie byli w stanie wymyślić, poderżnęli im gardła i wrzucili ciała do rzeki. Niedługo później wody odzyskały swój zwykły kolor i czystość, ponieważ nie wlewano już do nich barwnika, który je plamił. Wmówiono ludowi, że zmiana ta była wynikiem ofiary złożonej boskiemu synowi Słońca, którego gniew ukoilo natychmiastowe posłuszeństwo jego świętej woli. Lud tym chętniej uwierzył, że to gniew Strukarasa zmienił kolor rzeki, że panowało powszechne przekonanie, że sama rzeka była jego dziełem. Dolina miałaby być niegdyś ogromnie sucha, a on uczynił cud i, uderzając stopą w skały, sprawił, że popłynęły wody ze źródeł pod nimi.

Tradycja ta bierze się stąd, iż Strukaras zmienił bieg owej rzeki, która trzydzieści kroków od źródła wpadała w przepaść lub kanał podziemny, skąd wypływała jakie cztery mile dalej, choć nikt tego nie zauważył. Jednak bystry Strukaras prędko zdał sobie z tego sprawę i umiał zręcznie posłużyć się tymi obserwacjami na swoją korzyść. Gdy już osiedlił się w lesie i otoczył świątynię potrójną palisadą, rozpuścił wieść, iż jego ojciec pragnie dokonać wspaniałego cudu, aby uczynić wygodniejszą siedzibę syna. Cud ten miał ukazać całemu narodowi potęgę, jaką Słońce dało swemu potomkowi, a także troskę, jaką otaczało tych, którzy szczerze i prawdziwie wierzyli w jego doktrynę. Następnie Strukaras kazał zbudować tamę, zdolną odwrócić bieg wód od przepaści i skierować je do koryta, które poprowadzono wzdłuż doliny.

Wybrał niezwykle suche lato, aby wyraźniej widać było efekt jego cudu. Gdy nadszedł dzień, wziął ze sobą wielu uczniów i poprowadził ich w głąb doliny, gdzie postawiono wcześniej tamę. W ich obecności uderzył stopą w kamień, który umieszczono na niewielkim wzniesieniu naprzeciw kanału. Kamień przetoczył się i uwolnił wody rzeki, które popłynęły korytem i użyźniły całą dolinę. Stąd wzięła się pogłoska, iż Strukaras kazał wodzie wytrysnąć ze skały, uderzając w nią nogą, zaś jego uczniowie tak skrzętnie rozpowiadali o jego wyczynie, że wersja ta została niebawem przyjęta przez wszystkich wyznawców. Od tego czasu kapłani częstokroć przekierowywali rzekę z powrotem do pierwotnej przepaści, gdy pragnęli ukarać lud i wmówić mu, że Strukaras się nań gniewa. Nierzadko posługiwali się tym sposobem, by ustanowić kolejne zabobony, gdy ludzie stawiali im opór.

Prestarambienie aż do dziś zachowują pamięć o tych wydarzeniach i uważają za chwalebnych męczenników owych czterech młodzieńców, których okrutnie zmasakrowano za zdemaskowanie szalbiertwa Sugnimasa.

Od tego czasu nikt już nie ośmielał się podważać władzy leśnych kapłanów i mogli oni swobodnie czynić cuda i wmawiać łatwowiernemu i przesądnemu ludowi, co tylko im się spodobało. Nie znajdowali przeszkód dla swych planów, a najmędrsi

i najbardziej oświeceni, choć widzieli ich oszustwa, najmniej się im sprzeciwiali, lękając się nienawiści i okrucieństwa kapłanów.

Ponieśli oni wszakże jeszcze jedną dotkliwą klęskę, gdy pewna dziewczyna spaliła im świątynię i wygubiła przez to wielu z nich. Prestarambianie również zachowali tę historię, w której wychwalają odwagę i niezłomność dwojga męczenników, którzy sami zadali sobie śmierć, by wywieść w pole swych prześladowców. Oto mniej więcej, jak opowiadają o tych zdarzeniach.

W czasach siódmego następcy Strukarasa żyła znakomita rodzina, mieszkająca niedaleko od leśnej świątyni i zachowująca dawny kult Słońca, choć politycznie udawała poparcie dla herezji Strukarasowej. Była wśród nich młoda dziewczyna o imieniu Ahinomé, którą przeznaczono młodzieńcowi z tego samego rodu, zwanemu Dionistarem. Byli oni siebie godni i od najwcześniejszych lat zauważono między nimi wzajemne upodobanie, które jednoczyło ich serca i czyniło pragnienia zbieżnymi. Ich namiętność z każdym dniem przybierała na sile i już niebawem śluby miały uwieńczyć miłość, którą czuli od dzieciństwa, gdyby starsze siostry Ahinomé nie stanowiły przeszkody w zaspokojeniu ich pragnień. Nie były bowiem jeszcze zamężne, a prawa kraju nie pozwalały, by młodsze córki wychodziły za mąż przed starszymi.

Trudności te, które jedynie czas i cierpliwość mogły przezwyciężyć, nieraz wrywały westchnienia z piersi dwojga kochanków. Ahinomé osiągnęła już dwudziesty rok życia, a żadna z jej starszych sióstr jeszcze nie była zamężna. Pierwsza jednak wyszła za mąż niedługo później i rozmawiano już o ślubie kolejnej, po którym miało nastąpić wesele Ahinomé, gdyby jej zły los nie zadecydował inaczej.

W czasie, gdy żywiła największą nadzieję na rychły ślub z Dionistarem, pech chciał, że jeden z leśnych kapłanów zakochał się w niej bez pamięci. Nie dał jednak poznać po sobie owego uczucia, sądząc, iż jedynym sposobem na posiadanie jej było zażądanie Ahinomé dla Strukarasa, zgodnie z od dawna przyjętym obyczajem. Nie była ona nadzwyczajnie piękna, lecz wrodzona wesołość i dowcip dodawały jej uroku. Prawda, iż była dość pięknej figury, postawy męskiej i majestatycznej, a w rozmowach dawała poznać tyle zdrowego rozsądku i cnoty, że zalety te czyniły ją bardziej godną miłości niż delikatność cery i rysów, które sprawiają, że puste piękności nadają się tylko do oglądania.

Jej ukochany był młodzieńcem wielkiej siły i odwagi, obdarzonym solidnym umysłem i nadzwyczajną mocą duszy. Zgodność charakterów tych dwojga była najmocniejszym spoiwem ich serc poza długotrwałym przywiązaniem, które czyniło ich sobie wielce bliskimi.

Kapłan, który zakochał się w Ahinomé, wiedział od dawna, podobnie jak wszyscy, że młodzi zamierzają się pobrać. Z obawy, że kochankowie wezmą ślub, a on na zawsze zostanie pozbawiony możliwości posiadania Ahinomé, postanowił uczynić wszystko, co w jego mocy, by zapobiec grożącemu mu nieszczęściu. Wyjawił zatem

swoje zamiary towarzyszom, błagając ich o wsparcie w sprawie, od której zależało jego szczęście. Bez trudu przekonał ich do pomocy i postanowili wysłać trzech spośród siebie jako deputację do ojca Ahinomé, aby zażądać dziewczęcia w imieniu Strukarasa, któremu – jak twierdzili – miała szczęście się spodobać.

Ojca zdumiało to niespodziewane żądanie i już miał im odmówić. Uznał jednak, że i tak zmuszą go do ustąpienia córki domniemanemu synowi Słońca, a gwałt ten przyniósłby ruinę jego domowi. Odparł więc ostrożnie, iż Ahinomé z dawna już była przyrzeczona Dionistarowi, jednak nie miał wątpliwości, że przedłoży ona swój obowiązek nad namiętność i będzie wolała zostać oblubienicą bóstwa niż śmiertelnika. Dodał także, iż tym chętniej okaże posłuszeństwo nakazom niebios, że będzie mogła potem poślubić Dionistara. Niemniej jednak, ponieważ od dawna była zaręczona z Dionistarem i już miała zań wyjść, rozkaz taki może się dla niej okazać zdumiewający i bolesny, wobec czego prosił kapłanów o kilka dni zwłoki na przekonanie córki do posłuszeństwa.

Mądra ta odpowiedź zadowoliła wielce posłańców, którzy przyznali mu dziesięć dni na przekonanie córki, by oddała swą cnotę dziewczą boskiemu Strukarasowi. Niedługo później zręczny ojciec uwiadomił delikatnie córkę i jej ukochanego, w jak smutnym położeniu się znaleźli. Cała rodzina drżała, lecz dwójka kochanków się wściekła. Dionistar już się zabierał, by pójść do lasu i wymordować wszystkich kapłanów, których uda mu się znaleźć. Ahinomé wykazała nie mniejszą popędliwość, przysięgając wobec swego ojca, braci i ukochanego, że prędej ścierpi najgorsze tortury i śmierć samą najstraszliwszą, niżli zgodzi się na podobną infamię. Najrozsądniejsi z jej krewnych pochwalili jej postanowienie i uradzili, iż sprytem lub siłą należy uniemożliwić kapłanom uczynienie z Ahinomé ofiary ich ohydnej rozpusty.

Gdy pierwszy odruch gniewu minął i ustąpił pewnemu uspokojeniu poczęli radzić nad sposobami zręcznego wywinięcia się z tej matni. W końcu zgodzono się z radą przyjaciela Dionistara, którą uznano za najlepszą wobec grożącego niebezpieczeństwa. Rzeka on, iż w pobliżu swego domostwa odkrył był tajemną grootę, skrytą w skale, u podnóża której płynęła rzeka w dolinie. Woda w tym miejscu była nader głęboka, czyniąc skałę niemal niedostępną od tej strony. Dodał, iż przez przypadek odkrył tę kryjówkę, gdyż bardzo lubił łowić ryby i nader zręcznie nurkował i chwycił gołymi rękami ryby w dziurach, w których często się chowają. Pewnego dnia udał się w to miejsce i podczas nurkowania znalazł był otwór skale, przez który się przedostał i ujrzał wielką, naturalną jaskinię, oświetloną przez inny otwór, znajdujący się na wysokości czterech ludzi ponad rzeką. Z ciekawości postanowił obejrzeć całą grootę i przekonał się, że jest wielce przestronna, a z drugiej strony wyjść z niej można na okrągłą polanę, otoczoną stromymi skałami i z każdej strony niedostępnymi. Na owej polanie, która miała może rzut kamieniem średnicy, znalazł on wiele drzew,

niektóre spróchniałe, inne w sile wieku, jeszcze inne całkiem młode. Dodał także, iż woda z rzeki sięgała dość głęboko do wnętrza groty, z której wypływało lodowate źródło, gdzie złowił mnóstwo ryb. Z tego względu nie opowiedział nikomu o tym miejscu, aby zachować je sobie na wyłączność, łowić ryby i wieść słodkie marzenia w odosobnieniu i chłodzie.

Opisawszy zgromadzonym tę jaskinię i jej wygody, poradził Dionistarowi i Ahinomé, by się w niej ukryli. Obiecał też dostarczyć im wszystko, co niezbędne do życia, gdyby zechcieli przez jakiś czas pomieszkać w tej samotni, zanim uda im się przekroczyć góry i udać się do Prestarambian. Rada ta znalazła poklask całego zgromadzenia, szczególnie zaś odważnej Ahinomé, która rzekła, iż z chęcią wyrzeknie się towarzystwa ludzi, by udać się na wygnanie do tej groty, a nawet do najbardziej przerażających miejsc, byle tylko uniknąć infamii z rąk kapłanów, którzy pragnęli wykorzystać ją pod pretekstem fałszywej wiary i udawanej pobożności. Dodała, że jest gotowa ukryć się w tej jaskini i spędzić tam resztę swych dni, nawet gdyby jej kochanek nie miał śmiałości jej towarzyszyć. Słowa te wzburzyły Dionistara, który natychmiast odparł, że wielką krzywdę mu czyni, wątpiąc w jego odwagę i stałość, bowiem po dowodach wierności i miłości, jakie jej dał, myśl taka była dlań obraźliwa, zaś byłoby wstydem dla mężczyzny okazać mniej hartu ducha niż niewiasta, szczególnie w sytuacji, gdy ona okazywała tak wielką odwagę z miłości do niego.

– Zaprzestańcie wzajemnych zarzutów – rzekł oschle ten, który wystąpił z radą – jesteście siebie godni, myślcie tylko o sposobach wprowadzenia planu w życie.

Następnie ustalono, że młodzi uciekną za trzy dni, pod osłoną nocy, tymczasem zaś przyjaciel Dionistara przygotowuje ich kryjówkę.

Jednakże zakochany kapłan stale wyrzucał swym towarzyszą, jak słabo się starali zaspokoić jego namiętność. Wskazywał, że przez tak długi czas, jaki dano ojcu Ahinomé, łatwo może ona stracić kwiat dziewictwa, bez czego nic go nie obchodziła, bowiem nie miał zamiaru korzystać z resztek po Dionistarze. Jego podejrzenia były tym słuszniejsze, że wiedział, iż cała rodzina Ahinomé tylko pozornie przyjęła doktrynę Strukarasa. Przedstawił te argumenty kapłanom i przekonał ich, by z silną eskortą towarzyszyli mu do siedziby dziewczyny, aby zażądać jej, podczas gdy przygotowywała się do ucieczki.

Otoczyli dom i odparli tym, którzy pytali o powody takiego postępowania, że czas przyznany ojcu Ahinomé był zbyt długi, boski Strukaras okazał gniew i zalecił im, pod groźbą straszliwych kar, przyprowadzić mu upatrzoną dziewczinę. Próżno starano się ich przekonać, kapłani dali dziewczynie trzy godziny na przygotowanie. Zdążyła zapewnić kochanka, że zachowa mu wierność, podpali leśną świątynię przy pierwszej okazji i jeśli Dionistar przybędzie jej wówczas na pomoc ze swymi przyjaciółmi, podąży za nim wszędzie.

– Uczyń to, Dionistarze – rzekła – gdyż to jedyne, co nam pozostało. Powstrzymaj swój gniew, posłuchaj głosu rozsądku i bądź pewien, że dopóki żyję, będę żyć tylko dla ciebie, a najstraszliwsza śmierć będzie mi po stokroć słodsza od życia nieczystego i zbrodniczego.

Po tych słowach resztę czasu wykorzystwała na przygotowanie się na podróż do świątyni. Postanowiła tak dokładnie skrywać swe prawdziwe uczucia, by kapłani nie domyślili się jej zamiarów. Powiedziono ją do gaju ze zwykłą w takich razach pompą. Przyjęto ją w świątyni i ulokowano tak jak inne. Z jej oblicza i słów wydawało się, że wielce rada jest z zaszczytu, jaki czynił jej boski Strukaras. Wszyscy kapłani uwierzyli, że w istocie radowała się, iż niedługo złączy się z boskim synem Słońca. Podobnego zdania był zakochany w niej kapłan i cieszył się, widząc ją w dyspozycji, która przekraczała jego oczekiwania. Powinszował sobie powodzenia jego zamiarów i czekał na chwilę, w której będzie mógł zaspokoić swą brutalną namiętność do osoby, którą kochał na zabój.

Trzeba jednak było przez kilka dni jeszcze dopełnić zwyczajowych ceremonii, musiał zatem czekać na ich zakończenie, by osiąść uroczą Ahinomé. Pohamował więc swe pragnienia aż do dnia, gdy stary kapłan miał powieść ją przed ołtarz, aby poprosić Strukarasa o zstąpienie z niebios. Wówczas Ahinomé, świadoma rozpustnych pozycji, jakie musiały przyjmować dziewice poświęcone fałszywemu prorokowi, brzydząc się w głębi duszy wszystkich tych nieczystości, lecz spodziewając się, czego od niej zażądają, odrzekła z udawanym wytęsknieniem, iż niczego innego nie pragnie, niżli złączyć się z boskim synem Słońca. Nie mogła jednak przyjąć go, ponieważ na nieszczęście dopadła ją niedyspozycja właściwa jej płci. Prosiła więc wobec tego o jeszcze kilka dni zwłoki, by czysta i godna oddała się swemu niebiańskiemu kochankowi. Odpowiedź ta, którą stary kapłan rozumiał doskonale, dała jej czas, którego potrzebowała. Postanowiła podłożyć ogień pod świątynię i prędzej zginąć, niżli zadowolić ohydne żądze tych szalbierzy.

Tymczasem Dionistar, zebrawszy wiernych przyjaciół, czekał już tylko na umówiony sygnał. Wówczas mieli się rzucić na kapłanów i porwać Ahinomé przemocą, jeśli okaże się to konieczne.

Dziewczyna nie omieszkała, ciemną nocą, podpalić swego łoża oraz podłożyć ognia w dwóch innych miejscach świątyni. Niebiosa jej sprzyjały, bowiem parę godzin wcześniej zerwał się wichur, który rozniósł płomień na całą świątynię. Nastąpiło wielkie poruszenie wśród kapłanów, niektórzy spłonęli w swych łożach, zanim udało się im z nich wydostać, inni nago umykali w las, w panice i osłupieniu. Najrozsądniejsi próbowali gasić pożar, który strawił już większą część drewnianej budowli. Pomimo ich starań w ciągu kilku godzin płomień oczyścił to zbrukane miejsce.

Wielu ruszyło ku bramom palisady i otworzyło je, wołając o pomoc. W tym zamieszaniu Ahinomé uciekła w pola, przez nikogo niezauważona. Tymczasem Dionistar i jego ludzie jako pierwsi stawili się u bram świątyni pod pretekstem pomocy w gaszeniu ognia. Szukał on wszędzie swej ukochanej, lecz nie znalazłszy jej, uznał, że zginęła w pożarze. Wówczas furia zagarnia jego duszę, wzywa swych przyjaciół słowem i dając przykład, uderzeniami maczugi masakruje wszystkich kapłanów, których napotka. Jatka była ogromna, a byłaby jeszcze sroższa, gdyby Ahinomé, wiedząc, że ukochany ruszy na jej poszukiwania, nie zauważyła jego oddziały, gdy chowała się za drzewem. Podeszła więc wreszcie do kilku z ludzi Dionistara, mówiąc, że wyszła z lasu i czeka już tylko na niego, by razem uciec. Gonią z nowiną do rozsierzonego Dionistara, który zaraz zwołuje ludzi, wychodzi z okręgu palisady i zabiera ze sobą ukochaną. Gdy wszyscy się zebrali, pozostawiając własnemu losowi ocalałych kapłanów, umknęli w las i w pośpiechu udali się do miejsca, gdzie na kochanków miała czekać gotowa kryjówka.

Dzień po owej straszliwej nocy ukazał wielkie zniszczenia, jakie pożar uczynił w świątyni, oraz zwłoki martwych kapłanów, na których Dionistar i jego towarzysze zaspokoili swą żądzę zemsty. Zanim weszli w obręb palisady, wysmarowali swe oblicza czernidłem, które przygotowali specjalnie w tym celu. Skrywało ono ich twarze tak dokładnie, że diabły raczej przypominali niżli ludzi. Ocalali kapłani przypominali sobie, iż widzieli jakichś przerażających ludzi, jak mordowali wszystkich, których napotkali na swej drodze. Jednak przez zamieszanie oraz pomalowane oblicza nie byli w stanie żadnego z nich rozpoznać.

Tymczasem cały okoliczny lud zebrał się w gaju i oglądał smutny spektakl, nie odgadując przyczyny tak straszliwej klęski. Każdy sam szukał przyczyny, jednak ostatecznie ojciec Ahinomé przekonał większość ludu, iż to demony dokonały owego spustoszenia. Jednakże kapłani, otrząsnąwszy się z osłupienia, rozumowali inaczej i wszystko dokładnie zbadali. W końcu, czy to drogą podejrzeń, czy też kilku uzasadnionych zbiegów okoliczności, uznali, iż to Ahinomé i jej kochanek, których nigdzie nie było, stali za ich nieszczęściem. Umocnili się w tej wierze i rozesłali rozkazy ku góróm Sporumbii, aby uważnie strzec wszystkich przejść i zatrzymać Dionistara i Ahinomé, jeśli spróbują przedostać się tą drogą do Sporumbii.

Tymczasem odważna dziewczyna i jej szlachetny kochanek znaleźli wszystko przygotowane w swej kryjówce. Osiedli tam i z błogosławieństwem swych krewnych skonsumowali długą i wierną miłość. Kontaktowali się jeno z człowiekiem, który przygotował był dla nich owo schronienie i od czasu do czasu dostarczał im wszystko, co niezbędne. Żyli w ten sposób przez pięć lat, nie wychodząc ze swej groty i byli szczęśliwi, bowiem Dionistar całe swoje szczęście widział w wiernej mu Ahinomé, zaś ona w nim pokładała swoje.

Stopniowo przywykli do życia w samotności, co przez pierwszy rok wydawało im się nieco nużące. Nuda jednak rozviała się później dzięki owocom, jakie przyniosła ich miłość. Każdego roku Ahinomé rodziła dziecię, które z rozkoszą karmiła i wychowywała, podczas gdy Dionistar wprawiał się w uprawie niewielkiej polany obok jaskini. Zorał ziemię i posadził w niej rozmaite warzywa i inne pożywne rośliny. Rosnące w okolicy drzewa dostarczały im tyle drewna, ile potrzebowali, zaś rzeka i źródło w grocie dawały wielkie ilości ryb. Dzięki temu oraz rzeczom, które im od czasu do czasu dostarczano, cała rodzina żyła w dostatku.

Zbudowali wielką chatę na odkrytym terenie, by nie musieć żyć pod ziemią, gdzie wilgoć i mrok nie były ani tak zdrowe, ani tak przyjemne jak życie na świeżym powietrzu. Wygody tego miejsca i bliskość rodziny, od której mieli stale wieści, sprawiały, że dobrze im się żyło i nie myśleli już wcale, by poprzez góry przedostać się do Sporumbii. Postanowili resztę swych dni spędzić w tym słodkim odosobnieniu, gdzie zapewne mogliby żyć szczęśliwie, gdyby los, zazdrosny o ich szczęście, nie przerwał go, wskutek pewnego wypadku, pięć lat po ich osiedleniu się w jaskini.

Kilku młodzieńców poświęcało swój czas na polowanie na pewne zwierzęta, które zowią się „darieba”. Są one rodzajem dzikich kotów, jednak ich mięso jest delikatne, a futro niezwykle gęste. Odkryli oni znaczną liczbę tych zwierząt na skałach otaczających kryjówkę Dionistara i jego rodziny. Pragnienie zabicia tych zwierząt zmusiło młodzieńców do wdrapania się na owe niemal niedostępne skały, gdzie spodziewali się obfitych łowów. Wspięli się więc i ścigając zwierzynę, dotarli w pobliże kotliny Dionistara. Zauważyli, że dobywa się z niej dym, choć nie widzieli ognia. Zdumiało ich to i zaciekawiło, zaczęli więc szukać źródła dymu. Ze szczytu skały ujrzeli ognisko, nad którym Dionistar i jego żona piekli mięsiwo. Obserwowali ich przez czas jakiś, nie będąc widzianymi i nie czyniąc hałasu. Następnie udali się do swoich, by opowiedzieć o mężczyźnie, jego żonie i dzieciach, którzy żyli samotnie pośród stromych skał, choć nikt nie wiedział, jak udało im się dostać do tak odosobnionego miejsca.

Nowina prędko rozeszła się wśród ludności, wielu pragnęło na własne oczy zobaczyć to, co im opowiadano. W końcu ktoś rozpoznał Dionistara i Ahinomé. Kapłani także zwiedzili się o tym odkryciu, co ożywiło ich pragnienie zemsty na kochankach za zniwagę, jakiej doznali przy pożarze świątyni. Zebrali zatem najgorliwszych łajdaków pośród swych wiernych i udali się, by ze wszech stron opasać teren, na którym widziano kochanków. Ponieważ jednak kotlina była trudno dostępna ze względu na jej głębokość i stromiznę otaczających ją skał, wszystko, co mogli uczynić, to posłać w ich kierunku kilka strzał, które nie czyniąc im nijakiej szkody, uwiadomiły ich jeno o niebezpieczeństwie. Skryli się zatem w grocie i stale się strzegli przed nieprzyjaciółmi.

Kapłani jednak dniem i nocą knuli swą zemstę i w końcu wymyślili machinę, zbudowaną z powiązanych korzeni drzew, dzięki której ludzie mogliby zejść na porzucone przez Dionistara pole. Nie dało się jednak tego uczynić w taki sposób, by Dionistar i Ahinomé tego nie spostrzegli, zaczęli więc myśleć nad obroną. Gdy zobaczyli, że tamci opuszczają machinę z pięcioma zbrojnymi, ukryli się za niewielką skałą w pobliżu miejsca, gdzie mieli wylądować. Stamtąd poczęli szyc do nich z łuków, kilku trafili, resztę zaś dobili na dole. Szlachetna Ahinomé z ǳie męską odwagą wspierała męża, bez ustanku pomagając mu zabijać tych, którzy odważyli się ich zaatakować. Próżne wysiłki rozniewały kapłanów niepomiernie. Zażądali od swoich ludzi, by bardziej się postarali i nie ǳierpieci, że bezbożni tryumfują nad wielką przewagą wiernych, którzy próbują zmyć zniewagę uczynioną oltarzom. Aby ich jeszcze bardziej zachęcić, nie omieszkali obiecać im łaski Strukarasa i nagród niebieskich, którymi obdarowuje on tych, którzy go miłują i mu służą.

Owe napomnienia i obietnice pobudziły zapal wielu ludzi, którzy chętnie zgodzili się wykonać wszystkie rozkazy kapłanów. Postanowiono więc zbudować wiele podobnych maszyn, lepiej osłoniętych niż poprzednie, i spuścić je wszystkie jednocześnie, bowiem Dionistar i jego małżonka nie mogli być we wszystkich miejscach naraz. Nie będąc w stanie oprzeć się takiej sile wrogów, musieliby się w końcu poddać lub zginąć. Zamiar ten wykonano i Dionistar, który przewidział takie posunięcie i przygotował się doń, musiał wycofać się do swej groty, której wejście było bardzo wąskie. Zamknął je całkowicie. Posłużył się w tym celu wielkimi kamieniami i kłodami drewna, które zbierał, podczas gdy nieprzyjaciele przygotowywali się do ostatecznego szturm, który uczynił ich panami kotliny.

Gdy ludzie kapłanów zeszedli i już sądzili, że trzymają kochanków w garści, by poświęcić ich zemście kapłanów, z wielkim zdumieniem stwierdzili, że nigdzie ich nie ma. Długo szukali pośród drzew i skał, nigdzie nie mogli ich jednak znaleźć. Nie zniechęceni się i przystąpili do dokładnego przeszukania, dzięki czemu znaleźli wreszcie dziurę, przez którą kochankowie uciekli do jaskini. Próbowali się przebić przez barykadę, ale brakło im odpowiednich narzędzi. Zadowolili się więc pozostawieniem kilku ludzi na straży i kazali się wciągnąć na górę, aby zdać kapłanom sprawę i wspólnie z nimi radzić o dalszych planach.

Kapłani, przekonawszy się, że nieprzyjaciele znów im uciekli, a barykada broniła ich przed wszelkimi torturami, które dla nich umyślili, po długich rozważaniach uznali, że musi być w tej górze jakaś grota, do której kochankowie się wycofali. Może były zatem także inne wejścia niż to w kotlinie. Z tą myślą nakazali wielu swym zelotom przeszukać teren wokół góry, co też uczyniono w ciągu kilku dni. Nie znaleziono wszakże żadnego otworu, przez który można by przedostać się do wnętrza góry. Przekonało to kapłanów, że jedynym sposobem dostania się do środka

jest zniszczenie postawionej przez Dionistara bariery. Jeśli zaś nie udałoby się tego dokonać, niechybnie kochankowie pomarliby z głodu w swej kryjówce. Posłano więc ludzi do kotliny, gdzie za pomocą lewarów mieli zburzyć barykadę. Składała się ona jednak z tak wielu głazów i polan ułożonych w poprzek, że nie dało się uczynić przejścia do jaskini, w której kochankowie skryli się przed przemocą. Po wielu próżnych wysiłkach postanowiono zatem trzymać bezustanną wartę przez otworem i zagłodzić nieszczęśników w ich grocie, jeśli nie zechcą się poddać po dobroci.

Dionistar i Ahinomé, przewidując, że ich zapasy nie wystarczą na długo, stwierdzili, że nie umkną z rąk nieprzyjaciół, którzy skażą ich na najgorsze tortury, jeśli tylko ich pochwyć. Rozumieli także, że staliby się częścią triumfu dumnych i bezlitosnych kapłanów, zaś myśl ta zmartwiła ich więcej niżli sama śmierć. Pozostawały im resztki nadziei, że przyjaciele przybędą im z pomocą, jednak po kilku dniach, gdy nikt nie przybył i ujrzeli po drugiej stronie rzeki nieprzyjaciół bez ustanku okrążających ich górę, by zapobiec ucieczce, pogodzili się ze śmiercią.

Na szczęście ojciec Ahinomé zabrał do siebie wszystkie ich dzieci, z wyjątkiem wszakże najmłodszego, które było jeszcze przy piersi. Ocalenie ich potomstwa było dla kochanków ogromnym pocieszeniem, wiedzieli bowiem, że najcenniejsze owoce ich miłości umkną przed prześladowaniami nieprzyjaciół. Dzięki temu, myśleli, będą mogli żyć w nich po swej śmierci, wbrew losowi, który przecinał ich żywot w kwiecie wieku. Nierzadko skarżyli się na okrucieństwo przeznaczenia, lecz nie widzieli na nie nijakiego remedium. Dali więc sobie wzajemne świadectwa miłości i czułości, po czym podjęli szlachetne postanowienie, że prędzej zginą, niż wpadną w ręce kapłanów. Ich śmierć stanie się świadectwem ich zbrodni i szalbierstw. Gdy tylko powzięli to postanowienie, poszukali sposobu na wprowadzenie go w życie.

Powiedzieliśmy, że jaskinia, w której się ukryli, od strony rzeki oświetlona była szerokim otworem, znajdującym się wysoko ponad wodą. Na brzegu owej dziury skała rozszerzała się na wszystkie strony, tworząc rodzaj platformy. Dionistar i jego żona wybrali to właśnie miejsce na scenę krwawej tragedii, którą postanowili odegrać w obecności wszystkich, których ten spektakl mógłby przyciągnąć. Zanieśli na tę platformę całe drewno, jakie im jeszcze zostało i ułożyli je w okrąg. Mieli zamiar spłonąć w środku ognistego kręgu, który sami podpalą. Wycięli trochę krzaków, by osłonić się przed wzrokiem napastników po drugiej stronie rzeki, która nie była w tym miejscu zbyt szeroka, choć wielce głęboka. Gdy tylko zauważyli, że ludzie się gromadzą, wezwali ich, by podeszli aż na brzeg rzeki, naprzeciw skalnej półki.

Kilku spośród tych, którzy krążyli wokół skał, zatrzymało się. Dionistar rzekł do nich, że na próżno starają się ich pochwyć, ponieważ do jaskini nie ma dostępu. Dopóki więc będą chcieli się bronić, ochroni ich ona przed wszelkimi zakusami

wrogów. Dodał jednak, że pragnie negocjować, więc poprosił, by zawiadomiono kapłanów, iż woli oddać się w ich ręce, niż zginąć w swej grocie.

– Powiedzcie im – rzekł – że mam niezwykle ważne rzeczy do zakomunikowania i gdy tylko je usłyszają, nie wątpię, iż przyjmą mnie łaskawie, pomimo zniewag, jakie im uczyniłem. Proszę więc, by przybyli najliczniej, jak mogą, aby stali się świadkami rzeczy, które chcę uczynić w ich obecności i wobec całego ludu, który z nimi przybędzie.

Ci, którzy go słuchali, posłali do kapłanów i swych towarzyszy, by strzegli brzegu rzeki naprzeciw Dionistara. Kapłani posłali wnet kilku swoich, by jak najłagodniej rozmówili się z Dionistarem i Ahinomé i powiedzieli, że jeśli żałują swych czynów, nie tylko unikną kary, lecz także zostaną łaskawie przyjęci. Posłańcy wywiązali się z polecenia i uczynili wszystko, by przekonać Dionistara co do szczerości ich obietnic i zdania się w ich ręce. On zaś udawał, że zgadza się z ich radą i rzekł, że jeśli za dwa dni przybędą wszyscy kapłani, powie im, w obecności ludu, rzeczy wielkiej wagi oraz odśłoni przed nimi swe ostatnie postanowienie.

Kapłani, w towarzystwie wielkich tłumów, nie omieszkali się znaleźć w wyznaczonym czasie nad rzeką. Dionistar, widząc ich wszystkich, zgromadzonych naprzeciwko jego jaskini, ukazał im się wraz z żoną karmiącą najmłodsze dziecko. Poprosił ich o ciszę, po czym przemówił do zebranych mniej więcej w te słowa.

– W nieszczęściu moim czuję się szczęśliwy, widząc, iż mój zamiar się dokonał. Od kilku dni wielce pragnąłem ujrzeć was wszystkich w tym miejscu, gdzie właśnie stoicie, by wyjawić wam swobodnie moje myśli. Po waszym milczeniu wnoszę, że wysłuchacie mnie dziś z uwagą, którą mi obiecaliście i postaram się skorzystać z niej, by wyznaczyć wam me prawdziwe zapatrywania i ogłosić ostatecznie moje postanowienie. Kieruję me słowa do wszystkich tu zgromadzonych, w szczególności jednak do kapłanów, którzy rządzą tym ludem i mają najwięcej powodów, by mnie nienawidzić, ich to bowiem najbardziej znieważylem. Szczerze wam wyznajemy, moja żona i ja, że ona to podłożyła ogień pod waszą świątynię, ja zaś własną ręką zabiłem wielu z waszych towarzyszy. Czy ta zniewaga nie powinna budzić waszego gniewu przeciw nam? Póki jednak pozostajemy tu bezpieczni, wstrzymajcie swą zemstę na czas jakiś, kiedy zaś skończymy mówić, niechybnie zostanie wam oddana sprawiedliwość.

Zanim zechcieliście skrzywdzić moją ukochaną Ahinomé – kontynuował – żyliśmy, ona i ja, na łonie rodziny, w spokoju i szczęściu, nie mieszając się do spraw drugich. Pozwalaliśmy wam rządzić ludem, jak wam się podobało, bez słowa sprzeciwu, wyczekując jedynie szczęśliwej chwili, w której połączą nas więzy małżeńskie. Czas ten, który miał zakończyć nasze cierpienia, niemal już nadszedł i wszystko wskazywało na to, że moje pragnienia zostaną w końcu zwieńczone.

Wtedy jednak przybyliście, by z rozmysłem zburzyć nasze szczęście i zmienić słodką nadzieję we wścieklą rozpacz. Przybyliście, żądając Ahinomé w imieniu

Strukarasa, by odebrać mi ukochaną i pozbawić ją kochanka. Czy mogło się to dokonać bez wielkiej przemocy i czy można się dziwić, iż uczyniliśmy później wszystko, do czego wściekłość mogła nas popchnąć? Czy jakkolwiek człowiek honorowy i odważny mógłby uczynić mniej i czy możecie uczciwie nas za to winić? Wiem dobrze, iż zasłonicie swe postęпки woalem religii i powiecie, że gdy chodzi o posłuszeństwo rozkazom bóstwa, wszelkie powody muszą ustąpić. Sprawiedliwość, słuszność, krew, przyjaźń, miłość nawet, jakkolwiek uprawniona by była, nie powinny stawać na drodze woli niebios. Rozumowanie to jest słuszne i nie zamierzam się mu sprzeciwiać. Kto jednak zagwarantuje mi, że rozkaz sprzeczny z rozumem, sprawiedliwością, honorem jest w samej rzeczy rozkazem boskim? Jakież jest prawdopodobieństwo, że religia, która oprócz wszystkich praw natury, łamie także prawa rozumu i kruszy najmocniejsze więzy społeczne, jest religią z niebios?

Twierdzicie, że Strukaras jest synem Słońca, że wstąpił na niebiosa, gdzie przebywa ze swym Ojcem i jest jedynym tłumaczem jego woli, że poufale rozmawia z wami w świątyniach i gajach, i że to od niego macie moc czynienia cudów i znaków. Któż jednak zagwarantuje mi, że jesteście szczerzy, a wszystkie te rzeczy są prawdą, choć wydają się tak sprzeczne z naturalnym rozsądkiem i świadectwem tysięcy prawych ludzi, którzy odkryli wasze szalbierstwa i znają całą ich historię?

Strukaras był tylko człowiekiem, lecz uczyniliście zeń boga, którego uwielbiacie jako najwyższe bóstwo. Twierdzicie, że jest on synem Słońca, ma udział w jego naturze i potędze i powinien otrzymywać część czci, jaką ludzie okazują tej wielkiej gwiazdzie. Jednak jakie dowody dajecie, by wzmocnić tę doktrynę sprzeczną ze świadectwem zmysłów i rozumu? Ślepcy, nierozumni i ci, którzy ślepców prowadzą, czyż Słońce, które jest bogiem wiecznym, potrzebuje rozmnażania, by przedłużyć swe istnienie? A gdyby miało nawet potomków, czyż nie uczyniłoby ich podobnymi sobie, jak czynią to wszystkie zwierzęta? Jeśli upieracie się, by miało dzieci, mówcie lepiej, że poczęło je z Księżycem-oblubienicą i co miesiąc staje się brzemienny i rodzi gwiazdy. Taki pogląd, chociaż śmiechu warty, byłby tysiąc razy bardziej prawdopodobny od tego, którym zatruliście umysły ludu, aby zniewolić go i podporządkować swym kaprysom. Wmawiacie mu, że Strukaras zachowuje swą ludzką postać, że łączy się z córami ludzi, które pragnie wywyższyć dzięki swym łaskom, że napełnia je świętym owocem, który przynosi szczęście rodzinom. Nadużywacie w ten sposób religii i ludzkiej łatwowierności, aby zaspokoić własną rozpustę. Pod tą samą maską pobożności prześladowacie tych, którzy nie chcą przyjąć waszych oszustw.

Wasz przywódca Strukaras skalał swe okrutne ręce niewinną krwią, wygnał lub zgładził połowę narodu, by przejąć władzę nad drugą połową. Idziecie za jego zgubnym przykładem, co dzień dodając nowe zbrodnie do tych, które on popełnił. Jako się rzekło, że śmiertelnika uczyniliście zeń nieśmiertelnego boga, którego czcicie

codziennie. Bardziej jesteście bydłęcy niżli samo bydło, które nie oddaje czci sobie podobnym i nie składa ofiar zwierzętom ani ludziom, choć są przecież od niego wspanialszy i nad nim panują. Posuwacie się jeszcze dalej, przydając Strukarasowi cechy, których nie ma nawet jego domniemany rodzic. Od pierwszej schizmy kapłanów pobudowaliście mu świątynie w wielu miejscach kraju. Twierdzicie, iż schodzi on z niebios, by głosić w nich swe wyroki i że może to odbywać się w stu miejscach jednocześnie. A jednak wyznajecie, że Słońce może zajmować jedno tylko miejsce na niebie. Czyż nie jest w takim razie syn doskonalszy od ojca i czy nie ma o wiele większej mocy niżli ta gwiazda chwalebna, która napęlnia świat swym ciepłem i światłem oraz ożywia wszystko, co żyje...

Ponieważ nie przestawał mówić, kapłani, którym dyskurs ten nie przypadł do gustu i obawiali się jego konsekwencji, podnieśli tumult wśród ludu i kazali najgorliwszym z wyznawców zastrzelić z łuków tego bezbożnego krzykacza, który popełniwszy tyle zbrodni, ośmiela się jeszcze znieważać kapłanów. Posłuszni zeloci napięli cięciwy przeciw Dionistarowi i jego żonie, którzy cofnęli się do jaskini, by wyjść z niej chwilę później. Poświęcili ten czas, by podciąć sobie żyły u ramion i nóg, następnie zaś wzięli rozżarzone węgle i umieścili wokół stosu, który przygotowali. Rzucili się w środek okręgu, pokazując motłochowi krew, wypływającą z podciętych żył.

Przeraźliwy ów spektakl uciszył szemranie ludu, przyciągnął spojrzenia i uwagę. Korzystając z ostatnich chwil życia, szlachetna Ahinomé przemówiła do kapłanów i ludu. Potwierdziła wszystko, co rzekł wcześniej jej małżonek, zarzucając jednym pychę, szalbierstwa i haniebną rozpustę, drugich zaś wzywając, by otworzyli oczy i nie pozwalali dłużej wykorzystywać ich prostoty i czynić z nich narzędzi w rękach tych, którzy podporządkowali sobie naród bez żadnego prawa wbrew chwalebnym maksymom przodków. Wreszcie wzięła swe dziecię i przecięła mu żyły na oczach ludu. Potem ona i jej małżonek obrzucili jeszcze tysięcznymi kłótwami swych nieprzyjaciół, dodając, że śmierć zdaje im się słodka, gdyż umierają razem i z własnej woli, tak jak żyli. Przyjemnością było dla nich stawienie czoła tyranom, zarzucenie im zbrodni i szalbierstw oraz zatriumfowanie nad ich złośliwością i okrucieństwem. Na koniec rzekli, że pocieszeniem jest dla nich, że nie wpadli w ręce prześladowców, bowiem tak zadbali o swe sprawy, że wrogowie mogą wyładować swą furię najwyżej na kupce popiołu, która zostanie z dwojga męczenników za rozum i prawdę.

Następnie pocałowali się, położyli spokojnie na stosie i objęli się; czuli, jak wraz z krwią wypływa z nich życie. Pozostali w tej pozycji, aż płomienie strawiły ich ciała na popiół.

Straszny ów widok różne uczynił wrażenie na ludzkiej duszy. Najrozsądniejsi byli głęboko poruszeni uczynkiem dwojga męczenników, siłą ich argumentów i odwagą, z jaką stawili czoła śmierci, aby nie sprzeciwić się swym przekonaniom i nie wpaść w ręce nieprzyjaciół.

Inni, mniej oświeceni, za wszelką regułę mający jeno przesady wychowania i poglądy kapłanów, zupełnie inaczej tłumaczyli sobie te zdarzenia. Nazywali Dionistara i Ahinomé zatwardziałyimi bezbożnikami, choć z początku wzruszył ich ten szlachetny, heroiczny czyn.

Kapłani jednakowoż nie ośmielili się wywierać żadnej zemsty na rodzinie zmarłych z obawy, że staną się przedmiotem odrazy całego narodu i zrujnują swą reputację, już i tak nadwątloną przez rozmaite zdarzenia sprzeczne z ich interesem. Od tego czasu zachowywali się z większym umiarem i ostrożnością niż wcześniej.

Prestarambianie przekazywali z ojca na syna tę niezwykłą opowieść i uważali Dionistara i Ahinomé za wielkich męczenników za prawdę, która spowodowała wygnanie ich przodków z ojczyzny oraz prześladowania ze strony owdądnętego żądzą władzy Strukarasa. Są nawet tacy, co każdego roku udają się z pielgrzymką na skałę, gdzie owi szlachetni ludzie postradali życie. Szacunek, jakim otacza się pamięć o nich, czyni to miejsce wielce czcigodnym.

Gdy Sewarias podbił te ludy, znalazł w ich kraju dwadzieścia cztery czy pięć świątyń, w których czczono szalbierza Strukarasa, nie licząc wielu innych, które wciąż trwają na ziemiach narodów ościennych, których nie podporządkował swemu prawu i które do dzisiaj obstają przy zabobonach.

Prestarambianie, którzy towarzyszyli mu w podbojach, opowiedzieli mu tę historię, przekazywaną z ojca na syna i poprosili go, by powziął wszelkie wysiłki, aby wyprowadzić z błędu te oszukane ludy.

Obiecał, że zajmie się tym najszybciej, jak to możliwe, dał im jednak także do zrozumienia, że w takich sytuacjach należy posługiwać się przecznością, aby nie rozwścieczyć owych ludzi zaślepionych swymi próżnymi przesadami.

Sewarias podbił zatem Strukarambian i postawił świątynię Słońca, o niebo wspanialszą niżli strukarasowe gaje, ustanowił bogate ceremonie z towarzyszeniem chórów i instrumentów muzycznych, został przez Słońce wybrany na władcę tych ludów i tłumacza jego woli, wreszcie przez swe cnotliwe czyny i mądre prawa zyskał wśród nich wielkie zaufanie. Wówczas dopiero zaczął im mówić, że Strukaras nie był prawdziwym synem Słońca, że owa piękna gwiazda, będąc Bogiem Wiecznym, nie potrzebowała rozmnażania, by przedłużyć swój gatunek, jak to czynią śmiertelni i że gdyby nawet miało dzieci, uczyniłoby je równie wielkimi i wspaniałymi jak ono samo. Zamiast jednego Słońca byłoby ich zatem wiele, co nie jest prawdą, jak doskonale sami widzą.

Mądre te argumenty oraz siła jego oręża i gromów, których oplakane skutki Strukarambianie odczuli na własnej skórze, wielkie wywarły wrażenie na umysłach ich wodzów i dały im częściowo poznać szalbierstwa Strukarasa. Tym jednakowoż, co najwięcej przyczyniło się do ich uwidocznienia oraz rozproszenia herezji, było

chwytanie szalbierców na gorącym uczynku, gdy głosili swe wyrocznie, ukryci w pniach drzew. Sewariasz czekał więc do dnia uroczystego święta i z bronią wkroczył do świątyni w chwili, gdy głoszono wyrocznie. Pochwylił fałszywych proroków w ich kryjówkach i, wystawiając ich na widok ludu, kazał wyznaczyć wszystkie oszustwa i szalbierstwa.

Po tym zdarzeniu wszyscy rozsądni ludzie byli już całkowicie przekonani o fałszywości herezji, skutkiem czego na ziemiach opanowanych przez Sewariasa zburzono świątynie i ścięto gaje Strukarasowe, zaś kult, jaki tam oddawano szalbiercy, został zakazany. Nie miało to jednak miejsca wszędzie, gdyż dziś jeszcze sąsiedzi Sewarambian pozostają przy swym bałwochwalstwie.

Powróćmy teraz do idolatrii samych Sewarambian, która – choć mniej prostacka i sprzeczna z naturalnym rozsądkiem – pozostaje jednak bałwochwalczym kultem, jakim otaczają Słońce, będące przecież tylko stworzeniem, nie zaś Stwórcą.

Kult publiczny ma miejsce jedynie podczas świąt zwyczajnych, to jest trzech pierwszych dni nowiu i trzech po pełni. W ciągu tych dni składa się kilka ofiar z wonności, które zwykli kapłani ofiarowują Słońcu z towarzyszeniem hymnów pochwalnych. Reszta dnia upływa na zabawach, tańcach i innych rozrywkach. Jednakże święta uroczyste są najwspanialszym obrazem tej religii, w której ukazują się ona z największą pompą. Jest sześć wielkich świąt, a każde różni się swym celem i obyczajem. Są zatem Kodimbasion, Erimbasion, Sewarision, Osparenibon, Estricasion i Nemarokiston. Opiszemy je jedno po drugim.

Święta te są celebrowane tylko w świątyniach największych miast, to jest Sewarindy, Sporundii, Arkropsindy, Sporumé oraz kilku innych, z których każde posiada przynależne im okolice. Lud wiejski gromadzi się w najbliższym mieście, by wziąć udział w części święta, po czym wszyscy rozchodzą się, by świętować w miejscach zamieszkania. W świątyni w Sewarindzie jest prawie czterystu kapłanów, którzy naprzemiennie odprawiają ceremonie, zaś w innych świątyniach jest ich mniej, w zależności od wielkości miasta. Wicekról jest pierwszym z kapłanów. Jako arcykapłan uczestniczy on we wszystkich ceremoniach i jako pierwszy składa ofiarę. Każdy gubernator miasta świątynnego czyni podobnie, po czym reszta kapłanów celebrowa uroczystość. Przejdźmy teraz do opisanie świąt uroczystych.

Kodimbasion, czyli święto Wielkiego Boga

Powiedzieliśmy już, że Sewaristas ustanowił Kodimbasion zgodnie z ideą Sewariasa, który rzekł był coś niecoś na ten temat, jednak nie wyraził się jasno. Dlatego właśnie jego następcy, aż do Sewaristasy, nie ośmielili się ustanowić tej uroczystości. Książę ten jednak ustanowił ją bez skrupułów i wiele razy je obchodził, nim odszedł z tego

świata. Kodimbasion odprawia się raz na siedem lat, na początku każdej Dirnemis, gdy Słońce wchodzi w znak wagi, to jest w okresie równonocy wiosennej, która u nas jest równonocą jesienną. Uroczystości tego wielkiego święta trwają przez siedem nocy i odprawia się je w taki oto sposób.

O zachodzie Słońca otwiera się wrota świątyni, której wewnątrz całe jest wyłożone czarnym materiałem. Świetlisty glob i inne ozdoby są tak ukryte, że przez cały czas trwania święta pozostają niewidoczne. Odziani w czerni kapłani okrywają oblicza zasłonami tego samego koloru, zaś wicekróla odróżnia jedynie rodzaj białej tuniki, którą nosi na ramionach. W tym stroju podąża ku ołtarzowi, na którym widać jedynie niewielki glob, okryty czarnym woalem, który przepuszcza tylko niewielką część jego światła. Wszyscy sewarobaści i kapłani, którzy tej nocy służą w świątyni, kroczą za nim z zapalonymi pochodniami. Gdy wicekról dochodzi do chóru, wykonuje głęboki ukłon, po czym kłania się ponownie, gdy dochodzi do ołtarza. Zatrzymuje się tam wraz ze swą świtą, a gdy kapłani chowają pochodnie, kładzie się na posadzce, twarzą do ziemi i z obiema rękami na głowie. Inni czynią to samo i wszyscy pozostają w takiej pozie przez dwie godziny, w głębokiej ciszy. Po tym czasie odzywa się głośno piszczałka, każąc im wstać i uklęknąć.

Wówczas jeden z kapłanów bierze pochodnię i przekazuje ją wicekrólowi, który wstaje, zbliża się do ołtarza i zapala aromatyczne drewno, które pozostawiono tam wcześniej, by złożyć je w ofierze. Gdy drewno się spali, dodaje się do niego wonności, ponieważ wśród Sewarambian nie składa się nigdy krwawych ofiar. Wreszcie, klękając, wicekról wygłasza głośno następującą modlitwę.

Modlitwa do Wielkiego Boga

Kodimbas, Ospamerostas, Samotradeas, Kamedumas, Karpanemfas, Kapsimunas, Kamerostas, Perasimbas, Prostamprostamas.

Są to epitety, które nadali Bogu w ich języku, a oto ich przybliżony sens, wraz z dalszym ciągiem oracji.

„Królu umysłów, który wszystko w sobie zawierasz, wszystko możesz, który jesteś nieskończony, wieczny i nieśmiertelny, niewidzialny, niezrozumiały, jedyny władco, bycie bytów.

My, ślepi śmiertelnicy, którzy dostrzegamy Cię czasem, nie widząc dokładnie, którzy Cię znamy, nie znając dobrze, i którzy niemniej wierzymy, iż winniśmy Ci cześć, przybywamy tu pośród ciemności, które nas otaczają, aby złożyć przed Tobą hołd i modlitwę.

Wszystko na tym padole mówi nam bez ustanku o Tobie i każe nam podziwiać Twą wielkość i mądrość. Niezliczone gwiazdy, które nocą świecą nad naszymi głowami, przez swój ruch słuszny i regularny, świadczą, że Twoja to ręka wszechmocna je prowadzi i podtrzymuje.

Lecz to świetlista gwiazda dzienna, która nas ogrzewa i oświetla, boskie Słońce, przez które zsyłasz nam wszystkie Twe dobrodziejstwa, jest najjaśniejszym zwierciadłem, w którym podziwiać możemy Twą chwałę i wiekiustą Opatrzność. Ono to, światłem swym niebiańskim, rozświetla mroki nocy, ukazując nam cudowne dzieło Twoich rąk. Ono to nas ogrzewa, ożywia i dzięki niemu otrzymujemy dary Twej boskiej dobroci.

Dlatego ustanowiłeś je jako swego namiestnika w części wszechświata, którą porusza, ogrzewa i oświetla swymi promieniami. Podałeś wiele globów jego władzy i my, z Twojej woli, należymy do tych, których ono ożywia. Dałeś nam je jako bóstwo widome i chwalebne, wybierając nas spośród wszystkich ludów ziemi, byśmy się stali jego poddanymi i prawdziwymi czcicielami. Ono dało nam prawa i nakazało kult, jaki winniśmy mu oddawać, dzięki czemu wiemy, jak powinniśmy mu służyć, ponieważ nam to objawiło.

Lecz Ty, najwyższy Boże bogów, o potęgę nieskończona, Ty pozostajesz niewidzialny i całkiem niezrozumiały. Wszystko nam mówi, żeś jest, nic jednak nie wyjaśnia Twej natury ani nie wyjawia Twej woli. Oto dla nas świadectwo wielce jasne, iż nie pragniesz, byśmy szukali Cię dalej niżli w twych godnych podziwu dziełach, nie jest nam bowiem dane inaczej Cię poznać. Wszelka wiedza i oświecenie są jeno ignorancją i mrokiem wobec Twego boskiego i niepojętego światła. Im więcej medytujemy, by Cię poznać, tym mniej mądrzy się stajemy.

Wielka jest przepaść między naszą słabością a Twą potęgą, zaś podziwianie Twej wielkości unicestwiłoby nasze dusze, gdyby nie podtrzymało ich Twoje miłosierdzie. Popadlibyśmy w rozpacz i utracili rozum, gdyby ono nam nie wyjawiało, że stworzenie nie pojmie Stwórcy, a rzecz skończona tego, co nie ma granic. W tym skromnym uczuciu kładziemy palec na ustach i nie pragnąc zuchwale przeniknąć głębokiej tajni Twej boskości, oddajemy Ci cześć w cichości dusz naszych.

Ponieważ jednak ciała, w których je umieściłeś, są także dziełem rąk Twoich, wierzymy, że również mają swą rolę w tej czci, pokazując światu nasz szacunek i cześć. Dlatego też, zgodnie z naszym słabym rozumem, ustanowiliśmy to uroczyste święto jako świadectwo czci, jaką Cię obdarzamy oraz by uświadomić o tym obowiązku wszystkich, którzy przez ignorancję lub niewdzięczność mogliby przeżyć życie, ni razu nie wznosząc swej myśli ku Tobie.

Zechciej, o niezmierzone dobro, przyjąć ofiarę serc naszych oraz nasze uwielbienie, które okazujemy w sposób, który uznaliśmy za najszlachetniejszy, najbardziej

pokorny i najbardziej pełen szacunku. Niech dymy naszych ofiar wzniosą się ku Tobie, byś wybaczył nam nasze zbrodnie i każdego dnia obdarzał nas Swą boską łaskawością, byśmy mogli na wieki wieków oddawać Ci cześć”.

Po tej modlitwie przynosi się dotychczas schowane pochodnie, a muzyka daje się słyszeć ze wszystkich miejsc świątyni. Następnie wicekról wychodzi z chramu tak, jak doń wszedł i pozostawia miejsce następnym czcicielom. Kolejny obrządek prowadzony jest przez pierwszego sewarobastę, który odprawuje te same ceremonie i modlitwę dla innej części ludu. Później następują dalsze ceremonie przez cały okres siedmiu dni, aż do końca święta.

Podczas uroczystości w wielu punktach miast odbywają się zgromadzenia uczonych, którzy rozprawiają o boskości, każdy zgodnie ze swymi poglądami. Nierzadko mają miejsce sławne dysputy, podczas których mędracy mają piękną okazję wykazać się przed publiką owocami swych studiów i wspaniałością geniuszu.

Pewnego dnia znalazłem się na jednym z takich zgromadzeń, podczas którego wielce uczony i elokwentny człek imieniem Skromenas wygłosił długi i poważny dyskurs na temat budowy wszechświata, powstania naszego globu, pochodzenia istot żywych, postępu nauk oraz kultu religijnego, jaki ludzie sobie ustanowili.

Po pierwsze, stwierdził, że wszechświat jest wieczny i nieskończony i że powinien być uważany za materialny i duchowy. Materia i ożywiający ją duch są nierozdzielnie związane, choć pozostają dwiema osobnymi rzeczami, jak dusza i ciało u istot żywych. Duch posiada moc twórczą, za pomocą której działa bezustannie we wszystkich ciałach na tysiąc różnych sposobów i odzwierciedla się we wszystkich stworzeniach. Działa w sposób inteligentny, a wszystkie jego dzieła w cudowny sposób wiążą się z ideą Wielkiej Jedni. Niczego nie czyni na próżno, choć naszym słabym rozumom może się zdawać, że niektóre jego dzieła są wadliwe, nieregularne bądź potworne. Moc twórcza ducha, obecna we wszystkich ciałach, działa na różne sposoby i lubuje się w godnej podziwu różnorodności. Zgodnie z tą zasadą opuszcza jedno ciało, by zagnieździć się w innym, co jest przyczyną zniszczenia i powstawania struktur złożonych, życia i śmierci. Dzieła owego ducha mają różne rozmiary, bowiem czasem tworzy całe globy, innym razem zaś działa wewnątrz globu, odzwierciedlając się w nich na rozmaite sposoby. Gdy ciało niszczeje, tylko jego forma umiera, aby przybrać kolejną, nic z materii bowiem nie ginie. Duch opuszczający ciało także nie ginie, lecz udaje się do innego obiektu.

Doktor ów opierał swe rozumowanie na autorytetach Pitagorasa, Platona i wielu innych wielkich filozofów, tak greckich, jak arabskich i indyjskich. Twierdził, że wszyscy oni podzielali jego opinię przynajmniej w większej części. Dodawał, że wszechświat tworzy nieskończona liczba globów, różniących się rozmiarami,

ruchem, położeniem, użytecznością i celem. Istnieje także nieskończenie wiele słońc, a każde z nich jest źródłem życia i światła dla globów, które Opatrzność umieściła w ich sferze oddziaływania. Są one jakoby namiestnikami Wielkiej Jedni. Żaden z globów nie jest wieczny, choć trwają bardzo długo, dłużej bądź krócej w zależności od ich doskonałości i siły. Wszystkie jednak miały swój początek i muszą także oczekiwać na koniec, jak wszystkie byty niższe. Opatrzność dopuszcza zniszczenie jednych ciał i narodziny drugich tylko w okresach, które wyznaczyła, aby Wielka Jednia nie ponosiła żadnych strat i nie cierpiała przemocy. Podobnie jest z globami i gatunkami istot żywych, w których co dzień giną pojedyncze osobniki bez straty dla całego gatunku, ponieważ nowe rodzą się na miejsce umarłych.

Wypowiedziawszy się w ten sposób o wszechświecie, przeszedł do opisu naszego globu, mówiąc, że podobnie jak inne, miał on swój początek i będzie miał też swój kres. Okres jego trwania nie był jednak znany żadnemu śmiertelnikowi, a opinie na temat czasu jego powstania są podzielone, jedni bowiem sądzą, że jest starszy, drudzy zaś, że młodszy. Egipcjanie w swoim czasie dawali mu czternaście do piętnastu tysięcy lat, bramini z Indii Wschodnich niemal trzydzieści tysięcy, zaś Chińczycy liczyli czternaście bądź piętnaście tysięcy lat, zgodnie z następowaniem ich królów. On sam nie uważał, by nasz świat był aż tak stary. Szacunki Żydów wydawały mu się bardziej prawdopodobne, bowiem lepiej zgadzały się z tempem postępu nauk i sztuk. Chociaż są dziś na ziemi ludy równie barbarzyńskie, jak ich przodkowie cztery tysiące lat temu, uważał on, że te wyliczenia są najbliższe faktom.

Twierdził bowiem, iż ciała istot żywych nieustannie się zmniejszały, czy to pod względem postawy, czy też tężyzny i zdrowia. Według niego, dało się to zauważyć wśród ludów przebiegłych i rozwiązłych, do których zaliczał większość ludów Azji, Europy i Afryki. Były one jego zdaniem wielce barbarzyńskie, choć uważały się za nader cywilizowane. Były to jednak tylko zewnętrzne pozory, a prawdziwa ogłada nie powinna się opierać na kilku afektowanych przemowach, paru dziwacznych modach oraz udawaniu, lecz na sprawiedliwości, dobrym rządzie, niewinności obyczajów, umiarkowaniu, miłości i miłosierdziu, jakimi ludzie powinni się wzajemnie darzyć. Najrzęczniejszy ze wszystkich ludzi stawał się barbarzyńcą, jeżeli nie był sprawiedliwy, miłosierny, hojny i umiarkowany. Światła jego umysłu to jedynie błędne ogniki, które oślepiają i prowadzą ku przepaści. Narody źle rządzone to narody ślepe, zaś prawdziwa chwała książąt i urzędników polega na dbaniu o swych poddanych i dobrym zarządzaniu nimi, przy sprawiedliwym wymiarze kar i nagród.

Co do pochodzenia istot żywych, Skromenas rzekł, iż pozostawało ono ukryte przed ludźmi tak samo jak narodziny światów. Jeśli jednak opierać się na prawdopodobieństwie, można sądzić, że na początku istnienia każdego globu Opatrzność stworzyła parę każdego gatunku zwierząt doskonałych, którymi pragnęła wypełnić

pustkę światów. Dzięki nim, poprzez rozmnażanie zwiększyła się liczebność gatunków. Uznawał on w tej kwestii za najwięcej prawdopodobną teorię Mojżesza.

Twierdził też, że nie można mówić bez zuchwałości o ekonomii innych globów, które wraz z naszym tworzą wszechświat, są to bowiem rzeczy nieznanne. Naszemu rozumowi wystarczy kontemplacja tego, co znajduje się na ziemi i podziwianie tysięcy cudów boskiej mądrości. Dodawał też, że skoro istnieją różne gatunki zwierząt w różnych żywiołach i klimatach naszej planety, nie można wykluczyć, że Bóg nappełnił inne światy różnymi gatunkami, które nie mają nic wspólnego z tymi, które znamy. Jego zdaniem Bóg czynił wszystko ku swojej chwale i nie do nas należy zuchwale próbować przeniknąć tajnie Opatrzności.

Ze wszystkich zwierząt na ziemi człowiekowi Bóg dał cechy, którymi nie pragnął obdarzyć innych, zaś owe dary i łaski różne są w swej mierze i istocie. Niemniej jednak jest człowiek jedynie śmiertelnym zwierzęciem jak wszystkie inne, nie powinien zatem napawać się dobrami, których posiadanie jest krótkotrwałe i niepewne. Szaleństwem jest twierdzić, że ziemia, niebo i gwiazdy świecące nad naszymi głowami zostały stworzone wyłącznie dla użytku człowieka, jakby Opatrzność nie miała wyższych i szlachetniejszych celów, niż przypodobać się nędznym robakom. Na temat próżności ludzi, którzy w to wierzyli, mówił rzeczy tak przytłaczające, że najzręczniejsi z naszych kaznodziejów nie potrafiliby bardziej poniżyć dumnego grzesznika, który ośmiela się wystąpić przeciwko Bogu.

Następnie przeszedł do postępów nauk i sztuk, na temat których wypowiadał się wielce ciekawie, ukazując historycznie wszystko, co najsławniejsi pisarze różnych narodów o tym pisali. Cytował wielu autorów chińskich i bramińskich, jak również żydowskich, greckich i arabskich. Wykazywał, że wiele pięknych umiejętności i mnóstwo ważnej wiedzy, które mieliśmy dawniej, zostało zatracone, lecz miał nadzieję, że uda się je odzyskać z czasem i dzięki staraniom Sewarambian, którzy już teraz odnowili pewne wynalazki i mieli większe szanse powodzenia niż jakikolwiek inny naród świata ze względu na doskonałość ich ustroju. Podkreślał też fakt, że regularnie wysyłano zdolnych ludzi w podróż do najbardziej cywilizowanych narodów naszego kontynentu, by nauczyli się wszystkiego, co godne zainteresowania ich ludu.

Na koniec Skromenas podjął temat religii i czci, jaką winno się oddawać Najwyższemu Bóstwu. Rzekł wiele dziwnych rzeczy, których nie należy tu przytaczać. Pragnął przekonać słuchaczy, że człowiek z natury nie jest bardziej religijny niż zwierzę, a gdyby nie umiejętność mowy, nie miałby też więcej rozumu.

Poprzez rozmowę ludzie komunikują sobie swoje myśli, zaś większość nauk i sztuk zawdzięcza swe powstanie i postęp właśnie dyskursom. Dodał także, że religia zawdzięcza swe powstanie ciekawości i kontemplacji. Zanim ludzie ustanowili

jakikolwiek kult, żyli jak zwierzęta, zaś medytacje kilku myślących osób, które dzięki Opatrzności wzniosły stopniowo swe myśli ku bytom wyższym i niezależnym, spowodowały pierwsze poruszenie pobożności. Następnie uczucia respektu i wdzięczności stworzyły zewnętrzny kult Boga i Słońca, jego namiestnika i najbardziej chwalebego i dobroczynnego stworzenia, jakie nasze oczy mogą ujrzeć.

Z tego względu kult Słońca jest najstarszy, najpowszechniejszy i najbardziej sensowny ze wszystkich. Chociaż czysty rozum może wznieść się ku idei bytu najwyższego, to jednak pierwsze jego poruszenia i świadectwo zmysłów ograniczają się do uwielbienia tej wielkiej gwiazdy. Powiedział także, że pierwsze ceremonie były ogromnie proste i ograniczały się do ofiarowania owoców, które dojrzewają dzięki Słońcu, stając się pożywieniem człowieka. Następnie jednak ambicja i chciwość wmiszały się i sprawiły, że płątano do religii mnóstwo przesądnych i śmiechu wartych ceremonii, które umocniły się przez czas i obyczaj, choć nie miały nic wspólnego z rozumem i prawdą. Błędy te zrodziły bezbożne, okrutne i tyrańskie doktryny, poprzez które próbowano pozyskać umysły. Ludzie zeszli z właściwej drogi i nic dziwnego, że podążali od błędu do błędu, od bałwochwalstwa do bałwochwalstwa, i nie mogli się pogodzić co do obiektu ich kultu i sposobu sprawowania go. Zaślepienie w tak ważnej kwestii rodziło tysiące fałszywych przesądów, które przesłaniały im światło prawdy.

Przyzwyczajenie do błędów skorumpowało ich serca i zaciemniało umysły, nie pozwalając swobodnie wybierać między dobrem a złem, prawdą a fałszem. Stąd wynikał ów niezrozumiały fanatyzm ludów wszystkich czasów i miejsc, które aby dowieść swej racji, były gotowe łamać wszelkie prawa sprawiedliwości człowieczeństwa pod pretekstem obrony ich opinii i uwielbienia słabych idoli, które czcili. Upór różnych partii powodował często wojny, masakry i ruinę wielkich imperiów.

Aby zaś uniknąć tego typu nieszczęść, dobrze urządzone państwo powinno pozwolić każdemu żyć w przyrodzonej wolności, ponieważ niesprawiedliwością jest ją ograniczać, a przemoc taka mogłaby przynieść jedynie opłakane skutki. Nie jest w mocy człowieka wierzyć we wszystko, w co chce uwierzyć, wiara jest bowiem zawsze oparta na jakowychś uprzednich racjach, które wierzącego przekonują. Bez nich niemożliwe jest przyjęcie jakiegokolwiek religii, choćby doskonale udawało się wiarę. Każdy, kto porzuca religię, w której się wychował, dla innej, powinien w niepodważalny sposób udowodnić motywy, które popchnęły go do takiej zmiany oraz że czysta siła prawdy zobowiązuje go do porzucenia błędów. Bez tego wszelkie nawrócenia należy traktować jako udawane, zaś wszystkich prozelitów za bezrozumnych kłamców, którzy nie wiedzą, co czynią lub poszukują doczesnych korzyści raczej niż zbawienia duszy. Okrywają swą apostazję płaszczykiem pobożności i bezczelnie próbują zwieść Boga i ludzi.

Skromenas mówił także, iż dzięki rozumowi można przewyciężyć przesady wychowania i przejść od niektórych zabobonnych religii do wyższych, bardziej czystych, jednak nie da się szczerze nawrócić na wyznanie sprzeczne z rozumem i świadectwem zmysłów. Z religią jest bowiem tak jak z drzewem, któremu można przyciąć zbędne gałęzie, lecz nie da się dodać mu nowych. Zgodnie z tą niepodważalną prawdą można uczciwie i w zgodzie z rozumem porzucić każdą religię, by przyjąć wyznanie Sewarambian, jako najbardziej rozumne i najmniej obciążone zabobonem. I chociaż wszyscy wierzący mówią to samo o swoich religiach, to jednak nie każdy może poprzeć swą rację równie oczywistymi dowodami.

W ten sposób Skromenas zakończył swą przemowę, która trwała ponad godzinę i została wysłuchana z wielką uwagą. Ucieszyłem się, iż poganin miał w tak wielu sprawach równie dobrą opinię o Mojżeszu i kilku zasadach wyznawanych przez chrześcijan. Nie zgadzałem się wszakże z tym, co mówił na temat religii. Moja radość nie trwała jednak długo i wkrótce zastąpił ją smutek, gdy usłyszałem, że kilku z moich ludzi dało się przekonać sile rozumowania owego doktora i pragnęło przyjąć religię Sewarambian. Anglik Morton, człek o umyśle zmiennym i heretyckim, należał do tej grupy. Pragnął on w istocie uczynić mi taki afront, by zemścić się za jakąś karę, którą nań kiedyś słusznie nałożyłem. W tym celu nakłonił on Skromenasa, by wygłosił ów dyskurs, aby mógł potem z większym rozgłosem zaprzeczyć się religii chrześcijańskiej.

Sprzeciwiałem się temu nawróceniu, jak tylko mogłem, przypominając Mortonowi i jego ludziom ich obowiązki z największą łagodnością, jednak żadne racje i przestrogi nie zmiękczyły ich serc zatwardziałych i niewiernych swemu Bogu. Publicznie wyrzekli się chrześcijaństwa, by przyjąć religię Sewarambian i próbowali uzasadnić swą niewierność próżnymi argumentami. Uczyniłem wszelkie wysiłki, by przywrócić ich na łono Kościoła i zapobiec zgubnym skutkom ich przykładu, jednak ujrawszy, iż niczego nie można się po nich spodziewać, rozgniewałem się i rzekłem, iż to boskie przekleństwo spadło na ich głowy i odebrało im rozum. To ich upór oraz ich współwierców ściągnął na nich to nieszczęście i nie ma co się dziwić, iż dzieci tych, którzy wystąpili przeciwko świętemu Kościołowi katolickiemu, straciły rozum i występują wreszcie przeciw chrześcijaństwu. To ich przodkowie podzielili na kilka sekt dawną, prawowierną, katolicką i rzymską wiarę, poza którą nie ma zbawienia.

Oni jednak śmiali się z moich wyrzutów, jak wcześniej śmiali się z napomnień i musiałem wreszcie umilknąć i pozwolić im żyć, jak im się podoba. Sam jednak pozostając, z Bożej łaski, w pełni wierny Kościołowi, w którym mam nadzieję żyć i umrzeć, gdyż nic nie jest w stanie odciągnąć mnie od wiary w Jezusa Chrystusa ani od posłuszeństwa, które wszyscy prawdziwi chrześcijanie winni są Jego wikariuszowi.

Erimbasion, czyli święto Słońca

Uroczystość ta odbywa się każdego roku i rozpoczyna się, gdy słońce dotknie zwrotnika Raka, co u nas wypada w najdłuższy dzień przesilenia letniego, zaś u Południowców w najkrótszy. Trzy dni wcześniej wygasza się wszystkie światła w całym kraju, aż będzie można rozpalić nowy ogień z promieni słonecznych. Byłoby to wielce niewygodne w kraju chłodnym i w środku zimy, jednak Sewarambia jest krainą ciepłą, a poza tym ludzie przygotowują się do tego święta wcześniej, więc niewygodna jest znikoma.

Trzy pierwsze dni święta upływają na składaniu ofiar z wonności i śpiewaniu smutnych i melancholijnych pieśni, w których lud zdaje się żałować oddalenia Słońca i prosić je, by przywróciło mu swe ciepło i jasność, rozpalając swymi promieniami nowe ognie. Jeśli w dzień po przesileniu słońce świeci jasno na bezchmurnym niebie, co zwykle zdarza się w tym klimacie, za pomocą jego promieni i zwierciadeł podpala się łatwopalne materiały na stosie, umieszczonym na dziedzińcu świątyni. Ogień tli się w tej materii przez kilka godzin, a z nadejściem nocy rozpala cały stos wielkim płomieniem, od którego wszyscy podpalają swe pochodnie, które niosą potem do wszystkich osmazji. W ten sposób pozyskuje się nowy ogień na cały rok. Jeśli jednak tego dnia pada deszcz lub słońce kryje się za chmurami, wówczas prosty lud, wierząc, iż bóstwo się nań gniewa, składa mu ofiary i śpiewa żałobne pieśni. Trwają one tak długo, aż gwiazda, rozpraszając chmury, ukaże się w całym swym blasku, by rozpalić nowy ogień. Wówczas lud składa jej dzięki i przechodzi do publicznego radowania się, gier i rozmaitych spektakli, aż do końca święta, które zwykle trwa pięć dni.

Zbyt wiele miejsca zajęłoby przytaczanie tutaj wszystkich ceremonii tego święta, dlatego wolałem opowiedzieć o nim krótko, przytaczając tylko to, co w nim najistotniejsze.

Sewarision

Sewarision jest drugim wielkim świętem, które odbywa się co roku, jako upamiętnienie dnia przybycia Sewariasa i jego Parsów na Łąd Południowy. W święcie tym biorą udział wicekról i wszyscy urzędnicy w najbogatszych szatach. Składają Słońcu ofiary z wonności i dziękują mu za łaskę, jaką niegdyś uczyniło ich przodkom, zsyłając im Sewariasa zbrojnego w gromy, który pokonał nieprzyjaciół, wydobyl ich z ignorancji, nadał prawa, wybrał ich na swój lud i uczynił go najszcześniejszym na świecie. Przechodzą następnie do pochwały Sewariasa i jego następców, przedstawiając bitwy, w których zwyciężył on Strukarambian, prawa i piękne zasady, które pozostawił ludowi przed śmiercią. Wychwalają jego dobroć, przezorność i wszystkie jego cnoty.

Później chwałą także jego następców i wreszcie błagają Słońce, by zawsze dawało im wicekrólów, którzy starają się we wszystkim naśladować, a nawet prześcignąć, jeśli to możliwe, swych poprzedników w cnotach i szczęściu. Święto trwa cztery dni, które upływają na niczym niezmałowanej radości.

Osparenibon, czyli święto małżeństwa

Osparenibon jest uroczystym świętem, które odbywa się cztery razy do roku, co trzy miesiące. Sewarias ustanowił je za swego życia i uczestniczył w nim aż do swej śmierci. Nie będę się tu zatrzymywał nad jego opisem, ponieważ uczyniłem to wcześniej, na podstawie tego, co widziałem w Sporundii. W Sewarindzie odprawuje się je podobnie, z tym że trwa pięć dni, podczas gdy wszędzie indziej jeno trzy. Odbywa się tu także z większą pompą, szczególnie gdy wicekról decyduje się zaślubić jakąś niewiastę, czego świadkiem byłem dwukrotnie. Wówczas do święta dodaje się widowiska i ceremonie ku czci pierwszego urzędnika, a wszyscy wyżsi urzędnicy mają obowiązek w nich uczestniczyć. Władca tym różni się od poddanych, że sam wybiera kobietę, którą chce poślubić, podczas gdy inni mężczyźni są wybierani przez kobiety. Nie ma więc różnic między nim a ludem, gdy idzie o ceremonię zaślubin.

Estricasion

Estricasion, czyli adopcja dzieci, także odbywa się co trzy miesiące i trwa trzy dni. Gdy dzieci osiągną wiek siedmiu lat, z nadejściem święta ojcowie i matki prowadzą je do świątyni i podają kapłanowi dzień narodzin dziecka. Kapłan wpisuje dzieci na listę zgodnie z ich wiekiem, po czym przekazuje ją Stricasiontasowi, czyli naczelnikowi szkół, który należy do sewarobastów. Stricasiontas wzywa dzieci kolejno, zgodnie z wiekiem, prowadzi je do ołtarza, gdzie trzykrotnie kłaniają się przed czarną zasłoną, dwukrotnie przez świetlistym globem i raz przed ojczyzną. Następnie prowadzi je do wicekróla lub sewarobasty, który go zastępuje i mówi mu, w imieniu rodziców, że przybywają poświęcić swe dzieci Słońcu i ojczyźnie. Wówczas wicekról schodzi z tronu i składa ofiarę z wonności, błagając Słońce, by przyjęło te dzieci, otoczyło je opieką i życzliwością, aby mogły mu służyć tak jak ci, którzy wydali je na świat i uznać je za wspólnego ojca wszystkich ludzi, Boga i króla.

Następnie przyprowadza się rodziców, którzy całują swe dzieci w czoło, biorą je za włosy, zwracają ich twarze ku ołtarzowi, po czym obcinają im włosy i uderzają lekko w głowę, mówiąc: „Erimbas prosta phantoi”, co znaczy: „Niechaj Słońce będzie ci ojcem i matką”. Później prowadzi się dzieci w miejsce, gdzie goli im się głowę, i przyprowadza z powrotem do świątyni, gdzie śpiewa się hymny.

Następnego dnia namaszcza się głowy dzieci aromatycznym olejem, trzeciego dnia obmywa się je i daje im zółte szaty. Następnie, po kilku ceremoniach i ofiarach, kieruje się dzieci do osmazji, gdzie będą uczone i wychowywane.

Nemarokiston

Nemarokiston, czyli święto pierwszych owoców, jest ruchome i zaczyna się wiosną, gdy zbiera się pierwsze owoce, które ofiarowuje się Słońcu jako wyraz wdzięczności za pożywienie, jakie daje ono ludziom i zwierzętom. Wicekról lub jego zastępca składa te dary w ofierze i spala je na ołtarzu wobec całego ludu przez trzy kolejne dni. Odbywają się też tańce oraz inne wyrazy radości. Następnie przez sześć czy siedem miesięcy ofiarowuje się najpiękniejsze z każdego owoców, które akurat dojrzewają, jednak te ofiary są składane tylko przez kapłanów i lud w nich nie uczestniczy, chyba że dzieje się to podczas świąt księżycowych, czyli trzech pierwszych dni nowiu i trzech po pełni.

Oto wszystkie święta i uroczystości Sewarambian, podczas których bawią się i odpoczywają od pracy. W ten sposób, mieszając pracę, radość i odpoczynek, żyje im się przyjemnie i słodko, bez trosk, bólu i smutków, jak u nas. Dzięki temu przeżywają oni życie szczęśliwie i żyją przez długie lata w zdrowiu, z umiarem korzystając z dóbr i zażywając przyjemności, których nadużycie jest zawsze zgubne dla tych, którzy żyją w nieumiarkowaniu i nieróbstwie. Często brałem udział w owych świątach, bardziej z ciekawości niż z religijnego zapału, ponieważ zawsze pozostawałem wiernym katolikiem, pomimo przykładu kilku naszych, którzy przyjęli kult Słońca, porzucając niestety chrześcijaństwo, czy to przez słabość, czy z chęci przypodobania się miejscowym.

Nie było wszakże takiej konieczności, ponieważ mogliśmy modlić się w naszej osmazji po swojemu bez żadnych przeszkód. Sewarambianie mają bowiem za podstawową zasadę niestosowanie przemocy w sprawach religijnych. Zamiast tego starają się przyciągnąć ludzi do swej wiary przykładem i perswazją, wierząc, iż każdy powinien dysponować wolnością sumienia, zaś przemoc może nakłaniać do hipokryzji, ale nigdy do szczerego nawrócenia.

Często braliśmy udział w zgromadzeniach giovannitów, ponieważ są chrześcijanami, choć wielu z nas wolało modlić się osobno, niż mieszać się z ludźmi, którzy nie uznają boskiej natury Chrystusa i próbują dowieść przez Pismo i rozum, który w tych sprawach jest złym doradcą, że Syn Boży był jedynie aniołem, zanim przyjął ludzkie ciało w łonie świętej dziewicy. Ludzie ci twierdzą, że Chrystus jest bogiem jedynie przez przysposobienie do władzy nad światem, podobnie jak cesarze

rzymscy przysposabiali drugiego cesarza, który otrzymywał cesarski majestat tak, jakby był mu przyrodzony. Biedni ci heretycy oszukują się swymi rozumowaniami, posługując się przykładami ludzkimi w sprawach boskich. Poprzez swe prostackie porównania starają się oni ominąć najświętsze tajemnice prawdziwie prawowiernej religii katolickiej.

Oto, co uznaliśmy za stosowne powiedzieć na temat religii Sewarambian, ich świąt i najważniejszych ceremonii, na których opiera się ich kult, bez wchodzenia w szczegóły, które byłyby bardziej nużące niż użyteczne i przyjemne.

Następnie powiemy co nieco o języku tych ludów, także nie zagłębiając się zbyt w szczegóły. Nie jest naszym zamiarem napisać pełną gramatykę ich języka, lecz nakreślić jego skrótowy obraz, zdolny ukazać jego doskonałość i przewagę nad wszystkimi językami Azji i Europy.

O języku Sewarambian

Ogłada obyczajów pociąga za sobą zwykle ogładę języka, szczególnie gdy bierze się ona z natury, na której fundamencie można budować, nie zmieniając pierwotnej podstawy. To właśnie Sewarias pojął doskonale w początkach swego panowania, bowiem przywidywał, że gdy jego prawa złagodzą i uregulują obyczaje ludu, będzie mu potrzebny język właściwy dla jego temperamentu. Za pomocą języka ludzie mają bowiem wyrażać swe uczucia i myśli w sposób tak cywilizowany, jak nakazują to ich obyczaje.

Sewarias był wielkim poligłotą, znał wiele języków, był też świadom ich zalet i wad. Pragnąc stworzyć język najdoskonalszy, zaczerpnął ze znanych sobie narzeczy to, co w nich najlepsze, odrzucił zaś rzeczy zbędne i zepsute. Nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, że zapożyczał słowa. Pobierał tylko pewne idee i pojęcia, które starał się naśladować i wprowadzić do swego języka, dostosowując go do narzecza Strukarambian, którego się także nauczył, by uczynić zeń fundament nowego języka jego poddanych.

Z mowy Strukarambian zachował wszystkie słowa, frazy i idiomy, które wydały mu się dobre, lecz złagodził ich oschłość, odrzucił to, co niepotrzebne i dodał rzeczy, których brakowało. Dodatki te były nader obfite, ponieważ przed nadejściem Sewariasia Strukarambianie byli ludem wielce prostackim, mieli więc niewiele słów na określenie niewielu znanych ich pojęć. Czyniło to ich język niezwykle ograniczonym, choć skądinąd miał on ładne brzmienie i był metodyczny, zdolny do rozwoju i ogłady.

Sewarias kazał stworzyć inwentarz wszystkich słów, które ów język zawierał i rozpisać je w porządku alfabetycznym jak w słowniku. Następnie zbadał frazy

i idiomy, odrzucając to, co uznał za niepotrzebne. Dodał też rzeczy, które wydawały mu się konieczne, czy to w zakresie dźwięków prostych i złożonych, dykcji, składni, czy wreszcie układu słów w zdaniu. Przed jego nastaniem Południowcy nie znali w ogóle pisma i nie mniej niż mieszkańcy Ameryki podziwiali zastosowanie liter i sztukę pisania. Okazało się to wielce użyteczne dla Parsów, pozwalając tym łatwiej przekonać miejscowych, że Słońce nauczyło ich wszystkich sztuk, które przywieźli z naszego kontynentu i że porozumiewało się z nimi w sposób wielce szczególny.

Sewarias wymyślił czcionki, by odwzorować na piśmie wszystkie dźwięki, jakie znalazł w języku lub doń wprowadził. Nauczył Strukarambian pisać w kolumnach, zaczynając od lewej u góry strony i ciągnąc w następnej linii od prawej jak u wielu ludów Wschodu.

Dokonał podziału dźwięków na samogłoski i spółgłoski tak jak w naszych językach. Wynalazł też czterdzieści znaków, które wyobrażają niemal wszystkie dźwięki mowy i różnią się między sobą. Wymyślił słowa, w których różnorodność owych dźwięków jest wyraźnie widoczna, aby jak najwcześniej uczyć dzieci rozróżniać i wymawiać głoski, dzięki czemu ich język stawał się elastyczny i zdolny do wymawiania wszystkich dźwięków bez trudu. Dlatego też współcześni Sewarambianie nader łatwo uczą się dykcji wszystkich języków, które studiują.

Mają oni dziesięć samogłosek i trzydzieści różnych spółgłosek, skąd bierze się cudowna wielość dźwięków w ich języku, która to czyni go najpiękniejszym na świecie. Sewarambianie dostosowali dźwięki do natury rzeczy, które pragną wyrazić i każdy z dźwięków ma swój uzus i szczególnie charakter. Jedne brzmią godnie i poważnie, inne są łagodne i urocze. Niektóre służą wyrażaniu rzeczy niskich i godnych pogardy, inne zaś rzeczy wielkich i wzniosłych zgodnie z pozycją, ułożeniem i długością dźwięków.

W alfabecie naśladują oni porządek natury, rozpoczynając od samogłosek gardłowych, przechodząc następnie do podniebiennych i kończąc na wargowych. Po samogłoskach następują spółgłoski, których jest trzydzieści i dzielą się na pierwotne i pochodne. Pochodne dzielą się dalej na suche i mokre, a ze względu na to, jaki organ ma największy udział w ich wymowie, dzielą się one także na gardłowe, podniebienne, nosowe, dziąsłowe, zębowe i wargowe.

Pierwszą literą po samogłoskach jest znak przydechu, który ma taką samą funkcję jak przydech mocny Greków lub nasze „h” nieme. Następne są spółgłoski gardłowe, podniebienne, zębowe i dalej, zgodnie z porządkiem natury, aż do wargowych.

Z tej wielkiej liczby dźwięków prostych powstają sylaby, które są mieszaniną samogłosek i spółgłosek. W tej kwestii Sewarambianie dokładnie oddają naturę rzeczy, które pragną wyrazić i nie posługują się nigdy sylabami długimi i twardymi, by oddać rzeczy łagodne i niewielkie, ani też nie stosują sylab krótkich i wdzięcznych

dla rzeczy wielkich, silnych lub twardych. Czynią więc inaczej niż większość narodów, które nie mają wcale względu na te kwestie, choć posłuszeństwo tym regułom czyni język nad podziw pięknym. Sewarambianie mają także ponad trzydzieści dyftongów i tryftongów, które dają jeszcze większą różnorodność dźwięków i służą często do rozróżniania przypadków w rzeczownikach i czasów w czasownikach.

Większość słów kończy się samogłoską lub łatwą spółgłoską, gdy zaś kończą się na dźwięk twardy, to tylko po to, by wyrazić jakąś szorstkość w znaczeniu, szczególnie w popisach elokwencji. Mają oni trzy znaki dla każdej samogłoski, by określić jej długość. Dzielą je też na otwarte, bezpośrednie i zamknięte, by wskazać naturę akcentów, jakie należy położyć. Cyrkumfleks kładzie się jedynie na głóskach długich i otwartych, grawis zaś na tych, które wypowiedzi się, zamykając usta i które kończą wypowiedź lub obniżają ton. Akut kładzie się bez różnicy na wszystkich ze względu na naturę słowa.

Sewarambianie mają oznaczenia dla różnych tonów i modulacji głosowych, tak jak my, gdy wyrażamy pytanie lub podziw. Idą jednak znacznie dalej, ponieważ mają oznaczenia dla niemal wszystkich intonacji w wymowie. Jedne wyrażają radość, inne ból, gniew, wątpliwość, pewność i niemal wszystkie emocje. Większość słów jest dwusylabowa lub trzysylabowa, jednak złożenia mogą być znacznie dłuższe, choć nie tak uciążliwe jak greckie, które nierzadko wykraczają poza przeciętną i stają się niewygodne. Sewarias wynalazł liczne okoliczniki czasu, miejsca, jakości, jak również przyimki, które – łącząc się z rzeczownikami i czasownikami – doskonałe dają odczuć ich różnice i właściwości.

Deklinacja rzeczowników odbywa się poprzez wymianę końcówek w każdym przypadku, jak w łacinie, lub za pomocą rodzajników i przyimków, jak my to czynimy. Te dwa sposoby mogą być stosowane razem, jednak wówczas ma to funkcję emfaticzną i jest używane tylko po to, by położyć na coś nacisk.

Istnieją trzy rodzaje rzeczowników: męski, żeński i powszechny. Końcówka „a” jest właściwa rodzajowi męskiemu, zaś „o” powszechnemu. W zgrubieniach wzmacnia się dźwięk „u”, który najczęściej oznacza pogardę, zaś w zdrobieniach „u” miękkie. „E” oraz „i” oznaczają za to coś dobrego i uroczego. Na określenie męczyzny używają oni słowa „amba”. Jeśli jest to człowiek czcigodny, mówią „ambas”. Jeżeli jednak jest to złoczyńca, zwą go „ambu”, zaś „ambus” to wielki złoczyńca. Dla zdrobienia mówią „ambu” przez „u” miękkie, gdy mają na myśli drobnego niezdare, lecz gdy mówią o uroczym małym człowiekiem, nazywają go „ambé”. Gdy zaś jest on bardzo dobrym lub bardzo złym małym człowiekiem, określa się do jako „ambus” (przez „u” miękkie) lub „ambés”. Podobnie zwą kobietę neutralnie „embé”, zaś zgodnie z różnymi znaczeniami, które wyjaśniliśmy, otrzymujemy: „embes”, „embeu”, „embeus”, „embeu” (miękkie), „embues” (miękkie), „embei” i „embeis”.

Rozmaite te końcówki służą także wyrażeniu nienawiści, gniewu, pogardy, miłości, szacunku lub czci, zależnie od zamierzonego zastosowania. Są dwie liczby: pojedyncza i mnoga, która zwykle różni się od pojedynczej poprzez dodanie litery „i” lub „n”. Stąd „amba” daje w liczbie mnogiej „ambai”, „embé” daje „embei”, zaś w rodzaju powszechnym „ero” daje „eron”, czyli światła. Kiedy jednak chce się jednocześnie wyrazić wielość i rodzaj żeński lub wątpi się co do płci jakiegoś zwierzęcia, wówczas mówi się „amboi”, co oznacza jednocześnie mężczyznę i kobietę, lub też „phantoi”, ojca i matkę, ponieważ „phanta” znaczy ojciec, a „phanté” – matka. W czasownikach także mają trzy rodzaje, które pozwalają poznać płeć osoby mówiącej, przy czym czasowniki te ulegają zgrubieniom i zdrobnieniom tak samo jak rzeczowniki.

Słowo kochać brzmi „ermanay”, gdy to mężczyzna kocha, jeśli zaś to kobieta kocha, mówią „ermanéi”. Jeśli zaś ani jedno, ani drugie lub oboje kochają, mówi się „ermanoi”. We wszystkich czasach i osobach zachowują tę różnicę i zawsze mają wzgląd na rodzaj rzeczy, która mówi lub działa.

Na ten przykład mężczyzna, który mówi, że kocha, powie „ermanâ”, kobieta zaś „ermané”, a rzecz nijaka bądź powszechna powie „ermano”, co można dostrzec we wszystkich osobach czasu teraźniejszego w trybie oznajmującym na poniższym przykładzie:

	Rodzaj męski	
ermanâ – kocham	ermânach – kochasz	ermanas – kocha
ermanan – kochamy	ermanâchi – kochacie	erman’si – kochają
	Rodzaj żeński	
ermané – kocham	ermânech – kochasz	ermanés – kocha
ermanen – kochamy	ermênchi – kochacie	ermensi – kochają
	Rodzaj powszechny	
e’rmano – kocham	ermânoch – kochasz	ermanos – kocha
ermanon – kochamy	ermôn’chi – kochacie	ermôn’si – kochają

Sewarambianie zachowują różnicę rodzajów dzięki końcówkom we wszystkich czasach i trybach czasowników. Posługują się także zgrubieniami i zdrobnieniami tak samo jak przy rzeczownikach. W ten sposób „ermanui” znaczy kochać po prostaku, „ermanui” (przez miękkie „u”) kochać słabo i źle, „ermanei” to kochać trochę, ale uroczo, zaś „ermané” to kochać jeszcze bardziej uroczo. Gdy jednak kocha się bardzo i szlachetnie, mówi się „ermanâssai”.

Na określenie adoratora lub osoby kochającej dodają „-da”, „-de” lub „-do” do bezokolicznika. Mężczyzna kochający będzie zatem „ermanaida”, kobieta kochająca

to „ermaneide”, zaś w rodzaju powszechnym „ermanoido”. Mają oni trzy sylaby, dzięki którym tworzy się formy imiesłowowe we wszystkich czasach trybu oznajmującego. W ten sposób „ermanada”, które skracają do „ermanđa”, oznacza osobę, która kocha obecnie.

„Ermancha” i „ermansa” to druga i trzecia osoba, w liczbie mnogiej zaś mówi się „ermandi”, „ermanchi” i „ermansi”. W rodzaju żeńskim „a” zmienia się w „e”, a w powszechnym w „o”, co daje „ermandé”, „ermanché”, „ermansé”, które w liczbie mnogiej kończą się na „-ei”, natomiast w powszechnym mamy „ermando”, a w liczbie mnogiej „ermandon”, ponieważ kończy się na „-on”.

Sewarambianie mają tylko jedną koniugację, lecz jest ona zróżnicowana ze względu na rodzaj, tryb, czas, osobę i imiesłów. Dlatego jest ona bogatsza w końcówki niż wszystkie nasze koniugacje. W całym języku nie znajdzie się jednego nieregularnego czasownika, co czyni go nader łatwym w nauce. Rzeczownik odczasownikowy, który oznacza działanie czasownika, tworzy się przez dodanie do bezokolicznika sylab „-psa”, „-pse” lub „-pso”. W ten sposób otrzymujemy „ermanaipsa”, czyli kochanie przez mężczyznę, „ermaneipse” – kochanie przez kobietę, „ermanoipso” – kochanie przez rzecz neutralną lub przez obie płci naraz.

Wszystkie czasowniki czynne mogą zmienić się w bierne przez dodanie przedrostka „ex-”, jeśli czasownik zaczyna się spółgłoską, jak w słowie „salbrontai” – dowodzić, które staje się „exalbrontay” – być dowodzonym. Jeśli słowo zaczyna się samogłoską, dodaje się tylko „x-”, w takim wypadku „ermanay”, czyli kochać, staje się „xermanai” – być kochanym. Zmienia to znaczenie czynne na bierne we wszystkich trybach, czasach i wszystkim, co z nich się bierze. Niemal wszystkie czasowniki nijakie otrzymują przedrostek „dro-”, szczególnie gdy mają niewiele sylab. Tak „stamay”, co znaczy być, najczęściej staje się „drostamay”, co oznacza także być, istnieć.

Wszystkie czasowniki przechodnie otrzymują przedrostek „di-” lub „dis-”, jak „discatai” – biec, „disotirai” – lecieć szybko, „dinuferai” – biec szybko, jednak przedrostki te oznaczają ruch szybki, podczas gdy „dro-” oznacza ruch wolny, opóźniony, jak w „drocambai” – przychodzić wolno, „drocatai” – biec wolno, „drosembai” – mówić wolno. „Disemibai” znaczy natomiast mówić szybko. W języku tym jest ponad sto przedrostków na oznaczenie różnych sposobów działania. Zawierają one więcej znaczeń w jednym słowie, niż my możemy wyrazić w całym wersie. Greka, przy całej swej piękności, nie dorównuje językowi Sewarambian w energii i słodyczy i nawet w połowie tak dobrze nie oddaje ruchomości rzeczy ani różnych ich sposobów bycia i właściwości. Mógłbym łatwo to wszystko udowodnić, gdybym chciał rozwinąć ten temat i napisać gramatykę tego języka, jak to być może uczynię kiedyś, w wolnej chwili.

Sewarambianie mają czasowniki o aspekcie imitatywnym i inchoatywnym, a także te, które zwą się *remittentia* i *intendentia*. Wszystkie one dysponują swoimi

przedrostkami, cechuje je także szybki, powolny lub umiarkowany ruch sylab, z których się składają. To sprawia, iż język ten jest najdoskonalszym na świecie narzędziem do uprawiania poezji metrycznej. Jest też wielce wygodny dla poetów i mówców, ponieważ ma wiele synonimów dla pojęć pospolicznych. Dzięki temu jedną rzecz można powiedzieć na cztery czy pięć sposobów, z użyciem słów krótkich, długich lub umiarkowanej długości. Jedne składają się z długich sylab, drugie z krótkich, zaś każde ma inne tempo.

Poematy Sewarambian są zawsze metryczne, tak jak poezje greckie i łacińskie, które naśladowali. Ich wiersze są jednak dalece piękniejsze i bardziej zdolne wzbudzać namiętności. Zawsze dostosowują je do poruszanych tematów i śmieją się z poetów, którzy mówią o błahostkach, używając wersyfikacji heroicznej i podniosłych słów, dręcząc uszy nieskończonymi heksametrami.

Chciałem kiedyś, w towarzystwie ludzi inteligentnych, mówić o naszych wierszach rymowanych, porównując je do poezji metrycznej, aby zobaczyć, co na ten temat powiedzą. Z miejsca jednak określili to mianem śmiesznego barbarzyństwa, twierdzili, iż rymy urągają zdrowemu rozsądkowi i rozumowi, nie robią nic, co mogłoby wzbudzić emocje ani dodać wdzięku poezji.

W istocie nie ma nic bardziej śmiechu wartego niż rymy, choć niektóre wielkie narody, skądinąd dość cywilizowane, upierają się uważać je za największe piękno, podobnie jak słabe umysły lubują się w swych puentach i dwuznacznościach. Wydaje mi się, że wiersze rymowane są jak dzwonki, podobne do tych, które wiesza się u klatki z wiewiórką. Zwierzątko wydobywa z nich dźwięk, ruszając się w swym więzieniu, one zaś zderzają się ze sobą, tworząc melodię, która jest przyjemna najwyżej dla wiewiórki i przechodzących obok dzieci. Który bowiem rozumny człowiek chciałby bawić się nią lub słuchać więcej niż raz? Moim zdaniem nasze rymy nie są wcale od tego przyjemniejsze ani mniej prostackie od dzwonek, o których wspomniałem. Dzwonki zaś mają przynajmniej tę zaletę, że o ile nie podobają się ludziom inteligentnym, o tyle nie szokują zdrowego rozsądku, jak to czynią rymy w większości wierszy, w których występują. Czy jest coś śmieszniejszego, niż kazać rymować handlarce śledziem, mydlarzowi, chłopu, małemu dziecku i innym postaciom, jak to się zdarza w rozmaitych komediach?

Czy może być coś bardziej absurdalnego niż sprzedawanie, kupowanie, procesowanie się, picie, jedzenie, walka, pisanie testamentu i umieranie do rymu? Jeszcze większy śmiech budzi to, że w teatrze, po zmianie sceny, postać, która była wcześniej nieobecna i nie słyszała ostatnich słów, rymuje zawsze do ostatniego wypowiedzianego wersu, zupełnie jakby go słyszała i miała czas wymyślić doń rym.

Bez wątpienia każdy człowiek rozsądny, który zastanowi się nad tymi absurdami, będzie mógł jedynie dziwować się zaślepieniu tysięcy ludzi rozumnych, którzy

podziwiają wulgarne rymy. Wraz ze mną powiedzą oni, że wielką rację mają Sewarambianie, którzy zwą ów wynalazek prostackim i barbarzyńskim.

Można rzec, iż w wierszu metrycznym przedstawia się wszelkie typy ludzi i charakterów, podobnie jak w poezji rymowanej, która nie jest tak trudna do skomponowania. Odpowiem, że jeśli umie się dostosować typ wiersza do natury tematu, trudno jest zauważyć, czy jest to wiersz metryczny, czy harmonijna proza, która wzrusza i pobudza emocje. Jest to lepsze niż próżne układanie słów w sposób, który rani co delikatniejsze uszy, jak to czynią nasze wiersze rymowane bez siły i dynamiki. Dlatego rzadko się spotyka, by nasze poezje wywierały wielki wpływ na serca, a jeśli nawet czasem tak się dzieje, wynika to jedynie z piękna zawartej myśli i elegancji wyrażenia, nie zaś z dynamiki wiersza.

Z drugiej strony słyszałem w Sewarambii wiersze, które choć ubogie w myśl, zdawały się jednak cudowne, gdy były recytowane lub śpiewane. Słyszałem, jak śpiewa się odę na temat zwycięstw odniesionych przez Sewariasa nad Strukarambiantami, która jest w istocie pełna pięknych myśli i ducha, lecz nie ma i połowy swej siły, gdy jest czytana po cichu. Śpiew lub recytacja porывa duszę i tak silnie porusza namiętności, że człek traci panowanie nad sobą. Tak dobrze jest w niej odwzorowana walka, huk gromów Sewariasa, osłupienie barbarzyńców, krzyki i wrzaski ginących i rannych oraz ucieczka pokonanych, że wydaje się, jakoby była to prawdziwa bitwa. Co jednakże najbardziej godne podziwu, samo metrum bez słów i nuty muzyczne, do których się śpiewa tę odę, wywołują niemalże ten sam efekt, co cały wiersz.

Jest rzeczą zwykłą dla muzyków tej krainy, że są w stanie wywołać różne efekty przy tej samej pieśni. Czasem budzą radość, gniew, nienawiść, wzdargę, a nawet wściekłość, zaś chwilę później następuje litość, miłość, smutek, obawa, słodycz i wreszcie sen. Wszystko to bierze się głównie z mocy poezji metrycznej. Sądzę, że bez trudu można uwierzyć w tę prawdę, gdyż niegdyś Grecy czynili to samo, chociaż ich język nie był w połowie tak czysty jak mowa Sewarambian, którzy przebili w poezji Greków i wszystkich innych.

W językach prostackich, jakimi posługujemy się dziś w Europie i niemal wszędzie indziej, istnieje pewna maniera skrupulatnego ustawiania wyrazów. Mianownik umieszcza się przed czasownikiem, zaś biernik po nim. Od tego zależy często sens zdania, ponieważ nie mamy jasnego rozróżnienia w deklinacjach i koniugacjach. Początkowo Rzymianie czynili podobnie, gdyż ich język był równie prostacki, co dzisiaj języki większości narodów. Później jednak wygładzili go, zmienili szyk słów i uczynili go swobodniejszym w poezji i prozie, chociaż niosło to ze sobą niejakie zaciemnienie dyskursu, ze względu na podobieństwo niektórych przypadków lub osób w czasach i trybach. Przedkładali jednakże słodycz i kadencję nad jasność wypowiedzi, idąc raczej za uchem niż za naturalnymi regułami gramatyki.

Sewarambianie czynią podobnie, jednak ze znacznie większym powodzeniem, ponieważ układają słowa, jak im się podoba, co jednak nie czyni ich dzieł niezrozumiałymi. W ich języku bowiem wszystkie przypadki rzeczowników i osoby czasowników mają różne końcówki, które nie niosą dwuznaczności jak w grece i łacinie. Mają nawet więcej przypadków i trybów niż te starożytne narody, a ich język jest o wiele jaśniejszy, nie tylko dlatego że terminy wywodzą się jedno od drugich, a zdania wskazują dokładnie i bez wątpliwości rozmaite działania i cechy rzeczy.

Wszystkie te powody, a także znaczenie, jakie przykładają do nauki gramatyki, sprawiają, że Sewarambianie mówią lepiej i wysławiają się jaśniej niż każdy inny naród świata. Można stąd wysnuć wniosek, że prześcigają nas w piękności mowy, tak samo jak w niewinności i oglądzie obyczajów, oraz że są oni, z wyjątkiem religii, najszcześniejszym ludem na ziemi.

Oprócz naturalnych przewag ich języka nad mową innych narodów, rozmaici mędracy wielce przyczynili się do upiększenia go, w szczególności zaś pewien poeta, któremu, ze względu na jego geniusz, dali miano Kodamias, czyli „boski umysł”. On to skomponował piękną odę, o której przed chwilą mówiliśmy. Dzięki temu niezrównanemu dziełu oraz wielu innym, wielkiej piękności, pozyskał sobie pośród Sewarambian sławę równą tej, którą cieszyli się Homer u Greków czy Wergiliusz u Rzymian. Jego styl jest czysty, jasny i naturalny, jego myśli słuszne i uduchowione. Metrum poezji jest zaś tak cudowne, iż nie da się ich słuchać, nie odczuwając takich emocji, jakie autor pragnął wzbudzić. Można o nim rzec, iż prawdziwie urodził się poetą, ponieważ od najwcześniejszej młodości pisał wiersze, które zaskakiwały największe umysły jego czasów. W wieku dwudziestu lat stworzył sztukę teatralną, którą podziwiał cały naród. Nie tylko pozyskała mu ona sławę geniusza, lecz także pozwoliła mu odnieść zwycięstwo nad rywalami i zdobyć serce pięknej dziewczyny, którą kochał bez pamięci. Wierzę, iż opowieść o tym nie będzie czytelnikowi nieprzyjemna, ponieważ jest ona na tyle szczególna, że zasługuje na jego uwagę.

Historia Balsimé

Za panowania Sewarkemasa była w Sewarindzie młoda dziewczyna imieniem Balsimé, której piękność budziła powszechny zachwyt. Miała ona wszelkie wdzięki, jakie tylko natura może dać kobiecie. Oprócz piękna ciała, posiadała także piękno duszy i umysłu, i zdawało się, że niebiosa stworzyły ją po to, by ukazać ludziom największe swe arcydzieło.

Gdyby urodzenie mogło cokolwiek dodać do owych zalet w kraju, gdzie nie zwraca się na tę kwestię uwagi, Balsimé mogłaby przewyższyć wszystkie dziewczęta Sewarindy szlachetnością swego rodu tak samo, jak przewyższała je cnotami

i pięknem. Pochodziła bowiem po kądzieli z rodu Sewariasa, zanim zaś osiągnęła osiemnaście lat, jej ojciec został wyniesiony do godności wicekróla Słońca jako Sewarkimpsas. W późniejszych latach zrezygnował on z urzędu i został zastąpiony przez obecnie rządzącego Sewarminasa.

Chociaż wyniesienie tego księcia przydało nowego blasku całej rodzinie, to jednak nie przyniosło powodzenia Balsimé, która przy swoich wdziękach z pewnością zostałaaby małżonką wicekróla, gdyby ten nie był akurat jej ojcem. Na zawsze więc utraciła możliwość wstąpienia na tron i musiała się zadowolić jednym z poddanych. Prawda, że chociaż fortuna jej ojca stała się przeszkodą dla jej własnej, to z drugiej strony przyczyniła się też do jej szczęścia.

Jej zasługi i przygody wciąż wielce są podziwiane w całej Sewarambii, gdzie często wystawia się na scenie historię miłości Balsimé i Kodamiasa. Zanim ów poeta, dzięki swym dziełom, otrzymał to chwalebne miano, zwał się Franoscar. Urodził się w Sewarindzie, w tej samej osmazji, co Balsimé, widywali się zatem od najwcześniejszego dzieciństwa. Chociaż miłość nie miała jeszcze udziału w ich zabawach i poufałości, zauważono wszakże, że jeszcze przed osiągnięciem siódmego roku życia Franoscar wykazywał skłonność do małej Balsimé, która to była odeń młodsza tylko o dwa lata. Nieobecność i oddalenie nie były w stanie osłabić tych skłonności, ponieważ po Estricasionie, gdy umieszczono go w innej osmazji, gdzie miał być wychowywany wraz z innymi chłopcami w jego wieku, za każdym razem, kiedy pozwalano mu udać się z wizytą do rodziców, odwiedzał też Balsimé, przynosząc jej kwiaty lub owoce.

W innej osmazji był zaś inny chłopiec imieniem Nefrida, w podobnym wieku, co Franoscar. On także upodobał sobie Balsimé, z którą często razem śpiewali, bowiem miał on piękny głos, ona zaś niemal tak samo godny podziwu. Był on przystojniejszy niż Franoscar, choć ani jeden, ani drugi, nie mieli w wyglądzie nic nadzwyczajnego i byli obydwaj dość przeciętnego wzrostu. W dziecięcych latach to Nefrida jednak zdawał się bardziej uroczy ze względu na cudowny głos, za który podziwiano go w całej osmazji. Gdy osiągnął siedem lat, został – podobnie jak inne dzieci – adoptowany przez państwo, jednak z powodu głosu miał być wychowywany pośród tych, których przeznaczeniem było śpiewać hymny w Świątyni Słońca.

Gdy przyszedł jej czas, Balsimé także opuściła rodzinną osmazję i już nie widywali się tak często, szczególnie że Nefrida nie żywił tak silnego wobec niej uczucia jak Franoscar i nie tak chętnie odwiedzał ją z prezentami. Pierwsze lata ich dzieciństwa upłynęły więc w taki niewinny sposób, a miłość nie mieszała się do ich życia.

Gdy jednak Balsimé osiągnęła lat czternaście, a jej piękność, rosnąc z każdym dniem, budziła podziw wszystkich wokół, tysiąc serc zaczęło do niej wdychać, a Franoscar i Nefrida nie byli już jedynymi, którzy poszukiwali jej względów. Nikt nie ośmielił się otwarcie zadeklarować, zanim nie skończyła piętnastu lat, ponieważ

przed tym wiekiem nie pozwala się dziewczętom słuchać miłosnych wyznań ani chłopcom takowych czynić.

Pomimo surowości praw zakochany Franoscar uznał, iż nie należy tracić czasu ani ryzykować, że kto inny zadeklaruje swe zamiary przed nim. Rozważał więc możliwości wyjawienia swych uczuć Balsimé z jak największym wdziękiem, wyprzedzając rywali, wiedział bowiem, że pierwsze wrażenia są zwykle najsilniejsze. Zaszczycił bycia pierwszym miłośnikiem Balsimé dałby mu zaś znaczną przewagę nad wszystkimi konkurentami. Od dawna dostrzegał, iż oprócz wielkiego piękna i szlachetnych uczuć miała Balsimé umysł wykwintny i lubiła komplementy. Ponieważ te zalety są same w sobie godne miłości, tyle samo przyczyniły się do wzmożenia uczucia Franoscara, co inne wdzięki jego ukochanej.

Postanowił zatem, iż przewyższy swych rywali pięknem swych słów i dzieł. Decyzja ta sprawiła, że z większym staraniem zajął się nauką literatury pięknej. Gdy dowiedział się, że jego urocza ukochana żywiła wielką pasję do poezji, do której miała wrodzony pociąg i nawet sama czasem pisała wiersze, przestał wątpić w swe zwycięstwo i rozmyślał już tylko o tym, jak je odnieść z największą chwałą.

Zwyczajem młodzieży Sewarambii jest organizowanie zgromadzeń publicznych dla wspólnej rozrywki, szczególnie w okresie Osparenibonu. Młodzi ludzie ćwiczą się wówczas w grach i sztukach, szczególnie zaś w tańcu, ponieważ bardziej sprzyja on miłosnym zamiarom niż jakiegokolwiek inne ćwiczenia. Przyczynia się też do wzmocnienia zdrowia i polepszenia postawy, dlatego prawa nie tylko nań pozwalają, ale nawet nakazują.

Często zatem odbywają się bale, czy to na polach wokół miast, czy w wielkich salach osmazji. Tam właśnie organizuje się zebrania różnych osób, w szczególności zaś młodych chłopców i dziewcząt na wydaniu, którzy mogą wtedy otwarcie rozmawiać o miłości. Ci, którzy w tym celują, zbierają najwięcej pochwał, gdyż spotkania te odbywają się bardziej w tym celu niż jakimkolwiek innym. Jeśli jakiś młody kochanek ma dar do tańca lub śpiewu albo umie układać piękne dzieła ku pochwalę swej ukochanej, może się tym wykazać przy tej okazji. Chociaż ta swoboda budzi często zazdrość zainteresowanych stron, nikt nie ośmiela się okazać jej publicznie, ponieważ wszystko odbywa się bez złośliwości, za to ze szczerością i prostotą, jakich próżno szukać gdzie indziej.

Franoscar miał kuzyna, który skończył już osiemnaście lat i często brał udział w tych zebraniach, by znaleźć tam ukochaną i pozyskać względy tej, która mu będzie najbardziej odpowiadała. Był on przystojny, miał tyle prostoty i odwagi, co każdy inny, lecz niewiele dowcipu. Nierządkiem prosił Franoscara, by ten napisał jakiś wiersz czy piosenkę na cześć dziewczyny, której łaski pragnął zdobyć. Nie miał jednak powodzenia, bo chociaż wiersze były nader piękne i wszyscy udawali, że wierzą, iż

to on je napisał, i proszono go często o recytację, to jednak nikt tak naprawdę nie uważał go za dość utalentowanego, by mógł być ich autorem. Jego sposób wypowiedzenia się nijak nie współgrał z ich charakterem.

Długo poszukiwano prawdziwego twórcy owych poezji, lecz na próżno, Franoscar bowiem tak dobrze ukrywał swą wymianę z kuzynem, że nikomu nie udało się niczego spostrzec. Jako że był jeszcze bardzo młody, a oznaki jego talentu zdążyli zauważyć jedynie jego nauczyciele, nikt nie sądził, iż on mógłby być autorem tych drobnych arcydzieł, które błyszczały puentą i czystością dowcipu, których nie dało się przypisać jego kuzynowi, choć ten wielce się nimi chwalił.

Pewnego świątecznego dnia, w jednej osmazji miało się zebrać wielu młodych ludzi, w tym starsza siostra Balsimé. Franoscar ułożył poetycki portret tej młodej piękności i dał go kuzynowi do odczytania przed zgromadzeniem, gdy nadarzy się okazja. Kuzyn dobrze wybrał chwilę i przeczytał dzieło, które osiągnęło ogromny sukces. Wszystko, czym chwalił się kiedykolwiek wcześniej, było niczym przy tym portrecie. Tyle w nim było dowcipu i ogłady, a uroczą Balsimé została w nim tak pięknie odmalowana pod mianem Labsinemis, że wszyscy, którzy ją znali, wykrzyknęli jednocześnie: „Ależ to żywy obraz młodej Balsimé!”. Dzieło to było podziwiane przez wszystkich i jeszcze usilniej niż zwykle starano się odkryć jego prawdziwego twórcę, lecz na próżno.

Uroczą osobą stanowiącą oryginał owego portretu, niebawem dowiedziała się, co zaszło podczas zgromadzenia. Była ona nader wrażliwa na pochwały, toteż wielce ucieszyła się z tego, co ją spotkało. Szaleńczo zapragnęła poznać autora owego dzieła, który publicznie wychwalał wdzięki jej piękności, zanim jeszcze całkowicie dojrzała.

Franoscar, któremu nie brakowało bynajmniej szpiegów, wywiedział się wkrótce o wszystkim, co działo się w duszy dziewczyny. Dostrzegł, iż nadeszła upragniona okazja i wysłał jej bukiet kwiatów i wiersz, który dokładnie oddawał stan jego serca i uczuć. Wyznawał jej miłość w słowach tak czułych, że młoda Balsimé musiała się wzruszyć i odczuć szczególną skłonność ku zalotnikowi, który w sposób tak delikatny i chwalebny wyznawał jej miłość. Ponieważ jednak Balsimé nie osiągnęła jeszcze właściwego wieku, by przyjąć jego służby, zadowolona się wiedzą, że Franoscar ją miłuje i że to on jest autorem portretu poetyckiego. Nie powiedziała o tym nikomu i nawet Franoscarowi nie dała poznać, że o tym wie.

Tymczasem Nefrida poczuła niejakie ukłucie zazdrości, widząc, że kto inny zdobywa publicznie łaski Balsimé, okazując jej estymę i namiętność, zanim jeszcze zgodnie z prawem będzie mógł wystąpić ze swym wyznaniem. Przekonał się, że ma groźnego rywala, który z pewnością usilnie będzie się starał o piękny obiekt ich uczuć. Ponieważ jednak ów rywal nie ujawniał się, a Nefrida wierzył, że nikt nie

był w większej niż on poufałości z Balsimé, miał nadzieję, że nie będzie ona wolała nikogo innego, gdy tylko oświadczy jej otwarcie, jak wielka jest jego namiętność.

Aby pokazać, jak droga jest mu chwała ukochanej i że nie pragnął niczego tak bardzo, jak przyczynić się do jej zwiększenia, stworzył muzykę do słów portretu i zaśpiewał ten utwór tak pięknie, że bez trudu zdobył pierwszą nagrodę. Po tym zwycięstwie młodzieńca nad najlepszymi muzykami Sewarindy powieszony został na rydwanie triumfalnym z amfiteatru do świątyni Słońca, gdzie zgodnie ze zwyczajem złożył ofiarę z wonności. Następnie kazał się wieźć do osmazji Balsimé, by złożyć u jej stóp nagrodę, jako świadectwo szacunku i miłości. Wspaniałe to poświęcenie rozślawiło imię Balsimé w całym mieście, a niebawem i w całym kraju. Wszyscy mówili o jej szczęściu i urodzie, a w wieku piętnastu lat była już sławniejsza niż największe piękności jej czasu. Nawet wicekról, choć wiekowy, pragnął ją ujrzyć i podobno wyraził pragnienie odmłodnienia, by móc zdobyć jej wdzięki.

Niedługo później Balsimé skończyła piętnaście lat i mogła przyjmować wyznania ze strony wielbicieli i wybrać tego, który okaże się najbardziej godnym jej łask. Franoscar i Nefrida, jako pierwsi zalotnicy, uważali, że nikt inny nie może rościć pretensji do serca ich ukochanej, lecz obaj się mylili.

Gdy Balsimé odrzuciła wielką liczbę pretendentów, wreszcie pojawił się jeden, który mógł obu ich zgubić. Był to najprzystojniejszy młodzieniec w narodzie i urodą ciała zdawał się być godzien nieporównanej piękności dziewczyny. Gdy tylko stanął przed nią, Balsimé zaskoczyła jego piękna twarz i nie mogła powstrzymać się, by go nie pokochać. W jednym momencie zdobył on w jej sercu więcej miejsca niż dwaj pozostali przez ostatnie dwa lata starań. Wkrótce obydwaj przekonali się o tym i wówczas to poeta i muzyk poczuli ciernie miłości, która dotychczas ofiarowywała im jedynie swe róże. Z tego powodu zjednoczyli siły, by zrujnować powodzenie rywala, jednak dopóki Balsimé znała go tylko z widzenia, wszystkie ich wysiłki skazane były na niepowodzenie.

Przez pewien czas myślała tylko o nim, mówiła tylko o nim i tylko on jej się podobał. Widząc, że wcale nie spieszy się ze swymi służbami, wdychała, płakała i gdyby nie wstrzymywał jej wstyd, sama poszłaby go szukać, by wyznać mu swą miłość. Takie były początki jej namiętności, na którą nowy kochanek odpowiadał chłodno, co doprowadzało dziewczę do rozpacz, każąc jej wierzyć, że kocha inną lub nie dość ją szanuje. Uczyniła wszystko, by odkryć jego intrygę, jednak ostatecznie okazało się, że ów piękny mężczyzna, którego ona i wiele innych dziewcząt kochało bez pamięci, był tylko pięknym, bezdusznym ciałem. Zakochiwał się we wszystkich, które okazywały mu względy i najbardziej kochał ostatnią, która z nim rozmawiała.

Balsimé, dla której umysł był niezwykle ważny i sama miała wiele dowcipu, była ogromnie zmartwiona, gdy odkryła, że jej nowy ukochany ma tak niewiele rozumu.

Wiedza ta znacznie ograniczyła jej zapał, jednak nie potrafiła całkowicie wymazać z jej duszy wszystkich dobrych wrażeń, jakie wywarła na niej jego uroda.

Dusza Balsimé była więc rozerwana między trzech kochanków. Jednego podziwiała za urodę, drugiego za piękny głos, trzeciego zaś za pełne dowcipu i grzeczności słowa. Czasem rozkosze, które czerpała z ich towarzystwa, następowały bezpośrednio po sobie. Gdy zadowolona oczy widokiem twarzy pierwszego, karmiła uszy cudnymi koncertami drugiego i wreszcie, gdy już była nimi znudzona, wdychała za elokwencją Franoscara, w której znajdowała wdzięki, co nigdy jej nie znudziły. Była tym wrażliwsza na owe przyjemności, że sama w swej osobie łączyła te zalety. Nie bez smutku widziała trzy cechy, które pragnęła widzieć w jednym kochanku, podzielone między trzy różne osoby.

Tymczasem umarł wicekról i cały naród zaabsorbowany był wyborem jego następcy. Los padł na sewarobastę Kimpsasa, ojca Balsimé. Został on wyniesiony na tron Słońca i otrzymał miano Sewarkimpsas.

Wielka ta godność dodała blasku całej rodzinie i w każdy innym kraju mogłaby zrujnować nadzieje trzech wielbicieli Balsimé. Chociaż wybór ten wzmógł szacunek, jakim kochankowie darzyli dziewczynę, nie sprawił on, że stracili zapał do jej zdobycia. Co więcej, uwalniał ich od pewnej obawy, w jaką wpuściła ich śmierć wicekróla. Nie wiedzieli bowiem, kto zostanie wybrany i wszyscy, szczególnie zaś zakochany Franoscar, obawiali się, że nowy namiestnik Słońca skorzysta ze swego prawa i władzy, by na zawsze pozbawić ich ukochanej. Przekonawszy się jednak, że rządy obejmie ojciec Balsimé, ich obawy rozproszyły się i musieli już tylko stawić czoła niezdecydowaniu kochanki.

Franoscar i Nefrida, choć rywale, znali się od dzieciństwa, nie brakło im zalet i nieomal zostali unicestwieni przez trzeciego konkurenta. Wobec tego zjednoczyli się i żyli w głębokiej przyjaźni, nie żywiąc wobec siebie zawiści, a każdy z nich pragnął, by ten drugi został szczęśliwym wybrankiem, jeśli on sam nie doświadczy tego szczęścia. Przy wielu okazjach współpracowali i gdy poeta napisał jakieś piękne dzieło, muzyk nie omieszkował dodać doń wdzięków melodii.

Ponieważ każdy z nich był w swej sztuce najwybitniejszy w całym narodzie, zawsze zdobywali nagrody przeznaczone dla najlepszych poetów i muzyków. Wielce pochlebiało to Balsimé, którą zwykle opiewały piękne dzieła tych nadzwyczajnych geniuszy. Postanowili wspólnie napisać utwór na cześć nowego wicekróla i dzięki temu pozyskać jego szacunek i życzliwość, co też uczynili w sposób wielce błyskotliwy. Przy takich okazjach bowiem artyści zwykle przechodzą samych siebie, by zdobyć uznanie władcy i całego narodu oraz otrzymać nagrodę za swe arcydzieło, ci dwaj wielcy rywale bez trudu zwyciężyli wszystkich, którzy ośmielili się przeciw nim stanąć. Franoscar przepisał wierszem modlitwę do Słońca, którą Sewarias niegdyś

prozą wygłosił, zaś Nefrida zaśpiewał ją tak melodyjnie, że wszyscy słuchacze byli zachwyceni.

Dodali do tej oracji pochwałę nowego wicekróla, pozyskując sobie jego uznanie i życzliwość. Następnie poprowadzono ich z amfiteatru do świątyni na triumfalnym rydwanie, a gdy złożyli, jak obyczaj nakazuje, ofiarę z wonności, kazali się wieźć do Balsimé, by u jej stóp złożyć zdobyte nagrody.

Wspaniałe świadectwa ich uczuć niezmiernie pochlebiały dziewczynie i sprawiły, że z pewną pogardą spoglądała na trzeciego adoratora, który żył bez chwały. Skłaniała się więc ku tym dwóm, choć od czasu do czasu uroda pierwszego stawała się głównym przedmiotem jej pragnień. Wahała się w ten sposób, nie mogąc się zdecydować, aż do czasu, gdy zgodnie z prawem musiała wybrać jednego kochanka, innych zaś odrzucić.

Franoscar i Nefrida, dla których dzień ów miał zdecydować o ich szczęściu lub nieszczęściu, zjednoczyli się jeszcze silniej niż dotychczas, by wykluczyć trzeciego rywala i zmusić niezdecydowaną Balsimé do wyboru między poetą a muzykiem. Franoscar napisał w tym celu poemat, który zatytułował *Nagroda za zasługi* i dzięki wstawiennictwu przyjaciół otrzymał od wicekróla pozwolenie na wystawienie go jako sztuki z udziałem osób zainteresowanych. Balsimé miała być nagrodą zwycięzcy i osobiście zadecydować o zasługach aktorów. Cała sztuka dotyczyła zalet muzyki oraz chwały poezji i inteligencji, a wszyscy trzej zalotnicy zagrali w niej swoje role. Franoscar w dobrej wierze dał każdemu do powiedzenia coś dobrego na swój temat.

Pierwszy, który był tak przystojny, jak tylko może być młodzieniec, występował przed innymi i mówił rzeczy tak piękne, że gdyby potrafił powiedzieć je z wdziękiem i ożywić słowa gestami i tonem, od razu mógłby zdobyć serce Balsimé, która i tak się ku niemu skłaniała. Okazał jednak tak niewiele błyskotliwości i mówił w sposób tak mdły i zimny, że słowa straciły w jego ustach całą swą siłę. Dziewczyna wolała więc posłuchać swego drugiego wielbiciela. Ten, korzystając z okazji, śpiewał z takim wdziękiem i tak wspaniale ukazał zalety swej sztuki słowem, gestem i pięknem swego głosu, że wymazał z pamięci ukochanej całe wspomnienie z występu rywala.

Po muzyku wystąpił poeta, który z taką siłą ducha wychwalał poezję, że zachwycił wszystkich widzów. Następnie wygłosił mowę do swej ukochanej, by wyrazić swą miłość, stałość i wierność. Tak dokładnie oddał ogrom swego uczucia, że Balsimé dała się wreszcie wzruszyć i widząc, że wicekról i całe zgromadzenie wiwatuje na cześć Franoscara, podała mu dłoń. Następnie weszła wraz z nim na triumfalny rydwan i pojechali razem do świątyni, gdzie wspólnie złożyli ofiarę Słońcu. Później lud obnosił ich oboje po wszystkich ważniejszych punktach miasta, a wszędzie słyszeli wiwaty i owacje na swoją cześć.

Niedługo później, gdy nadszedł dzień ich Osparenibonu, połączyły ich węzły małżeńskie. Franscar, który przez dziesięć lat zdobywał wszystkie nagrody poetyckie, skomponował piękną odę na cześć Sewarisa i przez to niezrównane arcydzieło zdobył chwalebne miano Kodamiasa, czyli boskiego umysłu. Następnie wspinał się po szczeblach kariery urzędniczej aż do rangi sewarobasty. Gdy piękna Balsimé utraciła pierwszy blask młodości, rozumiała lepiej niż kiedykolwiek, że zalety umysłu, jako solidniejsze i trwalsze niż uroki ciała, powinny zawsze zyskiwać większe od nich uznanie.

Oto historia miłości poety Kodamiasa, tak sławnego pośród Sewarambian, oraz pięknej Balsimé. Pamięć o nich nigdy nie zginie i przechodzić będzie z ojca na syna tak długo, jak język Sewarambian i *Nagroda za zasługi* Franscara będą trwały. Sztuka ta wystawiana jest co pięć lat i osobiście widziałem ją dwukrotnie z niewypowiedzianą przyjemnością.

Zdawszy sprawę ze wszystkiego, co uznałem za godne uwagi wśród tego szczęsnego ludu, pozostaje mi już tylko powiedzieć co nieco o tym, jak żyliśmy w naszej osmazji przez cały ten czas, gdy pozostawałem w Sewarindzie, oraz o sposobie, w jaki opuściłem kraj i dotarłem do Azji. Rzekłem już wcześniej, iż umieszczono nas wszystkich razem w jednej osmazji, w której to zostałem osmazjontą. Większość naszych ludzi zajmowała się pracami budowlanymi, inni zaś otrzymali zajęcia w osmazji, więc każdy pracował tyle, ile mu wyznaczono. Mieliśmy także niewolnice, nie mogliśmy bowiem utrzymywać relacji z kobietami wolnymi, za wyjątkiem tych, które przypłynęły z nami z Niderlandów. Mieliśmy z nimi wiele dzieci, które wychowywaliśmy do siódmego roku ich życia, po czym – w drodze szczególnej łaski – zostały one adoptowane przez państwo jako dzieci Sewarambian.

Nie odbyło się to jednak bez trudności. Sewarminas musiał zwołać radę, by rozstrzygnąć tę kwestię. Jedni twierdzili, iż jesteśmy ludem obcym i z natury złośliwym, niskiego wzrostu i słabego zdrowia. Niewłaściwe więc byłoby mieszanie ich krwi z naszą, bowiem mogłoby to doprowadzić do ich zepsucia.

Ci, którzy opowiadali się za nami, mówili, że choć byliśmy obcy, to naszych dzieci to nie dotyczyło, ponieważ przyszły na świat w Sewarambii i pod ochroną jej praw. niesprawiedliwością byłoby pozbawiać tych niewiniątek ich przyrodzonego prawa i oddzielać ich od innych dzieci. Dodawali także, że nasze obyczaje były dość dobre, odkąd żyliśmy pomiędzy nimi i że skutecznie przystosowaliśmy się do ich moralności. Fakt, że jesteśmy niscy i słabi, lecz większość naszego potomstwa, zrodzona z silnych i wysokich matek, już zdawała się obiecywać po sobie krzepę i wysoki wzrost. Mówiono także, iż dzięki wychowaniu wśród młodzieży w mieście, nasze dzieci przyswoją sobie obyczaje tego kraju.

Dodawano, że przecież dokonano już tego w przypadku Parsów, choć państwo było wówczas jeszcze młode i niepewne, oni zaś byli znacznie liczniejsi i obdarzeni władzą. Nie należało się więc obawiać niczego ze strony naszego potomstwa i naszej krwi, ponieważ większość ludzi jest zła tylko wtedy, gdy żyje pod złym rządem i zły przykład otrzymuje w dzieciństwie. Sermodas najsilniej opowiadał się po naszej stronie i wygrał, a nasze dzieci zostały adoptowane przez państwo bez czynienia nijakiej różnicy.

To niemal niewiarygodne, jak bardzo nasze ciała zmieniły się przez trzy czy cztery lata dzięki umiarkowaniu, ćwiczeniom i rozrywkom, którym oddawaliśmy się na przemian z pracą, a także dzięki temu, że nie musieliśmy troszczyć się o przetrwanie. Niemal wszyscy mężczyźni i kobiety odmłodnieli, stali się silniejsi i żywsi. Niektóre Niderlandki, które w ojczyźnie nie mogły mieć dzieci, odzyskały płodność w Sewarindzie. Żyliśmy tam bez trosk i smutków, po pracy rozmyślając tylko o rozrywkach. Taniec, muzyka, spacer, spektakle i inne sposoby spędzania czasu, które oferuje Sewarambia, cieszyły i zajmowały nawet największych spośród nas samotników. Z początku niemal wszyscy dostaliśmy gorączki i nawet niektórzy pomarli, później jednak czuliśmy się zdrowi jak nigdy, zupełnie jakby choroba ta strawiła wszystkie złe humory w naszych ciałach.

Rozmawialiśmy poufale z sewarindianami, którzy z początku nie mogli się powstrzymać od śmiechu, widząc co niższych spośród nas, do tego mówiących po niderlandzku, który to język porównywali do mowy kotów i psów. Zadawali nam wiele pytań o nasz kontynent, pragnąc się dowiedzieć, czy nasz kraj jest równie piękny jak ich i czy ludzie są tam zbudowani tak samo jak my. Potem wychwalali prawa i obyczaje pozostawione im przez Sewariasa i stwierdzali, że w porównaniu z nimi wszystkie narody są nieszczęśliwe i zaślepienie, w czym mieli niewątpliwie rację. Traktowali nas z wielką dobrocią, ja zaś zostałem nader grzecznie przyjęty spośród możliwych, z którymi poufale mówiłem. Wprowadzono mnie nawet do wicekróla, z którym miałem zaszczyt rozmawiać trzy czy cztery razy, co sprawiło, że wszyscy mnie szanowali i chętnie przyjmowali u siebie.

Czasami wybierałem się z nimi na polowanie, biorąc ze sobą kilku naszych ludzi, w tam Nuitsa. Pewnego razu nieszczęśliwie ów znalazł się był przed zranionym niedźwiedziem, który z wściekłości rozerwał go na strzępy, zanim zdążyliśmy ruszyć z pomocą. Wypadek ten wielce nas wszystkich zasmucił, mnie zaś szczególnie, bowiem bardzo upodobałem sobie Nuitsa, który był dla mnie najwierniejszym przyjacielem i najwięcej mej przyjaźni godnym. Pozostawił po sobie dwie żony i pięcioro dzieci, które – jak mniemam – wciąż żyją.

Poznałem także pewnego sewarobastę imieniem Kalsimas, który zapałał do mnie przyjaźnią i często zapraszał do siebie, a nawet dzielił ze mną posiłki. Podróżował

on za młodu do Persji, Indii i Chin, lecz nigdy nie udał się na zachód. Wielce był ciekaw nowin, ja zaś najwięcej mogłem mu opowiedzieć z całej naszej kompanii, toteż upodobał sobie nasze rozmowy i chętnie opowiadał, co widział podczas swoich wypraw i jakie spotkały go przygody. Przychodził czasem z wizytą do naszej osmazi i często zabierał mnie na polowania, ryby i inne rozrywki na świeżym powietrzu. Stałem się jednym z jego najbliższych przyjaciół.

To dzięki jego wstawiennictwu pozwolono mi wrócić do Europy, choć wcześniej już nam tego zabroniono. Po piętnastu latach w tym kraju chwyciła mnie za serce ogromna tęsknota za ojczyzną. Długo mój rozum sprzeciwiał się temu pragnieniu, lecz dowiedziawszy się, że Sewarambianie ekwipują okręt mający płynąć do Persji, na który miał wsiąść jeden z synów Kalsimasa, nie mogłem dłużej się powstrzymać. Konflikt między moim sercem a rozumem odbił się na moim ciele – schudłem, stałem się ponury i melancholijny. Kalsimas spostrzegł to i jął wypytywać o przyczyny. Przez pewien czas usiłowałem ukrywać je przed nim, lecz w końcu, otrzymawszy obietnicę pomocy w realizacji mego projektu, wyznałem mu moje pragnienie powrotu. Z początku starał się złagodzić je rozsądnymi argumentami, lecz dowiedziawszy się, iż sam na próżno próbowałem się w taki sposób przekonać, obiecał zrobić co w jego mocy, by przekonać Radę do zwrócenia mi wolności. Miałem jednak złożyć przysięgę, iż powrócę wraz z żoną i dziećmi, które pozostawiłem w Niderlandach, co podałem mu jako pretekst, by pozwolono mi popłynąć do Europy. Prawdą jest, że taki był mój rzeczywisty zamiar, od kiedy zaś jestem w Azji, czuję pragnienie powrotu do Sewarindy, by spędzić tam resztę moich dni. Najpierw jednak muszę zaspokoić przemożne pragnienie ujrzenia na nowo ojczyzny i zabrania stamtąd drogiej mi osoby, jeśli znajdę ją jeszcze przy życiu.

Moja chęć powrotu do Sewarambii jest tym bardziej rozsądna, że poza niewątpliwymi zaletami tego kraju pozostawiłem w nim trzy żony i szesnaścioro dzieci, które – jak sądzę – jeszcze żyją. Nie zostawiłbym ich samych nawet na moment, gdyby nie pragnienie odzyskania pierwszego owocu mych miłości.

Tymczasem Kalsimas, widząc przygotowania do wypłynięcia do Persji, poczynił wszelkie wysiłki, by uzyskać od wicekróla pozwolenie na mój wyjazd. Napotkał przy tym wiele trudności i rzecz nigdy by nie doszła do skutku, jak mi to później powiedział, gdyby postawiono tę sprawę na Radzie. Potrafił on jednak wzruszyć serce Sewarminasa w taki sposób, że w geście litości władca zezwolił mi potajemnie wejść na pokład wraz z synem Kalsimasa i jego towarzyszami. Musiałem przedtem przysiąc, że wrócę i nikomu nie powiem o istnieniu ich kontynentu.

W czasie naszego wyjazdu przygotowywano także okręty do wypłynięcia na morze wewnętrzne, o czym już wspominaliśmy. Swoim ludziom wmówiłem, iż zamierzam dołączyć do odkrywców z ciekawości. Jako swego namiestnika pozostawiłem

Devèze'a, po czym pożegnałem mych ludzi, nie bez westchnień i łez. Moje żony najusilniej sprzeciwiały się tym zamiarom, lecz widząc me niezachwiane postanowienie, pocieszały się nadzieją rychłego powrotu.

Wyruszyłem z Sewarindy w roku 1671. Zanim przebyłem góry, zwiedziłem dolinę Strukarasa, o której opowiadałem. Pokonawszy następnie pasmo górskie, dotarliśmy do Sporundii. Zaprzyjaźniłem się z synem Kalsimasa, Bakindą, młodym, około trzydziestoletnim człowiekiem wielkiej mądrości i przezorności.

W Sporundii spotkałem kilku dawnych znajomych, na przykład Carchidę, który obecnie nazywał się Carchidasem, otrzymał bowiem godność drosmazjonty. Albi-cormas zmarł dwa lata wcześniej, złożyłwszy uprzednio urząd na ręce sewarobasty Galokimbasa, przysłanego przez wicekróla, by go zastąpił. Benoscar wciąż mieszkał na wyspach, sprawując dawny urząd Carchidy.

Spędziwszy kilka dni w Sporundii, popłynęliśmy dalej na jezioro Sporaskompo, gdzie czekał na nas okręt o wyporności około trzystu ton. Wszedłem na pokład jako dwudziesty piąty, nie licząc załogi. Statek został pociągnięty przez trzy galeoty aż do morza, ponieważ flauta tak się przeciągała, że nie mogliśmy posłużyć się żaglami. Nie wypłynęliśmy na zatokę, przez którą przedostał się był Maurycy, lecz przez kanał, położony dalej na wschód, który prowadzi prosto z jeziora do morza. Ocean był wielce spokojny i galeoty musiały holować nas jeszcze ponad dwadzieścia mil, byśmy mogli złapać wiatr. Dowiedziałem się, że wody te zawsze były takie spokojne o tej porze przez miesiąc lub dwa, jednak przez resztę roku targały nimi burze na całej długości wybrzeża.

Dwa dni po odpłynięciu naszych galeot zerwał się lekki wiatr z południowego zachodu, który delikatnie pchał nas na pełne morze przez pięć dni. Szóstego dnia zamarł i musieliśmy chwycić wiatr boczny, który przez jakie siedem dni pchał nas ku miejscu przeznaczenia. Wówczas posłużyliśmy się jeszcze innym wiatrem i tak zmieniając od czasu do czasu, dopłynęliśmy wreszcie do wybrzeży Persji po sześćdziesięciu ośmiu dniach od wyjazdu ze Sporundii.

Tam podróżnicy podzielili się na pary i obrali różne kierunki, ustaliwszy wcześniej czas powrotu. Na szczęście Bakinda i jego towarzysz Foniscar, przyjąwszy perskie imiona, ruszyli na zachód. Podążyłem więc z nimi do Isfahanu, stolicy Persji. Pomieszkałem tam z nimi czas jakiś, po czym pożegnałem się i ruszyłem do Europy, korzystając z idącej na zachód karawany. Mijałem po drodze miasta, których tu nie opiszę, ponieważ wszystkie one zostały już opisane przez podróżników i znane są ciekawskim.

Skracając więc relację, która mogłaby stać się nużąca, powiem tylko, że dotarłem w końcu w dobrym zdrowiu do Smyrny, skąd mam nadzieję niebawem odpłynąć wraz z niderlandzką flotą.

*

Oto, co udało nam się uzyskać z pamiętników kapitana Sidena, które uporządkowaliśmy najdokładniej, jak to było możliwe. Dodaliśmy jedynie rzeczy konieczne, by powiązać ze sobą wątki i ułożyć je w historię, aby Czytelnik mógł bez trudu przeczytać całą książkę, nie zaś fragmenty, które znaleźliśmy. Należy przypuszczać, iż autor nie był do końca pewien, czy opublikuje swą relację, czy też nie, ponieważ została ona przezeń spisana bardziej w formie pamiętników na użytek własny raczej niżli publiczny. Wydaje się to tym bardziej prawdopodobne, że autor nie uszczegółowił wszystkiego tak, jak wymagałaby tego historia, skracając wywód w niektórych miejscach, gdzie winien on być bardziej rozwinięty. Pominął także milczeniem rzeczy, których opis byłby niezbędny w relacji całościowej i kompletnej. Autor obiecuje też w kilku miejscach wyjaśnić pewne sprawy, do których wszakże potem nie wraca, jak na przykład sewarambiańskie przydomki Słońca i niektóre inne kwestie. Niemniej jednak powiedział nam dość, byśmy mogli zbudować historię, którą oto składamy na ręce Czytelnika.

Wierzymy, iż Czytelnik będzie z niej zadowolony, jest to bowiem wszystko, co możemy mu ofiarować. Mamy nadzieję, że znajdzie on powyższą opowieść przyjemną i użyteczną.

KONIEC

tłum. Przemysław Kossakowski

BIBLIOGRAFIA

- Atkinson Geoffrey, *The Extraordinary Voyage in French Literature Before 1700*, Columbia University Press, New York 1920.
- Chertkova Elena, *The Metamorphoses of Utopian Consciousness. From Utopia to Utopianism*, „Russian Studies in Philosophy” 2007, vol. 46, no. 2.
- Darnton Robert, *Bohème littéraire et la Révolution. Le monde des livres aux XVIIIe siècle*, Gallimard, Paris 2010.
- Giesey Ralph E., *The Juristic Basis of Dynastic Right to the French Throne*, „Transactions of the American Philosophical Society” 1961, New Series, vol. 51, no. 5.
- Grande Nathalie, *Claude Barbin, un libraire pour dames?*, „Revue de la BNF” 2011, vol. 3, no. 39.
- Magdziarz Wojciech Stanisław, *Ludwik XIV*, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław–Warszawa–Kraków 1991.
- Magdziarz Wojciech Stanisław, *Uwodziciele władzy. Geneza i organizacja dworu Ludwika XIV*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2013.
- Manuel Frank E., Manuel Fritzie P., *Utopian Thought in the Western World*, The Belknap Press of the Harvard University Press, Cambridge 1997.
- Mosakowski Marek, Kossakowski Przemysław, *Francuskie głosy o szlachcie, feudalizmie i monarchii w przededniu Rewolucji*, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2018.
- Racault Jean-Michel, *L’Utopie narrative en France et en Angleterre 1675–1761*, Voltaire Foundation at the Taylor Institution, Oxford 1991.
- Trousseau Raymond, *Voyages aux pays de nulle part. Histoire littéraire de la pensée utopique*, Editions de l’Université de Bruxelles, Bruxelles 1999.
- Vairasse Denis, *Histoire des Sévarambes: peuples qui habitent une partie du troisième continent, communément appelé la Terre australe...*, vol. 1, Chez Claude Barbin, Paris 1677.
- Vairasse Denis, *Histoire des Sévarambes: peuples qui habitent une partie du troisième continent, communément appelé la Terre australe...*, vol. 2, Chez Claude Barbin, Paris 1677.

BIBLIOGRAFIA

- Vairasse Denis, *Histoire des Sévarambes: peuples qui habitent une partie du troisième continent, communément appelé la Terre australe...*, vol. 3, Chez l'Auteur, Paris 1677.
- Vairasse Denis, *Histoire des Sévarambes: peuples qui habitent une partie du troisième continent, communément appelé la Terre australe...*, vol. 4, Chez l'Auteur, Paris 1678.
- Vairasse Denis, *Histoire des Sévarambes: peuples qui habitent une partie du troisième continent, communément appelé la Terre australe...*, vol. 5, Chez l'Auteur, Paris 1679.